

KAREN JOY FOWLER

NIE  
*posiadamy*  
SIĘ  
ZE SZCZĘŚCIA

NAGRODA  
FAULKNERA  
NOMINACJA  
DO NAGRODY  
BOOKERA

Niepokojąca i doskonale napisana książka, którą czyta się jednym tchem.  
Przygotujcie się na wielkie zaskoczenie.

*Joanna Bator*, laureatka nagrody Nike za powieść „Ciemno, prawie noc”

KAREN JOY FOWLER

NIE  
*posiadamy*  
SIĘ  
ZE SZCZĘŚCIA

Tłumaczenie: Kamilla Sławińska

 Poradnia K

## Spis treści

Karta redakcyjna Dedykacja Motto PROLOG **CZEŚĆ I** Rozdział 1 Rozdział 2  
Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 **CZEŚĆ II** Rozdział 1  
Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 **CZEŚĆ III**  
Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7  
**CZEŚĆ IV** Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6  
Rozdział 7 **CZEŚĆ V** Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5  
Rozdział 6 Rozdział 7 **CZEŚĆ VI** Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4  
Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 PODZIĘKOWANIA Przypisy

Tłumaczenie tekstu i wierszy: KAMILLA SŁAWIŃSKA Fragmenty „Sprawozdania dla Akademii” Franza Kafki w tłumaczeniu Juliana Kydryńskiego  
Redakcja: AGNIESZKA KLUBA Korekta: TAMARA KSIĄŻCZAK-PRZYBYSZ, PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK Projekt okładki, skład: JOANNA RENIGER Tytuł oryginału *We Are All Completely Beside Ourselves*

Copyright © for this edition by Poradnia K, 2016

Text © by Karen Joy Fowler, 2013

All rights reserved Wydanie I Warszawa 2016 ISBN  
978-83-63960-66-7 Poradnia K sp. z o.o.

00-544 Warszawa, ul. Wilcza 25/6

e-mail: [poradniak@poradniak.pl](mailto:poradniak@poradniak.pl)

WWW: [www.poradniak.pl](http://www.poradniak.pl)

Księgarnia: [sklep.poradniak.pl](http://sklep.poradniak.pl) Konwersja: eLitera s.c.

*Dedykuję pamięci cudownej Wendy Weil, gorącej zwolenniczki książek i zwierząt – oraz mnie, jako należącej do obydwu kategorii.*

[...] Wasza małpia egzystencja, panowie, jeżeli macie coś takiego w swej przeszłości, nie może być bardziej odległa od was – niż moja jest ode mnie. Lecz łechce ona w pięty każdego, kto tu chodzi po ziemi: zarówno małego szympansa, jak wielkiego Achilla.

Franz Kafka, *Sprawozdanie dla Akademii*

## PROLOG

Moi obecni znajomi poczuliby się zaskoczeni, gdyby dowiedzieli się, że jako dziecko byłam prawdziwą gadułą. Mamy w domowym archiwum nagranie wideo z czasów, gdy miałam dwa lata: to zapis starego typu, bez dźwięku i kolory bardzo już na nim wyblakły – niebo jest białe, a moje czerwone adidas ledwo różowawe – ale ciągle pokazuje, że kiedyś dużo mówiłam.

Na tym filmie pracuję w ogródku: podnoszę z ziemi na podjeździe przed naszym domem jeden żwirowy kamyczek za drugim i przenoszę do dużej cynowej wanny, wrzucam do niej kamyczek i wracam po następny. Pracuję ciężko, ale powolutku. Otwieram oczy szeroko jak gwiazda filmu niemego. Podnoszę do oczu przejrzysty okruch kwarcu, by móc go podziwiać, a po chwili wkładam go do buzi i upycham wewnątrz policzka.

Przychodzi mama i wyjmuję mi go z ust, po czym odchodzi, znikając z kadru. Mówię coś do niej z przejęciem – widać to z gestów – więc wraca i wrzuca kamyczek do wanny. Zapis trwa jakieś pięć minut i przez cały ten czas buzia mi się nie zamyka. Kilka lat później mama czytała nam starodawną bajkę, w której z ust jednej z sióstr (starszej) z każdym słowem wydobywają się ropuchy i węże, a drugiej (młodszej) – kwiaty i drogie kamienie. Ten obraz przypominał mi scenę z filmu, kiedy mama wkłada mi rękę do ust i wyciąga brylant.

Miałam wtedy jasnozłote włosy i byłam o wiele ładniejsza jako dziecko, niż jestem jako dorosła osoba; cały czas wdzięczę się do kamery. Moja mokra grzywka jest równo przyklepana i spięta wysadzaną dżetami spinką w kształcie kokardki. Za każdym razem, gdy odwracam głowę, spinka migocze w słońcu. Przesuwam rączką po powierzchni wanny pełnej kamyczków, jakbym mówiła:  *pewnego dnia wszystko to będzie należeć do ciebie.*

A może coś całkiem innego. W całym filmie nie same słowa są najważniejsze. Moi rodzice najbardziej cieszyli się z ich niezmierzonej obfitości i niewyczerpanego napływu.

Zdarzało się jednak, że trzeba było przystopować mój słowotok. Pewnego razu mama, próbując delikatnie podsunąć mi zasadę postępowania dopuszczalną w ramach dobrych manier, zasugerowała, żebym za każdym razem, gdy mam do powiedzenia dwie rzeczy, wybrała jedną ulubioną i ograniczyła się do niej. Później zasada ta zaczęła mieć zastosowanie do trzech rzeczy. Każdego wieczora, gdy ojciec stawał w drzwiach mojej sypialni, by życzyć mi słodkich snów, zaczynałam gadać bezustannie, nawet bez przerwy na zaczerpnięcie tchu, by desperacko spróbować zatrzymać go w pokoju wyłącznie siłą głosu. Gdy widziałam, że kładzie dłoń na klamce i powoli zaczyna zamykać drzwi, wołałam: *muszę ci coś powiedzieć!* – i drzwi zatrzymywały się w pół drogi.

Cień obramowany światłem przedpokoju – wyraźnie zmęczony wieczorami, jak to bywa z dorosłymi – odpowiadał mi: *zaczynij od środka*. Światło odbijało się w oknie sypialni jak gwiazda, na widok której wypowiada się życzenia.

Pomiń początek. Zaczynij od środka.



## CZEŚĆ I

Burza, dmąca z mojej przeszłości, uspokajała się.  
Franz Kafka, *Sprawozdanie dla Akademii*

Środek tej historii przypada na zimę 1996 roku. Do tego czasu nasza rodzina skurczyła się do rozmiarów, jakie przepowiadało domowe nagranie wideo: ja, mama i niewidoczny zza kamery, lecz ewidentnie obecny ojciec. W 1996 roku minęło dziesięć lat od chwili, gdy ostatni raz widziałam mego brata, i siedemnaście od zniknięcia siostry. Cały środek mojej historii dotyczy ich nieobecności – chociaż nie domyślilibyście się tego, gdybym wam nie powiedziała. W roku 1996 przez całe dni zdarzało mi się nie pomyśleć o żadnym z rodzeństwa.

Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty. Rok przestępny. Rok Ognistego Szczura. Prezydent Clinton został właśnie wybrany na kolejną kadencję, która miała zakończyć się płaczem i zgrzytaniem zębów. Talibowie zajęli Kabul. Zakończyło się oblężenie Sarajewa. Księżę Karol świeżo rozwiódł się z Dianą. Kometa Hale’a-Boppa przemierzała niebo. Pogłoski o istnieniu ciała niebieskiego podobnego do Saturna, podążającego za kometa, pojawiły się jeszcze przed jej przybyciem w listopadzie tego roku. Klonowana owieczka Dolly i program szachowy Deep Blue były wielką sensacją. Znaleziono dowody na istnienie życia na Marsie. Obiekt kryjący się w ogonie komety Hale’a-Boppa mógł być statkiem kosmicznym. W maju 1997 roku trzydzieści dziewięć osób popełniło samobójstwo, wierząc, że to konieczne, by dostać się na jego pokład.

Na takim tle dziejowym ja prezentuję się nad wyraz zwyczajnie. W 1996 roku miałam dwadzieścia dwa lata i przebijałam się przez piąty rok studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis, może nadal jako studentka pierwszego, a może ostatniego roku – tak czy inaczej, kompletnie niezainteresowana dostosowaniem się do takich rzeczy, jak wydziały, wymagania czy oceny, co gwarantowało, że nieprędko otrzymam dyplom. Jak to ujął ojciec, moja edukacja sięgała bardziej wszerz niż w głąb. Często to powtarzał. Ja jednak nie widziałam powodów do pośpiechu. Jedyłą moją ambicją było albo być powszechnie uwielbianą, albo szarą eminencją – nie mogłam się zdecydować, na której z tych rzeczy bardziej mi zależy. Nie miało to większego znaczenia, jakikolwiek kierunek studiów bym obrała, nie gwarantował on osiągnięcia żadnej z tych dwu rzeczy.

Rodzice, którzy nadal za wszystko płacili, byli szczerze zirytowani tą postawą. W owych dniach mama w ogóle często się irytowała. To była dla niej nowość, takie analeptyczne dawki sprawiedliwego gniewu. Najwyraźniej ją to odmładzało. Ostatnio oświadczyła, że ma dość bycia tłumaczką i pośrednikiem między mną a ojcem; od tego momentu on i ja prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Nie przypominam sobie, by mi to przeszkadzało. Ojciec sam był nauczycielem akademickim i pedantem do szpiku kości. Każda wymiana zdań z nim zawierała pouczenie, jak każda wiśnia ma pestkę. Do dzisiaj mam ochotę kogoś pokąsać, gdy

słyszę o metodzie sokratejskiej.

\* \* \*

Jesień tego roku nadeszła nagle, jak otwarcie drzwi. Pewnego dnia jechałam rowerem na wykłady, gdy ponad moją głowę przeleciał wielki klucz dzikich gęsi. Nie widziałam ich – nie widziałam także niczego innego, ale usłyszałam nad sobą gęganie. Nad polami rozpościerała się mgła oczeretowa<sup>[1]</sup>, otaczając mnie ciasno ze wszystkich stron. Pedałowałam w chmurach. Mgły oczeretowe nie przypominają innych mgieł, niejednorodnych i przemieszczających się – są bardzo gęste i stoją w miejscu. Prawdopodobnie każda inna osoba pomyślałaby, że poruszanie się w warunkach niemal zerowej widoczności pociąga spore ryzyko, ale ja mam – a przynajmniej miałam jako dziecko – szczególny pociąg do ślapsticku i przypadków, więc to była frajda.

Czułam się wypolerowana wilgotnym powietrzem, i trochę jak wędrowny ptak, troszeczkę dzika. Oznaczało to, że siedząc w bibliotece, flirtowałam z każdym potencjalnie nadającym się do flirtowania osobnikiem albo bujałam myślami w obłokach w trakcie zajęć. W owym czasie często czułam się dzika; to było przyjemne uczucie, ale nigdy nie niosło z sobą żadnych konsekwencji.

W porze lunchu złapałam coś do jedzenia w uniwersyteckiej stołówce – prawdopodobnie kawałek sera z grilla; powiedzmy, że to był ser z grilla. Miałam w zwyczaju kłaść stos książek na siedzeniu obok – gdy pojawiał się ktoś ciekawy, mogłam je szybko zabrać, by mógł się przysiąść; ale jednocześnie skutecznie zniechęcały do tego nieinteresujących. Jako dwudziestodwulatka posługiwałam się wyjątkowo szczeniacką definicją nieciekawości; wedle moich standardów ja sama nie byłam szczególnie ciekawa.

Przy stoliku obok siedziała jakaś para; dziewczyna stopniowo podnosiła głos, aż w końcu byłam zmuszona zwrócić uwagę na to, co mówiła. – Co, kurwa, chcesz mieć więcej swobody? – pytała. Była ubrana w kusą niebieską koszulkę, a na szyi miała szklany wisior w kształcie rybki pielęgnicy. Na plecy spływał jej byle jak spleciony, długi, ciemny warkocz. Wstała i jednym ruchem ramienia zrzuciła wszystko ze stołu. Miała piękny biceps; pamiętam, że pomyślałam, jak fajnie byłoby mieć taki.

Naczynia spadły na ziemię, tłukąc się w kawałki; rozlany keczup i cola mieszały się pośród tych skorup. Pewnie grała w tle jakaś muzyka, dzisiaj wszystko w życiu ma jakiś soundtrack (i jakoś zwykle jest on tak ironiczny, że nie może być dziełem przypadku, tak tylko nadmieniam) – ale szczerze mówiąc, nie pamiętam. Może zalegała słodka cisza, przerywana tylko skwierczeniem grillowanego tłuszczu.

– I jak, teraz dobrze? – zapytała dziewczyna. – Nie każ mi być cicho. Chciałeś swobody, to ci ją daję. – Popchnęła stolik na bok, aż przechylił się i przewrócił. – Tak lepiej? – Podniosła głos. – Czy wszyscy mogliby opuścić salę,

żeby mój chłopak miał dosyć swobody? Potrzebuje od chuja swobody! – Cisnęła swoje krzesło w środek keczupowo-skorupowego rumowiska. Znowu rozległ się dźwięk tłuczonych naczyń i nagle zapachniało kawą.

Wszyscy zamarliśmy, z widelcami w połowie uniesionymi do ust, łyżkami zanurzonymi w zupie, jak ci ludzie odnalezieni w ruinach po wybuchu Wezuwiusza.

– Kochanie, nie rób tego – poprosił jej chłopak, ale tylko raz; robiła swoje, więc postanowił się więcej nie fatygować prośbami. Przerzuciła się na następny stolik: nie było na nim nic z wyjątkiem tacy pełnej brudnych naczyń. Metodycznie wytlukła tam wszystko, co dało się stłuc i rzuciła wszystkim, czym dało się rzucić. Solniczka potoczyła się po podłodze aż do moich stóp.

Jakiś młodzieniec wstał z krzesła i lekko się jękając, powiedział jej, żeby wyluzowała. Cisnęła w niego łyżką, która z głośnym stuknięciem odbiła się od jego czoła. – Nie bierz strony dupków – powiedziała. W jej głosie nie było śladu wyluzowania.

Chłopak osunął się z powrotem na krzesło, z szeroko otwartymi oczami. – Nic mi nie jest – zwrócił się do wszystkich obecnych, ale nie brzmiał przekonująco. Chwilę później wykrzyknął zdziwiony: – Ja pierniczę, zaatakowano mnie!

– Dobra, mam dość! – powiedział jej chłopak. Wysoki, szczupła twarz, ubrany w luźne dżinsy i długi płaszcz. Jego nos wyglądał jak nóż. – Proszę bardzo, roznieś wszystko w drzazgi, psychopatyczna suko. Tylko przedtem oddaj klucz do mojego mieszkania.

Zamachnęła się kolejnym krzesłem, które wylądowało ledwie metr z kawałkiem od mojej głowy – i to szacując dystans na jej korzyść. Wydawało się, że przeleciało dużo bliżej i walnęło w mój stolik, zachwiewając wszystkim, co na nim stało. Złapałam szklankę i talerz. Książki z głośnym plaśnięciem spadły na podłogę. – Chodź i weź sobie – powiedziała do niego.

Rozbawiło mnie to, że zaprasza go jak na poczęstunek, jak kucharka otoczona skorupami stłuczonych talerzy – i zaśmiałam się raz, histerycznie, wydając dziwaczny, kwaczący odgłos, który sprawił, że wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Moment później przestałam się śmiać – nic tu nie było do śmiechu – i wszyscy zwrócili wzrok w przeciwną stronę. Przez szklane ściany widziałam ludzi zbliżających się od dziedzińca. Zauważyli, że coś się dzieje i przyszli zobaczyć, co jest grane. Jakichś troje podążając na lunch, zatrzymało się przy drzwiach.

– Żebyś wiedziała, że wezmę! – Postąpił kilka kroków w jej stronę. Zgarnęła garść upakowanych keczupem kostek cukru i rzuciła w niego.

– Dla mnie to koniec – powiedział. – Koniec z nami. Wystawię twoje śmieci na korytarz i zmienię zamki. Odwrócił się; rzuciła w niego szklanką, która odbiła się od jego ucha. Potknął się, zachwiał, pomacał ręką uderzone miejsce, sprawdził,

czy nie ma krwi na palcach. – Wisisz mi kasę za gaz – powiedział, nie patrząc w jej stronę. – Prześlij czek pocztą – i tyle go widzieli.

Gdy drzwi się zamknęły, na moment zapadła cisza, po czym dziewczyna zwróciła się do pozostałych: – I na co się gapicie, ćwoki? – Uniosła jedno z krzesel; nie mam pojęcia, czy zamierzała nim rzucić, czy odstawić na miejsce. Przypuszczam, że sama jeszcze nie zdecydowała.

Pojawił się kampusowy policjant. Podeszedł do mnie ostrożnie, z ręką na kaburze. Do mnie, stojącej nad przewróconym stolikiem, ciągle z niegroźną szklanką mleka w dłoni i z równie niegroźnym talerzem, z leżącą na nim niedojedzoną kanapką z grillowanym serem. – Odłóż to, kochanie – powiedział. – I usiądź na moment.

Gdzie mam odłożyć? I gdzie usiąść? Poza mną nic dokoła nie zostało w pionie. – Możemy o tym porozmawiać – ciągnął dalej. – Możesz mi powiedzieć, co zaszło. Nie wpadłaś jeszcze w żadne kłopoty.

– To nie ta – powiedziała mu kobieta zza lady. Była duża, stara – miała czterdziestkę albo i więcej – z pieprzykiem na górnej wardze i tuszem do rzęs spływającym w kąciaki oczu. Przy innej okazji powiedziała mi: „Rządzisz się jakbyś była tutaj właścicielką”, kiedy odesłałam hamburgera do kuchni, żeby mi go dosmażyli. Ludzie przychodzą i odchodzą. Nie sędzę, żeby mnie zapamiętała.

– To ta wysoka – powiedziała do policjanta. Wskazała palcem, ale on to zignorował, kompletnie zaabsorbowany mną i tym, co zaraz mogę zrobić.

– Spokojnie – powiedział do mnie znowu; mówił cicho i przyjacielskim tonem. – Nie wpadłaś jeszcze w żadne kłopoty. – Zrobił krok naprzód, mijając dziewczynę z warkoczem i krzesłem. Nasze spojrzenia spotkały się ponad jego ramieniem.

– Ach, ci policjanci: nigdy ich nie ma, gdy są potrzebni – powiedziała do mnie. Uśmiechnęła się; miała miły uśmiech, duże białe zęby. – Niegodziwi nie zaznają spokoju. Uniosła krzesło nad głowę. – Nie dostaniesz zupy!<sup>[2]</sup> Rzuciła nim w stronę drzwi, z daleka ode mnie i od policjanta. Wylądowało na oparciu.

Gdy policjant odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje, upuściłam talerz i widelec. Przysięgam, nie miałam takiego zamiaru. Palce mojej lewej ręki po prostu nagle się rozplotły. Hałas na nowo skierował uwagę gliniarza w moją stronę.

Ciągle trzymałam szklankę, do połowy wypełnioną mlekiem. Uniosłam ją lekko, jak do toastu. – Nie rób tego – powiedział policjant, nagle znacznie mniej przyjaznym tonem. – Ze mną nie ma żartów. Nie waż się mnie, kurwa, sprawdzać!

No i upuściłam tę szklankę. Rozbiła się o podłogę, mleko rozprysnęło się po moich butach i skarpetkach. Nie tylko upuściłam. Trzasnęłam szklanką o ziemię z całej siły.

Czterdzieści minut później ja i psychopatyczna suka zostałyśmy upakowane jak sardynki na tylnym siedzeniu radiowozu policyjnego hrabstwa Yolo: nasz kazuś był na tyle poważny, że przekraczał kompetencje dobrodusznego kampusowego policjanta. Do tego zakuto nas w kajdanki. Nigdy wcześniej nie wyobrażałam sobie, że nadgarstki mogą być tak obolałe.

Aresztowanie najwyraźniej poprawiło jej humor. – Mówiłam im, że ze mną, kurwa, nie ma żartów – powiedziała, używając niemal dokładnie tych samych słów, jakimi zwrócił się do mnie kampusowy policjant, choć w jej głosie pobrzmiwał raczej smutek niż triumf. – Bardzo się cieszę, że postanowiłaś dotrzymać mi towarzystwa. Jestem Harlow Fielding. Wydział aktorski.

Poważka.

– Nigdy nie spotkałam nikogo, kto nazywałby się Harlow – powiedziałam. – Znaczy, kogoś, kto ma na imię Harlow. Znam takich, co mają Harlow na nazwisko.

– Odziedziczyłam to imię po mamie, a ona z kolei dostała je na cześć Jean Harlow. Ale to dlatego, że Jean Harlow była piękna i inteligentna, a nie dlatego, że dziadzio był obleśnym staruchem. Nic z tych rzeczy. Ale co jej przyszło z tej inteligencji i urody? Ciebie pytam. Znaczy, czy uważasz ją za wzór wart naśladowania?

Nic nie wiedziałam o Jean Harlow poza tym, że może grała w *Przeminęło z wiatrem*, którego nie widziałam i wcale nie zamierzałam oglądać. Koniec tej wojny. Czas się z tym pogodzić.

– Rosemary Cooke – przedstawiłam się. – Aaa, *rozmaryn na pamiątkę*<sup>[3]</sup> – powiedziała Harlow. – Super. Jestem totalnie, totalnie zachwycona. Przeplotła ramiona pod pośladkami w taki sposób, że jej skute kajdankami nadgarstki wylądowały z przodu. Jeśli i ja zrobiłabym to samo, mogłybyśmy podać sobie rękę, o to jej najwyraźniej chodziło – ale nie udało mi się tego zrobić.

Zabrano nas do aresztu hrabstwa, gdzie ta jej przeplatanka wywołała niezłą sensację. Zwołano nawet paru policjantów, żeby mogli popatrzeć, jak Harlow po kilkakroć przykuca i przestępuje przez swoje skute nadgarstki, w tę i z powrotem. Zgrabnie maskowała swój entuzjazm pełną wdzięku skromnością. – Mam bardzo długie ręce – mówiła. – Nigdy nie mogę trafić na ubrania z wystarczająco długimi rękawami...

Funkcjonariusz, który nas aresztował, nazywał się Arnie Haddick. Gdy aspirant Haddick zdjął czapkę, naszym oczom ukazało się łysiejące czoło o linii tak czystej i krągłej, że rysy jego twarzy sprawiały wrażenie niczym nie zakłóconych, jak na uśmiechniętym emotikonie.

Zdjął nam kajdanki i przekazał urzędnikom hrabstwa, żeby nas spisali. –

Jakbyśmy były listą zakupów – skomentowała Harlow. Wszystko wskazywało, że była starym wyjadaczem w takich sprawach.

Ale ja nie. Uczucie dzikości, które towarzyszyło mi rano, dawno zniknęło, ustępując miejsca czemuś innemu – jakby żalowi czy tęsknocie za domem. Co ja zrobiłam? Dlaczego, na miłość boską, strzeliło mi to do głowy? Światłówki bzycały nam nad głowami jak muchy, ich fluorescencyjne światło podkreślało cienie pod podkrążonymi oczami i zamieniało nas wszystkich w osoby stare, zdesperowane i lekko zielonkawe.

– Przepraszam, jak długo to potrwa? – zapytałam. Staralam się być uprzedzająco grzeczna. Zorientowałam się, że nie zdążę na popołudniowe zajęcia. Historia europejskiego średniowiecza. Żelazne dziewice, lochy i palenie na stosie.

– Potrwa, ile potrwa – urzędniczka zmierzyła mnie niesympatycznym, jaszczurczym spojrzeniem. – Może trochę krócej, jeśli nie będziesz mi zawracać głowy pytaniami.

Na to już było za późno. Potem kazała mi przejść do celi, żebym nie zawracała głowy, gdy ona będzie spisywać Harlow.

– Nic nie bój, szefowo – powiedziała do mnie Harlow. – Zaraz do ciebie dołączę.

– Szefowo? – powtórzyła urzędniczka.

Harlow wzruszyła ramionami. – Szefowo. Wodzu. Prowodyrko. – Obdarzyła mnie uśmiechem jak z gangsterskiego filmu.

– Naczelniku.

Być może nadejdzie kiedyś dzień, gdy policjanci i studenci nie będą naturalnymi wrogami, ale na pewno nie zobaczę tego za mojego życia. Kazali mi zdjąć zegarek, buty, pasek i zaprowadzili, na bosaka, do zakratowanej klatki z lepką podłogą. Kobieta, która zabierała moje rzeczy, była tak niemiła, jak się tylko dało. W powietrzu unosił się silny odór, połączenie zapachu piwa, stołówkowej lasagne, sprayu na komary i sików.

Kraty sięgały aż do samego sufitu – sprawdziłam, jak na dziewczynę jestem niekiepska we wspinaczce. Znowu światłówki na suficie, bzycające jeszcze głośniejsze, a do tego jedna z lamp migotała, wskutek czego scena w celi na przemian nikała w ciemności i na nowo jaśniała, jakby całe dni miały w okamgnieniu. Dzień dobry, dobranoc, dzień dobry, dobranoc. Byłoby fajnie mieć buty na nogach.

Lokatorkami celi były już dwie inne kobiety. Jedna z nich siedziała na gołym, wąskim materacu. Była młoda, krucha, czarna i pijana. – Potrzebny mi lekarz – powiedziała do mnie. Wysunęła łokieć: z płytkiej rany wolno sączyła się krew, w migoczącym świetle jej kolor zmieniał się od czerwieni do fioletu. – Potrzebuję pomocy! – zakrzyknęła tak nagle, że aż się wzdrygnęłam. – Dlaczego nikt się mną nie zajmie? – Nikt, ze mną włącznie, nie odpowiedział na jej pytanie, więc więcej się nie odzywała.

Druga kobieta była w średnim wieku, biała, nerwowa i chuda jak szczapa. Miała sztywne, utlenione blond włosy, a łososiowego koloru garsonka wyglądała szykownie, zważywszy na okoliczności. Właśnie wjechała tyłem w radiowóz, a ledwie tydzień wcześniej aresztowano ją za kradzież w sklepie – zwędziła chipsy i salsę na imprezę u siebie w domu, miała ze znajomymi oglądać mecz w sobotę popołudniu. – To naprawdę niedobrze – powiedziała mi. – Mam strasznego pecha.

Wreszcie zakończyli spisywanie mnie. Nie mam pojęcia, ile godzin to trwało, bo nie miałam zegarka, ale ten moment naszedł długo po tym, jak straciłam wszelką nadzieję. Harlow ciągle siedziała w kantorku, kręcąc się na chybotliwym krześle, potupując nogą, podczas gdy urzędniczka uściślała szczegóły protokołu jej zeznania. Oskarżono ją o działanie na szkodę własności i zakłócenie porządku publicznego. Jak mi oświadczyła, to była kaszka z mleczkiem. W ogóle się nimi nie przejmowała; ja nie powinnam się nimi przejmować. Zadzwoiła do swojego chłopaka, tego koleśka ze stołówki. Zaraz po nią przyjechał i zniknęła, zanim urzędnicy skończyli z moimi papierami.

Odnosiłam, że chłopak się czasem przydaje. Nie po raz pierwszy.

Przedstawiono mi podobne zarzuty, z jedną istotną różnicą – byłam oskarżona także o napaść na funkcjonariusza policji, i nikt nie sugerował, że to też jest kaszka z mleczkiem.

Do tego czasu zdołałam przekonać samą siebie, że jestem kompletnie niewinna i moja jedyna zbrodnia polegała na byciu w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. Zadzwoiłam do rodziców, bo do kogo innego? Miałam nadzieję, że matka odbierze, jak to się zwykle zdarzało, ale akurat wyszła na brydża. Wszyscy wiedzą, że mama ogrywa ludzi bez litości, dziwię się, że ktoś ciągle chce z nią siadać do stołu – ale tak to bywa z brydżowymi maniakami, gra wciąga ich równie desperacko jak narkotyki. Matka miała wrócić za godzinę lub dwie, pobrzękując swoją szulerską wygraną w srebrnej portmonetce, szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Oczywiście jej szczęście trwało tylko do momentu, gdy ojciec powiedział jej, co mi się przydarzyło. – Coś ty, do diabła, zrobiła? – w głosie ojca pobrzmiwało wyczerpanie, jakbym oderwała go od czegoś o wiele ważniejszego, ale tego dokładnie się po mnie spodziewał.

– Nic. Odszczeknęłam się kampusowemu policjantowi. – Poczułam, jak zmartwienia zsuwają się ze mnie jak wylinka z węża. Ojciec często tak na mnie działał. Im bardziej się złościł, tym bardziej ja łagodniałam i weselałam, co, oczywiście, wzmagало tylko jego irytację. Trzeba przyznać sprawiedliwie, że każdy by tak zareagował.

– Im ktoś niższy rangą, tym bardziej drażliwy – powiedział ojciec. Niebawem, jak szybko moje aresztowanie stało się okazją do prawienia mi kazań. – Zawsze myślałem, że to twój brat kiedyś zadzwoni z aresztu – dodał. Byłam



zadziwiona tym, jakże rzadkim, wspomnieniem brata. Ojciec zwykle bywał o wiele bardziej oględny w rozmowach przez telefon, szczególnie z domu – był przekonany, że linia jest na podsłuchu.

Powstrzymałam się od najbardziej oczywistej odpowiedzi – że owszem, to więcej niż prawdopodobne, że mój brat kiedyś wylądowałby w areszcie, ale z pewnością nie dzwoniłby do domu.

Na ścianie nad telefonem ktoś nabazgrał trzy słowa niebieskim długopisem. PLANÓJ Z GÓRY. Pomyślałam, że to bardzo przydatna rada, ale z punktu widzenia kogoś, kto korzysta z telefonu, przychodzi ona cokolwiek za późno. Pomyślałam też, że to byłaby dobra nazwa dla salonu pogrzebowego.

– Nie mam pojęcia, co mam teraz zrobić – powiedział ojciec. – Musisz mnie poinstruować.

– Tato, dla mnie to też pierwszy raz.

– Lepiej nie próbuj być urocza.

I wtedy nagle rozplakałam się tak gwałtownie, że odebrało mi głos. Parę razy zachłysnęłam się i próbowałam coś powiedzieć, ale nadaremnie.

Ojciec zmienił ton. – Podejrzewam, że ktoś cię do tego namówił – powiedział. – Zawsze dawałaś się sprowokować. No cóż, bądź dzielna (jakbym miała inne wyjście!), zobaczę, co się da zrobić.

Następna w kolejce do telefonu była tleniona blondyna. – Nigdy nie zgadniesz, skąd dzwonię! – powiedziała. Jej głos brzmiał jasno i swobodnie, ale jak się okazało, wykręciła zły numer.

Z racji swej pozycji, jako profesjonalista zwykle stawiający na swoim, ojciec zdołał dodzwonić się bezpośrednio do policjanta, który mnie aresztował. Okazało się, że aspirant Haddick sam ma dzieci; traktował ojca z całym współczuciem, na jakie ten w swej własnej opinii zasługiwał. W chwilę później mówili sobie po imieniu, a zarzut napaści na funkcjonariusza zredukowany został do „utrudniania funkcjonariuszowi pełnienia obowiązków służbowych”, by w końcu zostać kompletnie wymazany z akt. Zostały tylko zarzuty dotyczące niszczenia mienia i zakłócenia porządku publicznego – ale i te mi odpuszczono, bo okazało się, że kobieta z rozmazanym tuszem świadczyła na moją korzyść. Upierała się, że byłam tylko niewinnym świadkiem wydarzeń i nie zamierzałam rzucać szklanką. – Wszyscy jesteśmy w szoku – powiedziała. – Trudno sobie wyobrazić, jaka to była awantura.

Ale zanim do tego doszło, zdążyłam już obiecać ojcu, że przyjadę do domu na cały długi weekend Święta Dziękczynienia, żebyśmy mogli przedyskutować, co zaszło przez te cztery dni twarzą w twarz. To była wysoka kara za rozlanie mleka. Nawet nie odliczając okresu aresztu.

Było absolutnie oczywiste – i wszyscy o tym wiedzieliśmy – że unikanie przez całe święta dyskusji na wysoce drażliwy temat mego aresztowania jest niewykonalne, mimo wymuszonej na mnie solennej obietnicy. Rodzice upierali się przy udawaniu, że jesteśmy rodziną, w której wszyscy są blisko, lubią szczerą rozmowę od serca i polegają na innych w czasach ciężkiej próby. Biorąc pod uwagę zniknięcie dwójki mojego rodzeństwa, był to zdumiewający triumf pobożnych życzeń nad zdrowym rozsądkiem, budziło to wręcz mój podziw. Mimo to ja sama nie miałam żadnych wątpliwości, że jest inaczej. Nigdy nie byliśmy taką rodziną.

Przykład: seks. Rodzice uważali się za naukowców, doskonale świadomych życiowych realiów i dających sobie z nimi radę; we własnej opinii byli także dziećmi otwarcie orgazmicznych lat sześćdziesiątych. Jednak wszystko, co wiem o seksie, zawdzięczam programom przyrodniczym w telewizji publicznej, powieściom napisanym przez autorów, których trudno uznać za ekspertów w tym temacie – oraz okazjonalnym chłodnym eksperymentom, które przyniosły więcej pytań niż odpowiedzi. Pewnego dnia znalazłam na łóżku paczkę tamponów w rozmiarze „junior” i ulotkę napisaną tak technicznym i nudnym językiem, że nawet jej nie przeczytałam. Nikt nigdy słowem nie wspomniał mi o tamponach. To doprawdy wyłącznie szczęśliwy traf, że ich nie wypaliłam.

Dorastałam w Bloomington w stanie Indiana; moi rodzice ciągle mieszkali tam w 1996 roku – toteż niełatwo było mi przyjechać na weekend i nie dałam rady spędzić z nimi czterech dni, które im obiecałam. Wszystkie tanie bilety lotnicze na środę i niedzielę były wyprzedane, więc przyleciałam w czwartek rano i wylatywałam w sobotę wieczorem.

Praktycznie nie widziałam się z ojcem poza kolacją w Święto Dziękczynienia. Dostał dotację z Narodowego Funduszu Zdrowia i radośnie korzystał z okazji, by dać się porwać natchnieniu. Przez większość mojego pobytu przesiadywał w swoim gabinecie, wypełniając tablicę równaniami w stylu  $0' = [0 \ 0 \ 1]$  albo  $P(S_{1n+1}) = (P(S_{1n})(1-e)q + P(S_{2n})(1-s) + P(S_{0n})cq$ . Mało co jadł. Nie jestem pewna, czy spał. Nie golił się, choć zwykle robił to dwa razy dziennie; babcia Donna zwykła mówić, że jego popołudniowy zarost przypominał jej szczecinę Nixona – udawała, że to komplement, ale wiedziała, że ojca irytuje to do żywego. Wylaniał się z gabinetu tylko na kawę albo żeby wynieść wędkę na trawnik przed domem. Mama i ja zmywałyśmy i wycierałyśmy naczynia, patrząc, jak ojciec robi zamach, a mucha na końcu żyłki migocze nad obwódkami zamrożonego trawnika. To była jego ulubiona forma medytacji, a za domem było zbyt wiele drzew. Sąsiedzi ciągle nie mogli się przyzwycząić.

Nie pił, kiedy tak pracował, i wszyscy przyjmowaliśmy to z wdzięcznością. Kilka lat wcześniej zdiagnozowano u niego cukrzycę i powiedziano mu, że w ogóle nie powinien pić. Zamiast przestrzegać tego zalecenia, zaczął pić w ukryciu. Mama martwiła się tym nieustannie, a ja obawiałam się, że ich małżeństwo zacznie przypominać relację Jeana Valjeana z inspektorem Javertem.

Tym razem to babcia Donna miała urządzać Święto Dziękczynienia i gościć nas, wujka Boba z żoną i dwójkę moich młodszych kuzynów. Co roku spędzaliśmy święta u innych dziadków, bo tak jest sprawiedliwie, no bo dlaczego cała frajda miałaby przypadać tylko jednej stronie rodziny?

Babcia Donna jest matką mojej matki, babcia Frederika – ojca.

U babci Frederiki jedzenie zwykle było zawiesiste. Nawet niewielka porcja wystarczała, by się najeść, a porcje nigdy nie były niewielkie. Jej dom był pełen tanich azjatyckich bibelotów – malowanych wachlarzy, figurek z jadeitu, lakierowanych pałeczek do ryżu. Były też dwie lampy o czerwonych abażurach i kamiennych podstawach, przedstawiających dwóch staruszków-mędrców. Obaj mieli długie, cienkie brody, a ich kamienne dłonie ozdobione były prawdziwymi paznokciami, co sprawiało dość niepokojące wrażenie. Kilka lat wcześniej babcia Frederika powiedziała mi, że nie widziała w życiu piękniejszego miejsca niż drugie piętro w Rock and Roll Hall of Fame. – Wystarczy tam wejść, by chcieć być lepszym człowiekiem – powiedziała.

Filozofia przyjmowania gości według babci Frederiki zakładała, że wmuszanie w nich jednej lub dwóch dokładek jest objawem dobrych manier. Jednak to u babci Donny wszyscy jedliśmy więcej: u niej mogliśmy jeść lub nie jeść, wedle własnej woli; spody ciast były kruche, a pomarańczowo-żurawinowe muffinki lekkie jak obłoczki; srebrne świece tkwiły na srebrnych lichtarzach, pośrodku stołu stał bukiet jesiennych liści i wszystko zaaranżowane było z nienagannym gustem.

Babcia Donna podała farsz ostrygowy i wprost zapytała ojca, nad czym pracuje – bo oczywiste było, że był myślami gdzie indziej. To miała być reprimenda – wszyscy przy stole to wyczuli, poza ojcem; przynajmniej takie sprawiał wrażenie albo zupełnie zignorował tę uwagę. Odpowiedział babci, że przeprowadza analizę warunkowania unikowego z użyciem łańcucha Markowa. Po chwili odchrząknął. Najwyraźniej miał zamiar kontynuować swój wywód.

Podjęliśmy działania, by temu zapobiec – koordynując wszystko sprawnie jak ławica ryb. To było piękne. Jak z Pawłowa. Prawdziwa rewia warunkowania unikowego.

– Mamo, podaj indyka – powiedział wujek Bob, bez wysiłku przechodząc do swojej typowej tyrady o tym, jak to hoduje się indyki, żeby miały dużo białego mięsa, a mało ciemnego.– Te biedne ptaki ledwie łążą. Nieszczęsne mutanty. – To także miał być przytyk pod adresem ojca, sugerujący, że jego przedsięwzięcie jest

jednym z naukowych wybryków na miarę klonowania albo mieszania w genach w celu stworzenia nowego gatunku wedle własnego widzimisię. W mojej rodzinie konflikty owija się w bawełnę niedomówień, zwodów, uników oraz całkowitego wyparcia.

Myślę, że to samo można powiedzieć o wielu innych rodzinach.

Bob ostentacyjnie nałożył sobie płat ciemnego mięsa. – Ledwo się trzymają na nogach z tymi niemoralnie wielkimi piersiami.

Ojciec wygłosił niesmaczny dowcip. Opowiadał ten sam kawał lub jakąś jego wersję za każdym razem, kiedy Bob dał mu ku temu okazję, co wypadało mniej więcej raz na dwa lata. Zacytowałabym ten dowcip, gdyby był śmieszny, ale nie był. Obniżyłby on wasze mniemanie na temat mojego ojca – a przecież to ja jestem od tego, żeby mieć o nim niższe mniemanie, nie wy.

Nastąpiło głucho milczenie, nabrzmiałe powszechną litością nad moją matką, która przecież mogła wyjść za Willa Barkera, ale kompletnie straciła rozum i zamiast niego wybrała mego ojca, tego notorycznego palacza, praktycznie pijaka, wędkarza muchowego i ateistę z Indianapolis. Barkerowie byli właścicielami sklepu papierniczego w śródmieściu, a Will był prawnikiem od nieruchomości – co miało o wiele mniejsze znaczenie niż to, kim, w odróżnieniu od mego ojca, nie był. Nie był mianowicie psychologiem.

Mieszkańcowi Bloomington w wieku mojej babci słowo „psycholog” kojarzyło się głównie z Kinseyem i jego lubieżnymi badaniami albo ze Skinnerem i jego nedorzecznymi pudełkami testowanymi na niemowlętach. Psycholodzy nie zostawiali pracy w biurach; przynosili ją z sobą do domu. Przeprowadzali eksperymenty przy śniadaniu, wystawiali własne rodziny na publiczne pośmiewisko – a wszystko po to, by znaleźć odpowiedzi na pytania, które nawet nie przysłyby do głowy żadnej przyzwoitej osobie.

Babcia Donna mawiała do mnie: – Will Baker uważał twoją matkę za ósmy cud świata – a ja zastanawiałam się, czy przyszło jej kiedyś do głowy, że gdyby to fantastyczne małżeństwo doszło do skutku, nie byłoby mnie na świecie. Czy zdaniem babci moje niezaistnienie byłoby zaletą, czy wadą owego doskonałego mariażu?

Teraz myślę, że babcia należała do kobiet darzących swoje dzieci miłością tak ogromną, że nie zostawało jej już prawie nic dla kogoś innego. Wnuczki obchodziły ją tylko dlatego, że wiele znaczyły dla jej własnych dzieci. Nie próbuję jej za to krytykować. Cieszy mnie, że mama dorastała otoczona tak wielką miłością.

Tryptofan: związek chemiczny zawarty w mięsie indyka, który podobno powoduje senność i obniża percepcję. Jedno z wielu pól minowych na terytorium rodzinnych obchodów Święta Dziękczynienia.

Pole minowe numer dwa: odświętna zastawa stołowa. Jako pięciolatka

wygryzłam szczerbę wielkości zęba z brzegu jednego z kryształowych kieliszków babci Donny; powodowała mną tylko i wyłącznie ciekawość, czy mi się to uda. Od tamtej pory zawsze podawano mi mleko w plastikowym pucharku ozdobionym wizerunkiem Ronalda McDonalda (z roku na rok obrazek był coraz mniej widoczny). Z nastaniem roku 1996 byłam wystarczająco dorosła, by pić wino, ale ciągle podawano mi ten sam plastikowy kubek; najwyraźniej był to dowcip, który nigdy nie wyszedł z mody.

Niewiele pamiętam z tego, o czym w owym roku rozmawialiśmy – jestem za to przekonana, że pamięć mnie nie zawiedzie w kwestii tematów, o których nie było mowy – oto częściowa lista:

Nieobecni członkowie rodziny. Wybyli i tyle.

Ponowny wybór Clintona na prezydenta. Dwa lata wcześniej reakcja mojego ojca na uwagi wujka Boba, jakoby za swej kadencji w Arkansas Clinton zgwałcił kobietę, a może nawet kilka kobiet, kompletnie popsuła wszystkim całe święta. Wujek Bob widzi cały świat w krzywym zwierciadle, na którego zwichrowanej powierzchni ktoś wypisał szminką „nie ufaj nikomu”. Babcia Donna oświadczyła, że koniec z rozmowami o polityce, co stało się permanentnie obowiązującą zasadą, o tyle rozsądną, że żadne z nas nie potrafiło zaakceptować różnicy poglądów i wszyscy mieliśmy pod ręką sztucce.

Mój konflikt z prawem, o którym wiedzieli tylko mój ojciec i matka. Reszta rodziny od dawna wyczekiwała momentu, w którym okaże się, że nieźle ze mnie ziółko – i nie zaszkodzi im, jeśli poczekają jeszcze trochę. Właściwie to właśnie gwarantowało, że będą w formie, gdy dojdzie do kłótni.

Mój kuzyn Peter i jego tragiczne wyniki testów egzaminacyjnych SAT: wszyscy o nich wiedzieliśmy, ale udawaliśmy, że problemu nie ma. W roku 1996 Peter skończył osiemnaście lat – ale już w chwili narodzin był bardziej dorosły niż ja kiedykolwiek będę. Vivi – jego matka, a moja ciotka – odstawała od reszty rodziny co najmniej tak samo jak mój ojciec: wychodzi na to, że nie jesteśmy klubem, do którego łatwo jest dołączyć. Vivi miewa tajemnicze spazmy, szloch i niepokoje, toteż już w wieku lat dziesięciu Peterowi zdarzało się wrócić ze szkoły, zajrzeć do lodówki i ugotować obiad dla czterech osób z tego, co w niej znalazł. Jako sześciolatek umiał przyrządzić sos beszamelowy, co wielu dorosłych nieraz poddawało mojej uwadze z dość oczywistych i niecnym pobudek.

Peter, znany w całym mieście, był prawdopodobnie jedynym w dziejach wiolonczelistą, którego w liceum wybrano także Misterem Szkoły. Miał brązowe włosy, jego policzki były obsypane biegnącymi wzdłuż kości smugami ledwie widocznych piegów, a u nasady nosa rysowała się stara blizna, kończąca się o wiele za blisko oka.

Wszyscy kochali Petera. Mój ojciec kochał go, bo chodzili razem na ryby i często uciekali nad jezioro Lemon, by tam zasadzać się na okoniopstrągi. Mama

kochała go za to, że kochał ojca, mimo iż nikt więcej z jej rodziny jakoś nie był w stanie.

Ja kochałam go za to, jak traktował swoją siostrę. W 1996 Janice miała czternaście lat, była nabzdyczona, poznaczona krostami i pewnie nie bardziej dziwaczna niż ktokolwiek inny (co należy rozumieć jako: dziwaczna do kwadratu). Mimo to Peter co rano odwoził ją do szkoły i odbierał po lekcjach w te popołudnia, kiedy orkiestra nie miała próby. Śmiał się z jej dowcipów. Wysłuchiwał żalów, kiedy było jej źle. Kupował biżuterię albo perfumy na każde urodziny i bronił przed rodzicami i kolegami z klasy, kiedy należało. Był dla niej taki miły, że aż nie dało się patrzeć.

Widział w niej coś specjalnego, a kto zna dziewczynę lepiej niż jej własny brat? Jak dla mnie, taka braterska miłość to naprawdę nie byle co.

Chwilę przed tym, jak podano deser, Vivi zapytała ojca, co myśli o testach egzaminacyjnych. Nie odpowiedział. Gapił się na bataty na talerzu, dziobał je widelcem i kręcił nim kółka, jakby pisząc w powietrzu.

Moja matka wypchnęła go do odpowiedzi, mówiąc: – Vince! Testy egzaminacyjne?

– Bardzo nieprecyzyjne – odparł.

Vivi oczekiwała dokładnie takiej odpowiedzi. Peter miał takie znakomite stopnie. Tak bardzo się starał. To po prostu niesprawiedliwe, że tak kiepsko mu poszło z testami. Pod sam koniec wspaniałego obiadu babci Donny na moment połączyła nas cicha, jednakże sympatyczna zmowa. Na stół wjechały nadziewane placki – z dynią, jabłkami i orzechami.

I wtedy ojciec wszystko popsuł. – Rosie świetnie poszło z testami SAT – powiedział, kompletnie ignorując fakt, że wszyscy starannie unikaliśmy wzmianek o SAT-ach, a Peter doskonale wiedział, jak dobrze mi poszło. Ojciec z dumą uśmiechnął się do mnie, strategicznie upychając przy tym w kąt policzka kawałek ciasta, który akurat miał w ustach, podczas gdy wizje Markowskich łańcuchów unikania pobrzękiwały w jego głowie jak pokrywy od kubłów na śmieci. – Przez całe dwa dni nie otworzyła koperty z wynikami, a okazało się, że zdała śpiewająco. Zwłaszcza test słownictwa, rzecz jasna. – I tu wykonał mały ukłon w moją stronę.

Widlec wujka Boba z cichym brzękiem opadł na brzeg talerza.

– To wszystko dlatego, że od dziecka często przerabiała testy! – rzekła matka, zwracając się wprost do wujka Boba. – Potrafi to robić. Po prostu nauczyła się, jak rozwiązywać testy, i tyle. – Po czym zwróciła się do mnie, jak gdybym nie słyszała tego, co powiedziała wcześniej: – Jesteśmy tacy dumni z ciebie, skarbie!

– Spodziewaliśmy się, że ci świetnie pójdzie – rzekł ojciec.

– I spodziewamy się! – ciągnęła matka, desperacko podtrzymując radosny ton; jej uśmiech ani na moment nie przygasał. Spojrzała na mnie, a potem na Petera i Janice. – Po was wszystkich!

Ciotka Vivi ukryła usta pod serwetką. Wujek Bob gapił się na martwą naturę wiszącą na ścianie po drugiej stronie stołu: były na niej stosy lśniących owoców i oklapły bażant. Z piersią jak Bóg przykazał nienaruszoną przez sztuczne zabiegi. Martwy, ale mimo to ciągle należący do boskiego planu.

– A pamiętacie – zapytał ojciec – jak w pewne dżdżyste popołudnie jej klasa w podstawówce grała w wisielca i okazało się, że Rosie wybrała „połyskliwy” jako słowo do odgadnięcia? Siedmiolatka! Wróciła do domu z płaczem, bo nauczycielka powiedziała, że oszukuje, bo nie ma takiego słowa!

(Ojcu się tu trochę poplątało: żadna nauczycielka w mojej podstawówce nigdy by tak nie powiedziała. Nasza pani powiedziała, że z pewnością nie miałam zamiaru oszukiwać. Powiedziała to z błogim wyrazem twarzy i nadzwyczaj miłym głosem).

– Pamiętam wyniki Rose – Peter zagwizdał z uznaniem. – Nie byłem pewien, jak wielkie wrażenie powinny na mnie zrobić. To trudny test, przynajmniej moim zdaniem.

Co za słodziak z niego. Ale nie przywiązujcie się: ta historia naprawdę nie jest o nim.

\* \* \*

Mama przyszła do mojego pokoju w piątek, mój ostatni wieczór w domu. Robiłam konspekt do referatu o gospodarce średniowiecznej. To był czysty teatr kabuki: „patrzcie tylko, jak ciężko pracuję!”. Wszyscy poza mną mieli wakacje – dla mnie zaczęły się, gdy czerwony kardynał za oknem rozproszył moją uwagę. Walczył z patyczkiem, próbując osiągnąć czegoś – nie wiem, co to mogło być. W Kalifornii nie ma czerwonych ptaków, co czyni ten stan dużo gorszym miejscem.

Jak tylko usłyszałam, że matka staje w drzwiach, mój ołówek zaczął skakać nerwowo. Merkantylizm. Monopole cechowe. *Utopia* Tomasza Morusa. – Czy ty wiesz – zapytałam ją – że w *Utopii* ciągle są wojny? I niewolnictwo?

Nie wiedziała.

Pokręciła się chwilę po pokoju: poprawiła pościel na łóżku, zebrała parę kamyków z komody – głównie geody, otwarte i odsłaniające swą kryształową zawartość jak jajka Fabergé.

Te kamienie są moje. Poznajdowałam je jako dziecko na wycieczkach do kamieniołomów i do lasu, i porzbięłam młotkiem albo rzucając nimi z drugiego piętra na asfalt podjazdu pod domem – ale to nie jest dom mego dzieciństwa, a ten pokój nie należy do mnie. Od czasu moich narodzin przeprowadziliśmy się trzy razy, a rodzice wprowadzili się do tego domu dopiero, kiedy wyjechałam na studia. Matka mówiła, że puste pokoje w dawnym domu budziły w niej smutek. Nie ma co oglądać się wstecz. Nasze domy – jak nasza rodzina – stawały się coraz mniejsze: każdy następny zmieściłby się wewnątrz poprzedniego.

Pierwszy dom był poza miastem – wielki wiejski dom na ośmiu hektarach<sup>[4]</sup> zarośniętych dereniem, sumakiem, nawłocią i trującym bluszczem, pełnych żab, wążek i zdziczałych kotów o oczach barwy księżyca. Pamiętam lepiej stodołę niż dom, a potok lepiej niż stodołę – a nawet lepiej niż ten potok pamiętam jabłoń, po której konarach mój brat i siostra wspinali się, by wejść lub wyjść ze swoich pokojów. Mnie nie udawało się na nią wspiąć, bo nie dosięgałam do pierwszej gałęzi na dole; gdy miałam ze cztery lata, poszłam na piętro i próbowałam zejść po drzewie na dół. Złamałam obojczyk; matka oświadczyła, że mogłam się zabić – choć przecież to samo mogło się stać, gdybym spadła ze schodów. Mimo to udało mi się zejść po drzewie niemal na sam dół, czego jakoś nikt nie zauważył. Ojciec zapytał: jaką masz z tego nauczkę? Wtedy nie mogłam ubrać tego w słowa, ale patrząc wstecz, myślę, że lekcją, jaką z tego wyniosłam, było: twoje osiągnięcia nigdy nie będą tak istotne jak porażki.

Mniej więcej w tym czasie wymyśliłam sobie przyjaciółkę. Dałam jej na imię Mary – oddając część własnego imienia, której nie używałam – i obdarzyłam tymi cechami charakteru, które na razie nie były mi potrzebne. Mary i ja spędzałyśmy mnóstwo czasu razem aż do dnia, w którym miałam pójść do szkoły; matka powiedziała, że nie mogę zabrać Mary z sobą. To mnie zaniepokoiło. Miałam uczucie, jakby powiedziano mi, że w szkole nie wolno mi być sobą, a przynajmniej nie do końca sobą.

Jak się okazało, to było słuszne ostrzeżenie: przedszkole jest po to, by cię nauczyć, która część ciebie zostanie zaakceptowana w szkole, a która nie. Żeby przywołać tylko jeden z wielu przykładów: w przedszkolu wszyscy oczekują, że przez przeważającą większość czasu będziesz siedzieć cicho, nawet jeśli masz innym do powiedzenia coś znacznie ciekawszego niż to, o czym mówi nauczyciel.

– Mary może zostać ze mną w domu – zaoferowała matka.

To było jeszcze bardziej niepokojące – i bardzo sprytnie ze strony Mary. Moja matka nie przepadała za Mary, co dla mnie było tym większym powodem, by ją lubić. Nagle zdałam sobie sprawę, że matka może nabrać więcej sympatii do Mary, co w konsekwencji mogło doprowadzić do tego, że polubi Mary bardziej niż mnie. Stało się na tym, że gdy ja byłam w szkole, Mary spała w szopie koło domu, nie oczarowując nikogo swym urokiem – aż pewnego dnia nie wróciła. Zgodnie z rodzinną tradycją, nikt nigdy więcej nie wspominał o niej ani słowem.

Opuściliśmy ten wiejski dom w lecie po moich piątych urodzinach. Ostatecznie miasto zalało cały rejon, unosząc dom na wzburzonej fali rozbudowy – teraz zamiast pól, stodół i sadów wszędzie są ślepe alejki dojazdowe, a wzdłuż nich nowiutkie budynki. Jednak my wynieśliśmy się dużo wcześniej, niż to nastąpiło: zamieszkaliśmy w domu o niesymetrycznie spadzistym dachu na kampusie uniwersyteckim – oficjalnie dlatego, że ojciec mógł stamtąd dojść do pracy na piechotę. Gdy myślę „dom”, mam w pamięci właśnie ten; mój brat uważał za dom



ten poprzedni. Dostał napadu hysterii, gdy się stamtąd wyprowadzaliśmy.

Dom miał stromy dach, na który nie wolno mi było wchodzić, mały ogródek za domem i o wiele za mało wolnych pokoiów. Moja sypialnia była po dziewczęńsku różowa i udekorowana marszczonymi zasłonami z katalogu wysyłkowego Searsa – aż do dnia, kiedy byłam w szkole, a dziadek Joe, ten ze strony ojca, pomalował pokój na niebiesko, nawet nie pytając mnie o zdanie. – *W różowym pokoju nie masz snu ni spokoju; w pokoiku modrym uśniesz snem pogodnym* – powiedział mi, gdy zaprotestowałam, najwyraźniej (jakże błędnie) przekonany, że rymowanka skutecznie mnie uciszy.

Teraz byliśmy w trzecim z kolei domu, gdzie wszystkie posadzki były kamienne, okna wysokie, światła wpuszczane w sufit, a szafy przeszklone: typowy produkt przestronnego, geometrycznego minimalizmu, żadnych jaskrawych kolorów – tylko kremowy, piaskowy i kość słoniowa. Nawet trzy lata po tym, jak rodzina się tu wprowadziła, dom sprawiał wrażenie dziwnie pustego, jakby nikt nie planował zostać w nim na dłużej.

Rozpoznałam moje kamienie, ale nie komodę, na której leżały; szara narzuta na łóżko z aksamitnego patchworku wyglądała równie nieznajomo, podobnie jak obraz na ścianie – przedstawiający coś nieokreślonego i ponurego, w błękitach i czerniach: mogły to być nenufary i łabędzie, a może ryby pośród wodorostów, albo planety i komety. Skalne kryształy nie wyglądały na naturalny element wystroju tego wnętrza, do tego stopnia, że zastanawiałam się, czy z okazji mego przyjazdu nie wyjęto ich z pudła w pawlaczu, do którego powrócą, jak tylko wyjadę. Przez moment pomyślałam, że to wszystko jest wielką mistyfikacją: że gdy wyjadę, rodzice wrócą do swego prawdziwego domu, w którym nie ma pokoju dla mnie.

Mama przysiadła na łóżku, a ja odłożyłam ołówek. Pewnie nastąpiła jakaś wstępna wymiana zdań, zmierzająca do właściwej rozmowy, ale nie pamiętam, jak to poszło. Najprawdopodobniej coś w stylu: „Ojcu jest przykro, że się do niego nie odzywasz. Pewnie myślisz, że nie zwraca na to uwagi, ale tak nie jest”. To część rodzinnego rytuału, jak seans filmu *To wspaniałe życie* – właściwie nie zdarza się, żebyśmy spędzili święta bez niego.

W końcu doszła do tego, o co naprawdę jej chodziło. – Rozmawialiśmy z tatą o moich starych dziennikach i o tym, co powinnam z nimi zrobić – powiedziała. – Dla mnie nadal są bardzo osobiste, ale ojciec uważa, że powinnam oddać je do biblioteki. Może do takiego księgozbioru, którego nie udostępnia się przed upływem pięćdziesięciu lat od śmierci autora, chociaż słyszałam, że w bibliotekach tego nie lubią... Może moglibyśmy poprosić o zrobienie wyjątku dla rodziny.

Byłam kompletnie zaskoczona. Matka mówiła – może nie do końca wprost – o czymś, o czym absolutnie i kategorycznie nie rozmawiało się w naszej rodzinie.

O przeszłości. Serce biło mi jak młotem, gdy wyrecytowałam typową formułkę: – Mamo, powinnaś robić, co chcesz. To, czego ojciec sobie życzy, nie ma tu znaczenia.

Rzuciła mi krótkie i smutne spojrzenie. – Nie pytam cię o radę, kochanie. Zdecydowałam dać ci te dzienniki. Ojciec pewnie ma rację mówiąc, że jakaś biblioteka by je wzięła, ale sądzę, że pamięta je jako o wiele bardziej naukowe, niż są w istocie. W każdym razie, decyzja należy do ciebie. Może ich nie chcesz. Może nie jesteś jeszcze gotowa. Jeśli chcesz, możesz je wyrzucić albo zrobić z nich papierowe czapeczki. Obiecuję, że nie będę pytać, co się z nimi stało.

Z ogromnym wysiłkiem myślałam teraz, co by tu jej powiedzieć, próbując wyrazić, jak bardzo doceniam ten gest, nie brnąc przy tym za głęboko. Nawet teraz, pomimo wszystkich lat życia, z przeczuciem, że ten moment może kiedyś nastąpić, nie miałam pojęcia, jak to robić. Mam nadzieję, że powiedziałam coś wielkodusznego i pełnego wdzięczności, ale to mało prawdopodobne.

Następne, co pamiętam, to to, że ojciec dołączył do nas w pokoju gościnnym i przyniósł w prezencie przepowiednię z chińskiego ciasteczka, którą znalazł wiele miesięcy wcześniej i przechował w portfelu, bo, jak twierdził, było oczywiste, że ta wróżba jest dla mnie. *Nigdy nie zapominaj, że zawsze myślimy o tobie.*

Są takie chwile, gdy historie i wspomnienia są jak mgła – gdy wydaje się, że to, co się zdarzyło, jest mniej istotne niż to, co powinno było się zdarzyć. Mgła nagle się podnosi – i oto jesteśmy, moi cudowni rodzice i ich wspaniałe dzieci, wdzięczne dzieci, które dzwonią ot tak, żeby porozmawiać, które całują na dobranoc i nie mogą się doczekać, kiedy wrócą do domu na święta. Dostrzegam, że w rodzinie takiej jak nasza nie ma potrzeby zasłużyć na miłość ani nie można jej utracić. Przez krótką chwilę widzę nas takimi – widzę nas wszystkich. Przywróconych, poprawionych. Pojednanych. Połyskliwych.

Oczywiście, bardzo wzruszył mnie jej gest – ale lektura dzienników matki była ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę. Jaki sens ma unikanie rozmów o przeszłości, skoro została ona spisana i dokładnie wiadomo, gdzie szukać tych zapisków?

Jej dzienniki były całkiem spore, wielkości bloku rysunkowego, ale grubsze; oba przewiązane wstążką od jakiegoś starego gwiazdkowego prezentu. Musiałam przepakować walizkę, by je zmieścić, a potem usiąść na niej, żeby dała się z powrotem zamknąć.

W jakimś momencie – prawdopodobnie w trakcie przesiadki na inny samolot w Chicago, walizka postanowiła wyruszyć własną drogą. Wylądowałam w Sacramento, spędziłam godzinę, czekając przy karuzeli, a przez następną godzinę dyskutowałam z niesympatycznymi, a jednak Bogu ducha winnymi ludźmi. Wreszcie odeszłam z pustymi rękami i złapałam ostatni autobus do Davis.

Męczyły mnie wyrzuty sumienia, bo miałam te dzienniki przez mniej niż dobę i już zdążyłam je zgubić. Jednocześnie byłam szczęśliwa, że chociaż raz niekompetencja linii lotniczych przyniosła mi coś dobrego, nie złego. I kto wie, może uda mi się nie zobaczyć ich nigdy więcej, za co nie można będzie mnie winić – w najgorszym razie złożyć na karb mojej naiwnej wiary, że inni ludzie robią, co do nich należy. Cieszyłam się, że nie przyszło mi do głowy włożyć do walizki podręczników.

Nade wszystko byłam zmęczona. Ledwo wyszłam z windy, dobiegły mnie dźwięki kawałka Joan Osborne *One of Us*; muzyka stawała się głośniejsza w miarę jak zbliżałam się do drzwi mojego mieszkania. Byłam zaskoczona, bo myślałam, że Todd (mój współlokator) nie wróci aż do niedzieli – nie wspominając, że byłam przekonana, iż w twardej opozycji do reszty ludzkości Todd nie lubi *One of Us*.

Miałam nadzieję, że nie będzie miał ochoty ze mną rozmawiać. Gdy ostatnim razem odwiedzał swego ojca, odbyli długą rozmowę na temat najgłębszych dążeń i przekonań. Było to tak cudowne, że po tym, jak powiedzieli sobie „dobranoc” Todd wrócił, żeby powiedzieć ojcu, jak bardzo bliski był mu teraz. Ledwo zszedł na dół, zza niedomkniętych drzwi usłyszał, jak ojciec mówi do nowej żony: „O Frryste, co za frretyn. Zawsze się zastanawiałem, czy to naprawdę mój syn”. Jeśli Todd wrócił wcześniej, to musiała być grubsza sprawa.

Otworzyłam drzwi i na moim tapczanie zobaczyłam Harlow. Owinięta szydełkowym szalem, wydzierganym przez babcię Frederikę, kiedy miałam świnkę, popijała jedną z moich niskokalorycznych oranżad. Poderwała się z łóżka, żeby ściszyć muzykę. Jej długie, ciemne włosy upięte były w kok z wetkniętym weń ołówkiem. Zauważyłam, że moje przybycie zbiło ją z tropu.

\* \* \*

Na którejś wywiadówce w przedszkolu nauczycielka oświadczyła rodzicom, że mam problem z poczuciem granic. I że najwyższy czas, żebym nauczyła się trzymać ręce przy sobie. Pamiętam, że zamarłam, kiedy mi to powtórzyli. Naprawdę nie miałam pojęcia, że jest coś niestosownego w dotykaniu innych ludzi; wydawało mi się, że wręcz przeciwnie. Ale w tych sprawach zawsze robiłam coś nie tak.

W związku z tym oczekuję, że to wy mi powiecie, jaka powinna być normalna reakcja osoby, która przychodzi do własnego domu i zastaje tam kogoś, kogo prawie nie zna. Byłam już tak zestresowana i wykończona, że jedyne, na co było mnie stać, to nieme, zdumione poruszanie ustami w stylu durnej złotej rybki.

– Wystraszyłaś mnie! – powiedziała Harlow.

Ja dalej ćwiczę złotą rybkę.

Odczekała chwilę. – Jezu, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? Jakby dopiero teraz dotarło do niej, że owszem, mogę mieć coś przeciwko. W jej głosie dawało się wyczuć najszczerze, nieudawane poczucie winy. Zaczęła mówić szybciej: – Reg wykopał mnie z domu, bo myśli, że nie mam grosza przy duszy ani gdzie się podziać. Myślał, że posnuję się przez parę godzin i wrócę na kolanach, błagając, żeby mnie przyjął z powrotem. Wkurzył mnie na maksa! – No proszę, solidarność jajników! – Więc przyszedłam tutaj. Myślałam, że wrócisz dopiero jutro.

Rozsądek. Spokój.

– Słuchaj, widzę, że jesteś zmęczona.

Współczucie.

– Zaraz sobie pójdę.

Zobowiązanie.

\* \* \*

Ze wszystkich sił starała się mnie wyczuć, ale nie było nic do wyczuwania. Jedyne, co czułam, to wszechogarniające zmęczenie, przenikające aż do szpiku kości, do korzonków mych zmatowiałych włosów.

O, i może ciekawość. Odrobina ciekawości. – Skąd się dowiedziałaś, gdzie mieszkam? – zapytałam.

– Z protokołu policyjnego.

– A jak weszłaś do środka?

Wyciągnęła ołówek z włosów, które opadły jedwabistymi pasmami na ramionach.

– Zrobiłam słodką minę i opowiedziałam twojemu dozorczy smutną historyjkę. Obawiam się, że temu facetowi nie powinno się ufać... – W jej głosie pobrzmiwała teraz autentyczna troska.

Coś musiało mnie rozzłościć, kiedy spałam, bo obudziłam się wściekła. Zadzwoił telefon; linie lotnicze poinformowały mnie, że znalazła się moja walizka

i że dostarczą mi ją po południu. Wyrazili nadzieję, że skorzystam z ich usług, gdy następnym razem będę gdzieś lecieć.

Poszłam skorzystać z toalety: była zapchana. Bezskutecznie próbowałam spuścić wodę parę razy, po czym zadzwoniłam do dozorczy: krępowano mnie, że będzie musiał zajrzeć do łazienki i wejść w bezpośredni kontakt z moimi sikami, żeby to naprawić – ale czułam ulgę, że z niczym więcej.

Trzeba przyznać, że przybył ochoczo. Przybiegł natychmiast, w czystej koszuli z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi przedramiona i z całuskiem klozetowym wzniesionym jak rapier. Rozglądał się za Harlow, ale w tak małym mieszkaniu zauważyłby ją na pewno, gdyby jeszcze tu była. – Gdzie twoja koleżanka? – zapytał. Nazywał się Ezra Metzger – bardzo poetyczne nazwisko. Najwyraźniej jego rodzice pokładali w nim nadzieje.

– W domu, u swojego chłopaka. – Nie chciało mi się podkolorowywać całej historii. Poza tym bywałam miła dla Ezry przy innych okazjach. Pewnego razu dwóch niepozornych facetów przyszło do mnie i zaczęło wypytywać o niego. Powiedzieli, że ubiega się o pracę w CIA – co wydało mi się bardzo złym pomysłem, niezależnie od okoliczności, więc na poczekaniu wymyśliłam najlepszą rekomendację, jaka przyszła mi do głowy. Powiedziałam: „Praktycznie człowieka nie widuję. Chyba że chce, żebym go widziała”.

– Aaa, ten jej chłopak. Opowiadała mi o nim – Ezra popatrzył na mnie. Miał nawyk cmokania przez zęby, co sprawiało, że jego wąsy skręcały się i prostowały. Jak się spodziewałam, robił to przez chwilę, po czym powiedział: – To nie wygląda za dobrze. Nie powinnaś była pozwolić jej tam wrócić.

– A ty nie powinnaś jej tu wpuścić ot tak, kiedy nikogo nie ma w domu! Czy to czasem nie jest niezgodne z prawem?

Ezra wyznał mi kiedyś, że czuje się nie tyle dozorcą budynku, co jego żywym sercem. Życie to dżungla, powiedział. Byli tacy, co chcieli mu zaszkodzić. Jak ta klika z trzeciego piętra. On wie, co z nich za jedni, ale oni nie mają pojęcia, na kogo, kurwa, trafili. Ale się dowiedzą. Ezra znał się na spiskach. Właściwie przeżył życie na trawiastym pagórku<sup>[5]</sup>.

Często też mówił o honorze. Teraz widziałam, jak jego wąsy aż drżą z niepokoju; z pewnością z miejsca popełniłby harakiri z użyciem całuska klozetowego, gdyby tylko mógł. W chwilę później doszedł do wniosku, że nie zrobił nic złego, a jego niepokój zamienił się w święte oburzenie. – Czy ty masz pojęcie, ile dziewczyn co roku umiera zamordowanych przez swoich chłopaków? Uniżenie proszę o wybaczenie, kurwa, za to, że chciałem uratować życie twojej kumpeli!

Zapadła lodowata cisza. Minął kwadrans, zanim Ezra wyciągnął z kibla tampon. Nie mój.

\* \* \*

Próbowałam z powrotem zasnąć, ale na poduszce było pełno ciemnych, długich włosów, a prześcieradła pachniały waniliowymi perfumami. W śmietniku znalazłam kilka opakowań od cukierków Pixy Stix, a na blacie kuchennym z brokatowej formiki świeże nacięcia – najwyraźniej znaczące miejsca, gdzie kroić coś, nie używając deski do krojenia. Harlow nie należała do osób, które starają się nie pozostawiać śladów obecności. Jogurt jagodowy, który miałam zamiar zjeść na śniadanie, zniknął bez śladu. Trzaśnięcie drzwiami zaanonsowało powrót Todda: najwyraźniej w podłym nastroju, którego nie poprawiła informacja, że ktoś koczował w mieszkaniu pod naszą nieobecność.

Ojciec Todda był produktem trzeciego pokolenia irlandzkich emigrantów, a matka wnuczką Japończyków, którzy osiedli w Stanach; nienawidzili siebie wzajemnie. Jako dzieciak spędzał wakacje z ojcem, i z każdym wracał z listą nieprzewidzianych wydatków, które matka miała zrefundować: nowa koszulka ze Star Wars (bo stara się podarła): \$17.60. Nowe sznurówki: \$1.95. Todd powtarzał – to musi być super mieć normalną rodzinę, jak twoja.

Dawniej Todd marzył, że dokona eksperymentalnej fuzji, że to właśnie on połączy w jedno celtyckie harfy i anime. Teraz jednak był świadom nieprzystawalności tych światów. Jak to zwykł mawiać – to jak materia i antimateria. Koniec świata.

Od czasu niesławnego Incydentu Fretyńskiego, Todd nabrał zwyczaju sięgania do swych japońskich korzeni, gdy chciał kogoś obrazić. *Baka* (kretyn). *O-baka-san* (szanowny pan kretyn). *Kisama* (duppek). – Co za *kisama* robi takie rzeczy? – pytał mnie teraz. Czy musimy zmienić zamki? Czy ty masz pojęcie, jakie to kurewsko drogie? Poszedł do swojego pokoju policzyć płyty CD, po czym znowu wyszedł z domu. Sama bym poszła gdzieś na kawę do miasta, ale musiałam siedzieć w domu i czekać, aż przywiozą walizkę.

Tymczasem walizki ani widu, ani słyhu. Pięc po piątej zadzwoniłam na infolinię linii lotniczych – pod numer 800-WYJ-EBKA – gdzie powiedziano mi, że powinnam rozmawiać bezpośrednio z biurem bagażowym na lotnisku w Sacramento. W Sacramento nikt nie odbierał, chociaż nagrana wiadomość zapewniała, że jako klient jestem niezmiernie dla nich ważna.

Koło siódmej wieczorem zadzwonił telefon – ale to była matka, chcąc się upewnić, że dotarłam do domu bez przygód. – Wiem, że miałam nigdy o tym nie mówić, ale to takie cudowne, tak mi na sercu ulżyło, że mogłam ci dać te dzienniki – powiedziała. – No, to tyle. Więcej nie będę już o nich wspominać.

Todd wrócił koło dziewiątej, przynosząc pizzę przeprosinową z knajpy „Sympozjum”. Zjedliśmy ją do spółki z dziewczyną Todda, Kimmy Uchida, oglądając *Świat według Bundy'ch...* aż na tapczanie zaczęło się trochę za dużo dziać, bo Todd i Kimmy nie widzieli się przez całe cztery dni. Poszłam do swojego pokoju i przez chwilę czytałam; chyba akurat miałam na tapecie *Wybrzeże*

*moskitów*. Najwyraźniej nie było końca szaleństw, na jakie ojcowie byli skłonni wystawić swoje rodziny.

Następnego ranka obudził mnie telefon. Linie lotnicze informowały, że mają moją walizkę i że przywiozą ją po południu. Powiedziałam, że mam zajęcia na uczelni, więc obiecali zostawić ją u dozorczy.

Minęły trzy dni, zanim udało mi się znowu znaleźć Ezrę. W tym czasie spędziłam jeden wieczór z Harlow. Przyszła pod moje drzwi, ubrana w dżinsową kurtkę, z maleńkimi kolczykami w uszach. W jej włosach błyszczał brokat, bo – jak wyjaśniła, wyczesując go palcami – po drodze do mnie przechodziła przez przyjęcie; czyjeś złote gody. – Tak jakby to był powód, by się chwalić, że przeżyło się całe życie z jednym mężem – powiedziała. A potem dodała: – Słuchaj, wiem, że jesteś wkurzona na mnie. Jasne, to był kompletnie popieprzony pomysł, żeby się zwałać do ciebie bez pytania.

– Już mi przeszło – powiedziałam, na co odparła, że skoro tak, to powinnam dać się zaprosić na piwo, nawet jeśli to dopiero wtorek i trochę za wcześnie na weekendowe balangowanie (w tamtych czasach weekend zaczynał się w czwartek; teraz słyszę, że baluje się już od środy). Powędrowaliśmy do śródmieścia, mijając księgarnię Dzika Róża, olbrzymią rzeźbę pomidora, dekorującego wejście do komunalnych delikatesów, i dalej, obok fastfoodowej restauracji i sklepu monopolowego – aż do rogu naprzeciw stacji kolejowej, gdzie mieścił się bar Paragon. Słońce już zaszło, ale horyzont ciągle znaczyła szkarłatna smuga światła. Na drzewach awanturowały się kruki.

Nie zawsze lubiłam tutejsze rozległe niebo, płaskie, pogrodzone płotami podwórka, czy wszechobecny przez cały rok letni zapach krowiego łajna. Ale w końcu skapitulowałam przed płotami, zaczęłam ignorować smród i nawróciłam się na umiłowanie nieba. Zachód słońca, który widzisz, jest zawsze lepszy niż ten, którego nie zobaczysz. Więcej gwiazd to zawsze lepiej niż mniej. Takie same mam odczucia względem kruków, chociaż wiem, że nie wszyscy podzielają moją opinię. Ich strata.

Rzadko bywałam w Paragonie; towarzystwo studenckie nie chodziło w takie miejsca. Jak na Davis to było najbliższe wielkomiejskiej „mordowni”, co oznaczało, że ci, co pili, pili na poważnie; bywalcy, armia upiorów-mutantów, niegdysiejszych wychowanków liceum w Davis, gdzie swego czasu wiedli radosny żywot grając w futbol, jeżdżąc na desce albo pijąc na umór. Na barowym telewizorze, z dźwiękiem zawsze ustawionym na max, tradycyjnie oglądało się mecze – Knickers kontra Lakers. Ten nigdy niecichnący gwar dopełniała nutka nostalgii jak ze świata zombie.

Najwyraźniej wszyscy tutaj znali Harlow. Barman osobiście przyniósł nam drinki. Za każdym razem, gdy skubnęłam parę solonych orzeszków, zaraz



przybiegał i dosypywał więcej. Ledwie wypiliśmy po piwie, zaraz na stół wjeżdżały nowe, kupione przez któregoś z tych kolesiów; ów fundator przychodził potem do naszego stolika i zostawał zaraz spławiony przez Harlow, która z najśłodszyim możliwym uśmiechem mówiła: – Strasznie mi przykro, ale mamy właśnie coś bardzo ważnego do obgadania...

Wypytywałam ją, skąd przyjechała (z Fresno), jak długo studiuje w Davis (trzy lata) i co zamierza robić po dyplomie. Marzyła o tym, by wyjechać do Ashland w Oregonie i zostać scenografką i projektantką kostiumów dla lokalnego teatru szekspirowskiego.

Pytała mnie: czy wolałabym być niema czy głucha? Mądra czy piękna? Czy poślubiłabym mężczyznę, którego nienawidzę, gdyby to miało zbawić jego duszę? Czy miałam kiedyś orgazm waginalny? Kto jest moim ulubionym superbohaterem? Z jakim politykiem bym się przespała?

Nigdy wcześniej nikt nie wyciągnął ze mnie aż tyle.

Kogo kocham bardziej, matkę czy ojca?

Tu wkraczałyśmy na grząski grunt. Czasami najlepszą taktyką powstrzymania się od wynurzeń jest milczeć, ale czasami lepiej uniknąć tego, gadając. Czasem jeszcze potrafię mówić, kiedy muszę. Nie zapomniałam, jak to się robi.

Opowiedziałam więc Harlow o tym lecie z mojego dzieciństwa, tym lecie, kiedy wyprowadzaliśmy się z domu na farmie. Często powracam do tej historii; to moja dyżurna opowieść, kiedy ktoś pyta o rodzinę. Ma na celu wywołać złudzenie intymności, sugerować, że się otwieram i sięgam do głębi. Działa trochę gorzej, kiedy trzeba ją opowiadać w gwarnym barze, chwilami krzycząc, by zostać usłyszaną.

Zaczyna się od środka, od chwili, gdy wysłano mnie do dziadka Joe i babci Frederiki. Nikt mnie nie uprzedził, że to nastąpi, i mimo że nie pamiętam, jaką bajeczkę wymyślili rodzice na swoje usprawiedliwienie, jaka by nie była, nie kupiłam jej i tyle. Rozpoznawałam powiew zagłady, gdy go czułam. Byłam przekonana, że musiałam zrobić coś tak okropnego, że rodzice postanowili oddać mnie komuś innemu.

\* \* \*

Dziadkowie Cooke mieszkali w Indianapolis. Mieszkali w przegrzanym, dusznym domu, pachnącym niby przyjemnie, ale nie do końca – trochę jak stare herbatniki. W moim pokoju wisiał obraz przedstawiający kobietę i mężczyznę w weneckich maskach, a w salonie pełno było podróbek chińszczyzny. Naprawdę podróbek. Kiepskich aż do bólu. Pamiętacie tych ponurych mędrców z prawdziwymi paznokciami? No to wyobraźcie sobie teraz, jak tu spać w takim domu.

Nieliczne dzieci mieszkające na tej samej ulicy były dużo starsze. Pamiętam,

jak wystawałam za siatkowymi drzwiami od frontu z nadzieją, że któreś nich podejdzie do mnie i zada pytanie, na które znam odpowiedź, ale to nigdy nie nastąpiło. Czasem wychodziłam na podwórze za domem, ale ponieważ dziadek Joe wybetonował je, żeby nie musieć uprawiać ogródka, więc było tam jeszcze bardziej gorąco niż w domu. Zwykle przez chwilę odbijałam piłkę, gapiłam się na mrówki na rabatkach z kwiatami, po czym wracałam do domu i marudziłam o lody na patyku.

Dziadkowie najczęściej oglądali telewizję albo spali na fotelach przed telewizorem. W soboty pozwalali mi oglądać kreskówki – w domu był na to szlaban; w czasie pobytu u dziadków obejrzałam trzy odcinki *Super Friendsów*, co oznacza, że byłam tam co najmniej przez trzy tygodnie. Zwykle popołudniami oglądaliśmy razem operę mydlaną. Bohaterami byli facet o imieniu Larry i jego żona Karen. Larry był ordynatorem w szpitalu, a Karen zabawiała się z różnymi panami pod jego nieobecność; nie widziałam w tym nic szczególnie złego, ale najwyraźniej było inaczej.

– *Tylko jedno życie* – orzekła Harlow.

– Och, cokolwiek to było.

Babcia Frederika wkurzała się, że przez cały czas gadałam w trakcie filmu, choć narzekała, że w serialu jest za dużo o seksie i że się generalnie popsuł. Kiedyś to było o życiu rodzinnym i spokojnie dawało się oglądać z pięcioletnią wnuczką – mawiała. Za to dziadek Joe uważał, że moje dogadywanie podnosiło jakość serialu. Ostrzegał mnie, że w prawdziwym życiu ludzie się tak nie zachowują – jakby spodziewał się, że po powrocie do domu uznam za świetny pomysł, by upozorować własną śmierć przez zamianę miejsc z bratem bliźniakiem albo ukraść innej matce dziecko, jeśli moje własne umrze.

Jednak przez większość czasu nie było nic do roboty. Wszystkie dni były identyczne jak krople wody, a wszystkie noce wypełniały senne koszmary o szczypiących paznokciach i weneckich maskach. Na wszystkie śniadania paskudna jajecznica z kawałkami nieściętego białka; nigdy jej nie zjadałam, ale i tak bez przerwy mi ją dawali. – Będziesz chuda jak patyk – mawiała babcia Frederika, ze smutkiem zgarniając do kosza niedojedzone resztki z mojego talerza. Albo sarkała:

– Nie słyszę własnych myśli! Czy możesz się na moment uciszyć?

Odkąd pamiętam, ludzie zadawali mi to pytanie. W tamtych czasach odpowiedź brzmiała: nie.

Potem któregoś dnia u kosmetyczki poznała kobietę, która zaproponowała, żebym przyszła pobawić się z jej dziećmi. Musiałyśmy pojechać tam samochodem. Dzieci tej kobiety okazały się parą wysokich chłopaków – jeden z nich miał ledwo sześć lat, a i tak już był ogromny. Mieli trampolinę; kiedy skakałam na niej, podwiewało mi spódniczkę, w którą byłam ubrana i wszyscy

widzieli moje majtki. Nie pamiętam już, czy dokuczali mi z tego powodu, czy tylko czułam się upokorzona dla zasady – ale dla mnie to był koniec świata. Kompletnie załamana, wyszłam z tego domu z zamiarem pójścia do domu piechotą. Do mojego prawdziwego domu, w Bloomington.

Wiedziałam, że ta wędrówka będzie długa. Nie przypominam sobie, by choć przez moment przemknęła mi myśl, że być może idę w złą stronę. Wybierałam uliczki z zacienionymi trawnikami i spryskiwaczami. Kobieta z ganku jakiegoś domu zapytała, gdzie są moi rodzice; odpowiedziałam, że jestem z wizytą u dziadków. Nie zapytała o nic więcej. Musiało być już dość późno, gdy wyruszyłam; miałam ledwie pięć lat. Bez względu na to, co mi się wydawało, nie zaszłam zbyt daleko i już zaczynało się ściemniać.

Wybrałam ten dom, bo podobał mi się jego kolor. Był pomalowany intensywnie błękitną farbą, z czerwonymi drzwiami. I był maleńki, jak domek z bajki. Zapukałam do drzwi; otworzył mężczyzna w szlafroku i podkoszulku. Zaprosił mnie do środka i gdy zasiedliśmy przy stole, podał szklankę oranżady z proszku. Był miły. Opowiedziałam mu o Larrym i Karen, o weneckich maskach, o tych chłopcach-dryblasach i o wyprawie pieszo do Bloomington. Słuchał z powagą i wskazał kilka słabych punktów mego planu, o których wcześniej nie myślałam. Na przykład, że kiedy zapukam do czyichś drzwi prosząc o drugie śniadanie lub obiad, mogę dostać jedzenie, którego nie lubię. Gospodarze będą oczekiwać, że wylizę talerz do czysta, a tymczasem może się na nim znajdować brukselka, wątróbka czy cokolwiek to jest, czego do ust nie biorę. Nawet i bez tego byłam gotowa dać się przekonać do rezygnacji z pielgrzymki do Bloomington.

No więc powiedziałam mu, że moi dziadkowie nazywają się Cooke, a on obdzwonił wszystkich Cooke'ów w książce telefonicznej, aż znalazł właściwych. Przyjechali po mnie, a następnego dnia odesłali mnie do domu, bo, jak orzekli, było ze mną mnóstwo kłopotów i w dodatku buzia mi się nie zamykała.

\* \* \*

– Jak to, twoja mama nie rodziła dziecka? – zapytała Harlow.

– Nie – odparłam.

– Myślałam, że – no wiesz – najczęściej dlatego odsyła się dzieci do dziadków. To jest prawdziwy klasyk.

Moja matka nie rodziła dziecka; przechodziła załamanie nerwowe, ale nie miałam najmniejszego zamiaru opowiadać o tym Harlow. Uroda i pożyteczność tej historyjki polegają na tym, że skutecznie odwraca uwagę słuchaczy. Więc zamiast wspomnieć o tym, powiedziałam: – Nie doszłam jeszcze do najbardziej odjechanej części! – Na co Harlow głośno klasnęła w ręce. Najwyraźniej alkohol, podobnie jak aresztowania, wzbudzał w niej niepokojącą skłonność do entuzjazmu.

Facet w koszulce Celtics poszedł do naszego stolika, ale Harlow dała mu znak, żeby sobie poszedł. Zrobiła to z tym swoim wyrazem twarzy mówiącym „jest

mi jeszcze bardziej przykro niż tobie”. – Właśnie doszliśmy do najbardziej odjechanej części – wyjaśniła. Koleś pokręcił się przy nas przez chwilę, mając nadzieję załapać się na trochę z najbardziej odjechanej części, ale ta część zdecydowanie nie jest dla wszystkich, więc go przeczekałam.

– Gdy byłam w tym niebieskim domu, chciałam skorzystać z łazienki – zaczęłam, ścisząc głos i pochylając się tak mocno w stronę Harlow, że czułam jej chmielowy chuch. – Ten gość w szlafroku powiedział, że toaleta jest na drugim piętrze, drugie drzwi na prawo – ale ja miałam pięć lat, więc otworzyłam niewłaściwe drzwi, drzwi do sypialni. Na łóżku, rozplaszczona na brzuchu, leżała kobieta; jej ręce były związane z tyłu jej własnymi majtkami, była przywiązana do łóżka. Coś kneblowało jej usta: chyba skarpetki tego faceta.

– Kiedy otworzyłam drzwi, odwróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć. Nie miałam pojęcia, co zrobić. Nie miałam pojęcia, co myśleć. Za to miałam kryształowo jasne przeczucie, że dzieje się coś bardzo, bardzo złego. Ale wtedy...

Do wnętrza Paragonu napłynął krótki, zimny powiew z zewnątrz: ktoś otworzył drzwi, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

– ...puściła do mnie oko – powiedziałam.

\* \* \*

Mężczyzna podszedł do Harlow od tyłu i położył dłoń na jej karku. Miał na głowie czarną czapkę z dzianiny, ozdobioną kanadyjskim czerwonym listkiem, a jego ostro zarysowany nos był lekko zakrzywiony w lewo. Typ surfera, ale mroczniejszy. Koleś był przystojny; widziałam go wcześniej w stołówce uniwersyteckiej, jak uchylał się przed kostkami cukru, którymi rzucała w niego Harlow. – Rose, to jest Reg, o którym ci tyle dobrego opowiadałam – powiedziała Harlow.

\* \* \*

Reg kompletnie mnie zignorował. – Myślałem, że musisz zająć się pracą. Że miałaś siedzieć w bibliotece.

– A ja myślałam, że jest jakaś megaawaria z przedstawieniem i cała ekipa musi być non stop na miejscu.

– Myślałem, że musisz się uczyć do tego niezmiernie ważnego egzaminu, od którego wyników może zależeć cała twoja przyszłość.

Reg przystawił sobie krzesło od sąsiedniego stolika i upił piwo ze szklanki Harlow. – Podziękujesz mi potem – powiedział.

– Weź się wyluzuj, co? – zasugerowała słodko Harlow. I dodała: – Ulubionym superbohaterem Rosemary jest Tarzan.

– Nie może być jej ulubionym superbohaterem, bo w ogóle nie jest superbohaterem: Tarzan nie ma żadnych nadprzyrodzonych mocy – odparł Reg bez zastanowienia.

– Też jej tak powiedziałam!

Faktycznie tak było. Dopóki Harlow nie zapytała mnie o to, nigdy nie miałam ulubionego superbohatera. Wybrałam Tarzana impulsywnie, na chybił trafił, podobnie jak odpowiedzi na inne jej pytania: to było jak luźne ćwiczenie ze skojarzeń na bazie strumienia świadomości. Jednak im głębiej kwestionowała mój wybór, tym bardziej angażowałam się w bronienie go. Zwykle tak robię, gdy natrafiam na sprzeciw. Zapytajcie mego tatę.

Kiedy więc teraz na nowo zaczynała tę dyskusję, uznałam to za oznakę tchórzostwa z jej strony: jakby jedynie udawała, że przyznaje mi rację, podczas gdy tylko czekała na przybycie posiłków do dalszej dyskusji.

Jednak fakt, że przeciwników jest więcej, nie oznacza bynajmniej, że to oni mają rację – przynajmniej w mojej rodzinie to tak działa. – Wszystko zależy od kontekstu – powiedziałam. – Co w jednym świecie jest powszechną umiejętnością, w innym może być specjalną mocą. Weźmy na przykład Supermana.

Ale Reg nie miał zamiaru rozważać przykładu Supermana. – Jak dla mnie, nic poniżej Batmana się nie liczy. Nie ma rozmowy. Pod tą jego seksowną czapeczką krył się mózg skorupiaka, i czułam szczerą ulgę, że to nie ja z nim sypiam.

Tak naprawdę to nie czytałam książek Burroughsa o Tarzanie: to nie były lektury, które moi rodzice chcieliby mieć w domu. Wiedziałam o Tarzanie tyle, co wiatr z zewnątrz przywiał. Kiedy Reg zaczął mi robić wykład o rasizmie w tej serii, nie miałam pojęcia, czy książki faktycznie są rasistowskie – a jeśli nawet były, to nie była wina Tarzana i nie oznaczało to, że sam Tarzan mógł być rasistą – co stanowiłoby o wiele większy problem. Nie wydawało mi się jednak, że mogę wygrać w tej debacie, przyznając się do ignorancji. Co pozostawiało mi tylko jedną możliwość – spojrzeć na zegarek i poderwać się od stolika z okrzykiem: „O Boże, to już taka godzina?”.

Szłam sama przez ciemną kratownicę ulic śródmieścia. Po mojej prawej stronie przejechał z głośnym łomotem pociąg; jego przybycie obudziło światelka ostrzegawcze i brzęczyki na kolejowych szlabanach. Zimny wiatr powiewał liśćmi na drzewach, a pod pizzerią Woodstock stała luźnym kręgiem grupka mężczyzn; przeszłam na drugą stronę ulicy, aby ich uniknąć. Jeden z nich zawołał mnie, proponując, bym dołączyła do towarzystwa, ale to nie brzmiało zachęcająco.

Todd jeszcze nie spał – on także nie czytał Burroughsa, ale okazało się, że jest manga na podstawie tego („Tar-chan, Nowy Król Dżungli”), którą się pasjonował. Tar-chan miał supermoce.

Bezdiskusyjnie. Todd próbował mi streścić, o co chodzi w tej serii (z jego opowieści wynikało, że to pełna energii mieszanina pornografii i instrukcji kuchennych) i zaoferował, że może przywieźć mi parę zeszytów następnym razem, gdy pojedzie do domu; nie było jednak jasne, czy do zapoznania się z nimi będzie mi niezbędna znajomość japońskiego.

Nie byłam w stanie skierować jego uwagi na najważniejszą teraz dla mnie kwestię – że Reg to dupek – bo Todd pochłonięty był dowodzeniem własnej konkluzji: że Masaya Tokuhito to geniusz. Tak czy inaczej, nie byłam już tak głęboko przekonana, że Reg zachował się kompletnie od czapy. Co we mnie wstąpiło, żeby w ogóle rozpocząć gadkę o Tarzanie? Gruba niedyskrecja. Musiałam być niezłe naprana.

\* \* \*

Następnego wieczora albo jeszcze dzień później w końcu udało mi się osaczyć Ezrę. Miał moją walizkę, ale ciągle chciał mnie ukarać: w bieżącej chwili nie mógł mi jej dostarczyć. – Co, taki jesteś zapracowany? – zapytałam z niedowierzaniem. Co on sobie myśli, ileż pięter może mieć ten budynek?

– Wszystko pod kontrolą – odpowiedział. – A jeśli tego nie kumas, to dlatego, że za mało wiesz.

Minęły kolejne dwa dni, zanim otworzył schowek na szczotki (– Leży tam

towar, który mógłby poważnie wyjechać wodociągi w kosmos. Można by tym wytruć całe miasto, jakby ci przyszła ochota – powiedział mi Ezra. Oczywiście on stał na straży tego towaru, żeby nie dostał się w ręce jakichś terrorystów, jak ci z trzeciego!) i wyciągnął z niego walizkę. Taką z aluminiowym pokryciem, jasnoniebieską.

– Aaa, i jeszcze coś – powiedział Ezra. Wczoraj przyszedł tu jeden koleś, mówił, że nazywa się Travers i jest twoim bratem.

Chciał na ciebie poczekać, ale wytłumaczyłem mu, że głowa by ci wybuchła, gdybym wpuścił kogoś ze znajomych czy rodziny do mieszkania pod twoją nieobecność.

Byłam kompletnie rozdarta między wątpliwością, czy to faktycznie był mój brat, a radością, że w końcu przybył, żeby się ze mną zobaczyć, i gorzkim rozczarowaniem, że oto Ezra posłał go do diabła i teraz pewnie już nie wróci. To była ciężkostrawna mieszanka emocjonalna jak na jedną chwilę. Serce trzepotało mi w piersi jak ryba na haczyku.

Mimo że rodzice dostawali od niego okazjonalne pocztówki, ja ostatni raz miałam z nim kontakt pod koniec szkoły średniej. Na odwrocie pocztówki, przedstawiającej Angkor Wat, napisał mi: *To wielki świat. Bądź wielka*. Stempel na znaczku był z Londynu, co oznaczało, że był w dowolnym miejscu świata, ale nie tam. To, że mój brat nie nazywa się Travers, było najbardziej przekonującym detalem z opowieści Ezry. Mój brat z pewnością nie podałyby mu prawdziwego imienia.

– Czy powiedział, że wróci? – zapytałam.

– Powiedział, że być może tak, za parę dni.

– Parę czyli dwa, czy parę w sensie kilka?

Ale Ezra miał tego dość. Ezra wierzył w udzielanie informacji tylko na zasadzie podawania niezbędnych faktów. Cmoknął przez zęby i powiedział, że nie pamięta dokładnie. Był zajęty, miał przecież na głowie dozowanie całego budynku.

Gdy byliśmy dziećmi, najbardziej na świecie kochałam brata. Zdarzało się – nierzadko – że bywał okropny, ale nie zawsze. Czasami godzinami uczył mnie grać w piłkę albo w karty: w Cassino, w oszusta, w remika, Go Fish, w kierki i w piki. Był dobrym pokerzystą, ale instruowana przez niego szybko okazałam się jeszcze lepsza – może dlatego, że byłam tak mała, iż nikt się tego po mnie nie spodziewał. Niezłe się obłowiliśmy na jego znajomych, grając na pieniądze. Płacili mu gotówką, ale ja przyjmowałam swoją dolę w bardziej uniwersalnej walucie – kartach z zestawu *Garbage Pail Kids*. Miałam ich setki. Buggy Betty, ta mała muszka, zawsze była moją ulubienicą. Miała taki miły uśmiech.

Pewnego dnia Steven Claymore rzucił we mnie śnieżką z kamieniem w środku, bo powiedziałam mu, że jest feralny – nie podobało mu się to słowo, ale

swoim zachowaniem dowiódł, że miałam rację. Wróciłam do domu z napuchniętym guzem na czole i żwirem wbitym w kolano. Nazajutrz mój brat przyszedł do szkoły, złapał Stevena i tak długo wykręcał mu rękę, aż ten mnie przeprosił. Następnie mój brat zabrał mnie do lodziarni Dairy Queen i kupił mi rożka z polewą czekoladową, za własne pieniądze. Z obydwu tych akcji wynikły później problemy – i z wykręcania ręki, i z faktu, że oboje urwaliśmy się ze szkoły, nie informując o tym nikogo – ale ponieważ rodzinne reguły postępowania zawsze okazywały się dziwnie niejasne i elastyczne wobec mego brata, żadne z nas nie poniosło z tego tytułu żadnych znaczących konsekwencji.

\* \* \*

No więc miałam kilka powodów, żeby pojechać na studia na Uniwersytet Kalifornijski w Davis.

Po pierwsze, było to na tyle daleko od domu, że nikt w okolicy nic o mnie nie wiedział.

Po drugie, ojciec i matka się zgodzili. Gdy pojechaliśmy wspólnie obejrzeć kampus, rodzice uznali, że miasteczko jest praktycznie jak ze Środkowego Zachodu. Szczególnie oczarowały ich szerokie ścieżki rowerowe.

Ale trzecim i najważniejszym powodem był mój brat – rodzice musieli o tym wiedzieć i pokładali w tym własne nadzieje. Ojciec zwykle miał węża w kieszeni i nawet najpiękniejsze ścieżki rowerowe w najbardziej odpicowanych miasteczkach jak ze Środkowego Zachodu nie przekonałyby go, że warto wywalić kasę na półtora roku czesnego na uniwersytecie w innym stanie – zwłaszcza, że w Indianie była cała masa dobrych uczelni, jedna z nich dosłownie parę ulic od naszego domu.

Ale FBI poinformowało nas, że mój brat był w Davis w 1987 roku, mniej więcej rok po tym, jak zniknął. Rząd od czasu do czasu może przypadkiem mieć w czymś rację, nawet najbardziej ślepej kurze czasem trafi się ziarno, te rzeczy. Davis było jedynym miejscem, w którym kiedykolwiek go znaleźli, nigdzie więcej.

A ja już naprawdę czułam, że dłużej nie dam rady, że mam dość bycia jedynym dzieckiem moich rodziców. Fantazjowałam sobie, że usłyszę pukanie do drzwi i pomyślę, że to pewnie Ezra przyszedł pożyczyć od Todda jego GameBoya albo udzielić pouczeń odnośnie nowych dyrektyw zarządu budynku w kwestii wyrzucania niebezpiecznych odpadów. Ale to będzie mój brat i natychmiast go rozpoznam. A on obejmie mnie i powie: – Boże, jak ja się za tobą stęskniłem! Opowiedz mi wszystko, co się zdarzyło od mojego wyjazdu.

Gdy widziałam go po raz ostatni, miałam jedenaście lat; wtedy serdecznie mnie nienawidził.

\* \* \*

A walizka nie była moja, to chyba oczywiste.



Historia, którą opowiedziałam Harlow – jak to wysłano mnie do dziadków do Indianapolis – nie jest, rzecz jasna, ze środka całej opowieści. Tak ją opowiedziałam akurat wtedy, ale to, jak sprawy się dzieją i jak się o nich opowiada, to dwie różne rzeczy. To bynajmniej nie znaczy, że historia nie jest prawdziwa: tyle tylko, że już nie wiem, czy to jest wszystko, co pamiętam, czy tylko to, o czym potrafię opowiadać.

Język właśnie to robi z naszymi wspomnieniami: upraszcza je, utrwała, klasyfikuje, mumifikuje. Historia, którą często się opowiada, jest jak fotografia z rodzinnego albumu: w ostatecznym rachunku okazuje się bardziej istotna od wydarzenia, które miała utrwalić.

I teraz, gdy pojawił się mój brat, dotarłam do miejsca, z którego nie mogę ruszyć naprzód, nie oglądając się najpierw wstecz – bez cofnięcia się do końca tej historii, kiedy to wróciłam od dziadków do rodzinnego domu.

Tak się składa, że to dokładnie ten moment opowieści, gdzie kończy się to, o czym umiem opowiedzieć, a zaczyna coś, o czym nigdy nie mówiłam.

## CZEŚĆ II

To czas być może krótki w kalendarzu, ale nieskończenie długi, gdy się go spędza na bieganiu tu i tam, jak ja to robiłem czasami, wśród znakomitych ludzi, dobrych rad, oklasków, muzyki orkiestr; lecz w gruncie rzeczy sam...

Franz Kafka, *Sprawozdanie dla Akademii*

No więc mamy rok 1979. Rok Kozy. Ziemskiej Kozy.

Parę faktów, które możecie pamiętać: Margaret Thatcher właśnie została premierem. Idi Amin uciekł z Ugandy. Prezydent Jimmy Carter lada chwila miał się zmagać z kryzysem wokół zakładników w Iranie. Na marginesie, Carter był pierwszym i jedynym amerykańskim prezydentem zaatakowanym przez królika bagiennego. Facet bez przerwy miał pecha.

Teraz garść faktów, których wówczas mogliście nie być świadomi. W tym samym roku Izrael i Egipt podpisały traktat pokojowy, a na Saharze spadł śnieg; padał przez pół godziny. Powstała Liga Obrony Praw Zwierząt. Na Wyspach Magdaleny ośmiu członków załogi statku Sea Shepherd spryskało ponad tysiąc młodych fok nieszkodliwym, ale niezmywalnym barwnikiem. Miał on na celu zniszczyć ich futro, a w ten sposób uchronić przed myśliwymi. Aktywistów aresztowano, po czym – argumentując w stylu najznakomitszej orwellowskiej nowomowy – oskarżono o naruszenie przepisów ustawy o ochronie fok.

W radio leciało *We Are Family* Sister Sledge, a w telewizji – *Diukowie Hazzardu*. W kinach grali *Uciekać*<sup>[6]</sup>, a Bloomington w stanie Indiana błyszczało swym najjaśniejszym blaskiem.

Jedyną rzeczą z tej listy, o której wtedy wiedziałam, było *Uciekać*. W 1979 byłam pięciolatką i już miałam własne problemy. Ale w Bloomington wszyscy byli tak podnieceni blaskiem rozpalonego do białości splendoru Hollywood, że nawet cierpiącym dzieciom udzielała się ta ekscytacja.

\* \* \*

Ojciec z pewnością odnotowałby w tym miejscu, że w wieku lat pięciu nie wyszłam jeszcze z opisywanej przez Jeana Piageta fazy przedoperacyjnej w zakresie myślenia kognitywnego i rozwoju emocjonalnego. Zapewne zwróciłby wam uwagę, że obecnie, z dużo bardziej dojrzałej perspektywy, niewątpliwie używam struktur logicznych do wytłumaczenia faktów, których wówczas nie mogłam rozumieć. Emocje w fazie przedoperacyjnej cechuje dychotomia i ekstremalna intensywność.

Przyjmijmy, że to właśnie powiedział.

Co nie znaczy, że życie nie dostarcza sytuacji, w których dychotomia i ekstremalna intensywność są jak najbardziej na miejscu. Uprośmy nieco sytuację i przyjmijmy, że w tym punkcie mojej opowieści cała rodzina, wszyscy, starzy i młodzi, byli bardzo, bardzo zestresowani.

Ojciec przybył nazajutrz po mej wyprawie na przełaj przez stolicę stanu Indiana, od trampoliny do niebieskiego domku. Dziadkowie zadzwonili i poprosili go, żeby przyjechał i mnie zabrał – ale o tym detalu nie zostałam poinformowana.

Ciągle byłam przekonana, że oddadzą mnie komuś – tylko może nie dziadkom, którzy, jak się okazało, nie mogli ze mną wytrzymać. To gdzie wyląduję? Kto mnie teraz będzie kochał? Łykałam łyzy tak stylowo, jak tylko byłam w stanie, bo ojciec nie lubił, gdy płakałam, a ja ciągle miałam cień nadziei. Nikt jednak nie doceniał mej heroicznej powściągliwości; ojciec nawet chyba nie dostrzegł moich łez. Najwyraźniej umywał ręce.

Kazano mi wyjść z pokoju, w którym odbywała się długa, prowadzona szeptem, złowroga wymiana zdań, a kiedy spakowano moje rzeczy i usadzono na tylnym siedzeniu samochodu, który natychmiast ruszył, nadal nie miałam pojęcia, że wracam do domu. Co nie miało większego znaczenia, bo nie wracałam. Gdy byłam dzieckiem, moją metodą radzenia sobie z nieprzyjemnymi sytuacjami było je przespać. Tak zrobiłam i tym razem – a gdy się obudziłam, byłam w nieznanym pokoju. W pewien sposób najbardziej obce w tym wnętrzu były drobiazgi, które wyglądały znajomo. Moja komoda stała przy oknie. Łóżko, w którym leżałam, było moim łóżkiem; narzuta ozdobiona aplikacjami w słoneczniki, pokrywającymi ją od góry do dołu, została ręcznie uszyta przez babcię Frederikę w czasach, gdy jeszcze mnie kochała. Ale szuflady komody były puste, a pod narzutą krył się całkiem goły materac.

Pod oknem piętrzyła się piramida pudeł; jedno z nich było skrzynką na piwo z przezroczystego plastiku, przez uchwyty prześwitywała okładka mojego egzemplarza *Tam, gdzie żyją dzikie stwory*, poznaczona owalnymi plamami od roztopionej czekoladki Hershey's. Wdrapałam się na stertę pudeł, by wyrzeć na zewnątrz – nie było tam ani śladu jabłoni, stodoły czy zaoranych pól. Zamiast nich za podwójną szybą ujrzałam zamglone kontury tylnego podwórka jakiegoś obcego domu, z grillem, zardzewiałą huśtawką i ładnie utrzymanym warzywnikiem – nabierające rumieńców pomidory, otwierające się strąki groszku. W naszym domu na wsi takie warzywa dawno by ktoś zebrał, zjadł albo wyrzucił, zanim jeszcze dojrzały na krzakach.

Dom, w którym mieszkałam na farmie, był zawsze pełen pomruków, gwizdów albo poskrzypywań: zawsze ktoś brzdąkał na pianinie albo włączał pralkę, skakał po łózkach, walił w rondle albo krzyczał na wszystkich, żeby byli cicho, bo próbuje właśnie porozmawiać przez telefon. Ten dom pogrążony był w onirycznej ciszy.

Nie jestem pewna, co wtedy pomyślałam: może że przyjdzie mi tu mieszkać samej, bez nikogo. Cokolwiek przebiegło mi przez głowę, wywołało nową falę szlochów, a po niej natychmiastowy pad na łóżko i znowu sen. Mimo najgłębszej nadziei, obudziłam się w tym samym miejscu, tak samo zapłakana, rozpaczliwie wołając mamę.

Ale to ojciec przyszedł do mnie, zgarnął mnie z łóżka i przytulił. – Cśśśś. Mama śpi w pokoju obok – powiedział. – Wystraszyłaś się? Strasznie mi przykro.

To jest nasz nowy dom i twój nowy pokój.

– I wszyscy mieszkamy tu razem? – zapytałam, ciągle nie mając odwagi mieć nadziei; czułam, jak ojciec wzdrygnął się, gdy go uszczypnęłam.

Postawił mnie na ziemi. – Ten pokój jest o wiele większy niż twój poprzedni, prawda? Na pewno będziemy tu bardzo szczęśliwi. Powinnaś iść i trochę pozwiedzać, mała. Zwiedzaj sobie. Tylko nie w pokoju mamy – wskazał drzwi tuż obok moich.

W starym domu na podłodze był parkiet albo linoleum, zawsze coś, co można było szybko wyczyścić za pomocą wiadra z wodą i mopa. W tym domu była drapiąca srebrzysta wykładzina dywanowa, rozciągająca się od mojego pokoju aż do przedpokoju bez jednej przerwy. Nie było mowy o ślizganiu się po podłodze w samych skarpetkach. Ani tym bardziej o jeżdżeniu po tym dywanie na skuterze.

Na piętrze nowego domu mieściły się moja sypialnia, sypialnia rodziców, gabinet ojca – w którym pod ścianą stała już czarna szkolna tablica – i jedna łazienka, z niebieską wanną, nad którą ciągle brakowało zasłony prysznicowej. Mój nowy pokój był być może większy niż jasny kącik, który zajmowałam w wiejskim domu, ale widziałam, że sam dom jest mniejszy. A może nie mogłam tego wiedzieć jako pięciolatka. Zapytajcie Piageta.

Na parterze był salon z kominkiem obudowanym kaflami, kuchnia, w której stał ten stół, przy którym zawsze jadaliśmy śniadania, jeszcze jedna łazienka – z prysznicem, ale bez wanny – a zaraz obok pokój mojego brata; na jego łóżku nie było nawet koca, ponieważ – jak dowiedziałam się tego samego dnia wieczorem – on kategorycznie oświadczył, że jego stopa tu nie postanie i postanowił mieszkać u swojego najlepszego przyjaciela Marco tak długo, jak mu pozwoli.

Na tym właśnie polegała różnica między moim bratem a mną: ja zawsze się bałam, że każą mi się wynosić, a on zawsze wynosił się na własną prośbę.

We wszystkich pokojach piętrzyły się pudła, z których praktycznie żadne nie zostało otworzone. Ściany były gołe, półki puste. W kuchni parę talerzy, ale ani śladu naszego miksera, tosterka czy maszynki do chleba.

W miarę, jak odbywałam pierwszą wędrowkę po domu, w którym miałam mieszkać do osiemnastego roku życia, powoli zaczynałam podejrzewać, co się wydarzyło. W całym domu nie było pomieszczenia, w którym mogłyby się odbywać zajęcia dla studentów. Rozglądałam się uważnie dookoła, na piętrze i na parterze, ale im bardziej szukałam, tym bardziej było oczywiste, że sypialnie są tylko trzy. Jedna była dla mojego brata. Jedna dla matki i ojca. Jedna moja. Nie, to nie mnie oddano.

Spotkało to kogoś innego.

\* \* \*

Jednym z solennych postanowień, jakie podjęłam, wyjeżdżając na studia do Bloomington i licząc, że zacznę tam nowe życie, było: nigdy nie wspominać

nikomu słowem o mojej siostrze, Fern. W czasach studenckich nigdy o niej nie mówiłam i rzadko myślałam. Gdy ktoś pytał o moją rodzinę, przyznawałam się do posiadania dwójki rodziców, którzy wciąż byli małżeństwem, oraz jednego brata, który non stop podróżował. Przemilczanie istnienia Fern było najpierw decyzją, a potem nawykiem, który do dziś trudno i boleśnie jest mi porzucić. Nawet dziś, w roku 2012, nie dopuszczam, by kto inny o niej wspomniał. Muszę powoli się z tym oswoić. Wybrać właściwy moment.

Pamiętam ją, mimo że miałam ledwie pięć lat, kiedy zniknęła z mojego życia. Pamiętam doskonale – jej zapach i dotyk, rozproszone wspomnienia jej twarzy, uszu, podbródka, oczu. Jej ramion, stóp, palców. Ale nie pamiętam jej całej tak, jak zapamiętał ją Lowell.

Mój brat naprawdę ma na imię Lowell. Nasi rodzice poznali się w obserwatorium astronomicznym Lowell w Arizonie, na obozie letnim dla licealistów zainteresowanych nauką. – Przyjechałem oglądać niebo, ale gwiazdy znalazłem w jej oczach – mówił zawsze ojciec. To zdanie w jednakowym stopniu brzmiało miło i wprawiało mnie w zakłopotanie. Para zakochanych geeków.

Byłabym dziś lepszego zdania o sobie, gdybym, jak Lowell, czuła gniew z powodu zniknięcia Fern – ale wówczas złość na rodziców wydawała mi się zbyt niebezpieczna, więc zamiast się wściec, popadłam w strach. Część mnie czuła też wstydliwą i potężną ulgę, że to nie mnie się pozbyli. Kiedy to wspominam, próbuję też pamiętać, że miałam ledwie pięć lat. Staram się być sprawiedliwa, nawet wobec siebie. Byłoby cudownie umieć sobie wybaczyć, ale nie doszłam jeszcze do tego stanu i nie sądzę, że kiedykolwiek mi się to uda. Nie sądzę, że powinnam być w stanie to zrobić.

Te tygodnie spędzone u dziadków w Indianapolis do dziś wyznaczają niezmiernie ważny punkt zwrotny w moim życiu, mój prywatny Rubikon. Zanim nastąpił ten czas, miałam siostrę. Potem już nie.

Przedtem im więcej mówiłam, tym bardziej rodzice wydawali się zadowoleni. Potem połączyli siły z resztą świata, każąc mi być cicho. W końcu zamilkłam (choć zajęło mi to trochę czasu i nie dlatego, że mi tak kazali).

Przedtem mój brat był częścią rodziny. Potem zabijał tylko czas, czekając, kiedy będzie mógł się nas pozbyć.

Wiele wydarzeń sprzed tego czasu zatarło się w mojej pamięci albo zostało przez nią okrojonych i skondensowanych do najbardziej podstawowych elementów, jak w bajce. Dawno, dawno temu był sobie dom z jabłonią na podwórzu i kotem o oczach koloru księżycy. Potem całe miesiące najwyraźniej wryły się w moich wspomnieniach zaskakująco jasno i wyraźnie. Każcie mi przywołać jakiegokolwiek ze wspomnień z wczesnego dzieciństwa, a będę w stanie natychmiast powiedzieć, czy miało to miejsce przed, czy po zniknięciu Fern. Ja sama z Fern i bez niej to dwie całkiem różne osoby.

Zawsze jest jednak cień wątpliwości. Miałam tylko pięć lat. Jak to możliwe, że pamiętam całe wymiany zdań, słowo w słowo, z tak niezmierną dokładnością? Albo jaka piosenka grała w radio? Albo co dokładnie miałam na sobie? Jak to się stało, że niektóre sceny pamiętam z perspektywy, która wydaje się niemożliwa – tak wiele rzeczy pamiętam widziane z góry, jakbym obserwowała je, wspiąwszy się po firance do sufitu i spoglądała stamtąd na moją rodzinę? I skąd to jedno wspomnienie, uchwycone tak ostro i wyraźnie jak sfilmowane w technikolorze i z dźwiękiem dolby surround, dotyczące wydarzenia, które, jak głęboko i z całego serca wierzę, nigdy nie miało miejsca? Mentalna zakładka w tym miejscu. Wrócimy do tego potem.

Pamiętam, że często kazano mi być cicho – ale rzadko przypominam sobie, co takiego wtedy powiedziałam. W miarę jak przywołuję te zdarzenia, ten dziwny fenomen może dać wam mylne wrażenie, że wtedy już niewiele mówiłam. Załóżcie więc proszę, że gadam bez przerwy w każdej następnej scenie, dopóki wyraźnie nie powiem, że zamilkłam.

Natomiast nasi rodzice nabrali wody w usta i cała reszta mego dzieciństwa upłynęła w tej dziwacznej ciszy. Nigdy nie wspominali o tym, jak to musieli wracać do Indianapolis, bo w połowie drogi okazało się, że zostawiłam Dextera Poindextera, mojego pingwina z dzianiny frotté (wytartego i wyniszczzonego miłością – któż z nas nie jest?) w łazience na stacji benzynowej – mimo że często opowiadali o tym, jak to nasza przyjaciółka Marjorie Weaver zgubiła swoją teściową w tym samym miejscu. Gwarantuję wam, moja historia jest lepsza.

To od babci Frederiki, a nie od rodziców wiem, że któregoś razu zniknęłam na tak długo, że aż wezwano policję; okazało się, że poszłam za Świętym Mikołajem z domu towarowego aż do sklepu tytoniowego, gdzie kupował cygara; podarował mi złoty foliowy pierścionek z jednego z nich. Sądzę więc, że wezwanie policji było dodatkową atrakcją na koniec i tak całkiem udanego dnia.

To od babci Donny, a nie od rodziców wiem, że pewnego razu wrzuciłam dziesięciocentówkę do masy na ciasto, żeby zrobić komuś niespodziankę i jeden ze studentów ojca złamał na niej ząb. Wszyscy myśleli, że to Fern narozrabiała, dopóki w geście bezprecedensowej uczciwości i odwagi cywilnej sama się przyznałam. Był to również wyjątkowo hojny postępek z mojej strony, bo to była moja dziesięciocentówka.

Któż więc może wiedzieć, jakie figle i psoty płata mi pamięć, skoro tak niewiele z mych wspomnień znajduje potwierdzenie? Nie licząc dzieciaków dokuczających mi w szkole, jedynymi osobami, które kiedykolwiek wspominały o Fern byli babcia Donna (dopóki matka jej nie powstrzymała) i mój brat Lowell, dopóki od nas nie odszedł. Każde z nich miało zbyt wyraźne własne motywy, by być godnym zaufania świadkiem: babcia Donna próbowała ochronić mamę przed braniem za to odpowiedzialności, a Lowell rzucał historiami jak nożami.

Dawno, dawno temu była sobie rodzina: ojciec i matka z dwiema córeczkami, które obiecywali kochać jednakowo.



Większość rodzin ma ulubione dziecko. Rodzice zaprzeczają, i może naprawdę nie dostrzegają tego, ale dla dzieci to jest oczywiste i bardzo je boli taka niesprawiedliwość. Ciężko jest zawsze być drugim z kolei.

Ciężko jest też być beniaminkiem. Bez względu czy zasłużona, czy nie, pozycja ulubieńca nie jest niekomfortowa. Ulubionym dzieckiem mojej matki byłam ja. Lowell był ulubieńcem ojca. Ja kochałam mamę tak samo jak tatę, ale najbardziej ze wszystkich uwielbiałam Lowella. Fern najbardziej kochała mamę. Lowell kochał Fern bardziej niż mnie.

Gdy stwierdzam te fakty, wyglądają dość niegroźnie. Dla każdego coś miłego, i dość, by starczyło dla wszystkich.

Trzy miesiące po powrocie od dziadków z Indianapolis były najgorszym okresem mojego życia. Mama była cieniem samej siebie. Wychodziła z sypialni wyłącznie w nocy, zawsze ubrana w nocną koszulę – flanelową tunikę w kwiatki, z niepokojąco dziecinną kokardką pod brodą. Przestała się czesać, więc włosy wiły się wokół jej twarzy chaotycznie jak smugi dymu, a cienie pod jej oczami były tak ciemne że wyglądały na siniaki. Zdarzało jej się zacząć coś mówić, wzniesić przy tym ręce – i zaraz zamilknąć, jakby uciszona świadomością tego gestu, jej własnych rąk unoszących się ku górze.

Ledwo co jadła i przestała gotować. Tata starał się przejąć te obowiązki, ale nie miał do nich serca. Zwykle wracał do domu z kampusu i przeglądał zawartość kuchennych szafek. Pamiętam obiady złożone z paluszków słonych i masła orzechowego, zupy pomidorowej z puszki na przystawkę i chowdera z małą, również konserwowego, jako danie główne. Każdy posiłek był pasywno-agresywnym krzykiem serca.

Babcia Donna zaczęła przychodzić codziennie, żeby mnie przypilnować, ale w Bloomington w roku 1979 bynajmniej nie oznaczało to, że miała mnie zawsze na oku. Wolno mi było biegać po naszej dzielnicy, tak jak wolno mi było biegać po posesji, na której stał nasz wiejski dom – jedyną różnicą było, że teraz przykazywano mi uważać na samochody, nie na strumyk. Obowiązywał mnie zakaz przechodzenia przez ulicę bez asysty kogoś dorosłego, ale zawsze udawało mi się znaleźć kogoś dorosłego, kiedy był potrzebny. Poznałam większość naszych sąsiadów, trzymając ich za rękę i patrząc najpierw w lewo, potem w prawo. Pamiętam, że pan Bechler zapytał, czy trenuję przed olimpiadą dla gaduś. Orzekł, że widzi we mnie murowaną kandydatkę do złotego medalu.

Na naszej ulicy nie mieszkało wiele dzieci, a z tych niewielu żadne nie było w moim wieku. Andersonowie mieli maleńką córeczkę o imieniu Eloise. Dwa domy od nas mieszkał dziesięcioletni chłopiec o imieniu Wayne; na rogu po przeciwnej stronie ulicy mieszkał licealista. Nie było nikogo, kogo na zdrowy rozum mogłabym uważać za potencjalnego towarzysza zabaw.

Poznałam za to dobrze okoliczne zwierzaki. Moją ulubienicą była Snippet, suczka Belcherów, brunatno-biała spanielka z różowym nosem. Belcherowie trzymali ją uwiązaną na podwórzu, bo gdyby tylko miała ku temu najmniejszą okazję, natychmiast by uciekła. Raz już się zdarzyło, że wpadła pod samochód (przynajmniej o tym jednym razie właściciele wiedzieli). Spędzałam ze Snippet całe godziny; kładła głowę na mojej nodze albo stopie, nadstawiała uszu i słuchała każdego mojego słowa. Kiedy Belcherowie zauważyli, co się dzieje, postawili dla mnie krzeselko – jedno z tych dziecinnych krzesel, które kupili, gdy ich wnuki były

małe. Na siedzeniu miało poduszkę w kształcie serca.

Spędzałam też masę czasu samotnie albo samotnie w towarzystwie Mary (pamiętacie Mary, tę wymyśloną przyjaciółkę, której nikt nie lubił?). Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się spędzać wiele czasu w ten sposób i nieszczęśliwie mi się to podobało.

Babcia Donna ścieliła łóżka i robiła pranie, ale tylko wtedy, kiedy ojca nie było w domu; nie była w stanie przebywać z nim w jednym pokoju. Jeśli Lowell czuł gniew z powodu usunięcia Fern z naszego życia, gniew babci Donny wynikał z tego, że w ogóle została w nasze życie włączona. Jestem pewna, że zaprzeczyłaby, gdyby ją o to zapytać i zapewniałaby, że zawsze kochała Fern, ale ja wiedziałam jak jest już jako pięciolatka. Zbyt wiele się nasłuchiwałam historii z moich pierwszych urodzin, kiedy to Fern rozgrzebała zawartość torebki babci Donny i zjadła ostatnią fotografię dziadka Dana, polaroid, który babcia trzymała w torebce i patrzyła na niego, kiedy było jej smutno.

Jak to stwierdził Lowell, jeśli byłoby tam jeszcze jedno zdjęcie dziadka, z pewnością ja bym je zjadła: zawsze naśladowałam Fern niemal we wszystkim. Lowell powiedział też, że zdaniem ojca było bardzo symptomatyczne, że babcia pozostawiła torebkę pełną potencjalnie trującej zawartości w miejscu, gdzie Fern mogła dosięgnąć, ale ja nie.

Ojciec planował nadać Fern i mnie imiona po naszych babcicach, nazwać jedną Donna, a drugą Frederika, decydując przez rzut monetą, której z nas przypadnie które – ale obie babcie uparły się, żebym to ja dziedziczyła po nich imię. Tata, który chciał, żeby to był miły gest, a może nawet rodzaj rekompensaty, zirytował się, gdy wyszła z tego kłótnia. Prawdopodobnie spodziewał się tego po babci Donnie, ale nie po własnej matce. Już-już w rodzinie Cooke'ów miał nastąpić rozłam, rozdarcie w kontinuum czasoprzestrzeni, kiedy mama zdecydowała się uciąć dyskusję, stwierdzając, że ja będę miała na imię Rosemary, a Fern – Fern, bo ona jest matką i tak sobie życzy. Dowiedziałam się o całej wcześniejszej dyskusji tylko dlatego, że babcia Donna przywołała ją kiedyś w rozmowie jako dodatkowy argument na dziwaczność ojca.

Osobiście cieszę się, że nic z tego nie wyszło. Dla mnie Donna to imię jak dla babci, prawdopodobnie dlatego, że moja własna babcia ma na imię Donna. A Frederika? Jeśli można tak rzec, pod inną nazwą tak samo bym pachniała<sup>[7]</sup>. Nie wierzę jednak, że nie miałyby to na mnie ujemnego wpływu, gdyby przez całe życie wołano na mnie Frederika. Podejrzewam, że byłabym od tego mentalnie skrzywiona, jak łyżeczka wygięta spojrzeniem telekinetyka. (Nie mówię, że udało mi się uniknąć mentalnych skrzywień).

No więc babcia Donna sprzątała w kuchni, a jeśli miała nagły przypływ energii, zdarzało jej się też wypakować z pudeł trochę naczyń albo moich ubrań – było bowiem oczywiste, że nikt inny nie zamierzał się tym zająć. Przygotowywała

dla mnie drugie śniadanie, a potem gotowała coś zdrowego – jak na przykład jajko na miękko – i niosła do sypialni mamy. Sadzała matkę w fotelu, żeby zmienić pościel, wymuszała na niej zdanie koszuli nocnej do prania i błagała ją, żeby coś zjadła. Czasami była pełna współczucia i zabawiała matkę leczniczą dozą nowinek na tematy, które ją samą interesowały – głównie opowieściami o problemach małżeńskich i zdrowotnych ludzi, których mama nigdy nie poznała. Babcia Donna szczególnie lubiła ludzi nieżyjących: pasjami czytała biografie postaci historycznych i miała szczególną słabość do Tudorów, którzy wynieśli spory małżeńskie do poziomu ekstremalnego sportu.

Jeśli to nie skutkowało, zaczynała sarkać, wygłaszając kwestie w rodzaju „to grzech marnować taki piękny dzień” albo: „dzieci cię potrzebują”. Albo że już rok temu należało mnie wysłać do żłobka, a teraz powinnam już być w przedszkolu. (Nie poszłam, bo Fern nie mogła iść, i Mary też nie). I że ktoś powinien przywołać Lowella do porządku, bo, na miłość boską, ma ledwie jedenaście lat i już rządzi całym domem. Wolą, żeby któreś z jej dzieci przejęło prowadzenie w rozgrywkach emocjonalnego szantażu, które Lowellowi uchodziły na sucho; mój brat powinien doświadczyć bliskich spotkań trzeciego stopnia z ojcowskim pasem.

Pewnego dnia pojechała do Marco z zamiarem nakłonienia Lowella do powrotu do domu, ale wróciła pokonana, z twarzą pomarszczoną jak suszona śliwka. Mama Marco powiedziała jej, że chłopcy byli na rowerach, nie wiadomo dokładnie gdzie – i że mój ojciec dziękował jej bardzo, że pozwoliła Lowellowi zatrzymać się u nich; oczywiście wysłałaby go z powrotem do domu, gdyby ojciec o to poprosił. Babcia Donna zaraportowała mamie, że pod okiem mamy Marco chłopcy są kompletnie bez żadnego dozoru. I że to bardzo niegrzeczna kobieta.

Babcia zawsze opuszczała dom przed powrotem ojca z pracy, czasem instruując mnie, żebym nie wspominała o tym, że tu była; skłonność do konspiracji była wpleciona w jej DNA jak warstwa maku w makowiec. Ale oczywiście ojciec wiedział. Czy inaczej zostawiałby mnie samą w domu? Później znosił z sypialni matki na dół do kuchni jedzenie, które ugotowała babcia Donna, i wyrzucał do śmieci. Brał sobie piwo, potem następne, potem nalewał pierwszą whisky. Dla mnie smarował krakersy masłem orzechowym.

Nocą przez ścianę sypialni słyszałam ich kłótnie – mama mówiła zbyt cicho, by dało się ją zrozumieć (a może w ogóle milczała); w głosie ojca wyczuwało się, że był podcięty (teraz wiem, że tak było). – Wszyscy do mnie macie pretensje – mówił ojciec. – Moja własna żona, własne dzieci. Czy mieliśmy jakieś inne wyjście? Mnie jest przykro tak samo jak wszystkim innym.

A w końcu Lowell wreszcie pojawił się w domu: wszedł po ciemnych schodach niesłyszany przez nikogo; przyszedł do pokoju i obudził mnie. Ścisnął mnie mocno za ramię w takim miejscu, by T-shirt ukrył siniak, pozostały po tym uścisku, i rzekł z wyżyn swoich lat jedenastu, do mnie, pięcioletniej: – Obyś

choć raz trzymała język za zębami!

Nigdy w życiu nie byłam tak bardzo uszczęśliwiona, widząc kogoś, jak  
byłam na jego widok.

Dostałam fobii na punkcie zamkniętych drzwi do sypialni rodziców. Późną nocą słyszałam, jak pulsują w ramie jak bijące serce. Kiedy tylko Lowell mi pozwalał, przychodziłam do jego pokoju i przytulałam się do niego, starając się trzymać najdalej jak mogłam od tych drzwi, nie opuszczając przy tym domu.

Czasami Lowellowi było mnie żal. Czasami wydawało mi się, że był tak samo przestraszony jak ja. Oboje dźwigaliśmy ciężar związany ze zniknięciem Fern i załamaniem matki; czasami nawet dźwigaliśmy go wspólnie. Lowell czytywał mi książki albo pozwalał siedzieć i gadać, podczas gdy sam rozkładał skomplikowane i niemożliwe do rozwiązania pasjansy z dwu lub trzech talii kart. Jeśli taki pasjans łatwo byłoby rozegrać, Lowell nie zawracałby sobie nim głowy.

Czasami, jeśli nie obudził się jeszcze całkiem, pozwalał włączyć na swoje łóżko po zmroku, udzielając mi schronienia przed krzykami ojca – ale pamiętam też, że czasem go to złościło i odsyłał mnie, rozszlochaną, z powrotem na górę. Przeskakiwanie z jednej sypialni do drugiej było powszechnie przyjętym obyczajem w naszym domu: Fern i ja rzadko budziłyśmy się w tym samym łóżku, w którym zasypiałyśmy. Rodzice byli zdania, że to całkiem naturalny, typowy dla ssaków odruch, że nie chcą sypiać samotnie – toteż pomimo iż woleliby, byśmy sypiały w naszych pokojach (bo kopałyśmy i wierciłyśmy się przez sen), zwykle nie upierali się przy tym.

Gdy Lowell spał, dla uspokojenia bawiłam się jego włosami. Lubiłam łapać ich kosmyk między dwa palce złożone jak nożyce i dotykać kciukiem ostrych końcówek. Lowell miał fryzurę jak Luke Skywalker, ale kolor włosów kompletnie jak Han Solo. Oczywiście wtedy jeszcze nie widziałam filmu. Byłam za mała, a poza tym Fern nie mogła iść ze mną. Ale mieliśmy karty z podobiznami bohaterów. Byłam na bieżąco w kwestii włosów.

Lowell, który obejrzał film już kilka razy, odgrywał dla nas sceny z niego. Najbardziej lubiłam Luke'a. *Jestem Luke Skywalker. Przybyłem cię uratować.* Fern, której gust był bardziej wyrafinowany, preferowała Hana. *Śmieję się, śmieję, kupo kłaków.*

Dzieci bardzo źle znoszą niesprawiedliwość. Gdy w końcu obejrzałam *Gwiezdne Wojny*, cały film zepsuło mi to, że na końcu Luke i Han dostają order, a Chewbacca nie. Lowell zmienił ten detal w swojej wersji, więc był to dla mnie szok.

\* \* \*

W pokoju Lowella unosił się zaduch mokrych cedrowych trocin wyściełających klatkę, przez całą noc poskrzypywała w niej karuzela, po której biegały trzy szczury, rozbitki z laboratorium ojca. Patrząc z perspektywy czasu,

było coś niesamowicie dziwnego w tym, jak łatwo ich status zmienił się nagle w ciągu jednego popołudnia: przestały być obiektami doświadczalnymi i zaczęły żyć w domowych zwierzątkach, którym przysługiwało imię, przywileje i wizyty u weterynarza. To naprawdę była historia jak z Kopciuszka. Dostrzegłam to jednak dopiero dużo później. Wtedy Herman Muenster, Charlie Cheddar i malutki laboratoryjny Templeton nie reprezentowały dla mnie niczego – były po prostu sobą.

Lowell także miał zapach – nie brzydki, ale bardzo wyczuwalny dla moich zmysłów; to dlatego, że zaczął pachnieć inaczej. Wówczas myślałam, że powodem była jego wściekłość; że woń, którą czuję, to zapach jego gniewu. Oczywiście był to też skutek tego, że Lowell dorastał, tracąc dziecienną słodycz, nabierając kwaśnego zapachu dojrzewania. Pocił się w nocy.

Niemal codziennie wychodził z domu, zanim ktokolwiek z nas się obudził. Nie od razu wiedzieliśmy o tym, ale zaczął jadać śniadania u Byardów. Byardowie byli bezdzielnym i bardzo pobożnym małżeństwem, które mieszkało teraz naprzeciwko nas, po drugiej stronie ulicy. Pan Byard miał bardzo słaby wzrok, więc Lowell czytał mu na głos wiadomości sportowe w czasie, gdy pani Byard smażyła jajka na bekonie. Zdaniem pani Byard, Lowell był słodki jak cukierek i zawsze był mile widzianym gościem.

Wiedziała co nieco o tym, co się działo u nas w domu. Większość Bloomington wiedziała, choć nikt nie rozumiał. – Modłę się za was wszystkich – powiedziała mi pani Byard, zjawiwszy się któregoś dnia na naszym progu z puszką pełną czekoladowych ciasteczek i oświetlona od tyłu jak anioł promieniami jesiennego słońca. – Pamiętajcie tylko, że jesteście stworzeni na Boży obraz i podobieństwo. Trzymajcie się tego, a przetrwacie każdą burzę.

\* \* \*

– Mój Boże, wszyscy pomyślą, że Fern umarła! – skomentowała babcia Donna.

Pewnie i wy tak myślicie – że jako pięcioletni dzieciak nie mogłam tego sama zrozumieć, dopóki by mi ktoś powiedział, ale starsi wiedzieli. Mogę zakładać jedynie, że rodzice próbowali mi wytłumaczyć, co się stało z Fern, może nawet wielokrotnie – ale ja wyparłam to ze świadomości. To po prostu nieprawdopodobne przypuszczać, że ledwo wspomnieli o tym w paru słowach.

Jedno natomiast pamiętam bardzo wyraźnie – że co rano budziłam się i co noc zasypiałam z uczuciem nieopanowanego, pierwotnego lęku. Fakt, że nie wiedziałam, skąd bierze się ten lęk, bynajmniej nie łagodził przerażenia. Wręcz przeciwnie: zwiększał je jeszcze.

Tak czy siak, Fern nie umarła. Nie umarła do dzisiaj.

Lowell zaczął chodzić do psychologa, co stało się częstym motywem nocnych monologów ojca. Za każdym razem, gdy psycholog Lowella coś

sugerował – naradę rodzinną, sesję tylko z rodzicami, ćwiczenia z wizualizacji czy hipnozy, nasz ojciec wybuchał. Oświadczał, że psychoanaliza to kompletna bzdura, przydatna wyłącznie teoretykom literatury. Może to się sprawdza przy konstruowaniu fabuły, takie założenie, że całe życie jakiejś osoby może być uwarunkowane traumą z dzieciństwa, może nawet niedostępną świadomej pamięci. Ale gdzie są badania z grupą kontrolną albo z zastosowaniem metodologii ślepej próby? I gdzie dowód na powtarzalność rezultatów?

Według ojca terminologia psychoanalityczna nabrała pozornie naukowej patyny dopiero gdy została przetłumaczona na angielski z użyciem łacińskich makaronizmów. W niemieckim oryginale była, na szczęście, znacznie skromniejsza. (Musicie sobie wyobrazić ojca, wykrzykującego te słowa. W domu mego dzieciństwa było czymś kompletnie normalnym zawrżeć w gniewnej tyradzie słowa takie jak „makaronizmy”, „terminologia” czy „patyna”).

Mimo to psycholog był pomysłem ojca. Podobnie jak wielu rodziców trudnych dzieci, ojciec miał ogromną potrzebę zrobienia czegoś – jak wielu rodzicom trudnych dzieci, nic poza psychologiem, żadne inne „zrobienie czegoś” nie przychodziło mu do głowy.

Dla mnie wynajął babysitterkę, studentkę o imieniu Melissa: nosiła okulary, w których wyglądała jak sowa, a jej włosy przecinały zygzakowate jak błyskawice niebieskie pasemka. Przez pierwszy tydzień kładłam się spać, jak tylko przychodziła i wstawałam dopiero kiedy sobie poszła. Powiedzmy to śmiało, byłabym spełnieniem marzeń dla każdej babysitterki.

To było zachowanie wyuczone. Któregoś razu – miałam wtedy cztery lata – babysitterka o imieniu Rachel wsypała mi do ust łyżeczką kilka ziaren surowego popcornu i powiedziała, że się usmażą jak trzeba, jeśli tylko będę mieć buzię zamkniętą wystarczająco długo. Przewidywany efekt wydał mi się wart zachodu; wytrzymałam tyle, ile tylko mogłam i byłam przygnębiona porażką – dopiero Lowell wyjaśnił mi, że popcorn nigdy by się nie usmażył. To doświadczenie kompletnie zniechęciło mnie do babysitterek jako takich.

W miarę jak oswoiłam się z Melissą, zdecydowałam, że ją lubię. To się świetnie składało. Uknułam plan, który zakładał, że naprawię moją rodzinę za pomocą jedynej wartościowej umiejętności, którą mogłam zaoferować: mówiąc do nich – ale nie mogłam zrealizować go w pojedynkę. Próbowałam wyjaśnić Melissie, jakie zabawy zaplanowałam na użytek ojca, jakie testy miałam przejść – ale ona nijak nie kumała, o co chodzi.

Poszliśmy na kompromis. Za każdym razem, kiedy przychodziła, uczyła mnie nowego słowa ze słownika. Jedywym wymaganiem było, że słowo musi być tak zapomniane i pokryte kurzem od nieużywania, że nawet ona nie słyszała go wcześniej. Nie obchodziło mnie, co dane słowo znaczy: to pozwalało zaoszczędzić na czasie i wysiłku. W rewanżu ja miałam nie gadać przez całą godzinę. Zwykle



dla pewności ustawiała timer na piekarniku, co skutkowało tym, że co kilka minut pytałam, kiedy ta godzina w końcu upłynie. Rzeczy, które miałam do powiedzenia zbierały się w mojej piersi i tłoczyły się tak gęsto, że byłam na granicy eksplozji.

– Jak ci minął dzień, Rose? – pytał tata po powrocie z pracy, a ja odpowiadałam, że dzień był wybujały. Albo połyskliwy. Lub dziesięciokątny. – Miło mi to słyszeć – odpowiadał. Ta wymiana nie niosła żadnej informacji. Jak się okazało, nie musiała nawet mieć sensu. Dodatkowe punkty za katachrezę.

Próbowałam jedynie pokazać mu, że przynajmniej ja kontynuuję naszą pracę. Kiedykolwiek przyszłoby mu ochota się przyłączyć, zastanie mnie w pełnej gotowości, z podwiniętymi rękawami i całkowicie zaabsorbowaną tym, co robię.

Któraś popołudnia przyszła babcia Donna i zmusiła mamę do wyjścia z domu – na kawę i na zakupy. Lato dobiegło końca i nawet jesień zmierzała nieuchronnie do swej końcowej daty przydatności do spożycia. Melissa miała mieć na mnie oko, ale zamiast tego wbiła wzrok w telewizor.

W tym momencie Melissa była już oficjalnie częścią gospodarstwa domowego i oglądała telewizję każdego popołudnia, mimo że do tej pory telewizja w ciągu dnia była czymś absolutnie niedozwolonym: od dzieci oczekiwano, że same wymyślą i zorganizują sobie zabawę od podstaw. Melissa uzależniła się od opery mydlanej. Nie była to ta sama, którą oglądali moi dziadkowie – nie występowali w niej ani Karen, ani Larry. Wszystko kręciło się wokół Bena i Amandy, Lucille i Alana. I jeśli w serialu moich dziadków było, ku ich ubolewaniu, za dużo o seksie, ten był istną orgią.

Melissa pozwalała mi oglądać razem z nią, bo nie rozumiałam z tego ani słowa; a ponieważ nie rozumiałam z tego ani słowa, nieczęsto chciałam oglądać. Nie doszłyśmy do porozumienia, jak cicho powinnam być w trakcie trwania serialu. Melissa zaczynała mi trochę popuszczać wodze. Właśnie nauczyła mnie nowego słowa, po czym wymogła obietnicę, że nigdy nie użyję go przy rodzicach. Słowo to brzmiało „falliczny”. Gdyby wiele lat później „falliczny” pojawiłoby się na teście SAT, byłabym zachwycona, ale nic z tego. To nie jest szczególnie użyteczny wyraz.

Jeśli chcecie wiedzieć, jak to jest z moim dotrzywaniem obietnic, zapytajcie Lowella. Ledwie ojciec wszedł do domu, powiedziałam mu, że miałam falliczny dzień (mimo że oficjalnie hasłem dnia miało być psychomanteum) – nie mam jednak pojęcia, czy miało to jakiś wpływ na podjętą wkrótce decyzję, by zrezygnować z usług Melissy.

Tak czy inaczej, zanim jeszcze wypowiedziałam słowo „falliczny” przy ojcu, powiedziałam je do Lowella. Lowell miał być w szkole, ale wrócił do domu wcześniej. Wślizgnął się tylnymi drzwiami i dał mi znak, żebym poszła za nim na zewnątrz – zrobiłam to, ale nie tak cicho, jak by sobie życzył. Moje nowe słówka kompletnie go nie interesowały, zniecierpliwiony machał na nie ręką.

Przed domem stał jeden z naszych sąsiadów, chłopiec z białego domu na rogu, ten starszy, z liceum. Russell Tupman, oparty o niebieskiego datsuna mamy, zapalił wymiętego papierosa i zaciągnął się. Nigdy nie przypuszczałam, że zobaczę Russella Tupmana na moim podjeździe. Byłam urzeczona. Pochlebiali mi to. Z miejsca się zakochałam.

Lowell podniósł rękę i potrząsnął nią. W jego zaciśniętej dłoni dzwoniły kluczyki do samochodu. – Jesteś pewien, że chcesz ją zabrać? – zapytał Russell, wskazując na mnie wzrokiem. – Słyszałam, że to gaduła.

Na co Lowell odparł: – Będzie nam potrzebna.

Nakazano mi więc zasiąść na tylnym siedzeniu i Lowell zapiął mi pasy, o czym zawsze pamiętał – nawet wtedy, kiedy to nie Russell prowadził samochód. Potem dowiedziałam się, że Russell nie miał jeszcze prawa jazdy. Zrobił kurs i tak dalej: umiał prowadzić. Nie pamiętam, żebym choć przez chwilę czuła niepokój jadąc z nim, bez względu na to, jaka afera z tego później wynikła.

Lowell powiedział mi, że jedziemy na tajemną wyprawę, na wypad szpiegowski, i że mogę zabrać Mary, bo Mary wiedziała, jak trzymać buzię na kłódkę i będzie świecić przykładem. Byłam dość uradowana tym wszystkim, dumna, że mogę jechać ze starszymi chłopakami. Kiedy dziś na to patrzę, wiem, że Lowell miał ledwie jedenaście lat, a Russell szesnaście, i ta różnica wieku była w tym momencie gigantyczna, ale wtedy obydwaj wydawali mi się jednakowo czarujący.

Poza tym, w owym czasie desperacko chciałam wyjść z domu. Śniło mi się, że słyszę, jak ktoś puka od wewnątrz w drzwi sypialni rodziców. Z początku był to wesoły rytm, jak stepowanie, tyle tylko, że z każdą chwilą ten dźwięk był coraz głośniejszy; wreszcie tupanie było tak głośne, że niemal czułam, jak pękają mi bębniaki w uszach. Obudziłam się przerażona. Łóżko pode mną było całe mokre, musiałam iść po Lowella, żeby dał mi nową piżamę i zmienił pościel.

Russell przełączył radio ze stacji naszej mamy na WIUS, rozgłośnię studencką. Właśnie grali jakiś kawałek, którego nie znałam, co nie powstrzymało mnie od podśpiewywania razem z wokalistą – aż do momentu, kiedy Russell oświadczył, że cholernie go to irytuje.

Cholernie. Powtórzyłam to słowo kilka razy, ale cichutko, do siebie, żeby Russell nie musiał na nie reagować. Podobało mi się, jak wymawianie go zawijało język.

Nie mogłam widzieć, co się dzieje za przednią szybą; widziałam tylko tył głowy Russella, gibiący się w takt muzyki za zagłówkiem fotela. Próbowałam wykombinować, co mogło sprawić, żeby mnie pokochał. Coś mi mówiło, że wielkie słowa nie są najlepszą drogą do Russellowego serca, ale nie przychodziło mi do głowy nic więcej, co mogłabym zaoferować.

W radio dalej grała muzyka, potem puścili reklamę nowego

słuchowiska-misterium, które miało zostać zaprezentowane w Halloween. Potem był telefon od słuchacza, skarżącego się na profesora, który zadał jako lekturę *Draculę* – musieli to czytać nawet wierzący, którzy obawiali się, że może to zaszkodzić ich duszom. (Zatrzymajmy się tu na chwilę refleksji, jak też musi się dziś czuć osoba, która w 1979 roku żywiła przekonanie, że jest zagrożona przez książkę o wampirach. I czym prędzej wróćmy do mojej opowieści).

Kilku innych słuchaczy zadzwoniło, by wypowiedzieć się na ten temat. Niektórzy byli za *Draculą*, niektórzy przeciw, ale nikt nie popierał profesora, który uważał, że ma prawo mówić studentom, co mają czytać.

Samochód zaczął podskakiwać na wybojach i słyszałam dźwięk żwiru pod kołami. Rozpoznałam jasną koronę tulipanowca, który stał przy drodze do naszego dawnego domu na farmie, złote liście drzewa trzepotały na wietrze na tle bladobłękitnego nieba. Lowell wysiadł, by otworzyć bramę wjazdową, i zaraz wsiadł z powrotem do samochodu.

Nie miałam pojęcia, że to właśnie tu jedziemy. Niepokój zajął miejsce mego znakomitego dotąd nastroju. Mimo że nikt tego nie powiedział – nikt w ogóle nie mówił wiele na ten temat – zakładałam, że Fern została na farmie i mieszkała ze studentami ojca. Wyobrażałam sobie, że jej życie toczy się mniej więcej w tym samym rytmie – a może nawet spokojniej niż moje: na pewno tęskniła za mamą (czyż wszyscy za nią nie tęskniliśmy?), ale tata pewnie zaglądał do niej, żeby nadzorować przebieg ćwiczeń i gier z użyciem rodzyneków i czerwonych żetonów pokerowych. Zakładałam, że kiedy za kilka miesięcy nadejdzie dzień jej szóstych urodzin, dostanie tort z różami z lukru, które obie tak bardzo lubiłyśmy. (Nie mam jednak stuprocentowej pewności, czy jej odczucia były identyczne jak moje).

Myślałam więc, że to bardzo smutne, że Fern w ogóle nie widywała mamy – ale ogólnie nie miała tak źle. Studenci byli mili, nigdy nie krzyczeli na nią – po pierwsze, mieli zakaz, a po drugie, przepadali za nią. Kochali Fern bardziej niż mnie. Czasem musiałam uczepiać się ich nóg i nie puszczać, żeby w ogóle raczyli zwrócić na mnie uwagę.

Samochód lekko podskoczył, wjeżdżając na podjazd. Fern zawsze słyszała, że ktoś przyjechał i niemal natychmiast siadała przy oknie. Nie byłam pewna, czy chcę ją zobaczyć – wiedziałam za to, że ona nie miała ochoty widzieć mnie. – Mary nie chce odwiedzać Fern – powiedziałam do Lowella. Odwrócił się w moją stronę; jego zwężone oczy przeszyły mnie lodowatym spojrzeniem. – Boże świąty! Naprawdę myślałaś, że Fern ciągle jest tutaj? Kurwa mać, Rosie!

Nigdy wcześniej nie słyszałam z ust Lowella zwrotu „kurwa mać”; patrząc z perspektywy czasu, jestem pewna, że nie użył go, żeby zaimponować Russellowi. „Kurwa mać” było kolejnym wyrażeniem, którego wymawianie sprawiało mi przyjemność. Kurwa mać, kurwa mać, kurwa mać. Kwakać, kwakać, kwakać. – Nie bądź dziecinna – rzekł Lowell. – Nikogo tu nie ma. Dom jest całkiem pusty.

– Nie jestem dziecinna – odszczeknęłam się. To był czysty odruch: czułam taką ulgę, że nie miałam zamiaru się obrażać. Nie będzie pełnego złości ponownego spotkania. Znajome korony drzew wisiały nad naszymi głowami jak złote obłoki; pod kołami chrzęścił znajomy żwir. Pamiętam, jak wynajdywałam kawałki kwarcu na podjeździe, przejrzyste i krystaliczne. Przytrafiały się jak czterolistne koniczyny: wystarczająco często, bym zawsze próbowała je znaleźć. W nowym domu nie było żwiru na podjeździe, więc nie było sensu się za nimi rozglądać.

Samochód zatrzymał się. Wysiedliśmy i podeszliśmy do kuchennych drzwi z boku domu, ale były zamknięte – podobnie jak wszystkie inne drzwi, wyjaśnił Russellowi Lowell; podczas naszego ostatniego roku tutaj wszystkie okna, nawet te na piętrze, zostały okratowane, a szlak z czubka jabłoni do sypialni zamknięty zanim zdołałam opanować sztukę korzystania z niego.

Ostatnią nadzieją były psie drzwiczki, prowadzące do kuchni. Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek mieli psa – ale najwyraźniej mieliśmy dużego teriera o imieniu Tamara Press; wyglądało na to, że Fern i ja uwielbiałyśmy ją do szaleństwa i sypiałyśmy na niej aż do czasu, gdy zmarła na raka, krótko przed moimi drugimi urodzinami. Zatrzaski tych drzwi, co nietypowe dla psich drzwiczek, były od zewnątrz.

Lowell je odblokował i kazał mi wejść przez nie. Nie chciałam. Bałam się. Miałam uczucie, że dom musi być bardzo dotknięty, że już w nim nie mieszkam, że musi czuć się porzucony. – To tylko pusty dom – próbował mnie zachęcić Lowell. – No i Mary może iść z tobą. Tak jakby mogło mi kiedykolwiek przejść przez głowę, że w razie czego Mary mnie obroni.

Mary była bezużyteczna. Chciałam do Fern. Kiedy Fern będzie mogła wrócić do domu?

– Hej, lilipucie – powiedział Russell. Powiedział to do mnie! – Liczymy na ciebie.

No więc zrobiłam to. Z miłości.

\* \* \*

Przeczołgałam się przez psie drzwiczki do kuchni i stanęłam w smudze słonecznego światła; drobinki kurzu odbijały się ode mnie jak maleńkie kule bilardowe i błyszczały jak brokat. Nigdy nie widziałam tej kuchni pustej. Wytarte linoleum było jaśniejsze i gładziej w miejscu, gdzie powinien stać stół, przy którym jadaliśmy śniadania. Fern i ja schowałyśmy się kiedyś pod tym stołem, żeby nikt nie przyuważył, jak rysowałyśmy flamastrami po podłodze. Jeśli wiedziało się, czego szukać, błady cień naszych rysunków był ciągle widoczny.

Puste pomieszczenie przytłoczyło mnie jak gęsty pomruk, czułam, jak ścisła mnie, aż ledwie mogłam złapać oddech. Kuchnia wydawała mi się pełna gęstego, duszącego gniewu – nie wiedziałam tylko, kto był źródłem tej złości: dom czy

Fern. Pospiesznie otworzyłam drzwi, wpuszczając Lowella i Russella do środka. Gdy tylko weszli, dom zwolnił swój uścisk. Nie był już wściekły. Był za to okropnie smutny.

Chłopcy weszli dalej, rozmawiając półgłosem, żebym nie mogła słyszeć, o czym mówią; wzbudziło to moją podejrzliwość, więc podążyłam za nimi. Tęskniłam za tyloma rzeczami, które zostały tutaj. Za szerokimi schodami. Zwykliśmy zjeżdżać po nich na pufach z fasoli jak na sankach. Tęskniłam za piwnicą. Zimą zawsze były tam kosze pełne marchwi i jabłek, z których można było brać i jeść, ile się chciało, bez pytania – trzeba było tylko przejść przez ciemność, by je znaleźć. Nie zamierzałam tam schodzić, dopóki chłopcy tego nie zrobią – a i wtedy trzymałabym się blisko nich.

Brakowało mi przestrzeni i nieustannej krzątaniny związanych z tym domem. Brakowało mi tylnego podwórza tak rozległego, że nie widać było jego końca. Tęskniłam za stodołą, za stajnią zagraconą popsutymi krzesłami, rowerami, stertami starych czasopism, kołyską, naszym wózkiem dzieciennym i fotelikami do samochodu. Tęskniłam za strumieniem i dołem na ognisko, w którym latem piekliśmy kartofle albo robiliśmy popcorn. Brakowało mi słoików z kijankami, które trzymaliśmy na ganku w ramach naszych naukowych eksperymentów, gwiazdozbiorów wymalowanych na sufitach, mapy świata na ścianie biblioteki: mogliśmy zabrać do niej drugie śniadanie i jeść je w Australii, Ekwadorze czy Finlandii. Mogłam przykryć dłońmi nazwy kontynentów, wydrukowane czerwonymi literami wzdłuż zachodniego brzegu mapy. Nie mogłam nakryć dłonią stanu Indiana, ale potrafiłam rozpoznać go na mapie po charakterystycznym kształcie. Miałam nadzieję, że wkrótce będę w stanie odczytać napisy. Zanim się stamtąd wyprowadziliśmy, mama zaczęła mnie uczyć matematyki z ojcowskich książek. *Iloczyn dwóch liczb zawsze jest liczbą.*

– Ale cyrk – orzekł Russell, co natychmiast zgasiło mój promienny nastrój. Co za nora. Mój pokój w nowym domu jest dużo większy niż ten, w którym mieszkałam tutaj.

– Czy trawnik ciągle jest pod prądem? – zapytał Russell. Podwórze było zarośnięte mleczem, jaskrami i koniczyną, ale można było się domyślić, że kiedyś był to trawnik.

– O czym ty mówisz? – zapytał Lowell.

– Słyszałem, że można było zostać porażonym prądem, jeśli się chodziło po tym trawniku. Słyszałem, że wszystko było pod prądem, żeby obcy tu nie włązili.

– Nie – odparł Lowell. – To najzwyczajniejszy trawnik.

\* \* \*

Serial, który oglądała Melissa nieuchronnie dobiegł końca i w końcu zorientowała się, że nie ma mnie w domu. Szukała po całej okolicy, aż w końcu Byardowie zmusili ją, żeby zadzwoniła do ojca – który tymczasem właśnie dostał

wiadomość, że Lowell nie pojawił się w szkole. Musiał odwołać zajęcia – co wielokrotnie wypominał nam przez następnych kilka dni – a to oznaczało, że także jego studenci, nie tylko on, ponosili negatywne skutki całego zajścia (tak jakby jego niepojawienie się na zajęciach nie było najlepszym, co przytrafiło się tym studentom przez cały tydzień). Gdy wrócił do domu, zauważył zniknięcie samochodu.

\* \* \*

Nic dziwnego, że po naszym powrocie, kiedy zabrał mnie z tylnego siedzenia, nie zapytał nawet, jak minął mi dzień. Co nie powstrzymało mnie przed opowiedzeniem mu wszystkiego.

Jest jeszcze coś, czego nie wiecie o Mary. Wymyślona towarzysza mego dzieciństwa nie była dziewczynką. Była małym szympansem.

Oczywiście, moja siostra Fern też.

Niektórzy z was już na to wpadli. Inni mogą uważać, że to wyjątkowo przebiegłe i irytujące z mojej strony, że tak długo ukrywałam przed wami istotną dla całej opowieści małpność Fern.

Pozwólcie mi się usprawiedliwić: miałam ważny powód, żeby tak zrobić. Ta okoliczność – że wychowałam się z szympansem – ukształtowała pierwsze osiemnaście lat mojego życia. Musiałam przeprowadzić się na drugi koniec kraju, żeby się od tego zdystansować. Z pewnością nigdy nie będzie to pierwsza rzecz, którą o sobie powiem, poznając kogoś.

Co jednak dużo istotniejsze, chciałam, żebyście zobaczyli, jak było naprawdę. Gdybym powiedziała wam, że Fern jest szympansem, natychmiast przestalibyście myśleć o niej jako o mojej siostrze. Zamiast ją uważać za członka rodziny, uznalibyście, że kochaliśmy ją tak, jak się kocha zwierzęta domowe. Po zniknięciu Fern babcia Donna powiedziała Lowellowi i mnie, że mama była też kompletnie zdruzgotana po śmierci naszej suki, Tamary Press – sugerując, że mama czuła teraz dokładnie to samo. Lowell powtórzył to ojcu; wszyscy byliśmy dotknięci do żywego do tego stopnia, że babcia Donna natychmiast zrezygnowała ze wspominania o tym więcej.

Fern nie była domowym pieskiem. Dla Lowella była młodszą siostrą, jego cieniem, wiernym towarzyszem. Nasi rodzice obiecali kochać ją jak córkę, i przez wiele lat zastanawiałam się, czy dotrzymali słowa. Zaczęłam uważniej słuchać historii, które mi czytali, i które wkrótce zaczęłam czytać sama, starając się dowiedzieć, jak bardzo rodzice kochają swoje córki. Ja byłam i córką, i siostrą. Musiałam się tego dowiedzieć – nie tylko ze względu na Fern.

Z książek dowiedziałam się o córkach rozpieszczonych i uciśnionych, o córkach mówiących mocnym głosem i tych, co całkiem zamilkły. Znalazłam córki więzione w wysokich wieżach, bite i traktowane jak służące, i ukochane córki, które oddano na służbę obrzydliwym potworom. Zwykle dziewczynki wypędzane z domu były sierotami, jak Jane Eyre czy Anna Shirley – ale nie zawsze. Małgosia została wyprowadzona do ciemnego lasu i porzucona tam wraz z bratem. Dicey Tillerman<sup>[8]</sup> i jej rodzeństwo porzucono na parkingu centrum handlowego. Sara Crewe z *Małej księżniczki*, uwielbiana przez swojego ojca, i tak została wysłana daleko do szkoły z internatem. Ogólnie rzecz biorąc, było masę możliwości w kwestii traktowania córek – i to, co spotkało Fern, doskonale pasowało do tego spektrum.

Pamiętacie tę starą baśń, którą wspominałam na samym początku – w której słowa jednej siostry zamieniają się w kwiaty i drogie kamienie, a drugiej w węże i ropuchy? Oto, jak kończy się ta baśń: starsza siostra zostaje wygnana do lasu, gdzie umiera, żałośnie i samotnie. Jak się dowiadujemy, jej własna matka zwróciła się przeciwko niej – co w moich oczach było tak okropne, że wolałabym nigdy o tym nie usłyszeć; chciałabym móc powiedzieć mamie, żeby nigdy więcej nie czytała mi tej bajki – i to na długo, zanim Fern odprawiono z domu. Może jednak byłam tak wstrząśnięta i zaniepokojona, że zmyśliłam to zakończenie. Może dopiero po odejściu Fern zrozumiałam, co powinnam była czuć, i dopasowałam odpowiednio moje wspomnienia. Ludzie tak robią. Ludzie bez przerwy tak robią.

Ledwie pamiętam choćby moment spędzony samotnie, aż do czasu wygnania Fern. Była moją bliźniaczką, moim krzywym zwierciadłem, moją niepokromioną drugą połową. Co ważne, to że i ja byłam dla niej dokładnie tym samym. Powiedziałabym, że – podobnie jak Lowell – kochałam ją jak siostrę, ale była jedyną siostrą, jaką kiedykolwiek miałam, więc nie mam pewności: to eksperyment bez grupy kontrolnej. Mimo to, gdy pierwszy raz czytałam *Małe kobiety*, wydawało mi się, że kochałam Fern tak jak Jo kochała Amy, choć nie tak bardzo jak kochała Beth.

\* \* \*

Nie byliśmy jedyną w tych czasach rodziną próbującą wychować małe szympanię tak, jakby było ludzkim dzieckiem. Supermarketowe alejki w miasteczku Norman w Oklahomie, gdzie doktor William Lemmon<sup>[9]</sup> hojną ręką rozdawał szympansy swym studentom i pacjentom, były pełne rodzin takich jak nasza.

Nie byliśmy nawet jedyną rodziną wychowującą jednocześnie szympanię i małe dziecko, choć nikt poza nami nie traktował dwójki maluchów jak bliźnięta, a przynajmniej nie od lat trzydziestych, kiedy Kelloggowie<sup>[10]</sup> próbowali to zrobić. W latach siedemdziesiątych w większości uszympanionych gospodarstw domowych ludzkie dziecko było o wiele starsze i nie uczestniczyło w eksperymencie.

Fern i ja otrzymałyśmy identyczne wychowanie we wszystkich aspektach zgodnych ze zdrowym rozsądkiem. Jestem przekonana, że nie było w całej Ameryce drugiego dziecka wychowywanego z szympansem rodzeństwem, które musiałyby, jak ja, odpowiadać odmownie na wszystkie zaproszenia na przyjęcia urodzinowe. Powodowane było to głównie obawą, że mogłabym przywlec do domu katar; małe szympansy są wyjątkowo nieodporne na infekcje górnych dróg oddechowych. Przez pierwsze pięć lat mego życia poszliśmy na dokładnie jedno przyjęcie; sama tego nie pamiętam, ale Lowell opowiedział mi, że miał tam miejsce nieprzyjemny incydent z udziałem pinaty, kija bejsbolowego i latających cukierków, który zakończył się tym, że Fern ugryzła w nogę solenizantkę, Bertie



Cubbins. Jak się okazało, gryzienie osób nie będących członkami najbliższej rodziny to bardzo poważna sprawa.

Oczywiście tylko teoretyzuję, twierdząc, że inne uszypansione rodziny postępowały inaczej. Nie ulega wątpliwości, że Fern była nadzwyczaj wyczulona na wszelkiego rodzaju faworyzowanie. Reagowała na nie stanowczo i sarkastycznie. Szympanasy bardzo źle znoszą niesprawiedliwe traktowanie.

Moje najwcześniejsze wspomnienie – związane bardziej z dotykiem niż z obrazem – to jak leżę przytulona do Fern. Czuję jej futro na policzku. Właśnie wyszła z kąpieli z pianą i pachniała mydłem truskawkowym i mokrym ręcznikiem. Na rzadkich białych włoskach na jej podbródku zostało ciągle kilka kropel wody. Widzę to wszystko, spoglądając w górę ponad ramieniem, na którym się opieram.

Widzę jej rękę, jej czarne paznokcie znikające i pojawiające się z każdym ruchem zamykanej i otwieranej dłoni. Musimy być obie bardzo małe, bo jej dłoń jest miękka, naznaczona liniami i różowa. Daje mi wielkiego złotego rodzyńka.

Na podłodze przed nami stoi ich cała miska; myślałam, że są tylko dla Fern, nie dla mnie, że dostała je w nagrodę za zwycięstwo w jednej z naszych zabaw; ale to nieważne, bo Fern dzieli się nimi ze mną – jeden dla niej, drugi dla mnie, jeden dla niej, drugi dla mnie. W tym wspomnieniu jestem ogromnie zadowolona.

Inne, późniejsze wspomnienie. Jesteśmy w gabinecie ojca i gramy w grę, którą nazwałyśmy Takie Samo/Inne. Na potrzeby Fern gra polega na tym, że pokazuje się jej dwa przedmioty: na przykład dwa jabłka albo jabłko i piłkę tenisową. Fern trzyma w ręku dwa żetony pokerowe: jeden niebieski, drugi czerwony. Jeśli myśli, że przedmioty są takie same, ma dać czerwony żeton Sherry – studentce nadzorującej dziś nasze zabawy. Niebieski żeton znaczy: inne. Nie ma pewności, czy Fern rozumie zasady tej gry.

Dla mnie tymczasem gra jest już za łatwa. Pracuję z Amy, która daje mi różne listy, cztery rzeczy na każdej z nich. Moim zadaniem jest zgadnąć, która z tych czterech nie pasuje do innych. Niektóre z tych zadań są podchwytliwe. Z prosiaczka, kaczątka, konia i małego misia wyrosną świnią, kaczką, koń i niedźwiedź. Jestem zachwycona tą grą, zwłaszcza kiedy ojciec tłumaczy, że nie ma w niej złych odpowiedzi: wszystko służy temu, by prześledzić moje rozumowanie. Tak więc gram w grę, w której zawsze wygrywam i mogę wszystkim opowiadać ze szczegółami, o czym myślę, grając w nią.

Wybieram więc, co chcę i opowiadam Amy także o tym, co wiem o kaczkach, koniach i innych stworzeniach, o moich doświadczeniach z nimi. Czasami, kiedy karmi się kaczkę chlebem, te duże zjadają wszystko, a małym nie dostaje się nic – mówię Amy. To niesprawiedliwe, prawda? To nieładnie. Ładnie jest dzielić się z innymi.

Opowiadam jej, jak raz kaczkę mnie goniły bo nie miałam dość chleba dla

wszystkich. I o tym, że Fern nie daje kaczkom swojego chleba. Zjada go sama – czasami naprawdę, czasami nie. Amy mnie nie poprawia, więc powtarzam to jeszcze raz, z większym przekonaniem. Fern nie jest dobra w dzieleniu się z innymi, mówię, przemilczając fakty, które świadczą o tym, że Fern doskonale potrafi dzielić się ze mną.

Opowiadam Amy, że nigdy nie jeździłam konno, ale kiedyś będę. Kiedyś będę mieć własnego konia i pewnie nazwę go Gwiazdka albo Płomień. – Fern nie mogłaby jeździć na koniu, prawda? – pytam. Zawsze staram się wynajdywać rzeczy, które ja mogę robić, ale Fern nie. – Prawdopodobnie masz rację – odpowiada Amy i notuje wszystko. Życie jest super.

Ale Fern jest sfrustrowana, bo nie pozwalają jej jeść jabłek. Nie gra już w Takie Samo/Inne. Przychodzi do mnie, opiera swoje szorstkie jak deska czoło o moje, gładkie tak, że mój wzrok pada prosto w jej bursztynowe oczy. Jest tak blisko, że czuję jej oddech w ustach. Wyczuwam po zapachu, że jest nieszczęśliwa: pod zwykłym, mokro-ręcznikowym zapachem jej oddechu czuję ostrą, cierpką nutę. – Zostaw mnie w spokoju, Fern – mówię i odpycham ją lekko. Przecież ja tu pracuję, nie?

Przez chwilę przechadza się po pokoju i na migi pokazuje, że chciałaby jabłko albo banana, cukierka albo jakichś innych pyszności – ale nadaremnie, bo nic z powyższych nie materializuje się na jej życzenie. Nagle zaczyna skakać tam i z powrotem z blatu ojcowego biurka na duży fotel. Ma na sobie swoją ulubioną żółtą spódniczkę w niebieskie ptaszki; gdy tak skacze, spódnica podfruwa jej aż do pasa, ukazując pieluchę pod spodem. Nadyma i wywija wargi, jej twarz jest blada i nieruchoma. Słyszę cichy odgłos – *uu, uu, uu*, który wydaje zawsze, gdy jest zaniepokojona. Widać, że dla niej to nie jest dobra zabawa, ale ja uważam inaczej. Sama wspinam się na biurko ojca – nikt nie mówi mi: *przestań* ani nawet: *ostrożnie*, może dlatego, że skoro nie powiedzieli tego Fern, teraz mnie też nie mogą. Fotel jest dalej, niż się spodziewałam; ląduję na podłodze, uderzając w nią łokciem. Upadając słyszę, że Fern się śmieje. Wywołuje to ogólne podekscytowanie. Szympany zwykle śmieją się, gdy czują fizyczny kontakt. Przedtem Fern śmiała się tylko, gdy się ją goniło albo łaskotało. Taki przedrzeźniający śmiech to typowo ludzkie zachowanie.

Ojciec przykazał Amy i Sherry zwracać szczególną uwagę, gdy Fern się śmieje. Rytm jej oddechu reguluje i ogranicza towarzyszący temu odgłos, więc wydobywa się w tempie przypominającym dyszenie. Ojciec sugeruje, że Fern może nie być w stanie podtrzymać dźwięku dłużej niż przez jeden cykl wdechu i wydechu. Jakie miałyby to konsekwencje dla rozwoju zdolności mowy? Jakoś nikt nie zwraca uwagi na to, że Fern jest niemą, chociaż mnie wydaje się to najistotniejsze.

Ponieważ nikt nie zwracał uwagi na moje narzekanie na ból łokcia, który

okazał się złamany, w ramach przeprosin ojciec pozwolił mi później obejrzeć zdjęcie rentgenowskie, pokazujące miejsce złamania. Wygląda jak rysa na pękniętej porcelanie. Powaga sytuacji – w końcu miałam złamaną kość! – w pewien sposób działa na mnie kojąco.

Ale nie do końca. Mały kopczyk rzeczy, które ja mogłam robić, a Fern nie, był niczym w porównaniu z wielką górą rzeczy, które ona mogła, a ja nie. Ja jestem sporo większa, co powinno mieć jakieś znaczenie, ale ona jest znacznie silniejsza. Jedyne, w czym mam bezdyskusyjną przewagę, to mowa – ale nie jestem pewna, czy to faktycznie przewaga i czy nie zamieniłabym się bez chwili wahania, gdyby mi w zamian zaoferowano zdolność wspinania się po balustradzie schodów albo rozciągania jak pantera na górnej krawędzi drzwi do spiżarni.

Wymyśliłam Mary właśnie po to, by wyrównać punktację. Mary mogła robić wszystko to, co Fern i o wiele więcej. I używała swych zdolności w pozytywny, nie negatywny sposób – czyli robiła wszystko, co jej poleciłam, i wyłącznie dla mojego dobra.

Chociaż głównym powodem jej stworzenia było pragnienie posiadania towarzyski zabaw, której nikt nie lubił bardziej niż mnie. Najlepsze w Mary było to, że była rodzajem lekarstwa.

\* \* \*

Kilka dni po wyprawie na farmę Mary i ja znalazłyśmy się na gałęzi klonu rosnącego na tylnym podwórku domu Russella Tupmana. Zaglądałyśmy do kuchni Russella, w której jego matka, odziana w patchworkową kamizelkę, rozkładała na stole gazetę i uzbrojona w tasak zabierała się do krojenia dyni.

Dlaczego siedziałyśmy na Russellowym klonie? Bo było to jedyne drzewo na naszej ulicy, po którym mogłam się łatwo wspinać. Pień u podstawy rozdzielał się na trzy części, z których jedna biegła niemal prostopadle do ziemi – mogłam więc zacząć od przejścia po niej jak po kładce, trzymając się wyższych gałęzi, by utrzymać równowagę. Im wyżej, tym bardziej musiałam się wspinać, ale gałęzi było sporo i blisko siebie, wystarczał dosłownie krok, by łatwo przeskoczyć z jednej na drugą. Fakt, że z góry widać było wewnątrz Russellowej kuchni był jedynie dodatkową atrakcją. Nasza eskapada była przede wszystkim wspinaczką, nie wyprawą na zwiady.

Mary wspięła się wyżej niż ja i powiedziała, że z jej miejsca widać z góry całą ulicę, aż po dach domu Byardów. I że może stamtąd zajrzeć nawet do sypialni Russella. I że Russell skacze właśnie po łóżku. Kłamała, jak się szybko przekonałam: Russell właśnie wychodził z domu przez kuchenne drzwi i szedł prosto w moją stronę. Na drzewie zostało jeszcze trochę czerwonych liści, więc miałam nadzieję, że uda mi się ukryć. Siedziałam bez ruchu aż do momentu, gdy Russell stanął dokładnie poniżej i zapytał: – Co ty tam robisz, lilipucie? I na co się gapisz?

Odpowiedziałam, że patrzę, jak jego mama kroi dynię. Tyle że użyłam słowa „sekcjonuje”. Kiedyś Lowell znalazł martwą żabę przy strumyku za domem na farmie i spędzili z ojcem całe popołudnie, sekcjonując ją na kuchennym stole, otwierając skalpelem mały, zielony orzeszek jej serca. Wtedy nie przeszkadzało mi to zupełnie, ale teraz widok mamy Russella wybebeszającej dynię wywołał we mnie przyływ nudności, ślina napłynęła mi do ust. Przełknęłam z całej mocy i przestałam patrzeć w okno.

Stałam na gałęzi, trzymając się jedną ręką innej, rosnącej powyżej, i mówiłam, kołysząc się z lekka nonszalancko. Nikt by się nie domyślił, że w żołądku mi kipiało. Dyskrecja podstawą dobrych manier. – Małpiata – mruknął Russell; doskonale oswoiłam się z tym słowem, gdy zaczęłam chodzić do szkoły. – Co za dziwadło. Mówił jednak na tyle przyjaznym tonem, że się nie obraziłam. – Powiedz bratu, że mam dla niego kasę.

Jeszcze raz zajrzałam do kuchni. Mama Russella zaczęła patroszyć dynię, wyciągając jej flaki garściami na gazetę. Poczułam pustkę w głowie i drzenie w kolanach; przez moment myślałam, że spadnę lub, co gorsza, zwymiotuję. Usiadłam więc okrakiem na gałęzi dla zachowania lepszej równowagi – ale to była cienka gałąź i na tyle elastyczna, że ugięła się pod moim ciężarem i nagle zaczęłam się z niej zsuwać, łamiąc po drodze listki i małe gałązki. Wylądowałam z powrotem na ziemi: najpierw nogi, potem pupa. Całe ręce miałam podrapane.

– A teraz co, do cholery, wyrabiasz? – zapytał Russell i wskazał palcem na krok moich majtek, gdzie została plama od liści. Nie sposób opisać, jak strasznie czułam się upokorzona. Wiedziałam, że moje krocze nie powinno być obiektem spojrzeń ani dyskusji. Wiedziałam też, że nie powinno być barwy jesiennej czerwieni.

\* \* \*

Kilka dni później Russella zgarnęła policja. Babcia Donna powiedziała mi, że urządził halloweenową imprezę w domu na farmie. Powiedziała, że powybijali wszystkie okna i że nieletnia dziewczyna wylądowała na noc w szpitalu.

Język jest tak nieprecyzyjnym narzędziem, że czasem aż się zastanawiam, po co zwracamy sobie nim głowę. Oto komunikat, który ja odebrałam: możliwe, że Fern – niczym złośliwy duch – przeniknęła przez czas i przestrzeń do domu, gdzie wszyscy razem mieszkaliśmy i zdewastowała go. Kilka wybitych szyb jak dla mnie mogło oznaczać imprezę. Fern i ja rzuciłyśmy raz piłką do krokieta w szybę i miałyśmy z tego niezły ubaw, mimo późniejszych konsekwencji. Ale wszystkie okna w całym domu? To nie wyglądało na beztroski wygłup. Za taką precyzją i konsekwencją musiała kryć się furia.

Oto komunikat, który próbowała przekazać babcia Donna: że nie jestem za mała, aby rozumieć niebezpieczeństwa związane z mieszaniem alkoholu z narkotykami. Że ma nadzieję nigdy nie dożyć dnia, w którym to mnie musiano by

płukać żołądek. Że to złamałoby mojej matce jej i tak już złamane serce.

Aż tu pewnego dnia, bez wyraźnej przyczyny, mama się pozbierała. Obudziły mnie płynące ku górze schodów dźwięki ragtime'u Scotta Joplina *Maple Leaf Rag*, sączące się pogodnie, nuta za nutą. Mama już nie spała; dźwiękami pianina wzywała nas na śniadanie, jak to robiła dawniej: dłonie łukowato wygięte nad klawiszami, stopa przyciskająca i zwalniająca pedał. Znow zaczęła się kąpać i gotować, wkrótce zaczęła czytać i – nareszcie – mówić. Przez kilka kolejnych tygodni ojciec nie pił.

To była ulga, choć nie tak głęboka, jak moglibyście się spodziewać: kiedy raz się zobaczy, jak bardzo inaczej sprawy mogą wyglądać, nie można mieć pewności, że poprawa będzie stała.

Spędziliśmy Boże Narodzenie na Waikiki, gdzie Święty Mikołaj nosił plażowe szorty i nic nie było ani trochę gwiazdkowe. Z Fern nigdy nie mogliśmy podróżować: teraz tak, i potrzebowaliśmy wyrwać się gdzieś na trochę. Poprzedniego roku Fern uparła się nieustannie wyciągać z gniazdka wtyczkę od choinkowych lampek i wtykać ją z powrotem, bez względu na to, ile razy powtarzało się jej, by przestała. Rodzinną tradycją było dać jej włożyć gwiazdę na czubek choinki.

Fern zakradająca się do szafy na piętrze, pohukująca z podniecenia i dekonspirująca prezentową niespodziankę. Fern o poranku Bożego Narodzenia, rozrzucająca kawałeczki papieru do pakowania prezentów jak confetti i wrzucająca je nam za kołnierze, jakby były ze śniegu.

Pierwszy raz leciałam samolotem: białe chmury rozciągały się pod nami jak materac. Byłam zachwycona zapachem Hawajów, nawet na lotnisku, wonią plumerii w powietrzu, przenikającą do hotelowych szamponów i mydeł.

Morze przy plaży Waikiki było tak płytkie, że nawet ja mogłam zapuszczać się daleko. Spędziliśmy całe godziny w wodzie, kołysząc się na falach; kiedy wieczorem kładłam się do hotelowego łóżka, które dzieliłam z Lowellem, krew ciągle szumiała mi w uszach. Na tym wyjeździe nauczyłam się pływać. Nasi rodzice stali za linią załamywania się fal i łapali mnie, gdy pływałam od jednego do drugiego; byłam prawie pewna, że Fern nie umiałaby tego zrobić, ale nie pytałam.

Przy śniadaniu doznałam olśnienia, którym natychmiast podzieliłam się ze wszystkimi: świat był podzielony na dwie części, powyżej i poniżej. Kiedy się nurkowało, odwiedzało się część poniżej; wspinając się na drzewo – część powyżej, i jedna wcale nie była lepsza od drugiej. Pamiętam uczucie, że to, co mówiłam było niezwykle interesujące i że ktoś powinien to zanotować.

*Jeśli masz do powiedzenia trzy rzeczy, wybierz jedną i powiedz tylko o niej.* Przez długie miesiące po odejściu Fern te dwie rzeczy, o których nie mówiłam,

zawsze dotyczyły jej. Na Hawajach myślałam (ale nie mówiłam głośno), że może Fern była świetna we wspinaczce, ale za to ja umiałam nurkować. Tak chciałam, żeby mogła być tam i to zobaczyć. Tak chciałam, żeby mogła być tam, pohukiwać nad kawałkiem czekoladowej lawy, wspinać się po pniach palm jak Spider-Man.

Byłaby zachwycona bufetem śniadaniowym. Widziałam ją wszędzie, ale nigdy nie mówiłam o tym.

Zamiast tego obsesyjnie obserwowałam mamę, z obawą wypatrując śladów zmiany na gorsze. Pływała na grzbiecie w oceanie albo leżała na leżaku przy basenie i popijała Mai Tai; na wieczornym przyjęciu w hotelu, na którym tańczono hula, gdy wodzirej poprosił o ochotników, pierwsza się zgłosiła. Pamiętam, jaka była piękna, brązowa od słońca, girlandy kwiatów opływające jej szyję, jej ręce płynne i roztańczone: *zarzucam w morskie fale moją srebrną sieć i wszystkie ryby ama-ama zaraz będą mieć*<sup>[11]</sup>.

Przy obiedzie ojciec zauważył ostrożnie, jaka z niej wykształcona kobieta. I jaka inteligentna. Może powinna pomyśleć o znalezieniu sobie pracy, żeby nie tkwić całymi dniami w domu – zwłaszcza teraz, kiedy ja pójdę do przedszkola?

Nie wiedziałam, że mam iść do przedszkola, aż do momentu, kiedy to powiedział. Do tej pory nie miałam zbyt często do czynienia z innymi dziećmi. Byłam na tyle durna, żeby się cieszyć z tej perspektywy.

Za oknem restauracji połyskiwało morze, jego kolor przechodził z wolna ze srebrnego w czarny. Mama przytaknęła w ten ogólnikowy sposób, który miał dać ojcu sygnał, by nie drażył tematu; w mig przyjął to do wiadomości. Wtedy wszyscy czujnie nasłuchiwalismy jej sygnałów. Byliśmy delikatni względem siebie. Chodziliśmy na paluszkach.

Trwało to miesiącami. Aż nagle pewnego wieczoru przy kolacji Lowell powiedział: – Fern tak lubiła kukurydzę na kolbie. Pamiętacie, jak bałaganiała, jedząc ją? Natychmiast błysnął mi w pamięci obraz ziaren kukurydzy powciskanych między pieńkowate zęby Fern jak letnie żuczki w siatce na drzwiach do ogrodu. Pewnie jedliśmy kolby kukurydzy, kiedy Lowell to powiedział, co oznaczałoby, że znowu było lato: burze, świetliki i niemal rok od czasu, kiedy Fern odesłano z domu. Ale tylko zgaduję.

– Pamiętacie, jak Fern nas kochała? – zapytał Lowell.

Tata uniósł widelec, trzymał go przez moment w drżących palcach i odłożył, rzucając mamie szybkie spojrzenie. Gapiła się w swój talerz, więc nie było widać jej oczu. – Przestań. Jeszcze nie teraz – rzekł do Lowella ojciec.

Ale Lowell go zignorował. – Chcę ją odwiedzić. Wszyscy powinniśmy ją odwiedzić. Na pewno zastanawia się, czemu nie przyjechaliśmy.

Ojciec przeciągnął dłonią po twarzy. Dawniej bawił się z Fern i ze mną w ten sposób. Jeden ruch jego ręki w dół ukazywał smutny grymas. Kolejny ruch, w górę, odkrywał uśmiech. W dół – buzia w podkówkę. W górę – uśmiech. W dół:

Melpomena. W górę: Talia. Tragedia i komedia przedstawione w wyrazie twarzy.

Ale tego wieczora zza ręki ukazała się twarz zmęczona i smutna.

– Wszyscy byśmy tego chcieli – powiedział. Jego ton był równie spokojny, ale nieustępliwy jak Lowella. – Wszyscy za nią tęsknimy. Ale musimy mieć na względzie jej dobro. Prawda jest taka, że zmiana była dla niej okropnym przejściem, ale już się przyzwyczaiła i jest szczęśliwa. Tylko by ją to rozchwiało, gdybyśmy teraz przyjechali. Wiem, że nie kieruje tobą egoizm, jednak taki ruch sprawiłby, że może sam poczułbyś się lepiej, ale kosztem jej gorszego samopoczucia.

W tym momencie mama już płakała. Lowell wstał od stołu bez słowa, zabrał talerz, zgarnął jego zawartość do śmietnika. Wstawił talerz i szklanę do zmywarki. Wyszedł z kuchni, wyszedł z domu. Nie było go przez dwie noce, ale nie mieszkał u Marco. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, gdzie wtedy spał.

Nie pierwszy raz słyszałam, jak ojciec sięga po ten argument. Tamtego dnia, gdy pojechałam z Russellem i Lowellem do domu na farmie, tego dnia, gdy wreszcie zrozumiałam, że Fern tam nie mieszka, zapytałam ojca, gdzie ona jest.

Był na górze, w swoim nowym gabinecie; zostałam wydelegowana, żeby mu przypomnieć, że w telewizji właśnie zaczynają się *Akta Rockforda*, bo Lowellowi nie chciało zmieścić się w głowie, że zdanie „idź do swojego pokoju i zastanów się nad swoim zachowaniem” może oznaczać również „przegap swój ulubiony serial”. Rozważałam, czy nie wdrapać się na biurko i nie wskoczyć ojcu na kolana, ale i tak już wcześniej wykazałam się kiepskim wyczuciem sytuacji, znikając bez słowa Melissie: domyślałam się, że ojciec nie jest w nastroju do zabawy. Złapałby mnie, gdybym nie zostawiła mu innego wyjścia, ale nie byłby zadowolony. Zamiast tego zapytałam go więc o Fern.

Wziął mnie na kolana – jak zawsze, pachniał papierosami i piwem, kawą i Old Spice'em – i powiedział: – Fern ma teraz inną rodzinę. Na farmie. Są tam też inne szympansy, więc ma wielu nowych przyjaciół.

Na wiadomość o tych nowych przyjaciołach, którzy mogą bawić się z Fern, podczas gdy mnie to omija, poczułam przypływ zazdrości. Zastanawiałam się, czy Fern lubi kogoś z tamtych bardziej niż mnie.

Dziwnie było tak siedzieć na jednym ojcowskim kolanie: Fern zwykle zajmowała drugie, dla zachowania balansu. Ramiona taty zacisnęły się wokół mnie mocniej. Powiedział mi wtedy, tak jak potem (i pewnie nie jeden raz) Lowellowi, że nie możemy jej odwiedzić, bo by ją to zdenerwowało, ale że było jej dobrze tam, gdzie w tej chwili była. – Zawsze będziemy za nią tęsknić – powiedział. – Ale przynajmniej wiemy, że jest szczęśliwa, a to najważniejsze.

– Fern nie lubi, kiedy zmusza się ją do jedzenia nowych rzeczy – odparłam. Martwiło mnie to. Fern i ja zawsze zwracałyśmy uwagę na to, co jadłyśmy. – Lubimy to, co zawsze jemy.



– Czasami dobra jest właśnie odmiana – powiedział tata. – Jest mnóstwo rzeczy, o których Fern nigdy nie słyszała, a pewnie przepadałaby za nimi. Mangostany. Jabłka cukrowe. Chlebowce. Owoce palmy dżemowej.

– Ale ciągle może jeść to, co lubi najbardziej?

– Bób. Duszone jabłka. Ciasteczka z dżemem.

– Ale ciągle może jeść to, co lubi najbardziej?

– Galaretki. Batoniki dla małp. Chrupki z solą.

– Ale ciągle może jeść...

Poddał się. Ustąpił. – Tak – odpowiedział. – Oczywiście. Ciągle może jeść to, co lubi najbardziej.

Przez wiele lat wierzyłam w istnienie tej farmy. I Lowell też.

\* \* \*

Gdy miałam może z osiem lat, przypominałam sobie coś, co wyglądało na wspomnienie. Powracało po kawałeczku, jak puzzle, które musiałam dopiero ułożyć. W tym wspomnieniu jestem bardzo małym dzieckiem i jadę z rodzicami samochodem. Jedziemy wąską wiejską drogą, zarośniętą z obydwu stron jaskrami, trawą i dziką marchwią, ocierającymi się o okna samochodu.

Ojciec przystaje, żeby przepuścić kota, przechodzącego przez drogę przed nami. Przypięta do samochodowego fotelika z tyłu nie powinnam była widzieć tego kota, ale pamiętam go doskonale, czarnego z białym pyszczkiem i brzuchem. Kręcił się niepewnie w tę i w tamtą, aż ojciec w końcu stracił cierpliwość i ruszył, przejeżdżając go. Pamiętam mój szok: pamiętam, że protestowałam. Pamiętam, że mama stanęła w obronie ojca, mówiąc, że kot nie chciał ustąpić nam z drogi, tak jakby kompletnie nie mieli innego wyjścia.

Kiedy poskładałam je do kupy, poszłam z tym wspomnieniem do jedynej osoby, która mogła mi uwierzyć – do babci Donny. Siedziała w fotelu, czytając jakiś magazyn, pewnie *People*. To chyba właśnie wtedy umarła Karen Carpenter; obie moje babcie ciężko to zniosły. Drżałam, opowiadając jej tę historię, i starałam się nie rozplakać – nadaremnie.

– Och, kochanie, to chyba musiał być sen – powiedziała babcia Donna. – Wiesz przecież, że twój tata nigdy, przenigdy nie zrobiłby nic podobnego.

Babcia Donna była zawsze niezwykle chętna do wynajdowania wad mego ojca, więc jej natychmiastowe odrzucenie tej historii przyniosło mi wielką ulgę. Przywróciło mi wiarę w to, co wiedziałam – że ojciec jest dobrym człowiekiem, że nigdy nie zrobiłby nic tak okropnego. Do dzisiaj czuję łąpanie, kiedy opona przejechała przez ciało kota. I do dziś jestem przekonana, że to się nigdy nie wydarzyło. Myślcie o tym jak o moim prywatnym kocie Schrödingera.

Czy ojciec był dobry dla zwierząt? Jako dziecko myślałam, że tak, ale wtedy niewiele wiedziałam o życiu szczurów laboratoryjnych. Powiedzmy, że ojciec był dobry dla zwierząt dopóki w interesie nauki nie leżało, żeby przestał. Nigdy nie

przejechałby kota, gdyby nie przyniosło to pożytku nauce.

Był głęboko przekonany o naszej zwierzęcej naturze i znacznie mniej skłonny do antropomorfizowania Fern, niż do traktowania mnie trochę jak zwierzątko. Zresztą nie tylko mnie, was także – jak sądzę, wszystkich w ogóle. Nie wierzył, że zwierzęta potrafią myśleć, przynajmniej nie w naszych kategoriach – ale ludzkie rozumowanie też nie robiło na nim szczególnego wrażenia. Opisywał ludzki mózg jako cyrkowy wóz pełen klaunów, zaparkowany między uszami. Wystarczy otworzyć drzwi i klauni się wysypują.

Zwykł mawiać, że jesteśmy wierni przekonaniu o własnej racjonalności tylko dlatego, że chcemy się go trzymać. Dla bezstronnego obserwatora – jeśli takowy by istniał – było to patentowane oszustwo. Wszystkie nasze decyzje, uczynki, wartości, światopogląd – opierały się na emocjach i instynkcie. Rozsądek i racjonalność były tylko cienką warstwą farby, maskującą nieociosaną powierzchnię.

Jak powiedział mi kiedyś ojciec, jedyny sposób, by zrozumieć funkcjonowanie Kongresu Stanów Zjednoczonych to potraktować tę instytucję jako trwające dwieście lat studium nad ssakami naczelnymi. Tata nie dożył rewolucji, jaką jest dzisiejszy pogląd na kognitywistkę u zwierząt, bardzo inną niż ludzka.

Ale co do Kongresu, miał rację.

Inne wspomnienia o Fern.

Pierwsze: mamy po trzy lata. Matka siedzi na dużej kanapie w bibliotece – Fern i ja możemy obie wcisnąć się koło niej, każda z jednej strony. Pada deszcz; leje już od kilku dni, i mam już tak serdecznie dosyć siedzenia w domu, dość poprzestawania na moim wewnętrznym głosie. Fern uwielbia, kiedy się jej czyta. Jest senna i siedzi cichutko, przytulając się do mamy tak mocno jak tylko to możliwe; jej ręce bawią się paskiem od sztruksowych spodni mamy i wygładzają zagięcia na jej udach. Ja, dla kontrastu, wiercę się, nie mogąc znaleźć wygodniej pozycji, kopiąc stopy Fern po drugiej stronie maminych kolan, próbując sprowokować ją do zrobienia czegoś, za co jej się oberwie. Głosem tak cierpkim, że mógłby ukusić śledzie, mama mówi mi, żebym przestała.

Książka, którą czytamy, to *Mary Poppins*; rozdział, w którym pewna staruszka ułamuje własne palce, a te zmieniają się w cukrowe paluszki, które dzieci mogą ssać. Mnie trochę mdli na samą myśl, ale na sam dźwięk słowa „cukier” usta Fern zaczynają poruszać się w senny, rozmarzony sposób. Nie rozumiem, że Fern nie pojęła tego fragmentu o palcach. Nie rozumiem, że Fern nie potrafi śledzić całej historii.

Bez przerwy przerywam, bo chcę wszystko zrozumieć. Co to jest spacerówka? Co to jest reumatyzm? Czy ja też będę kiedyś miała reumatyzm? Co to są sztyblety? Czy też mogę mieć takie? Czy Janeczka i Michaś są wściekli, kiedy Mary zabiera im gwiazdy? Co by było, gdyby na niebie w ogóle nie było gwiazd? Czy możliwe jest, żeby się tak stało? – Na miłość boską – mówi w końcu mama. – Czy dasz mi wreszcie przeczytać tę cholerną historię? Ponieważ użyła imienia bożego i słowa „cholerny,” co praktycznie nigdy jej się nie zdarza, zwałam wszystko na Mary. – To Mary chce wiedzieć – mówię mamie. Na co ona odpowiada: – Mary za chwilę doprowadzi mnie do obłądu. Powinna być grzeczna i siedzieć cicho, jak nasza mała Fern.

Ja zwałam wszystko na Mary, a teraz Fern zwała na mnie. Ona też nie wie, co to reumatyzm, ale ponieważ zapytałam, teraz i ją to interesuje. Chce wiedzieć, co z tym reumatyzmem, i chwala ją, że się nie odzywa, podczas gdy ona nawet nie umie mówić! Dochodzę do wniosku, że Fern zbiera pochwały za nic, a mnie nigdy nikt za nic nie chwali. Jasne jest dla mnie, że mama najbardziej kocha Fern. Widzę Fern z profilu. Prawie śpi, mruży jedno oko, jedno z jej uszu wyrasta spod czarnego futra jak kwiat maku; trzyma duży palec jednej nogi w ustach, słyszę, jak go ssie. Spogląda na mnie sennym wzrokiem sponad własnej nogi i sponad łuku maminego ramienia. Proszę, jak sobie to sprytnie wykombinowała, dzidzius, co nie wyrósł jeszcze z pieluch!

\* \* \*

Wspomnienie drugie: któraś ze studentek dostała darmową taśmę-składankę z lokalnej rozgłośni radiowej i przyniosła ją do nas. Wszystkie dziewczyny tańczą razem – mama i babcia Donna, Fern i ja, i studentki, Amy, Caroline i Courtney. Gibiemy się jak trzeba do rytmu piosenek *Splish Splash I Was Taking a Bath*, *Paradise Park* i *Love Potion No. 9*.

*I didn't know if it was day or night. I started kissin' everything in sight.*<sup>[12]</sup>

Fern tupie nogami najgłośniej jak potrafi, czasem wskakując na oparcia krzeseł i lądując na podłodze. Amy podnosi ją w górę i kołysze, a Fern śmieje się nieustannie przez cały czas, gdy jest w powietrzu. Ja kołyszę się, podskakuję i gibię, *laying it down and working it out*. – Robimy korowód! – woła mama i prowadzi nas zygzakiem przez całe dolne piętro, a Fern i ja tańczymy tuż za nią, i tańczymy, tańczymy, tańczymy.

\* \* \*

Wspomnienie trzecie: słoneczny dzień ze świeżym śniegiem. Lowell rzuca śnieżkami w kuchenne okno. Rozpryskują się, miękko uderzając o szybę, zostawiając na niej lśniący biały ślad. Fern i ja jesteśmy tak podniecone, że nie możemy ustać w miejscu; kręcimy się po kuchni, machając i kręcąc młynki naszymi szalikami. Tak strasznie chcemy wyjść na dwór, że nie sposób nas ubrać. Fern tupie i kołysze się z boku na bok. Robi fikołka w tył, i jeszcze jednego; patrzę z góry na czubek jej głowy i splatamy ręce, by kręcić się razem w kółko jak na karuzeli.

Pytam, skąd się bierze śnieg i dlaczego pada tylko w zimie, no i jeśli w Australii śnieg pada w lecie, czy to znaczy, że tam wszystko jest odwrotnie niż w naszym świecie. Czy jest jasno w nocy i ciemno w dzień? Czy Święty Mikołaj przynosi prezenty tylko bardzo niegrzecznym dzieciom? Mama nie odpowiada na moje pytania; irytuje się, bo nie może skłonić Fern do założenia butów i rękawiczek. Fern wrzeszczy, jeśli wkłada jej się cokolwiek na stopy.

W ogóle kwestia ubrań jest dość delikatna. Mama wołała nie ubierać Fern – czyniąc wyjątek w sytuacjach, gdy inaczej byłoby jej za zimno (drugi wyjątek to pielucha); nie chciała, żeby Fern wyglądała śmiesznie. Ale skoro ja muszę nosić ubrania, to i Fern także. Poza tym – Fern chce się ubierać. Mama postanowiła zaklasyfikować ubranie Fern jako wyraz jej osobistej ekspresji – była to antropomorfizacja, która nie podobała się ojcu.

Tym razem mama decyduje, że wystarczy, jeśli przypnie własne rękawiczki do mankietów kurtki Fern i wetknie jej ręce do środka w sposób, który pozwoli wyciągnąć je szybko z powrotem. Mama ostrzega mnie, żebym stała spokojnie. Żadnego ślizgania się po śniegu na rękach i nogach. Dziwny zapach wypełnia kuchnię. Widzę, że przez moment mama waha się, czy aby jednak nie wysłać Fern na dwór. – Ona śmierdzi – mówię, więc mama z westchnieniem rozpina kurtkę

Fern i zabiera ją na górę, żeby ją przebrać. To ojciec przynosi ją z powrotem na dół, opakowaną w śniegowe ubranko. Słyszę odgłos prysznic na piętrze. W tym momencie jest mi już tak gorąco, że się pocę.

Lowell lepi ze śniegu mrówkę. Jej brzuch, który Lowell nazywa odwłokiem, nie jest jego zdaniem wystarczająco duży – chce mieć mrówę giganta, na wysokość własnego wzrostu. Jednak śnieg jest tak lepki, że już przymarzył w miejscu. Gdy Fern i ja w końcu wydostajemy się z domu do śnieżnego królestwa podwórka, zastajemy Lowella pogrążonego w pracy nad toczeniem w śniegu przewróconego mrówczego odwłoka. Skaczemy wokół, patrząc, jak się męczy, aby go poruszyć. Fern wskakuje na małą morwę, której gałęzie pokrywa śnieg. Zjada trochę śniegu. Resztę osypuje na dół, prosto na nasze karki – aż w końcu Lowell każe jej natychmiast przestać.

Ale Fern nie ma zamiaru natychmiast przestać. Lowell naciąga kaptur. Fern zeskakuje mu na kark i otacza jego szyję ramionami. Słyszę jej śmiech – odgłos przypominający dźwięk ręcznej piły suwanej tam i z powrotem. Lowell sięga nad głowę, łapie ją za ręce i fikołkowym przewrotem obala na ziemię. Ona śmieje się dalej i wspina na drzewo, by spróbować jeszcze raz.

Ale Lowell odszedł już w poszukiwaniu innej połaci śniegu, żeby rozpocząć lepienie następnej megamrówki. – Zrobiłem błąd, czekając na was – mówi. – Musimy się ruszać. Ignoruje pełne rozczarowania okrzyki Fern.

Ja zostaję z tyłu i w rękawiczkach kopię rów wokół niedokończonego odwłoka. Fern złazi z drzewa i biegnie za Lowellem. Ogląda się, by sprawdzić, czy do niej dołączyć; pokazuję jej w języku migowym, żeby przyszła mi pomóc. Zwykle to nie wywołałoby żadnego skutku, ale jest ciągle zła na Lowella. Odwraca się na pięcie.

Ojciec staje na ganku ze swoją kawą. – „Więcej nic już nie zostało... gdzie stąpić, gruz bezkształtny oczom się ukaże”<sup>[13]</sup> – mówi, wskazując kubkiem na porzucony brzuch megamrówki.

Fern siada na ziemi obok mnie, opiera podbródek o moje ramię, a stopy na odwłoku. Wpycha sobie do buzi następną garść śniegu, cmoka swymi wystającymi, akrobatycznymi wargami i zwraca głowę w moją stronę; jej oczy połyskują. Oczy Fern sprawiają wrażenie większych niż ludzkie, bo ich białka nie są białe, tylko bursztynowe, jedynie trochę jaśniejsze od tęczówek. Kiedy rysuję twarz Fern, do oczu używam kredki świecowej w kolorze sjeny palonej. Fern nigdy nie kończy swoich rysunków, bo na ogół zjada kredkę.

Teraz kopie nogami w śnieżną kulę. Nie jest jasne, czy ma zamiar pomóc mi w ten sposób, ale to działa. Siedząc tuż obok, popycham rękami – i, z wysiłkiem dużo mniejszym niż się spodziewałam, odwłok kołysze się przez moment i rusza z miejsca.

Jestem w stanie przetoczyć kulę dalej, żeby zebrała więcej śniegu. Fern

podskakuje wokół mnie jak korek na wodzie, czasem na powierzchni śniegu, czasem przewracając się. Zostawia za sobą wydeptaną ścieżkę, trop diabła tasmańskiego. Rękawiczki przypięte do mankietów jej kurtki plaskają o śnieg jak skórzane ryby. Lowell odwraca się, przysłaniając oczy dłonią; słońce razi teraz ostrym światłem odbitym od śnieżnobiałego krajobrazu. – Jak to zrobiłaś? – woła. Jego twarz, widoczna przez otwór pod kapturem kurtki, śmieje się do mnie.

– Bardzo się starałam – odpowiadam mu. – Fern mi pomogła.

– Dziewczyny rządzą! – Lowell potrząsa głową. – Superroboty.

– Miłość rządzi – mówi ojciec. – To siła miłości.

I wtedy nadchodzą studenci. Wszyscy idziemy na sanki! Nikt nie mówi mi, żebym się uspokoiła, bo Fern na pewno się nie uspokoi.

Moim ulubieńcem wśród doktorantów jest Matt. Pochodzi z Birmingham w Anglii i zwraca się do mnie per „złotko”, zresztą do Fern też. Obejmuję ramionami jego nogi i podskakuję, lądując na palcach jego śniegowców.

Fern skacze na Caroline, obalając ją w śnieg. Gdy Fern się podnosi, jest upudrowana śniegiem od stóp do głów, jak faworek. Obie domagamy się, każda na swój sposób, żeby podnieść nas z ziemi i kołysać. Jesteśmy tak podekscytowane, że – by zacytować dziwacznie trafną frazę tak lubianą przez matkę – nie posiadamy się ze szczęścia.

\* \* \*

Zawsze wierzyłam, że wiem, o czym myśli Fern. Bez względu na to, jak dziwacznie się zachowywała, jak się dekowała, by za chwilę podskakiwać jak ogromny balon na nowojorskiej paradzie w Święto Dziękczynienia, można było liczyć na to, że będę w stanie przełożyć jej sygnały na normalną angielszczyznę. Fern chce wyjść na dwór. Fern chce oglądać *Ulicę Sezamkową*. Fern uważa, że masz kuku na muniu. Część z tego było projekcją, przydatną do moich własnych celów, ale co do reszty, nie dawałam się przekonać. Dlaczego miałabym jej nie rozumieć? Nikt nie znał Fern tak dobrze jak ja: rozpoznawałam najdrobniejszy grymas. Byłam dostrojona do jej częstotliwości.

– Dlaczego to ona musi się uczyć naszego języka? – zapytał raz ojca Lowell.

– Dlaczego to my nie możemy się uczyć jej? Tata odpowiedział, że nie wiemy na pewno, czy Fern w ogóle jest w stanie opanować jakikolwiek język, ale możemy z pewnością orzec, że nie ma własnego. Dodał też, że Lowell myli język z komunikacją, a to są dwie bardzo różne rzeczy. – Język to coś więcej niż tylko słowa – ciągnął dalej. – To także sposób organizacji słów i to, jak jedne oddziałują na drugie.

Tyle tylko, że powiedzenie tego trwało znacznie dłużej niż Lowell, ja, a już na pewno Fern mieliśmy ochotę usiedzieć spokojnie. Wszystko to miało coś wspólnego z *Umweltem* – słowo *Umwelt* podobało mi się szczególnie, bo mogłam je powtarzać w kółko, jak bębnienie werbla, aż ktoś w końcu kazał mi przestać.

Wówczas niespecjalnie mnie obchodziło, co to jest ten *Umwelt*, ale okazuje się, że to wyjątkowy sposób, w jaki każde żywe stworzenie doświadcza świata.

Jestem córką psychologa. Wiem, że to, co podobno jest obiektem badań, rzadko okazuje się nim w rzeczywistości.

Kiedy w latach trzydziestych Kelloggowie jako pierwsi wychowywali razem ludzkie dziecko i szympansa, ich oficjalnym celem było porównanie podobieństw i różnic w rozwijaniu umiejętności mechanicznych, lingwistycznych i wszelkich innych. Także nasz eksperyment miał podobno służyć temu zamysłowi. Pozwolę sobie podchodzić do tego z lekką podejrzliwością.

Kelloggowie byli przekonani, że ten sensacyjny eksperyment zrujnował ich reputację jako naukowców i że nigdy więcej nie będą traktowani poważnie jako badacze. Jak teraz zdaję sobie sprawę, nasz ambitny ojciec także miał taką świadomość. Jaki więc był cel projektu badawczego Fern/Rosemary Rosemary/Fern, zanim dobiegł on swego przedwczesnego i tragicznego końca? Nie jestem pewna.

Wydaje mi się jednak, że większość interesującego materiału badawczego dotyczy mnie. W miarę jak rosłam, moje zdolności językowe nie tylko kontrastowały z umiejętnościami Fern, ale także wprowadzały doskonale przewidywalny czynnik X, który uniemożliwiał wszelkie porównania.

Od lat trzydziestych, kiedy to Day i Davis opublikowali wyniki badań, panowało przekonanie, że bliźniaczość wpływa na zdolności nauki języka. W latach siedemdziesiątych przeprowadzono nowsze i lepsze badania, ale nie jestem pewna, czy uwaga naszych rodziców w ogóle kierowała się w tę stronę. Nie mówiąc już, że badania te nie miałyby większego zastosowania w naszej sytuacji, gdzie potencjały bliźniaków różniły się tak zasadniczo.

Mimo że Fern i ja bywałyśmy rozdzielone, kiedy doktoranci prowadzili na nas obserwacje, spędzałyśmy większość czasu razem. W miarę jak rozwijałam w sobie nawyk mówienia w jej imieniu, ona wydawała się przyzwyczajać do sytuacji i oczekiwać ode mnie, że będę to robiła. W wieku lat trzech już służyłam jako jej tłumacz na poziomie, który z pewnością opóźniał jej własny rozwój.

Myślę więc, że zamiast badać generalne zdolności komunikacji u Fern, ojciec mógł obserwować jej znakomitą komunikację ze mną. To była dwustronna zależność, idealny materiał na artykuł w jakimś tabloidzie, nieunikniona, ale nigdy nie wspomniana głośno. Ojca zdawało się interesować pytanie: czy Fern może się nauczyć mówić do ludzi? Tymczasem – chociaż nie przyznawał się do tego – właściwe pytanie brzmiało: czy Rosemary może nauczyć się mówić do szympanсів? Jeden z wcześniejszych doktorantów, Timothy, twierdził, że w naszej fazie prewerbalnej Fern i ja rozwinęłyśmy idiosyncrasyję, tajemny język gestów i pomruków. Nigdy nie zostało to odnotowane, więc dowiedziałam się o tym całkiem niedawno. Ojciec uznał jego dowody za nikłe, nienaukowe i,

szczerze mówiąc, cudaczne.

\* \* \*

Czasem w telewizji pokazywano szympana Oofiego, gwiazdę reklamówek producenta walizek American Tourister. Fern nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Ale parę razy złapałyśmy powtórki serialu *Lancelot Link: Secret Chimps*, w którym w tytułowego bohatera wcielał się bardzo przystojny Tonga. Te gadające małpy w garniturach i krawatach zainteresowały ją o wiele bardziej. Przyglądała się im uważnie, na przemian wydymając i rozciągając swoje chwytny usta i pokazując swój znak migowy oznaczający kapelusz. – Fern chce taki kapelusz, jaki ma Lancelot Link – powiedziałam w końcu mamie. I nie musiałam nawet prosić za siebie: jeśli Fern dostałaby kapelusz, ja także dostałabym kapelusz.

Żadna z nas nie dostała kapelusza.

Wkrótce ojciec zaaranżował wizytę młodego szympana o imieniu Borys, który miał odwiedzić nas w domu w farmie na jedno popołudnie. Fern określiła Borysa tym samym znakiem, jakiego używała na widok brunatnych pajaków pustelników w stodole; mama tłumaczyła ten znak jako „pełzająca kupa”, a Lowell jako „pełzające gówno” (co, moim zdaniem, było o wiele bardziej odpowiednim przekładem – „kupa” to żartobliwe słowo, w przeciwieństwie do poważnego „gówna”, a Fern nie żartowała). Fern nazwała Borysa „brudnym pełzającym gównem”. A potem nawet „niebezpiecznym pełzającym gównem”.

Żyjąc nieustannie w otoczeniu ludzi, Fern była przekonana, że sama należy do ludzkiego gatunku. Nie było to niczym dziwnym. Większość szympanów wychowanych w ludzkich domach robi ten sam błąd, gdy poleci się im posortować zdjęcia przedstawiające szympany i ludzi: kładą własną fotografię na stosiku z ludzkimi. Fern dokładnie tak zrobiła.

To moja dezorientacja była o wiele bardziej nieoczekiwana. Tata nie wiedział wtedy tego, co, jak się wydaje, nauka wie teraz: że system neuronowy młodego mózgu rozwija się po części przez przypominające lustrzane odbicie naśladownictwo mózgow, wśród których przebywa. Przez cały ten czas, który Fern i ja spędzałyśmy razem, lustrzane naśladownictwo działało w obie strony.

Wiele lat później znalazłam w Internecie artykuł, który ojciec napisał na mój temat. Późniejsze badania na większych grupach dowiodły słuszności tezy, którą ojciec zaproponował jako jeden z pierwszych: że wbrew temu, co sugerują nasze metafory, ludzie są dużo bardziej podatni na imitację niż inne naczelne.

Przykładowo, jeśli zademonstruje się szympanowi, jak wyjąć jedzenie z pudełka-łamiągłówki, ten ominie wszystkie zbędne procedury, kiedy przyjdzie jego kolej, i od razu sięgnie po smakołyk. Ludzkie dzieci naśladowają aż do przesady, powtarzając każdy krok procedury, bez względu na to, czy jest niezbędny, czy nie. Istnieje powód, dla którego nasz typ zachowania – niewolnicze naśladownictwo jest lepsze niż pomysłowość i efektywność, ale zapomniałam, co to takiego.



Będziecie musieli przeczytać te artykuły.

Tej zimy po zniknięciu Fern – i z półsemestralnym opóźnieniem, związanym z zamieszaniami w domu – zaczęłam chodzić do przedszkola, gdzie dzieci przezywały mnie małpiatą lub wręcz po prostu małpą. Coś im we mnie nie pasowało, może moje gesty, miny albo ruch oczu – a już na pewno to, co mówiłam. Wiele lat później ojciec od niechcienia wspominał reakcję związaną z „doliną niesamowitości” – ludzką awersją do wszystkiego, co wyglądało prawie jak człowiek, ale nie do końca. Efekt „doliny niesamowitości” bardzo trudno zdefiniować, a co dopiero badać doświadczalnie. Ale jeśli naprawdę istnieje, tłumaczyłoby to, dlaczego twarze szympanсів budzą w niektórych z nas taki dyskomfort. Dla dzieciaków z przedszkola to ja byłam obiektem budzącym dyskomfort. Te pięcio- i sześciolatki nie dawały się nabrać na podróbkę człowieka.

Mogłam kwestionować (i kwestionowałam) ich dobór słów – czy, pytałam triumfująco, byli na tyle durni, żeby nie odróżniać małp od człekokształtnych? A czy wiedzieli, że ludzi także zalicza się do człekokształtnych? Niestety, kiedy dałam do zrozumienia, że przezwisko małpiatej człekokształtnej nie raziłoby mnie aż tak bardzo, moi koledzy i koleżanki natychmiast powrócili do pierwotnej koncepcji. Nijak też nie chcieli uwierzyć, że sami także zaliczają się do człekokształtnych. Rodzice upewniali ich w przekonaniu, że mają rację. Jak się dowiedziałam, cała lekcja religii w szkółce niedzielnej została poświęcona obalaniu moich argumentów.

Oto kilka rzeczy, które mama próbowała wpoić mi, zanim wysłano mnie do szkoły:

Że powinnam stać prosto.

Nie machać rękami, kiedy mówię.

Nie wkładać palców we włosy ani do ust innych osób.

Oraz nie gryźć, pod żadnym pozorem – nawet jeśli wydaje mi się, że sytuacja tego wymaga.

Nie ekscytować się nadmiernie smakiem dobrego jedzenia i nie gapić na cudze ciastka.

Nie skakać po stołach i ławkach w trakcie zabawy.

Przez większość czasu pamiętałam o wszystkich tych przykazaniach. Ale sukcesy są zawsze mniej widoczne niż porażki.

\* \* \*

Oto kilka rzeczy, których nauczyłam się dopiero wtedy, gdy zaczęłam chodzić do przedszkola:

Jak czytać dziecięce twarze, które są mniej powściągliwe niż twarze dorosłych, ale nie tak ekspresyjne jak u szympanсів.

Że w szkole najważniejsze jest, żeby siedzieć cicho (pomyślałby kto, że mama powinna była mnie uprzedzić, iż reguła, do której zwykle się stosowałam –

mówienia na głos tylko jednej z trzech rzeczy, które chciałam powiedzieć – nijak nie wystarcza w szkolnych warunkach).

Że na dzieciach wielkie słowa nie robią najmniejszego wrażenia. Natomiast dorośli przywiązują wielką wagę do znaczenia wielkich słów, lepiej więc je znać, zanim się tych słów użyje.

Przede wszystkim jednak nauczyłam się, że kto jest inny, ten jest inny. Mogłam zmienić to, co robiłam; mogłam zmienić także to, czego nie robiłam. Ale żadna z tych zmian nie wpływała na to, kim w gruncie rzeczy byłam – na moje nie do końca ludzkie jestestwo tabloidowej dziewczynki-małpy.

Miałam nadzieję, że Fern lepiej sobie radzi wśród przedstawicieli własnego gatunku niż ja z członkami mojego. W badaniach przeprowadzonych na makakach w 2009 roku zaobserwowano reakcję zbliżoną do efektu „doliny niesamowitości”, co sugeruje, że podobnie mogą reagować szympansy.

Oczywiście, w tamtych czasach nic z tego nawet mi przez myśl nie przeszło. Przez całe lata wyobrażałam sobie, że Fern wiezie żywot anty-Tarzana. Chciałam myśleć, że dzięki temu, iż wyrosła wśród ludzi i powróciła na łono własnego gatunku, nauczy inne szympansy języka migowego. Chciałam myśleć, że zajmuje się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych albo czymś w tym stylu. Chciałam myśleć, że obdarzyliśmy ją supermocami.

### CZEŚĆ III

Nie rozumowałem po ludzku, lecz pod wpływem mego otoczenia zachowywałem się tak, jak gdybym rozumował.

Franz Kafka, *Sprawozdanie dla Akademii*

# 1

Nie ulega wątpliwości, tak myślę, że mama, tata i Lowell byli o wiele bardziej zdruzgotani zniknięciem Fern z naszego życia niż ja. Mnie się upiekło, bo byłam zbyt młoda, żeby pojąć, co się stało.

Ale w pewien sposób to ja musiałam unieść cały ciężar w tej sytuacji. Dla mamy, taty i Lowella Fern pojawiła się w środku historii. Ukształtowali się jako osoby już dużo wcześniej, więc mieli jakieś „ja”, do którego mogli powrócić. Dla mnie wszystko zaczynało się od Fern. Miałam niewiele ponad miesiąc, kiedy pojawiła się w moim życiu (ona sama nie miała jeszcze trzech miesięcy). Nie miałam nawet okazji poznać osoby, którą byłam przedtem.

Odczuwałam tę stratę także fizycznie i bardzo intensywnie. Brakowało mi jej zapachu i lepkiej wilgoci jej oddechu na moim karku. Tęskniłam za jej palcami drapiącymi moje włosy. Setki razy dziennie siadałyśmy koło siebie, kładłyśmy się jedna na drugiej, wzajemnie popychałyśmy się, pociągałyśmy, głaskałyśmy i uderzałyśmy; brak tego wszystkiego przysparzał mi cierpienia. To było jak ból, jak głód odczuwany na powierzchni skóry.

Kiedy siedziałam, nieświadomie zaczynałam się kołysać, aż w końcu powiedziano mi, żebym przestała. Weszło mi w nawyk wrywanie sobie brwi. Obgryzałam paznokcie do krwi, aż babcia Donna kupiła mi parę białych wielkanocnych rękawiczek i miesiącami kazała nosić je nawet do łóżka.

Fern obejmowała mnie w pasie od tyłu swymi żyłastymi ramionami jak szczotki do butelek, przyciskała twarz i całe ciało do moich pleców, stąpała krok w krok ze mną, gdy chodziłyśmy – jakbyśmy były jedną osobą. Doktoranci zaśmiewali się, patrząc na nas, więc czułyśmy się zabawne i docenione. Czasami taszczenie mały na plecach było obciążeniem, ale zwykle czułam się większa, jakby najważniejsze było nie to, co sama potrafiłam zrobić albo to, co mogła zrobić Fern, ale suma nas obydwu – Fern i mnie. Fern i ja wzięte razem mogłyśmy zrobić praktycznie wszystko. To taką właśnie siebie znałam – ludzką połowę fantastycznych, fascynujących, fantomowych siostr Cooke.

Czytałam, że żadna strata nie jest tak boleśnie odczuwana jak strata bliźniaka: ten, kto pozostaje przy życiu, opisuje siebie nie jako pojedynczą osobę, ale jako okaleczoną pozostałość większej całości. Nawet jeśli jedno z bliźniąt umrze jeszcze w łonie matki, drugie bywa naznaczone na resztę życia uczuciem niekompletności. Najbardziej cierpią identyczne bliźnięta jednojajowe; dwujajowe zaraz po nich. Jeśli rozszerzycie tę skalę wystarczająco, znajdziecie na niej w końcu także mnie i Fern.

Mimo że nie miało to wpływu na natychmiastowe ukrócenie mojego gadulstwa – jak się okazało, zabrało wiele lat, zanim to do mnie dotarło – w końcu

zrozumiałam, że ta gadatliwość miała znaczenie wyłącznie w kontekście mojej siostry. Gdy zniknęła z pola widzenia, nikogo już nie obchodziła moja kreatywna gramatyka, złożone leksemy ani zwinne, gimnastyczne koniugacje. Jeśli kiedykolwiek wyobrażałam sobie, że stanę się ważniejsza, kiedy tylko Fern zniknie i przestanie rozpraszać wszystkich, stało się wręcz przeciwnie. Doktoranci zniknęli z mego życia razem z nią. Jednego dnia wszystko, co mówiłam, stanowiło materiał badawczy, który starannie zapisywano do dalszej analizy i dyskusji; nazajutrz byłam tylko zwykłą dziewczynką, może trochę dziwaczną, ale bez żadnego znaczenia naukowego.

Dzielenie ściany z pokojem rodziców ma swoje zalety. Dużo się słyszy. Co prawda słyszenie ich czasem jest raczej wadą. Mama i tata czasem uprawiali seks. Czasem rozmawiali. Czasami rozmawiali, uprawiając seks.

Lata mijały, ale tematyka rozmów rodziców nie zmieniała się aż tak bardzo, jakbyście się spodziewali. Ojciec martwił się o swoją pozycję zawodową. Jeszcze nie tak dawno był młodym profesorem i wschodzącą gwiazdą; zgarniał granty i doktorantów jak wielkanocne jajka. W epoce Fern w jego pracowni było sześcioro doktorantów; wszyscy pisali prace doktorskie o eksperymencie prowadzonym w domu na farmie. Dwójka zdażyła ukończyć pracę zgodnie z planem, ale pozostałych czworo nie – co najwyżej mogli zawężyć pole badań albo wyrzeźbić coś cienkiego i mało interesującego na podstawie już zgromadzonych danych. Niestety reputacja pracowni, a nawet całego wydziału, ucierpiała na tym.

Ojciec popadł w paranoję. Mimo że sam napisał w tym pięcioletnim okresie kilka solidnych i ciekawych publikacji, teraz był przekonany, że koledzy mają o nim niskie mniemanie. Gdzie nie spojrzął – na spotkaniach wydziałowych, na przyjęciach – nieustannie znajdował dowody takiego stanu rzeczy. Okresowo wpędzało go to w pijaństwo.

Z Lowellem nadal były problemy. Głównie z Lowellem, ale ze mną też. Rodzice leżeli obok siebie w łóżku i się zamartwiali. Co tu z nami zrobić? Kiedy Lowell na powrót stanie się miłym, wrażliwym chłopcem, którym – jak wiedzieli – w głębi serca pozostał? Kiedy ja zacznę mieć przyjaciół, których nie wymyśliłam?

Psycholożka Lowella, pani Dolly Delancy, orzekła, że Lowell nie wierzy już, że rodzice kochają go bezwarunkowo. Jak mógłby w to wierzyć? Powiedziano mu, że ma troszczyć się o Fern jak o siostrę. Tak właśnie robił, aż na jego oczach rodzina ją odrzuciła. Czuł się zagubiony i wściekły. – Na całe szczęście może nam to powiedzieć specjalnie wyszkolony specjalista – orzekł ojciec.

Mama lubiła panią Delancy. Ojciec nie. Syn pani Delancy, Zachary, był w trzeciej klasie, kiedy ja poszłam do przedszkola. Zachary zwykł kłaść się pod drabinkami na placu zabaw i kiedy tylko jakaś dziewczynka znalazła się nad nim, wykrzykiwał na głos kolor jej majtek, nawet wtedy, kiedy nijak nie mógł go widzieć, bo dziewczynka była w spodniach. Wiem, że nasi rodzice byli świadomi jego zachowania, bo sama ich o nim poinformowałam. Zdaniem ojca to była użyteczna informacja. I że to daje do myślenia. Mama nie podzielała jego zdania.

Pani Delancy mówiła, że z Lowellem trudno jest żyć pod jednym dachem z powodu dobrych cech jego charakteru – właściwie jego największych zalet, jak lojalność, miłość, poczucie sprawiedliwości. Chcieliśmy, by Lowell się zmienił, ale nie chcieliśmy, by pozbył się cech, które uniemożliwiały tę zmianę. Sytuacja była

nadzwyczaj delikatna.

Nie miałam własnego psychologa, więc pani Delancy dzieliła się także spostrzeżeniami na mój temat. Ja zmagalam się z tymi samymi problemami co Lowell, ale gdzie on próbował zareagować przez przekraczanie granic, ja ze wszystkich sił próbowałam być posłuszna. Obie reakcje miały sens. Obie powinno się interpretować jako wołanie o pomoc.

Dla dzieci najlepsze są jasne oczekiwania i przewidywalne konsekwencje – mówiła pani Delancy, dla swojej wygody ignorując fakt, że jeśli powiedziało się Lowellowi, że granica leży tu i tu, można było z dużą pewnością liczyć na to, że natychmiast spróbuje ją przekroczyć.

Rodzice zdecydowali, że na razie należy tolerować zamazane granice i skupić się na rozwiewaniu Lowellowych wątpliwości. Dom wypełnił się miłością do Lowella – jego ulubionym jedzeniem, książkami, grami. Grywaliśmy w Rummikuba. Słuchaliśmy Warrena Zevona. Pojechaliśmy do pieprzonego Disneylandu. Lowell się wściekał.

\* \* \*

Nie sądzę, że ocena sytuacji, jakiej dokonała pani Delancy, była błędna; myślę, że była raczej niekompletna. Umknęło jej, że wszyscy odczuwaliśmy głęboki żal. Fern odeszła. Jej zniknięcie oznaczało wiele rzeczy: zagubienie, niepewność, zdradę, gordyjski węzeł międzyludzkich komplikacji. Ale było też faktem samym w sobie. Fern nas kochała. Napełniała dom kolorami, hałasem, ciepłem i energią. Zasługiwała na to, by za nią tęsknić i tęskniliśmy wszyscy za nią okropnie. Jakoś nikt spoza domu nigdy tego nie rozumiał.

Ponieważ szkoła nie dostarczała mi emocji, których, jak wszyscy myśleli, powinna dostarczyć – uczucia bycia docenianą i niezbędną – w trakcie pierwszej klasy przeniesiono mnie do hipisowskiej szkoły na Drugiej Ulicy. Dzieci nie lubiły mnie bardziej niż w poprzedniej szkole, ale wśród hipisów nie tolerowano przezywania. Steven Claymore nauczył dzieciaki, żeby zamiast tego drapały się pod pachami, jak to dzieci czasem faktycznie robią – co stwarzało możliwość nieprzyznania się, ale z kolei pozwalało dorosłym, włączając moich rodziców, pocieszać się, że moja sytuacja się poprawiła. W pierwszej klasie miałam cudowną nauczycielkę, panią Radford, która szczerze mnie uwielbiała. Dostałam rolę Mrówki w *Mrówce i Koniku Polnym* – bez wątpienia rolę główną, a wraz z nią szansę bycia gwiazdą. To samo w sobie wystarczyło, by przekonać mamę, iż rozkwitam na całej linii. Jej katatonię zastąpiło nieprawdopodobne ożywienie. Lowell i ja mieliśmy się znakomicie. Tak w zasadzie to byliśmy takimi miłymi dziećmi. I mądrymi. Przynajmniej wszyscy byli zdrowi! Raz na wozie, raz pod wozem.

Czy w całej literaturze pięknej jest postać bardziej osamotniona niż Mrówka?

Myślę, że mama i tata musieli powiedzieć w szkole, by nigdy nie wspomniano o Fern, ponieważ zwykłym podejściem do różnic społecznych i trudności było brnięcie w nie aż po empatyczne czubki nosa.

„Tammy nie może jeść urodzinowych ciastek Shanii, bo ma alergię na gluten zawarty w pszenicy. Dzisiaj nauczymy się o pszenicy – gdzie ona rośnie i jakie produkty, które spożywamy, zawierają to zboże. Jutro mama Tammy przyniesie ciastka z mąki ryżowej, żebyśmy mogli spróbować. Czy ktoś jeszcze ma jakieś alergię?”

„Dziś przypada pierwszy dzień miesiąca Ramadan. Kiedy Imad podrośnie, będzie obchodził Ramadan, poszcząc codziennie od wschodu do zachodu słońca. Pościć to znaczy nie jeść i nie pić niczego prócz wody. Daty początku i końca Ramadanu naliczane są według faz księżyca, więc co roku przypadają w innych dniach. Dzisiaj zrobimy kalendarz księżycowy. Narysujemy też nasze portrety jako astronautów chodzących po Księżycu”.

„Dae-jung nie mówi po angielsku, bo jego rodzina przyjechała z Korei. Dzisiaj znajdziemy Koreę na mapie. Nauczymy się też paru koreańskich słów, żeby Dae-jung nie był jedyną osobą uczącą się nowego języka. „Witaj, Dae-jung” po koreańsku brzmi...”

Trudno mi sobie wyobrazić, dlaczego moje dzieciństwo z Fern nie stało się tematem oddzielnej lekcji; jedyne, co to tłumaczy, to że temat został zakazany.

Tata dał mi kilka wskazówek, jak poprawić pozycję towarzyską. – Ludzie lubią, kiedy się naśladuje ich ruchy – powiedział. Jeśli ktoś pochyła się, mówiąc do mnie, powinnam zrobić to samo. Jeśli założy nogę na nogę, ja też powinnam; jeśli się uśmiechnie, odpowiedzieć uśmiechem, i tak dalej. Mogłabym tego spróbować z dziećmi w szkole (ale subtelnie; nic z tego nie będzie, jeśli wszyscy zauważą, co robię). Pewnie dobra rada, ale nie wyszła mi na zdrowie: zbyt dobrze pasowała do narracji „małpiatej” – to ta, co małpuje. Co pewnie oznacza także, że kiepsko mi poszło w kwestii subtelności.

Mama miała teorię na ten temat – usłyszałam o niej przez ścianę. Nie trzeba wcale mieć wielu przyjaciół, żeby przebrnąć przez szkołę, mówiła ojcu, ale trzeba mieć jednego. Przez krótki czas w trzeciej klasie udawałam, że Dae-jung i ja jesteśmy przyjaciółmi. On nic nie mówił, ale ja potrafiłam gadać za dwoje. Ledwie zaczynał, już podejmowałam jego kwestię. Jadaliśmy razem lunch – a przynajmniej jadaliśmy przy tym samym stole. W klasie posadzono nas w sąsiednich ławkach, w oparciu o teorię, że może mu to pomóc w nabywaniu zdolności językowych, jeśli będę gadać poza kolejnością. Ironią losu było, że jakkolwiek jego angielszczyzna poprawiła się w dużym stopniu dzięki memu nieustannemu terkotaniu, gdy w końcu mógł rozmawiać, znalazł innych przyjaciół. Nasz kontakt był piękny, ale krótki.

Dae-jung przeniósł się do państwowej szkoły, kiedy tylko jego angielski



nabrał płynności. Ambicje jego rodziców zakładały wysłanie go na uniwersyteckie zajęcia z matematyki na Northwest. W 1996 roku matka zadzwoniła do mnie do Davis, żeby powiedzieć mi, że Dae-jung jest dosłownie o rzut beretem, na UC Berkeley. – Powinniście się spotkać! – powiedziała. Moja krótkotrwała wiara w tę przyjaźń była dla niej aż tak upajająca. Nigdy z niej nie zrezygnowała.

Po koreańsku małpa to *uon-sung-ii*. To zapis fonetyczny. Nie znam poprawnej transliteracji.

W międzyczasie Lowell dostał się do liceum. Lowell z liceum był mniej niezdolny niż Lowell z gimnazjum. Przestał domagać się, abyśmy odwiedzili Fern i dołączył do reszty rodziny, rzadko wspominającej o niej choćby słowem. Był chłodny, ale uprzejmy; spokój osiadł w domu jak cienka warstwa śniegu. Na któryś Dzień Matki dał mamie pozytywkę grającą temat z *Jeziora łabędziego*. Całymi dniami potem płakała.

Marco ciągle był najlepszym kumplem Lowella, chociaż mama Marco lubiła mego brata nieco mniej od czasu, gdy wraz z jej synem próbowali kraść Twizzlersy ze sklepiku Sahara Mart na Trzeciej Ulicy, gdzie ich złapano i zatrzymano, ku przestrodze innych.

Lowell miał dziewczynę, z którą bez przerwy zrywał i schodził się z powrotem. Nazywała się Katherine Chalmers, ale wszyscy mówili na nią Kitch. Jej rodzice byli surowi i totalnie przytłoczeni nadmiarem obowiązków – mieli dziewięcioro dzieci – więc to jej dwóch starszych braci miało mieć na nią oko. Każdy z nich stawał na wysokości zadania na swój własny sposób. Jeden pojawiał się na naszym progu i zabierał ją do domu za każdym razem, kiedy nie wróciła o wyznaczonej godzinie. Drugi kupował jej butelkę jabola, żeby nie musiała się u prosić u obcych. Taka mieszanka, jak to wykazał w publikacjach ojciec, nie stwarza dobrego modelu modyfikacji zachowań. Kitch była dziewczyną, o której różnie mówili.

W domu Chalmersów Lowellowi nie wolno było nawet zbliżyć się do sypialni Kitch, ale w naszym domu obowiązywała Polityka Otwartych Drzwi, co oznaczało, że Kitch mogła siedzieć w pokoju Lowella, ale tylko, jeśli drzwi były otwarte na oścież. Czasami wysyłano mnie, żebym sprawdziła, ale pozycja drzwi zawsze spełniała zakładane wymagania. Czasem jednak Lowell i Kitch leżeli razem na łóżku, kompletnie ubrani, ale jednocześnie jakby z całej siły starali się leżeć w tym samym miejscu. Mama nigdy nie pytała o takie szczegóły, więc nic o tym nie wspominałam. Gdzieś po drodze załapałam, że lepiej za wiele nie płać.

W pewnym momencie praktycznie w ogóle przestałam mówić. Nie jestem w stanie wskazać dokładnie, kiedy się to stało. Już wiele lat wcześniej wykombinowałam, że najlepsza taktyka na przetrwanie w szkole, to nie zwracać na siebie uwagi – ale teoria i praktyka to dwie różne rzeczy. Zaszło to więc stopniowo, z biegiem czasu, wywalczone codziennym wysiłkiem. Najpierw pozbyłam się wielkich słów. Nic dobrego z nich dla mnie nie wynikało. Potem przestałam poprawiać innych, gdy używali niewłaściwego słowa. Podnosiłam sobie poprzeczkę w kwestii proporcji między rzeczami, które miałam do powiedzenia a tymi, które faktycznie mówiłam: jedna z trzech, jedna z czterech, potem z pięciu,

sześciu, siedmiu.

Myślałam ciągle tyle co kiedyś i czasami wyobrażałam sobie, jaką odpowiedź uzyskalabym, gdybym coś powiedziała, i jaka byłaby moja następna kwestia, i tak dalej, i tak dalej. Te myśli, zablokowane niemożnością wypowiedzenia, tłoczyły się w mojej głowie. Jej wnętrze było gwarne i dziwaczne jak kantyna Mos Eisley z *Gwiezdných Wojen*.

Nauczyciele zaczęli narzekać, że nie uważam na lekcjach. Dawniej byłam w stanie skupić się na tym, o czym była mowa nawet wtedy, gdy gadałam non stop. Teraz łatwo się rozpraszałam, jak to ujęła mama. Brakowało mi skupienia, jak powiedział ojciec. Lowell nie powiedział nic. Pewnie nawet nie zauważył.

W ostatniej klasie Lowell był rozgrywającym w szkolnej drużynie koszykówki South High School. Była to tak wpływowa i prestiżowa pozycja, że nawet mój żywot stał się dzięki niej znośniejszy. Chodziłam na wszystkie mecze. Echo szkolnej sali gimnastycznej, dzwonki, zapachy, dźwięk piłki odbijającej się na parkiecie – wszystko to dawało mi uczucie głębokiego błogostanu. Koszykówka w stanie Indiana. Wszyscy byli dla mnie mili, kiedy mój brat był na boisku, wskazując pozycje innym graczom.

Tego roku miasto Marion w stanie Indiana miało doborową drużynę, z którą wkrótce mieliśmy rozegrać mecz; aż brzęczałam z ekscytacji. Namalowałam plakat, przedstawiający węża owiniętego wokół piłki do kosza w taki sposób, że tworzył numer na koszulce Lowella – dziewiątkę – i wywiesiłam w oknie salonu. Aż tu pewnego dnia, w czasie, kiedy Lowell bezwzględnie powinien być na treningu i nadzorować ćwiczenia swojego zespołu, usłyszałam, jak wchodzi do domu. Poznałam po odgłosie zamykania drzwi, że to on.

Byłam na gorze, czytałam coś – *Most do Terabithii* albo *Tam, gdzie rośnie czerwona paproć* – musiała to być jedna z tych książek, w których ktoś umiera, bo już byłam kompletnie zapłakana. Mamy nie było, nie pamiętam, gdzie poszła – ale nawet jeśli byłaby w domu, niewiele mogłaby zmienić, więc cieszę się, że nie musiała próbować nadaremnie, co z pewnością dręczyłoby ją później.

Zeszłam na dół zobaczyć, co się dzieje. Drzwi sypialni Lowella były zamknięte. Otworzyłam je. Leżał na łóżku, twarzą w dół, stopy na poduszce, głowa w nogach. Spojrzał na mnie, ale nie podniósł głowy dość wysoko, bym mogła spojrzeć mu w twarz. – Wypad, kurwa, z mojego pokoju – powiedział. Głos był ostry jak brzytwa. Nie poruszyłam się.

Zsunął nogi na podłogę i zwrócił się w moją stronę. Jego twarz była czerwona, mokra i napuchnięta jak purchawka. Ujął mnie za ramiona i popchnął w stronę wyjścia. – Nie waż się, kurwa, więcej tu przychodzić – powiedział. – Nigdy, kurwa, rozumiesz? Zamknął drzwi.

Do obiadu wyglądał już normalnie. Jadł, rozmawiał z tatą o nadchodzącym meczu. Nie wspomniał, że nie był na treningu, więc i ja nic na ten temat nie

powiedziałam. Obejrzelśmy odcinek *Bill Cosby Show*. Pamiętam, że się śmiał. To ostatnia rzecz, którą robiliśmy wszyscy razem.

Tej nocy wziął wszystkie swoje pieniądze – za skarbonkę służyła mu kukielka Groucho Marxa, którą babcia zrobiła dla niego ze skarpetki, kiedy miał ospę wietrzną – i wrzucił do swojej torby treningowej razem z paroma ubraniami. Zawsze miał dar zarabiania pieniędzy i nie wydawał ani grosza, więc przypuszczam, że zebrał pokaźną sumkę. Zabrał ojcowe klucze do laboratorium i wszedł do środka. Zapakował wszystkie szczury do kilku dużych klatek i wyniósł je na dwór. Wszystkie wypuścił. Potem złapał autobus do Chicago i nie wrócił więcej.

Po raz kolejny doktoranci ojca stracili dane, które zbierali latami. Ojciec powiedział, że przy takiej pogodzie Lowell sprawił szczurom niedźwiedzią przysługę. Z pewnością nie oddał przysługi ojcu, który co prawda pozostał na uczelni, ale nie dostał więcej doktoranta, z którym ktokolwiek inny chciałby pracować. Nie będę się wdawać w szczegóły, jak mama przyjęła zniknięcie Lowella: powiem tylko, że zniosła to nawet gorzej niż odejście Fern. Brak mi słów, by opisać, jak wielką tragedią było to dla niej. Nawet nie próbowała nigdy udawać, że się po tym pozbierała.

Na początku wszyscy myśleliśmy, że wróci. Zbliżały się moje urodziny; byłam pewna, że nie pozwoli, by go to ominęło. Czasami znikał na parę dni – góra cztery za jednym razem – a potem wracał i nigdy nie dowiedzieliśmy się, gdzie nocował. Nic dziwnego, że mimo Wielkiego Szczurzego Exodusu rodzicom zajęło dobrą chwilę zrozumienie, że tym razem będzie inaczej. Po dwóch tygodniach zdecydowali się iść na policję, która niespecjalnie przejęła się jego przypadkiem, traktując go jako uciekiniera-recydywistę, i w dodatku dorosłego, bo właśnie skończył osiemnaście lat. Rodzice wynajęli prywatnego detektywa, poważną kobietę o nazwisku K. T. Payne, by go wytropiła. Na początku Payne regularnie dzwoniła do nas do domu. Nie odnalazła Lowella, ale była na tropie. Gdzieś go widziano. Ktoś coś zaraportował. Lowell coś narozrabiał albo do takiego wniosku doszłam, obserwując, jak wszyscy unikali poinformowania mnie, co zaszło. – Cześć mała, jak leci? – pytała mnie pani Payne, gdy odbierałam telefon; zawsze starałam się być w pobliżu, by słyszeć, co miała do powiedzenia, ale rodzice starannie trzymali się zasady nieudzielania bliższych informacji.

W końcu Lowell kompletnie zniknął. Z każdym kolejnym telefonem mama stopniowo obumierała, aż tata poprosił K.T., żeby dzwoniła na numer jego biura.

Wynajęli kolejnego detektywa.

Tygodnie zmieniały się w miesiące, ale my ciągle wierzyliśmy, że wróci. Nigdy nie wprowadziłam się do jego pokoju, choć często sypiałam w jego łóżku: dawało mi to poczucie, że jestem bliżej niego i ratowało przed słuchaniem szlochów mamy za ścianą. Pewnego dnia znalazłam liścik, który zostawił dla mnie wewnątrz

*Drużyny Pierścienia*. Wiedział, że na pocieszenie powędruję do Shire; przypominało bowiem Bloomington w Indianie mniej więcej tak jak dowolne inne miejsce na świecie. Liścik mówił: *Fern nie jest na żadnej pierdolonej farmie*.

Zachowałam jego treść dla siebie; mama nie była w wystarczająco dobrym stanie, by jej powiedzieć. Zakładałam, że Fern najpierw była na farmie, ale później zesłano ją gdzie indziej, prawdopodobnie za złe sprawowanie. Poza tym Lowell się tym zajmie. Lowell zaopiekuje się Fern, a potem wróci i zajmie się mną.

Nigdy mi do głowy nie przyszło, że ojciec od początku nas okłamywał.

\* \* \*

Gdy miałam z osiem czy dziewięć lat, tuż przed zaśnięciem wyobrażałam sobie, że mieszkam razem z Fern na jej farmie. Nie było tam dorosłych ani innych ludzi, tylko małe szympansy, które ogromnie potrzebowały kogoś, kto nauczyłby je piosenek i czytałby im książki. Na dobranoc szeptałam sobie historie, które chciałam opowiadać przed snem tym szympansiątkom. Ta moja fantazja po części opierała się na *Piotrusiu Panu*.

Inną inspiracją byli *Szwajcarscy Robinsonowie*, disnejowska wersja. Gdy byliśmy w Disneylandzie, nic w całym parku nie zachwyciło mnie aż tak jak domek na drzewie. Och, gdybym tak mogła pozbyć się obserwujących każdy mój krok rodziców i być beztroską sierotką! Schowałabym się pod pianolą aż do zamknięcia parku, a potem osiedliła tam na dobre.

W wyobraźni przeniosłam całą konstrukcję – razem z korzeniami, pniem i gałęziami na farmę Fern; moje nocne rozmyślenia skupiały się na systemach bloczków i kabli, które pozwalałyby doprowadzić do domku bieżącą wodę i uprawiać warzywa (w tej fantazji przepadałam za warzywami) bez opuszczania drzewa. Gdy zasypiałam, w mojej głowie tańczyły inżynieryjne gadżety i logistyczne rozwiązania.

Ironią losu jest, że wiele lat później Szwajcarscy Robinsonowie zostali siłą usunięci z disnejowskiego domku na drzewie, by zrobić miejsce dla Tarzana i jego świątobliwej małpiej matki Kali.

Drużyna z Marion odniosła wręcz miażdżące zwycięstwo nad Bloomington South i dostała się do finałów, w których zdobyła mistrzostwo stanu Indiana – był to pierwszy z trzech z rzędu dorocznych sukcesów, odnotowanych w annałach szkolnego sportu jako Purpurowy Deszcz. Nie sądzę, by obecność Lowella mogła mieć wpływ na wynik. Bez względu na to jednak jego zniknięcie nie pomogło mojej pozycji w szkolnych kręgach.

Nazajutrz po meczu, rankiem, nasza morwa była obwieszona papierem toaletowym, spływającym z jej konarów jak choinkowy łańcuch, a na progu leżały trzy worki gówna – pewnie psiego, ale kto to może wiedzieć. Tego dnia w szkole graliśmy w zbijaka; wróciłam do domu poobijana, jeden wielki siniak. Nikt nie próbował interweniować. Podejrzewam, że niektórych nauczycieli korciło, żeby się

przyłączyć.

Miesiące przeszły w lata.

Pierwszego dnia siódmej klasy ktoś przykleił mi do pleców kurtki stronę z *National Geographic*. Błyszczące zdjęcie na niej przedstawiało zad płodnej samicy szympansa, różowy, nabrzmiały, przyciągający wzrok jak tarcza strzelnicza. Gdzie nie poszłam przez następne dwie godziny, dzieciaki szturchały mnie w plecy, gdy przechodziłam, symulując ruchy frykcyjne – aż w końcu na lekcji francuskiego nauczyciel zauważył zdjęcie i odczepił je.

Oczekiwałam, że reszta gimnazjum upłynie dokładne w tym stylu. Plus guma do żucia, atrament i woda z muszli klozetowej. Dokładnie wymieszane. Tamtego pierwszego dnia wróciłam do domu, wzięłam prysznic, by zagłuszyć dźwięk, i płakałam, płakałam, płakałam za Lowellem, myśląc, że jednak kiedyś wróci. Lowell każe im przestać, jak tylko wróci do domu. Lowell da im do wiwatu, aż pożałują. Muszę tylko wytrzymać do jego powrotu, w międzyczasie siedząc w tych klasach i chodząc szkolnymi korytarzami.

Nigdy nie powiedziałam rodzicom. Mama nie miała dość sił, żeby o tym słuchać; jeślibym jej powiedziała, nigdy więcej nie wyszłaby ze swojego pokoju. Jedyne, co mogłam teraz dla niej zrobić, to radzić sobie jakoś. Staralam się tak, jakby to było moją pracą. Żadnych skarg na warunki pracy pod adresem kierownictwa zakładu. Nie było sensu mówić ojcu. Nigdy nie pozwoliłby mi się poddać po jednym dniu. Nie umiał mi pomóc, a jeśliby próbował, wyszłaby z tego jakaś okropna kompromitacja. Rodzice są zbyt niewinni, by pokazywać im prawdę o gimnazjum, z jego scenami jak z Boscha.

Trzymałam więc buzię na kłódkę. W tamtych czasach generalnie się nie odzywałam.

Na całe moje szczęście ten pierwszy dzień okazał się najgorszy. Byli inni uczniowie, dzieciaki jeszcze bardziej irytująco dziwaczne niż ja, które zamiast mnie dźwigały brzemię okresu gimnazjalnego. Od czasu do czasu ktoś zapytał zatroskanym głosem, czy aby nie jestem w rui. Sama byłam sobie winna, bo żadne z nich nie znałoby tego słowa, gdybym go raz nie użyła w czwartej klasie – najwyraźniej wszystkim zapadło w pamięć. Ale przez większość czasu nikt w ogóle się do mnie nie odzywał.

W ciemnościach swojej sypialni mama i tata zamartwiali się, że tak przycichłam. To nieuniknione, zapewniali siebie wzajemnie. Typowe nastoletnie nabzdyczenie. Sami w tym wieku byli tacy. Wyrosnę z tego. Unormuję się gdzieś pomiędzy bezustannym gadaniem a obecnym milczeniem.

Czasami przychodziło coś od Lowella. Na przykład pocztówka, czasem z tekstem, czasem bez, ale zawsze bez podpisu. Pamiętam kartkę z widokiem Partenonu w Nashville ze stemplem poczty w Saint Louis. „Mam nadzieję, że jesteście szczęśliwi” – napisał na odwrocie; trudno to było pojąć i przyjąć za dobrą

monetę, ale na pewno miał na myśli dokładnie to, co napisał. Lowell mógł mieć nadzieję, że jesteśmy szczęśliwi.

\* \* \*

Pewnego dnia, na początku czerwca 1987 roku, przestaliśmy go szukać. Nie było go od ponad roku. Stałam na podjeździe, rzucając piłką tenisową o drzwi garażu i łapiąc ją – tak się gra w piłkę, kiedy nie ma się z kim. Miałam trzynaście lat i całe upalne lato przed sobą, zanim przyjdzie czas znowu pójść do szkoły. Świeciło słońce, powietrze było wilgotne i nieruchome. Rano byłam w bibliotece, w pokoju czekało teraz na mnie siedem książek – trzech z nich nie czytałam wcześniej. Pani Byard machała do mnie z naprzeciwka. Koszyła trawnik; silnik kosiarki bzycał jak pszczoła, sennym i niskim tonem. Nie byłam szczególnie szczęśliwa – ale pamiętałam, jak smakuje szczęście.

Dwóch mężczyzn wysiadło z zaparkowanego przed domem czarnego samochodu; podeszli do mnie. – Musimy porozmawiać z twoim bratem – powiedział jeden z nich. Skórę miał ciemną, ale nie czarną. Głowę miał ogoloną tak blisko skóry, że wyglądał, jakby był łysy i pocił się od upału. Wyjął chusteczkę i wytarł nią czubek głowy. Sama chciałam to zrobić: przesunąć ręką po jego włosach. Pewnie dotyk tak krótkich włosów na dłoni wydałby mi się przyjemny.

– Możesz poprosić go, żeby do nas przyszedł? – zapytał ten drugi.

– Mój brat jest z Fern – odpowiedziałam. Potarłam dłońmi o nogawki spodni, żeby przestały mnie swędzieć ręce. – Teraz mieszka z Fern.

Mama wyszła z domu i dała mi znak, żebym przyszła do niej na ganek. Wzięła mnie za ramię i przysunęła bliżej siebie, tak że stała między mną a tymi dwoma.

– Jesteśmy z FBI, proszę pani – powiedział ten prawie łysy. Pokazał jej odznakę. Wyjaśnił, że poszukują mojego brata w związku z pożarem na terenie UC Davis, który spowodował szkody w wysokości 4,6 miliona dolarów w Weterynaryjnym Laboratorium Diagnostycznym imienia Johna E. Thurmana. – Byłoby w jego najlepszym interesie przyjść do nas z własnej woli – powiedział jeden z mężczyzn. – Powinna mu to pani powiedzieć.

– Kto to jest Fern? – zapytał ten drugi.

\* \* \*

Większość szczurów, które Lowell powypuszczał z klatek, została schwytana – ale nie wszystkie. Wbrew czarnym prognozom ojca niektóre z nich przeżyły tamtą zimę, a potem następną. Żyły pełnią życia – poznały smak seksu, podróży, przygody. Przez wiele lat widywano w Bloomington szczury kapturowe. Znalaziono szczura w bucie w akademikowej szafie; innego w kawiarni w śródmieściu. Innego pod ławką w kaplicy uniwersyteckiej. Jeszcze innego na cmentarzu Dunn, gdzie zajadał jaskry na grobie z czasów wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.





Pewnego dnia pedałuję sobie samotnie, piętnastoletnia, po pięknym jesiennym kampusie University of Indiana. Jadę bardzo szybko, gdy nagle ktoś mijany po drodze woła mnie po imieniu.

– Rosemary! Poczekaj! – woła ten ktoś, więc czekam – okazuje się, że to Kitch Chalmers, obecnie studentka tegoż uniwersytetu, najwyraźniej szczerze uradowana, że mnie widzi. – Rosemary Cooke! Moja kumpela ze starych czasów!

Kitch zabrała mnie do klubu studenckiego, kupiła mi colę. Przez chwilę gadała, a ja słuchałam. Powiedziała, że żałuje wybryków z młodych lat i miała nadzieję, że ja nie popełniam takich samych błędów. Ostrzegła mnie, że co się raz stanie, to się nie odstanie. Ale teraz wyszła na prostą. Była członkinią korporacji studenckiej i miała dobre stopnie. Miała dostać dyplom nauczycielski, co i mnie poddawała pod rozagę. Powiedziała, że prawdopodobnie byłaby ze mnie świetna nauczycielka – do dzisiaj się zastanawiam, skąd jej to przyszło do głowy, chociaż jak przyszło co do czego, tak właśnie zrobiłam.

Była teraz z miłym chłopakiem, który – jak mi powiedziała – wyjechał na misję do Peru i dzwonił do niej co tydzień. Wreszcie zapytała, czy miałam jakieś wieści od Lowella. Do niej nigdy się nie odezwał. Ani słowa od dnia, w którym zniknął. Uważała, że zasłużyła na lepsze traktowanie. – Wszyscy zasłużyliśmy na więcej, taka z was miła rodzina – powiedziała.

A potem powiedziała mi coś, o czym nie wiedziałam, a co zdarzyło się, kiedy ostatni raz widziała Lowella. Szli razem na jego trening koszykówki, gdy po drodze wpadli na Matta. Tego Matta, który był moim ulubionym doktorantem, Matta z Birmingham. Matta, którego nie widziałam od czasu, kiedy Fern zniknęła.

Matt, który wiedział, że go uwielbiałam, ale nie przyszedł się pożegnać.

Okazało się – snuła swoją opowieść Kitch – że Matt opuścił Bloomington razem z Fern. Wyglądał na zaskoczony faktem, że Lowell o tym nie wiedział. Zdarzały się wypadki, że szympansy odseparowane od swoich rodzin umierały z niewyjaśnionych powodów – najprawdopodobniej z żalu. Posłano więc Matta (a raczej: sam zgłosił się na ochotnika), by pomóc Fern w dostosowaniu się do nowego miejsca. Zabrał Fern do laboratorium psychiatrycznego w Vermillion w Dakocie Południowej. Było tam ponad dwadzieścia szympansov, a dyrektorem był doktor Uljevik, o którym Matt nie miał nic dobrego do powiedzenia.

Choć było jasne, iż Fern jest w szoku i przeprowadzka jest dla niej horrorem, doktor Uljevik upierał się, by Matt nie odwiedzał jej przez dłużej niż kilka godzin w tygodniu. Umieścił ją w jednej klatce z czwórką dorosłych szympansov, a kiedy Matt wspomniał, że nigdy wcześniej nie przebywała z szympanсами i lepiej byłoby, gdyby powoli przyzwyczajać ją do ich towarzystwa, Uljevik odmówił.

Orzekł, że Fern musi się dopasować i znać swoje miejsce. – Jeśli nie jest w stanie się przystosować, nie możemy jej tu trzymać – powiedział. Przez cały czas, gdy Matt był na miejscu, doktor nigdy nie zawołał Fern po imieniu.

– I wtedy Lowell oszalał – powiedziała Kitch. Chciała go przekonać, żeby jednak poszedł na trening; obawiała się, że inaczej wyląduje na ławce rezerwowych na meczu z Marion. Mówiła, że powinien być odpowiedzialny wobec kolegów z drużyny, wobec całej szkoły i miasta.

– Nie mów mi, kuźwa, o odpowiedzialności! – odpowiedział (Bardzo wątpię, czy to jego słowa. Lowell w życiu nie powiedział „kuźwa”). – W tej klatce siedzi moja siostra! Pokłócili się, Kitch z nim zerwała.

Kitch nigdy nie poznała Fern, toteż, jak cała reszta miasta, nie mogła naprawdę zrozumieć – reakcja Lowella wydała jej się przesadna i niewytłumaczalna. – Powiedziałam mu, że nie chcę być dziewczyną faceta, który przegrał mecz z Marion – oznajmiła mi. – Żałuję, że to zrobiłam, ale zawsze mówiliśmy sobie nawzajem okropne rzeczy. Myślałam, że się później pogodzimy, zawsze dotąd tak było. Oo, Lowell nie raz powiedział mi coś wstrętnego, nie byłam od tego jedyna.

Ale ta część jej kwestii ledwo do mnie dotarła; ciągle brzmiało mi w uszach coś, co powiedziała wcześniej: – Matt mówił, że tam w Południowej Dakocie traktowali Fern jak jakiegoś zwierzaka – stwierdziła Kitch.

\* \* \*

Wystarczająco ciężko przychodziło mi wybaczyć sobie to, co czułam i mówiłam jako pięciolatka, a co wpływało tak beznadziejnie na moje czyny w wieku lat piętnastu. Lowell usłyszał, że Fern siedzi w klatce w Dakocie Południowej i odszedł z domu tego samego wieczora. Teraz ja się o tym dowiedziałam, a moją jedyną reakcją było udawanie, że nie usłyszałam. Serce podeszło mi do gardła i zostało tam przez całą straszliwą opowieść Kitch. Nie byłam w stanie dopić coli ani nic powiedzieć przez tę ohydną, mięsistą, pulsującą gulę w gardle.

Ale ledwo dojechałam do domu, rozjaśniło mi się w głowie. Dojście do wniosku, że historia nie była w gruncie rzeczy aż tak okropna, zajęło mi tyle, co pokonanie pięciu przecznic na rowerze. Kochany ten Matt.

Dwadzieścia innych szympanów, z którymi mogła się przyjaźnić; cała nowa szympania rodzina. Klatka to oczywiście tylko stadium przejściowe zanim przeniosą ją na farmę taty. Lowell nie był dobry w braniu rzeczy na wiarę. Lowell, myślałam sobie, zawsze dochodził do najdziwniejszych konkluzji. Zresztą gdyby Fern działa się jakaś krzywda, Lowell z pewnością już by się tym zajął. Pojechał do Południowej Dakoty i załatwił co trzeba. A potem przeniósł się do Davis w Kalifornii. FBI nam tak powiedziało. Mój własny rząd. Czemu mieliby kłamać?

Przy obiedzie przyjęłam swoją zwykłą strategię: nic nie powiedziałam.

Wypowiedziane słowo zmienia wiedzę indywidualną w wiedzę dzieloną z kimś, a jeśli przekroczy się tę granicę, nie ma już odwrotu. Dużo wygodniej było nic nie powiedzieć; z biegiem czasu przekonałam się, że to zwykle najlepsze rozwiązanie. Niełatwo mi było nauczyć się tego, ale jako piętnastolatka głęboko wierzyłam w moc milczenia.

A potem próbowałam nigdy więcej nie myśleć o Fern. To zaskakujące, ale jeszcze zanim skończyłam studia, prawie osiągnęłam ten cel. Wszystko stało się tak dawno temu. Byłam taka mała. Spędziłam więcej lat bez Fern niż z nią – a tych lat, które spędziłyśmy razem, nawet nie pamiętałam.

Wyprowadziłam się z domu jako ostatnie z dzieci. Mimo że mama przyzwoliła na ten absurdalny pomysł ze studiowaniem w innym stanie, przez pierwszy rok głos jej drżał, gdy rozmawialiśmy przez telefon. Gdybym wróciła na lato do domu, straciłabym prawo do stypendium dla osób mieszkających w pobliżu uczelni, więc nie wyjechałam. Mama i tata przyjechali w lipcu, żeby mnie odwiedzić. – Przynajmniej ten upał tutaj nie jest wilgotny – powtarzali mi, ale gdy termometr zaczął pokazywać czterdzieści stopni, uznałam, że to bełkot szaleńców. Przejechaliśmy się po kampusie, omijając bez jednego komentarza sprawnie funkcjonujące teraz laboratorium, niegdysiejszy cel podpalaczy.

Wrócili do Bloomington, a w sierpniu znaleźli tam inny dom i przeprowadzili się. To było dziwaczne uczucie: znowu mieszkałam w miejscu, którego nigdy nie widziałam.

Nie podejmując żadnej świadomej decyzji w tej sprawie, zaczęłam unikać wszelkich zajęć, na których była mowa o ssakach naczelnych. Omijałam genetykę i anatomię fizyczną, a już szczególnie psychologię. Zdziwilibyście się, jak ciężko jest lawirować z daleka od naczelnych. Człowiek wybierze zajęcia „Wstęp do sinologii” i potem przez bity tydzień uczy się o Sun Wukongu, Małpim Królu i o zamieszaniu, jakie posiał w niebiosach. Albo zajęcia z literatury europejskiej: zaraz trzeba przerabiać *Sprawozdanie dla Akademii* Kafki, w którym narratorem jest małpa, Czerwony Piotruś: profesor powie, że to metafora bycia Żydem i człowiekowi przychodzi przyznać, że owszem, to możliwa interpretacja, ale z pewnością nie najbardziej oczywista. Na astronomii może się zdarzyć sekcja poświęcona eksploracji, wszystkim tym pionierskim psom i szympansom w kosmosie. Mogą pokazywać zdjęcia szympansov-kosmonautów w hełmach, uśmiechniętych od ucha do ucha – i wtedy czuje człowiek przemożną potrzebę poinformować resztę klasy, że szympansy robią taką minę tylko, kiedy się boją, i nawet najdłuższy czas spędzony wśród ludzi tego nie zmienia. Te pozornie szczęśliwe kosmiczne szympansy na obrazkach są szczerze przerażone i czasem ledwie resztkami sił udaje się powstrzymać od powiedzenia tego na głos.

Tak więc nie jest prawdą, że w ogóle nie myślałam o Fern. Nie myślałam, dopóki coś mnie do tego nie skłoniło, a i wtedy starałam się nie rozmyślać.

Wybrałam studia w Davis, zarówno po to, żeby odnaleźć przeszłość (mojego brata), jak i zostawić ją (małpiatą) za sobą. „Małpiatą” znaczy tu oczywiście: mnie,

nie Fern, która nie jest i nigdy nie była małpą. W jakichś regionach mózgu, do których nie mam dostępu, gdzieś, gdzie myślenie odbywa się poza językiem, ciągle żyła we mnie wiara, że da się naprawić i moją rodzinę, mnie samą i nasze życie tak, jakby Fern nie była jego częścią. Musiałam być przekonana, że byłoby dobrze, gdyby tak się stało.

Wprowadzając się do akademika dla pierwszoroczników, zdecydowałam, że nigdy nie będę mówić o mojej rodzinie. Na tym etapie nie byłam już gadułą i spodziewałam się, że nie sprawi mi to większych trudności. Ku memu zdziwieniu okazało się, że rodziny, od których się wyprowadziliśmy, były tematem dnia stosunkowo często i unikanie rozmów o nich okazało się trudniejsze, niż miałam nadzieję.

Moją pierwszą współlokatorką była entuzjastka z *Archiwum X* z Los Gatos. Nazywała się Larkin Rhodes, była naturalną blondynką, ale farbowała włosy na rudo i kazała nazywać siebie Scully. W stanach wysokiej agitacji jej policzki zmieniały kolor z jasnoróżowego na biały i z powrotem na jasnoróżowy – tak szybko, jakby się je widziało na fotografii poklatkowej. Scully zaczęła mówić o swojej rodzinie praktycznie od momentu, kiedy się poznałyśmy.

Scully przyszła pierwsza, wybrała sobie łóżko i rzuciła na nie wielką stertę swoich ubrań (zostały tam przez całe miesiące; spała między nimi jak w gnieździe); kiedy przybyłam, była zajęta rozwieszaniem plakatów. Na jednym było, oczywiście, słynne „Chcę wierzyć” z *Archiwum X*. Drugi plakat był z *Edwarda Nożycorękiego* i jak mnie poinformowała, był to jej ulubiony film z Johnnym Deppem. – A jaki jest twój ulubiony? – zapytała; pewnie sprawiłabym lepsze pierwsze wrażenie, gdybym miała gotową odpowiedź.

Na szczęście Scully była najstarszą z trzech siostr i była przyzwyczajona do obniżania poprzeczki dla mniej bystrych. Opowiedziała mi, że jej tata był przedsiębiorcą budowlanym pracującym na zlecenia luksusowych klientów – budował domy z bibliotekami wyposażonymi w drabinki na rolkach, z fontannami pełnymi czerwonych karp, szafami wielkości łazienek i łazienkami wielkości pokoi. Spędzał weekendy na festynach renesansowych, nosząc aksamitny kapelusz i pozdrawiając przybyłych nieszczęśników tradycyjnym „darzbóg”.

Jej mama projektowała zestawy do haftu krzyżykowego i sprzedawała je pod szyldem firmy s-X-owanie (wymawia się to „sKRZYŻowanie”). Prowadziła warsztaty robótek ręcznych w całej Ameryce, ale najbardziej popularna była na Południu. Na łóżku Scully leżała poduszka z wyszytym krzyżykowo widokiem Wielkiego Muru w Chinach: mistrzowskie cieniowanie haftu było tak piękne, że wszystko wyglądało jak żywe.

Mama Scully raz nie pozwoliła jej pójść na szkolną potańcówkę i kazała szorować do czysta wybielaczem fugi między kafelkami w łazience z użyciem szczoteczki do zębów. – To perfekcyjnie podsumowuje charakter mojej mamy: jest

jak Marta Stewart na przyspieszonych obrotach – powiedziała Scully. Po czym dodała: – No, może nie do końca. Ale psychologicznie trochę tak. Utkwiła we mnie smutne, błękitne oczy i zapytała nieśmiało: – Wiesz, jak to jest: dorasta się i wszystko wydaje ci się całkiem normalne, a potem odkrywasz, że cała twoja rodzina to świrusy. Znałyśmy się może ze dwadzieścia minut w momencie, kiedy usłyszałam to wszystko.

Scully była towarzyska aż do obrzydzenia – tak otwarta na ludzi, że praktycznie włąziła im do środka. Nasz pokój stał się centrum wszelkiej aktywności. Wracalam z zajęć albo z obiadu, albo budziłam się w środku nocy – i zawsze zastawałam co najmniej pół tuzina pierwszoroczniaków, siedzących z plecami opartymi o ścianę i pogrążonych w nigdy niekończących się opowieściach o domach, z których właśnie się wyprowadzili. Ich rodzice byli tacy dziwni! Podobnie jak Scully, dopiero teraz to zauważyli. Każde z nich miało rodziców dziwaków.

Jedna z dziewczyn dostała od matki zakaz opuszczania domu przez całe lato, bo na świadectwie miała czwórkę z plusem z biologii. Jej mama wychowała się w jakiejś dzielnicy Delhi, gdzie czwórki z plusem były nie do przyjęcia.

Czyjś ojciec nakazywał całej rodzinie ustawić się przy lodówce i wypić szklankę soku pomarańczowego przed wyjściem na śniadanie do restauracji – bo restauracyjny sok pomarańczowy był za drogi, a śniadanie bez soku pomarańczowego nie zasługuje na miano śniadania.

Pewnego wieczora dziewczyna mieszkająca naprzeciwko, Abbie Jakaśtam, wyznała nam, że jej starsza siostra w wieku lat szesnastu powiedziała, że gdy miała trzy lata, ojciec zwykł nakłaniać ją, by dotykała jego penisa. Abbie wygłosiła tę kwestię, leżąc w nogach mojego łóżka, podpierając głowę jedną ręką; czarne włosy spływały kaskadą wokół zgiętego ramienia. Prawdopodobnie miała na sobie podkoszulek bez ramiączek i kraciaste flanelowe spodnie od piżamy. Spała w nich, ale nosiła je także na zajęcia. Mówiła, że w Los Angeles wszyscy chodzą do szkoły w piżamach.

– A potem wszyscy zaczęli chodzić na psychoterapię, każdy wziął czyjąś stronę w tej sprawie i nikt więcej z nikim nie chciał rozmawiać – opowiadała Abbie. – Siostra nagle przypomniała sobie, że ojciec nic takiego nie zrobił; że może tylko jej się to śniło. A mimo to ciągle jest wściekła na tych, którzy jej nie uwierzyli, bo co by było, gdyby to jednak była prawda? Kompletna wariatka. Czasami szczerze jej nienawidzę. No bo reszta rodziny jest w porządku, co nie? Tylko ta popieprzona siostra wszystko nam rozwalila – zakończyła Abbie.

To była na tyle poważna sprawa, że nikt nie wiedział, co odpowiedzieć. Wszyscy siedzieliśmy bez słowa, gapiąc się, jak Scully maluje paznokcie u nóg złotobrokatowym lakierem. Cisza trwała na tyle długo, że zaczęliśmy czuć się niekomfortowo

– WuTeVa – powiedziała Abbie, co w roku 1992 oznaczało *whatever*, czyli – nieważne: że nic a nic ją to nie rusza, nawet jeśli moment wcześniej wydawało się, że rusza i to bardzo. Nie tylko powiedziała to, ale jeszcze pokazała na migi, łącząc czubki kciuków i unosząc palce wskazujące w kształt litery W. Fakt, że to WuTeVa zostało na nas wymuszone sprawił, że cisza była jeszcze bardziej niezręczna.

„WuTeVa” było pierwszym znakiem migowym, jakiego nauczyłam się na studiach, chociaż kilka innych cieszyło się dużą popularnością. Ułożenie kciuka i palca wskazującego w kształt litery L i przyłożenie tak złożonej dłoni do czoła oznaczało „luzera”. Odwrócone i w kształcie litery M oznaczało „WuTeVa, twoja matka pracuje w McDonald’s”. Taki to był styl w 1992.

– Mój ojciec śpiewa w sklepach spożywczych – odezwała się Doris Levy, starając się zmienić temat. Siedziała na podłodze tuż obok złocistych paznokci Scully, obejmując kolana ramionami. – Śpiewa na cały głos. Oldskulowy rock and roll płynie z interkomu, a jej ojciec w delikatesach wybiera sery, wacha je i śpiewa z całych sił. *Mama told me not to come. Wake me up before you go-go.*

– Może jest gejem – zasugerowała Scully. – Jak dla mnie to brzmi bardzo gejowsko.

Na co Doris ciągnęła dalej: – Pewnego wieczora przy kolacji zapytał mnie, ni z gruszki, ni z pietruszki, czy go szanuję. Co ja mam na to, kurwa, odpowiedzieć?

Zwróciła się do mnie, pytając: – Twoi rodzice pewnie też są dosyć dziwni, co? – W mig wyczułam, że to cicha zmowa. Skumałam, że staramy się przerwać milczenie, żeby Abby nie pożałowała, że powiedziała nam, co powiedziała. Teraz przypadała moja kolej.

Ale upuściłam pałeczkę sztafety. Ciągłe brzmiał mi w uszach głos Abbie, mówiącej o tej jednej popieprzonej siostrze, co wszystko nam rozwaliała – i każda inna kwestia wygłoszona pod moim adresem wydawała się dalekim wołaniem z odległego, zalanego sztormem brzegu.

– Niespecjalnie – odpowiedziałam, żeby nie mówić o moich rodzicach. W końcu jak na parę całkiem zwyczajnych ludzi, próbujących wychować szympansa jak ludzkie dziecko, byli tak normalni, jak to tylko możliwe.

– Ty masz, kurwa, szczęście, że jesteś taka normalna – orzekła Scully i wszyscy się z nią zgodzili.

Co za mistrzowskie oszustwo! To był mój absolutny triumf. Wreszcie udało mi się pozbyć tych wszystkich detali, które do tej pory mnie zdradzały: drobnych sugestii, problemów przestrzeni osobistej, długości ogniskowej, wyrazu twarzy, słownictwa. Najwyraźniej brak dowodów na to, że jest przeciwnie, absolutnie wystarczał, by zostać uznaną za normalną osobę. Mój plan, by wyprowadzić się na drugi koniec kraju i nigdy więcej nie wspominać nikomu o niczym, działał

fantastycznie.

Był tylko jeden problem: jak już udało mi się zasłużyć na miano normalnej, nagle nie miało to aż takiego uroku. Dziwaczność była nową normalnością – i oczywiście już o tym wiedziałam. Nadal nie pasowałam. Nadal nie miałam przyjaciół. Może dlatego, że nie wiedziałam, jak to zmienić. Z pewnością nie miałam w tym wprawy.

Może skwapliwe upewnianie się, że nikt nigdy nie pozna prawdy o mnie było przeszkodą w znajdywaniu przyjaciół. Może wszyscy ci ludzie nieustannie przychodzący i wychodzący z mojego pokoju już byli moimi przyjaciółmi, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy, bo oczekiwałam czegoś więcej. Może tak naprawdę przyjaźń nie była niczym aż tak szczególnym, może już miałam całą masę przyjaciół.

Materiał dowodowy sugerował jednak co innego. Gdy Scully i wesoła gromadka innych pierwszorzeczników wybierała się na weekendową wyprawę narciarską do Tahoe, mnie nie zaproszono. Dowiedziałam się o wszystkim po fakcie – planowanie nie odbywało się w naszym pokoju, nie dyskutowano przy mnie o szczegółach. Na wycieczce Scully miała przelotną przygodę ze starszym chłopakiem z Cal Poly, który przespał się z nią, ale nazajutrz już nie odezwał się do niej ani słowem. To było przedmiotem tak żywiołowej dyskusji, że aż coś usłyszałam, i Scully zauważyła, że słucham. – Nie sądziliśmy, że to może być dla ciebie atrakcja – powiedziała Scully. No wiesz, jesteś z Indiany, nie przypuszczaliśmy, że wyjazd gdzieś, żeby zobaczyć śnieg, może cię zainteresować. – Scully zaśmiała się nerwowo, jej spojrzenie biegało jak kulka we flipperze, policzki jej płonęły. Była tak zakłopotana, że aż zrobiło mi się jej żal.

\* \* \*

Jeśli kiedykolwiek jako studenci uczęszczaliście na zajęcia z wstępu do filozofii, natknęliście się na koncept solipsyzmu filozoficznego. Według tego światopoglądu, rzeczywistość istnieje wyłącznie wewnątrz naszego umysłu. Wynika z tego, że jedyne, czego możemy być pewni, to istnienia nas samych jako świadomych bytów. Wszyscy pozostali mogą być bezmyślnymi marionetkami sterowanymi przez władców z kosmosu lub pasożytnicze koty, albo mogą funkcjonować kompletnie bez żadnej motywacji. Nie sposób udowodnić, że jest inaczej.

Naukowcy rozwiązali problem solipsyzmu przez wprowadzenie strategii zwanej abdukcją, co oznacza rozumowanie zmierzające ku najbardziej prawdopodobnemu wyjaśnieniu. To tani unik i nikt nie jest z niego do końca zadowolony, może z wyjątkiem tych władców z kosmosu.

Tak więc nie mogę udowodnić, że jestem różna od was, ale to moje najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Zakładam, że powodem jest moje wychowanie. Wnioskowanie i założenie, dym i galareta – na niczym nie da się



zbudować nic solidnego. Zasadniczo mówię wam po prostu, że czuję się odmienna od innych.

Ale może i wy się tak czujecie.

Szympanie przyjaźnie trwają średnio przez siedem lat. Scully i ja dzieliłyśmy wspólny pokój przez dziewięć miesięcy. Nigdy nie pokłóciłyśmy się na poważnie, nigdy nie poróżniłyśmy się o nic. A potem spakowałyśmy się i poszłyśmy każda w swoją stronę i nie rozmawiałyśmy nigdy więcej. Pożegnajcie się ze Scully. Nie zobaczymy jej aż do 2010 roku, kiedy z niewiadomych powodów zakolegowała się ze mną na Facebooku, nie mając mi nic specjalnego do powiedzenia.

\* \* \*

Na początku drugiego roku odpowiedziałam na ogłoszenie znalezione na tablicy ogłoszeń w spółdzielczych delikatesach, informujące o pokoju do wynajęcia w dzielnym mieszkaniu. Todd Donnelly, student trzeciego roku, który pisał magisterkę z historii sztuki, okazał się miłym, spokojnym facetem i miał zwyczaj wierzyć ludziom na słowo – to nieco ryzykowny, ale bardzo hojny sposób na życie. Nasłuchałam się dużo więcej o jego irlandzkim ojcu (po którym odziedziczył piegi) i japońskiej matce (po której miał włosy), niż on usłyszał o mojej rodzinie, ale i tak wiedział więcej niż ktokolwiek inny. Do tego czasu wykombinowałam, jak opowiadać o mojej rodzinie. Naprawdę, nic prostszego: zacząć od środka.

Pewnego wieczoru Todd zdołał sobie tylko znanymi kanałami skombinować animowaną wersję *Człowieka w żelaznej masce*, wyprodukowaną przez australijską firmę Burbank Films. Odwiedziła nas Alice Hartsook, jego ówczesna dziewczyna (Todd naprawdę jest durny, że się z nią rozstał). Ułożyli się wygodnie na kanapie, każde z głową na przeciwnym końcu, ze stopami spletanymi pośrodku i przebierali palcami u nóg. Ja ułożyłam się z kilkoma poduszkami na dywanie. Zjedliśmy popcorn z mikrofalówki, Todd zrobił nam wykład o animacji w ogóle i stylu Burbank w szczególności.

Znacie tę historię: jeden z bliźniaków jest królem Francji, drugiego wtrącają do Bastylii i zmuszają do noszenia żelaznej maski, żeby nikt nigdy nie zobaczył jego twarzy. Ten uwięziony ma wszelkie królewskie zalety. Prawdziwy król to złamas pierwszej klasy. W połowie kreskówki jest śliczna scena, balet pod niebem rozświetlonym fajerwerkami. To dziwne, ale właśnie w tym momencie poczułam, że tracę oddech. Na ekranie – piruety, arabeski i deszcz kolorowych iskier. Na dywanie – ja, spocona, z dudniącym sercem, próbująca chwycić powietrze, ale niezdolna zaczerpnąć głębszego oddechu. Usiadłam i nagle pokój zniknął w ciemności, wirując z wolna wokół mnie.

Alice rzuciła mi pustą torbę po popcornie i kazała w nią oddychać. Todd ześlizgnął się na podłogę obok mnie, układając nogi w rozkroku po obydwu stronach moich nóg. Potarł moje ramiona. To było naprawdę miłe, bo Todd nie

należał do osób, które dotykają innych. Ja zaś lubię, kiedy się mnie dotyka: to takie małąpie przyzwyczajenie.

Ten masaż ramion rozluźnił mnie na tyle, że zaczęłam płakać. Nadal oddychałam w torbę po popcornie, a mój szloch brzmiał teraz jak różnego rodzaju śliczne nadmorskie odgłosy: od szumu fal po popiskiwanie fok. – Dobrze się czujesz? – zapytał Todd, chociaż oczywiście było, że nie, nijak nie czuję się dobrze; ludzie i tak zawsze o to pytają. – Co się stało? – Todd masował kciukami mój kark.

– Wszystko w porządku? Powinniśmy do kogoś zadzwonić? Co się stało? – pytała Alice.

Nie skłamię, mówiąc, że nie wiedziałam. Nie chciałam wiedzieć. Coś wydobywało się jak upiór z krypty i jedyne, co wiedziałam, to że nie chcę wiedzieć, co to takiego. Nie miałam też ochoty oglądać reszty *Człowieka w żelaznej masce*. Powiedziałam, że już jest OK, że czuję się dużo lepiej i że nie mam pojęcia, co mi się stało. Znalazłam jakąś wymówkę i poszłam się położyć; płakałam dalej, ale dużo ciszej, żeby nie niepokoić i tak już zmartwionych Todda i Alice.

Gdy się ma w salonie niewidzialnego słonia, potykanie się o jego trąbę jest od czasu do czasu nieuniknione. Uciekałam doskonale znaną mi drogą: wciąż wiedziałam, jak ją odnaleźć. Zasnęłam tak szybko, jak to było możliwe.

Minęło parę lat.

I tu na scenę wkracza Harlow.

Teraz, gdy znacie mnie już trochę, przyjrzyjmy się ponownie naszemu pierwszemu spotkaniu. Siedzę sobie w stołówce z moją kanapką z grillowanym serem i moim mlekiem. Harlow wpada w drzwi jak huragan – o ile huragany są wysokimi, seksownymi dziewczynami w niebieskich T-shirtach i z naszyjnikami w kształcie skalarów.

Może więc jestem mniej zdenerwowana, niż mogło się wam wydawać, gdy opowiadałam tę historię po raz pierwszy. Może dostrzegłam, że Harlow nie była aż taka wściekła, na jaką bardzo chciała wyglądać. Tłuczenie naczyń, rzucanie płaszczami – to było wszystko na pokaz. Może nawet widziałam, jaką frajdę jej to sprawiało.

Spektakl był naprawdę niezły i widać było, że sprawił jej frajdę, czuła satysfakcję z dobrze zrobionej roboty – ale nie był to doskonały spektakl, bo wtedy nie zauważyłabym, że udaje. Mimo to – jako że sama jestem hochsztaplerką – doceniałam jej wigor. Byłam pełna podziwu dla jej wyborów, choć sama bym takich nie dokonała. Jestem dziwadłem czy oszustką? – pytałam sama siebie od czasu, gdy przyjechałam na studia, a tutaj nagle pojawił się ktoś wystarczająco odważny, by być jednym i drugim.

Wciąż jednak byłam równie nieświadoma moich własnych reakcji jak wy, kiedy dowiedzieliście się o nich po raz pierwszy. Zbyt byłam pochłonięta unikami, ocierającymi kajdankami, dzwonieniem do taty i wypełnianiem formularzy. Cofnijmy się teraz do dnia, kiedy wróciłam do Davis po Święcie Dziękczynienia i zastałam Harlow w moim mieszkaniu. Nikt nie byłby tym zachwycony. Ja jeszcze mniej niż ktokolwiek inny. Znowu się zaczyna – powiedziałam do siebie. Wyartykułowałam to w myślach tak wyraźnie, że słyszałam i wypowiadałam to jednocześnie. Tak jakbym była dość przyzwyczajona do tego, że zastaję w mojej przestrzeni kogoś kompletnie pozbawionego poczucia granic, kto grzebie w moich rzeczach i psuje większość z nich. Znowu się zaczyna.

To w końcu był moment, w którym hipnotyzer pstryka palcami. Nie miałam problemu z histeriami i nadużyciami Harlow nie dlatego, że jadłyśmy razem hamburgery. Jej wybuchy nie przeszkadzały mi, bo widziałam już takie zachowanie. Gdyby Harlow nasikała w kącie pokoju, to również byłoby zachowanie, którego wcześniej doświadczyłam. Zważywszy, że tego nie zrobiła, jak na standardy mojej rodziny jej zachowanie nawet nie kwalifikowało się do miana awantury.

Mniej zaskoczyło mnie, że takie zachowanie wydało mi się znajome, niż że

tak dużo czasu zajęło mi uświadomienie sobie tego. Ukrywanie mojej głęboko zakorzenionej małpiatości przed innymi to jedna rzecz, ale fakt, że sama kompletnie o niej zapomniałam, to coś całkiem innego. (Cóż, czyż to nie dokładnie na to liczyłam? Jak się okazało, nie podobało mi się to kompletnie. Ani trochę).

Ojciec nie dał się zwieść pozorom. – Podejrzewam, że ktoś cię do tego namówił – powiedział mi przez telefon, ale jakoś tego nie zauważyłam. Nienawidziłam, kiedy tata rozumiał mnie lepiej niż ja samą siebie; często wolałam nie słuchać, gdy mówił, by uniknąć ryzyka.

Kiedy w końcu doznałam olśnienia, nie tyle wyjaśniło ono odczucia, jakie budziła we mnie Harlow, ale skomplikowało je jeszcze bardziej. Z jednej strony widziałam, że niezłe z niej ziółko. Gdy otrzymałam świadectwo ukończenia przedszkola, w sekcji poświęconej ocenie zachowania opisano mnie jako impulsywną, zaborczą i wymagającą. To typowo szympanсие cechy i przez całe lata ciężko pracowałam, żeby się ich pozbyć. Miałam odczucie, że Harlow wykazywała te same skłonności, ale nie miała specjalnie imperatywu, by je zmieniać. Przebywając w jej towarzystwie, mogłam cofnąć się do dawnego, niepożądanego stanu rzeczy.

Mimo to czułam się z nią bardziej komfortowo niż kiedykolwiek z kim innym. Trudno opisać, jak bardzo byłam samotna. Niech mi wolno będzie podkreślić jeszcze raz: w ciągu niespełna kilku dni przeszłam od dzieciństwa, kiedy nigdy nie byłam sama, do długotrwałego, milczącego samobytu. Gdy straciłam Fern, straciłam też Lowella – przynajmniej takiego Lowella, jakim był przedtem; w ten sam sposób utraciłam matkę i ojca, i wszystkich doktorantów – tych ostatnich naprawdę, włącznie z moim ukochanym Mattem z Birmingham, który, gdy przyszedł czas decyzji, wybrał Fern, a nie mnie.

Dobrze więc wiedziałam, że na Harlow w żaden sposób nie można polegać. Jednocześnie wydawała się kimś, z kim mogłabym naprawdę być sobą. Nie miałam zamiaru tego robić, ale odczuwałam też równoważną, intensywną, ogromną tęsknotę, aby tak się stało. Jakże ciekawie byłoby przyjrzeć się temu mojemu prawdziwemu „ja” – myślałam częścią mózgu, którą odziedziczyłam po ojcu. Tymczasem regiony mej mózgowicy noszące geny mojej matki pytały: czyżby nasza mała Rosemary wreszcie znalazła przyjaciółkę?

\* \* \*

Oto dotarliśmy wreszcie do środka, w którym rozstaliśmy się z pełną werwy studentką, która właśnie dorobiła się własnej kartoteki na policji i cudzej walizki koloru pastelowy błękit. Prorocze komety skaczą po niebie jak pchełki.

Po pierwsze: Pojawienie się – i natychmiastowe zniknięcie – dzienników mojej matki.

Po drugie: Cicha wiadomość od Lowella, pukanie w mury lochu dochodzące z sąsiedniej celi.

Po trzecie: Harlow.

Jeśli zapowiedź czegoś powtarza się po trzykroć, jak to się dzieje w *Juliuszu Cezarze*, nawet Kaliban kilka sztuk dalej musi to w końcu zauważyć.

Skupiłam się głównie na powrocie mego brata. Było mi aż mdło z ekscytacji, odczuwałam takie mdłości, jakie czuje się w Boże Narodzenie – jeśli w czyjejs rodzinie święta często zmieniają się w *Koszmar z ulicy Wiązów*.

Ledwie dwa tygodnie pozostały do moich faktycznych ferii świątecznych. Jeśli Lowell odwiedziłby mnie w trakcie egzaminów semestralnych, miałabym dla niego mnóstwo czasu. Moglibyśmy pograć w pokera i Rummikuba. Albo pojechać do San Francisco i połączyć pieszo po parku narodowym Muir Woods. Nad Jeziorem Berryessa jest takie miejsce, skąd – jeśli pojedzie się tam w bezchmurny dzień drogą oznaczoną jako prywatna i przelezie przez płot z tablicą „zakaz wstępu pod groźbą grzywny” – widać całusięnką Kalifornię: na wschodzie góry Sierra Nevada, na zachodzie Pacyfik. Na maksa psychodeliczna jazda. Lowell byłby tym zachwycony.

Jeśli przyjechałby później, byłabym już w Indianie. Miałam więc nadzieję, że Ezra mówił prawdę, gdy powiedział mi, że Lowell wróci za parę dni: miałam nadzieję, że „parę” oznacza dwa. Miałam nadzieję, że Lowell domyśli się, że na Boże Narodzenie pojedę do rodziców. Miałam nadzieję, że wiedział, iż muszę to zrobić – choćby z tego powodu, że on nigdy nie spędzał świąt z mamą i tatą. Miałam nadzieję, że go to obchodzi.

Kilka tygodni po moim przybyciu do Davis zdołałam dostać się do archiwum periodyków w piwnicach biblioteki Shields Library, gdzie okopałam się na pozycji i spędziłam większość weekendu, studiując lokalne doniesienia prasowe poświęcone atakowi z użyciem pocisków zapalających na Weterynaryjne Laboratorium Diagnostyczne imienia Johna E. Thubmana, które to wydarzenie miało miejsce 15 kwietnia 1987 roku. W Indianie prawie się o tym nie wspominało: nikt nie odkrył powiązania między pożarem a najbardziej zniechęconym przez całe Bloomington koszykarzem – rozgrywającym. Nawet w Davies upubliczniono niewiele szczegółów zajścia.

W momencie pożaru laboratorium wciąż było w budowie. Niemal doszczętne zniszczenia oszacowano na kwotę 4,6 miliona dolarów. Na ścianie wypalonego budynku namalowano litery ALF, a na niektórych z zaparkowanych w pobliżu pojazdach znaleziono także graffiti z logo Animal Liberation Front – Frontu Wyzwolenia Zwierząt. Rzecznik prasowy uniwersytetu oświadczył, że „badania na zwierzętach przynoszą korzyść ludziom, zwierzętom i środowisku”.

ALF twierdziło, że laboratorium diagnostyczne miało pracować głównie na zlecenie przemysłu spożywczego i mięsnego – ale tego dowiedziałam się jedyne z listów do redakcji; w artykułach nie znalazłam żadnej wzmianki na ten temat. Według gazety „The Davis Enterprise” policja nie miała żadnych podejrzanych, ale

incydent został zakwalifikowany jako akt rodzimego terroryzmu i przekazany FBI.

Rozszerzyłam pole poszukiwań o serię ataków w formie podpaień, które miały miejsce wkrótce potem na południu Kalifornii. W małym odstępnie czasu obiektami ataków zostały hurtownia The San Jose Veal Company, masarnia Ferrara Meat Company i inna hurtownia drobiarska. Podpalono też sklep futrzarski w Santa Rosa. W żadnej z tych spraw o podpalenie nigdy nie aresztowano żadnych podejrzanych.

Poszłam na górę i poprosiłam bibliotekarza od księgozbioru podręcznego, żeby pomógł mi wyszukać informacje o ALF; chciałam się dowiedzieć, czy to ludzie, z którymi Lowell mógłby się identyfikować. Typowymi działaniami ALF były ratowanie i uwalnianie zwierząt z laboratoriów, a także kradzieże notatek i dokumentacji badawczej. Członkowie fotografowali wiwisekcje i udostępniali zdjęcia prasie. Niszczyli też sprzęt laboratoryjny z użyciem „małpiej aparatury stereotaksyjnej”; nie wiedziałam wtedy i do dziś nie mam ochoty wiedzieć, co to takiego. Nękali naukowców, pracowników przemysłu futrzarskiego i hodowców bydła przez wysyłanie im obraźliwych listów, nagrywanie na telefonicznych sekretarkach wiadomości z pogróżkami o możliwych atakach na ich życie, czasem dopuszczali się wandalizmu w ich domach albo rozklejali szokujące fotografie maltretowanych zwierząt na szkolnych placach zabaw, gdzie bawiły się ich dzieci.

Niektóre artykuły podchodziły do działalności ALF z pewną sympatią. Większość jednak nie. Agencja Reutersa opisywała akcje ALF jak historię o biblijnej arce, tyle że zamiast Noego dowódcą był Rambo. Wszyscy jednak byli zgodni, że prędzej czy później ktoś zostanie zabity, i to tylko kwestia czasu. Ktoś ważny. Ktoś rodzaju ludzkiego. Kilka razy niewiele brakowało.

Natrafiłam na raport o włamaniu do University of California w Riverside, w 1985 roku. Jednym ze skradzionych zwierząt był mały makak o imieniu Britches. Zaszyto mu oczy zaraz po urodzeniu, żeby testować na nim aparaturę dźwiękową, projektowaną z myślą o ślepych noworodkach. Plan zakładał utrzymywanie go przy życiu przez jakieś trzy lata w stanie kompletnej deprywacji sensorycznej, by potem go zabić i zobaczyć, co stało się po tym wszystkim z ośrodkami odpowiadającymi za sprawność wzrokową, słuchową i motoryczną w jego mózgu.

Nie chciałam żyć w świecie, który zmusza mnie do wyboru między bólem niewidomych dzieci a cierpieniem torturowanych małp. Szczerze mówiąc, oczekuję od nauki, że ochroni mnie przed koniecznością dokonywania takich wyborów, a nie skłoni do nich. Jedynym sposobem poradzenia sobie z sytuacją było dla mnie nie czytać o tym więcej.

W 1985 roku Lowell właśnie wyprowadził się z domu. Przyjęto go na Brown University i wiedzieliśmy, że niedługo wyjedzie z domu, ale spodziewaliśmy, że nastąpi to dopiero za parę miesięcy. I że przez te parę miesięcy będzie latał po

okolicy z Marco i Kitch, i że pozwoli nam wciąż wierzyć, że należy do nas – że nawet, jeśli nas opuści, możemy go zatrzymać.

FBI powiedziało rodzicom, że komórka ALF na Zachodnim Wybrzeżu to wyrafinowana organizacja, złożona z niezależnych komórek, posiadająca bezpieczne lokale i skuteczną w działaniu podziemną kolejkę do przetrwania zwierząt. Nie chcieli za to powiedzieć, jak trafili na Lowella ani nawet potwierdzić, że jest o coś podejrzany. Powiedzieli, że najbardziej wojowniczy aktywiści na rzecz praw zwierząt działający w ALF rekrutują się spośród młodych, białych mężczyzn z klasy średniej.

Laboratorium diagnostyczne w Davis dawno zostało odbudowane i w najlepsze robiło to, czego ALF sobie nie życzyło. Mogłam tam pojechać na rowerze w każdej chwili. Mogłam przejechać obok, ale nie dałabym rady wejść do środka. Jak to dzisiaj bywa w większości laboratoriów przeprowadzających testy na zwierzętach, budynek był pod bardzo ścisłą kontrolą.

\* \* \*

Już-już miałam zadzwonić do linii lotniczych, ponownie domagając się, by znaleźli walizkę, która faktycznie jest moja, kiedy Harlow wpadła na inny pomysł. Polegał on na tym, by otworzyć wytrychem zamek w walizce, którą już miałyśmy, i zajrzeć, co jest w środku. Niczego nie zabierzemy, to oczywiste i poza dyskusją. Ale nie mieściło jej się w głowie, że mogłybyśmy oddać walizkę nawet do niej nie zajrzawszy. Kto wie, co może zawierać taka dziwna walizka z Indiany (jeśli faktycznie przyleciała z Indiany). Złote dukaty. Lalki wypchane heroiną. Polaroidy przedstawiające jakichś lokalnych polityków ze Środkowego Zachodu przyłapanych in flagranti. Przecier jabłkowy<sup>[14]</sup>.

Jak to, nie byłam ciekawa? Gdzie mój zmysł przygody?

Byłam pod wrażeniem, że Harlow wiedziała o przecierze jabłkowym. Ale nawet to nie usprawiedliwia sposobu, w jaki pozwoliłam jej kontynuować. Miałam nadzieję, że zamek szyfrowy ją zniechęci. Potrzebne były narzędzia. Może nawet ekipa fachowców od rozbiórki. W badaniach nad szympanami takie doświadczenie nosi nazwę łamigłówki z przysmakami. Punktuje się szympany za efektywność i czas, przyznając dodatkowe punkty za oryginalność rozwiązań. No i pozwala im się zjeść to, co znajdują w środku. Szympany uznałyby to za wielką niesprawiedliwość, gdyby nie pozwolono im wziąć nic z zawartości walizki, którą zdołały otworzyć.

Wyraziłam kilka oględnych obiekcji, postanowiłam zaufać matematycznemu prawdopodobieństwu odgadnięcia prawidłowej kombinacji szyfru (1 na 10 tysięcy) i pozwoliłam wydelegować się do spółdzielczego sklepiku po kawę dla nas obu.

Jak się okazuje, zamek szyfrowy da się otworzyć w kilka minut, jeśli patrzy się w jego szczelinę i obserwuje nacięcia na obracanych kółkach. Kiedy wróciłam, Ezra zaraz mi to zademonstrował. Paranoiczne urojenia Ezry skłoniły go do

nabycia bardzo rzeczywistych umiejętności z rodzaju tych przydatnych komandosom w dżungli. Trochę przerażające, jak się pomyśli, co ten facet potrafi.

Harlow odnalazła go na balkonie trzeciego piętra, gdzie ćwiczył tai chi w cieniu gzymsu i powtarzał kwestie, które wypowie, zabijając. – *Zetrzyj twarz z głowy, suko; jesteś martwa jak smażony kurczak!* Ezra wyznał mi kiedyś, że kiedy kroczy przez własne życie, w głowie rozgrywa filmową wersję swojego żywota – ale sądzę, że tak jest z wieloma ludźmi. Może tylko ich filmy są gatunkowo różne od tych Ezry.

A zatem w filmie to jest scena romantyczna: Harlow wchodzi i zastaje go skupionego, nastrojowego i pełnego gracji. Bawi się kosmykiem włosów – i tu cięcie, przechodzimy do sceny w salonie, dwie głowy pochylają się nad szyfrowym zamkiem. W wersji filmowej w walizce ukryta jest bomba. Nadchodzę z dwoma kawami w samą porę, aby ich powstrzymać.

Tyle że ich nie powstrzymałam. Pozwoliłam za to, by Ezra wytłumaczył, jak to jest z tym zamkiem, by wykonał ostatni, triumfalny ruch kółkiem i bez jednego słowa patrzyłam, jak otwiera walizkę. Rozpakował ją, jakby była nie wiem jak tajemnicza, wyjmując po kolei każdy beznadziejnie zwyczajny przedmiot. Większość stanowiły ubrania – dres, skarpetki, żółty podkoszulek, z biegnącym ukośnie przez pierś napisem *rodzaj ludzki*. Harlow podniosła podkoszulek w górę. Pod napisem był glob, obrócony na stronę Ameryk. Ludzie wszystkich ras biegli po jego obwodzie, wszyscy w tym samym kierunku, co, jak wynika z moich obserwacji, nie jest częste wśród rodzaju ludzkiego. – *Za duża* – powiedziała Harlow z godnym podziwu brakiem rozczarowania.

Ezra grzebał głębiej. – *Dobra, dobra* – powiedział, a potem: – *Zamknijcie oczy!* – czego żadna z nas nie zrobiła, bo trzeba być kretyńcem, żeby zamykać oczy tylko dlatego, że Ezra tak każe.

Ezra wyjął coś ze środka. Uniosło się z wnętrza walizki jak dusza ulatująca z ciała, jak wampir z pastelowoniebieskiej trumny. To coś podskoczyło w rękach Ezry, rozwijając swe owadziopodobne ramiona; miało płaskie oczy i kłapało szczęką. – *Co też my tu mamy?* – zapytał Ezra.

Trzymał w rękach lalkę brzuchomówcy – na oko zabytkową. Tańczyła nad otwartym wiekiem walizki jak pająk. W jednej z rączek trzymała druty do robótek, a na główce miała czerwony czepek.

– *Madame Defarge*<sup>[15]</sup> – powiedziałam mu, dodając szybko – *Madame Gilotyna* – bo bezustannie zapominam, jaki z Ezry jest marny czytelnik; to było takie niefilmowe, tak nie pasowało do postaci.

Harlow pokraśniała z radości. Byliśmy chwilowo posiadaczami walizki należącej do biegacza-brzuchomówcy. Antyczna lalka Madame Defarge była najwyraźniej dokładnie tym, co miała nadzieję znaleźć w walizce. Wląda rumieniec na jej lica.



Ezra z powrotem wetknął rękę w tył sukni Madame Defarge. Lalka schyliła się w stronę szyi Harlow i poklepała ją po niej. Ezra zaczął wymyślać dla niej kwestie. Może chodziło w nich o to, jak to cudownie, że niebiosa zesłały na ziemię dziewczynki. Może próbowała śpiewać *Marsylianę* albo *Frère Jacques*. Francuski akcent Ezry był tak kiepski, że może nawet był to prawdziwy akcent francuski.

Skoro mowa o efekcie „doliny niesamowitości”: w życiu nie widziałam bardziej odrażającego przedstawienia lalkowego. W życiu nie doświadczyłam równie przerażającego widoku.

Zaczęłam się wymądrzać. – Nie powinniśmy się tym bawić. Wygląda na starość, prawdopodobnie coś unikatowego – powiedziałam, ale Harlow odparła, że tylko kompletny kretyn włożyłby coś unikatowego do walizki oddanej na bagaż.

A poza tym naprawdę obchodzili się z lalką bardzo ostrożnie. Harlow przejęła ją od Ezry i ruszała nią tak, by wymachiwała do mnie swymi małymi piąstkami. Z miny Madame Defarge wyczytałam, że dokładnie tak to sobie zaplanowała. – Nie psuj mi zabawy – powiedziała Madame Defarge.

Nie miałam czasu na te bzdury: musiałam iść na zajęcia. Poszłam do kuchni, zadzwoniłam na lotnisko, gdzie mój telefon oczywiście „był bardzo ważny dla nas” – i zostawiłam wiadomość. Chwilę później Harlow przyszła w ślad za mną do kuchni. Obiecała, że włoży Madame Defarge z powrotem do walizki – a ja obiecałam, że wybiorę się z nią wieczorem na kurs po barach, bo przecież, „na miłość boską, Rosemary, nic się takiego nie stało” – i powinnam się wyluzować.

No i poza tym chciałam, żeby Harlow mnie lubiła.

Jeśli byście zapytali mnie o dziewięćdziesiąt dziewięć procent wykładów, na które chodziłam na studiach, nie byłabym w stanie nic o nich powiedzieć. Popołudnie pewnego szczególnego dnia na bardzo szczególnych zajęciach należy do tego jednego procenta, który utkwiał mi w pamięci.

Nieustannie padało. Nie była to wielka ulewa, raczej jeden z tych siąpiących deszczów; wnikał we mnie jak w gąbkę, gdy jechałam do szkoły na rowerze. Przejeżdżając obok boisk do piłki nożnej, widziałam stadko mew, dziobiących w trawie. Nieraz w burzliwe dni widziałam te mewie zgromadzenia, ale nieustająco mnie fascynowały. Kalifornijskie Davis jest w swej istocie miastem śródlądzia.

Zanim dotarłam do sali wykładowej, przemokłam tak bardzo, że woda spływała z nogawek moich dżinsów i tworzyła kałuże pod podeszwami butów. Sala do zajęć z podstaw chemii, gdzie odbywał się wykład, była sporym audytorium z podłogą pochyloną w stronę miejsca, gdzie zwykle stał profesor. Wchodziło się przez najwyżej położoną część z tyłu sali. Zwykle w deszczowe dni niewiele osób przychodziło na zajęcia: studenci najwyraźniej uważali, że wykłady będą odwołane, podobnie jak rozgrywki na boisku. Ale to były ostatnie zajęcia w semestrze, tuż przed egzaminami końcowymi. Byłam spóźniona, więc musiałam zejść po schodach i usiąść z przodu. Ustawiłam pulpit ławki w pozycji do pisania i przygotowałam się do robienia notatek.

Zajęcia były zatytułowane *Religia i przemoc*. Wykładowca, doktor Sosa, był mężczyzną w średnim wieku, lekko już łysiejący i ze sporym brzuszkiem. Był ogólnie lubiany; nosił krawaty z motywami ze *Star Treka* i skarpetki nie od pary – ale wszystko to ironicznie. Czasem, kiedy miał przedstawić jakieś stare wyniki badań lub opowiedzieć anegdotę historyczną, zaczynał zdanie od „dawno temu, gdy studiowałam na Akademii Gwiezdnej Floty...” Wygłaszane z entuzjazmem wykłady doktora Sosy były bardzo urozmaicone. Zaliczałam go do najbardziej przyjemnych mówców wśród moich profesorów.

Ojciec zasugerował mi kiedyś, żebym w ramach eksperymentu potakiwała za każdym razem, gdy profesor na mnie patrzy. Powiedział, że szybko się przekonam, iż wykładowcy zaczną spoglądać w moją stronę coraz częściej, bezradni jak psy Pawłowa. Ojciec mógł mieć tu własny ukryty plan: jedynym sposobem, by moja nieobecność na zajęciach z setkami studentów została dostrzeżona przez profesorów, było starannie uwarunkować wykładowców, by szukali mnie wzrokiem. Miałam cichą więź z doktorem Sosą. Pomysłowy facet z tego mojego taty.

Tego dnia wykład rozpoczął się od dyskusji nad przemocą wśród kobiet. Nie sugerowało to niczego w sposób oczywisty, ale dawało sygnał, że reszta zajęć

będzie poświęcona mężczyznom. To nie ta pierwsza część zapadła mi w pamięć. Wydaje mi się, że doktor Sosa mówił o żeńskich oddziałach Ku Klux Klanu, aktywistkach na rzecz abstynencji, ekstremistkach religijnych i wszelkich formach dręczenia kobiet przez inne kobiety. Zdaje się, że przykłady pochodziły z Irlandii, Pakistanu i Peru. Najwyraźniej jednak doktor Sosa nie traktował ich jako niezależne zjawiska, ale raczej jako addendum do tego, co robią mężczyźni. Najwyraźniej nie miał serca do kobiet używających przemocy.

Wkrótce cofnął się do religijnie motywowanej przemocy wobec kobiet; to był powracający motyw całego cyklu wykładów. Aż tu nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zaczął mówić o szympanсах. Jak powiedział, szympansy, podobnie jak ludzie, mają skłonność do używania przemocy w kontekście swój/obcy. Opisywał zachowania samców patrolujących granice ich terytorium i mordercze najazdy na inne osady. Zadał retoryczne pytanie: czy różnice doktrynalne są tylko przykrywką dla naszych małpich, jadowicie plemiennych zachowań? To brzmiało jak coś, co mógł powiedzieć mój ojciec, i poczułam irracjonalny impuls, by zaprotestować, choćby wyłącznie z tego właśnie powodu. Doktor Sosa rzucił mi przelotne spojrzenie; nie przytaknęłam. Powiedział, że wśród szympansov nawet najniższy w hierarchii samiec ma wyższą pozycję niż najwyższa w hierarchii samica; mówiąc to, cały czas patrzył na mnie.

W auli była mucha. Słyszałam, jak lata. Moje stopy były lodowate i czułam zapach moich adidasów, esencjonalną woń gumy i skarpet. Doktor Sosa poddał się i spojrzał w inną stronę.

Powtórzył zdanie, które wielokrotnie wygłaszał na zajęciach – że większość religii obsesyjnie kontroluje żeńskie zachowania seksualne, a dla wielu jest to nawet całą racją bytu. Opisywał, jak samce szympansa praktykują seksualną kontrolę nad samicami. – Jedyna różnica jest taka – mówił – że żaden szympan nigdy nie twierdził, że działa z woli Bożej.

Doktor Sosa zszedł z katedry. Wszedł na nią ponownie. Zajrzał do notatek. Powiedział, że zarówno gwałt, jak i przemoc domowa należą do repertuaru szympanskich zachowań; odwołał się do niedawnych obserwacji zespołu Jane Goodall w Gombe, gdzie zaobserwowano, jak samica w rui została w ciągu trzech dni przymuszona do odbycia stu siedemdziesięciu stosunków seksualnych z różnymi samcami.

Musiałam odłożyć długopis. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że długopis wibrował po papierze, zostawiając ślad w formie dziwnego kodu Morse'a złożonego z kleksów i kresek. Umknęło mi kilka dalszych uwag z wywodu doktora Sosy, bo krew pulsowała mi w mózgu dziką falą; ponadto, gdy siedzący w pobliżu studenci odwrócili się, wpatrując się we mnie, uświadomiłam sobie, że oddycham o wiele za głośno, świszcząc, sycząc, dysząc czy coś w tym rodzaju. Zamknęłam usta i wtedy wszyscy wrócili do poprzedniej pozycji.

\* \* \*

Nie założyliście, mam nadzieję, że ponieważ nie mam przyjaciół, nie uprawiam seksu; poprzeczka dla partnerów seksualnych jest ustawiona dużo, dużo niżej. Choć to doprawdy trudne, mieć życie erotyczne, nie mając przyjaciół; często chciałabym mieć kogoś, kto mógłby udzielić mi wskazówek i wsparcia. Z braku laku musiałam wszystko zorganizować sobie sama i nieraz zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie przydarza mi się fantastyczny seks, jaki pokazują w filmach. Co to właściwie jest normalne życie seksualne? Co to jest normalny seks? I czy zadawanie takiego pytania automatycznie oznacza, że nie jest się normalnym? Wyglądało na to, że nie dawałam sobie rady nawet z najbardziej instynktownymi, ssaczymi dziedzinami życia.

– Jesteś bardzo cichutka – powiedział mój pierwszy. Poznaliśmy się pewnego wieczora na imprezie w bractwie studenckim, krótko po tym, jak odkryłam istnienie alkoholizowanych galaretek. Zamknęliśmy się w łazience i seks był bardzo głośny z mojego punktu widzenia, no i co za jazda z tym nieustannym waleniem do drzwi i przekleństwami ludzi, którzy nie mogli wejść do środka. Opierałam się plecami o zlew, którego krawędź wpijała mi się w kręgosłup; ta pozycja okazała się za trudna dla początkujących, więc wylądowaliśmy na brudnym dywaniku. Nie narzekałam jednak; myślałam tylko, by nie zepsuć zabawy.

Wcześniej tego wieczora nazwał mnie nieśmiałą, jakby to był komplement; najwyraźniej moje milczenie wydało mu się dziwnie pociągające, tajemnicze lub przynajmniej słodkie. Pamiętałam odgłosy dochodzące zza ściany z sypialni rodziców i pewnie mogłabym takie wydawać, jeślibym wiedziała, że to coś pożądanego. Dla mnie brzmiały okropnie i miały rodzicielski posmak.

Wiedziałam, że za pierwszym razem będzie bolało; przygotowały mnie na to działy porad seksualnych w różnych magazynach, więc nie byłam tym zaniepokojona. Bolało naprawdę bardzo. Oczekiwałam jednak także krwawienia, a żadne nie nastąpiło. A potem bolało też za drugim i trzecim razem, mimo że facet był inny, a jego penis mniejszy. Żaden magazyn nie sugerował, że na tym etapie ciągle powinno boleć.

W końcu poszłam do lekarki w uniwersyteckiej poliklinice. Zajrzała do środka i powiedziała, że problemem była moja błona dziewicza, która była tak mała, że została uszkodzona, ale nie przerwana – dokonało się to więc w jej gabinecie z użyciem specjalnej aparatury do przerywania błon dziewiczych. – To powinno załatwić sprawę – powiedziała wesoło, udzielając mi przy tym pełnych troski porad na temat tego, jak to nie powinnam ulegać presji, gdy ktoś próbuje nakłonić mnie do czegoś, z czym nie czuję się komfortowo oraz przypominając o tym, jak ważny jest bezpieczny seks. Wcisnęto mi w ręce garść broszur. W dolnej części ciała czułam straszny ból, jakby skurcz zawiązał się na supeł

i jeszcze zacisnął. Przede wszystkim jednak doświadczenie to było upokarzające.

Co chcę powiedzieć: seks nie był mi kompletnie obcy. Ale miałam szczęście. Nigdy w życiu nie przmuszono mnie do seksu, na który w danym momencie nie miałam ochoty.

\* \* \*

Kiedy wreszcie znowu mogłam słyszeć, co mówi profesor, Sosa przeszedł od szympanów do ich bliskich kuzynów, szympanów karłowatych, czyli bonobo. – Społeczeństwo bonobo jest pokojowe i egalitarne. Te godne pochwały wartości osiąga ono przez utrzymywanie nieustannej i nieformalnej komunii seksualnej; wiele z aktów seksualnych zachodzi między osobnikami tej samej płci. Między małpami bonobo seks jest wyłącznie rodzajem pielęgnacji. Jest łącznikiem tkanki społecznej – mówił. Po czym dodał: – Lizystrata się myliła: droga do osiągnięcia pokoju wiedzie przez więcej seksu, nie mniej.

To bardzo podobało się męskiej części audytorium. Niespodziewanie dobrze przyjęli wiadomość, implikowaną tutaj, że są istotami zdanymi na całkowitą łaskę i niełaskę swoich fiutów. Istotami fallicznymi, chciałoby się powiedzieć.

Niespodziewanie dobrze przyjęli wiadomość, implikowaną tutaj, że brak bezwarunkowego entuzjazmu dla seksu, który zwykle obserwuje się u kobiet, jest źródłem wszelkiego zła.

Dziewczyna trzy rzędy w prawo ode mnie podniosła rękę, a potem nawet nie czekała, aż udzieli jej głosu. Wstała. Jej blond włosy były zaplecione w misterne, przetykane koralikami warkoczyki. Płatek jej ucha, który widziałam ze swej strony, obramowany był gęsto srebrnymi blaszkami. – Skąd wiadomo, co było najpierw? – zapytała doktora Sosę. – Może samice bonobo uważają samców swego gatunku za bardziej atrakcyjnych niż kobiety mężczyzn. Może sekret bycia seksownym tkwi w pacyfizmie i szacunku dla równych praw, a nie w próbach kontrolowania kobiecej seksualności. Wy, panowie, powinniście czasem tego spróbować. Ktoś z tyłu sali wydał odgłos bardzo podobny do szympaniego wołania o jedzenie.

– Społeczności bonobo żyją w matriarchacie – ciągnęła dalej dziewczyna. – Skąd wiadomo, że o pokojowym nastawieniu społeczeństwa decyduje seks, a nie matriarchat? Bonobo mają poczucie kobiecej solidarności. Szympany i ludzie – nie.

– Słuszna uwaga – powiedział doktor Sosa. – Dała mi pani do myślenia. – Rzucił krótkie spojrzenie w moją stronę.

\* \* \*

Doktor Sosa zakończył ostatni wykład semestru opowieścią o tym, że nasze preferencje dla własnego rodzaju datują się już od momentu narodzin. Już trzymiesięczne niemowlęta wolą twarze rasy, z jaką stykają się najczęściej. Kilkuletnie dzieci, kiedy podzieli się je na dwie grupy wedle kompletnie arbitralnych kryteriów – na przykład koloru sznurówek – entuzjastycznie stawiają

członków własnej grupy wyżej niż pozostałych. – „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe” jest wyrazem naszej najwyższej, najbardziej rozwiniętej moralności – powiedział dr Sosa. – I szczerze mówiąc, to jedyne przykazanie, jakie naprawdę jest niezbędne. Wszystkie pozostałe wypływają z niego; nie ma potrzeby aż dziesięciu przykazań. Jeśli jednak wierzycie, jak ja wierzę, że moralność wypływa od Boga, nie sposób się nie zastanawiać, czemu jednocześnie wbudował w nas instynkty przeciwne tej zasadzie.

– „Nie czyn drugiemu...” jest zachowaniem nienaturalnym, przeciwnym ludzkiej naturze. Łatwo zrozumieć, dlaczego tak wiele kościołów i ich wyznawców często powtarza to przykazanie, ale niewielu za nim podąża. Dochowanie mu wierności stoi w opozycji do czegoś fundamentalnego dla naszej natury. To zatem jest ludzka tragedia: że najbardziej wspólny, ludzki aspekt człowieczeństwa jest nieodłącznie związany z odmawianiem człowieczeństwa innym.

Koniec wykładu. Wszyscy klaskali, może dlatego, że im się podobał, albo dlatego, że się skończył. Doktor Sosa powiedział jeszcze coś o egzaminach końcowych. Nie miały one być prostym przywołaniem dat i faktów. Chciał zobaczyć jakoś naszego rozumowania. Znów spojrzał na mnie. Mogłabym choć raz skinąć głową, by dodać mu otuchy, ale nie zrobiłam tego – byłam wciąż zbyt wstrząśnięta. Bardzo wstrząśnięta. Głęboko, do głębi duszy wstrząśnięta.

Nigdy nie słyszałam o bonobo. Nagle okazywało się, że wszyscy inni wiedzą o szympanсах więcej niż ja. To była niespodzianka, i to niespodziewanie przykra. Ale była najmniej ważną myślą, z którą pozostawił mnie ten wykład.

## CZEŚĆ IV

Powtarzam: nie uwiodła mnie myśl naśladowania ludzi; naśladowałem, bo szukałem jakiegoś wyjścia, a nie z żadnego innego powodu.

Franz Kafka, *Sprawozdanie dla Akademii*

# 1

Dziś, w roku 2012, gdy wszystkie zasoby Internetu leżą przede mną otwarte jak plansza do *Candy Land* (choć może *Chutes and Ladders* byłoby lepszą metaforą czy też *Sorry!* – nieważne, do jednej z tych gier, które nigdy się nie kończą, bo nigdy nie wygrywasz), starałam się dowiedzieć, co stało się z innymi słynnymi szympanсами wychowywanymi w ludzkich rodzinach. Łatwo jest znaleźć informację o eksperymentach, ale trudniej dowiedzieć się o losach stworzeń, które były ich obiektami. Tam, gdzie informacja jest dostępna, często budzi kontrowersje.

Jeden z pierwszych „eksperymentalnych” szympanсів, sprytna i uczona mała Gua, najprawdopodobniej zmarła w 1933 roku na skutek infekcji dróg oddechowych, krótko po tym, jak Kelloggowie oddali ją z powrotem do laboratorium badawczego Yerkes, gdzie przyszła na świat. Mieszkała w domu Kelloggów przez jakieś dziewięć miesięcy w towarzystwie ich syna Donalda i nieustannie zostawiała go daleko w tyle w zakresie sprawności w posługiwaniu się sztucami i picia z filiżanek. Umarła w wieku dwóch lat.

\* \* \*

Viki Hayes urodziła się w 1947 roku i zmarła w domu rodzinnym na wirusowe zapalenie opon mózgowych; miała sześć i pół lub siedem lat – zależy, gdzie poszukacie informacji. Kiedy umarła, jej rodzice się rozwiedli; co najmniej jedno z ich przyjaciół mówiło, że Viki była jedynym powodem, dla którego to małżeństwo w ogóle się utrzymało. Była jedynaczką.

\* \* \*

Zarówno Maybelle (ur. 1965), jak i Salome (1971) zmarły na skutek silnej biegunki, na którą zapadły w kilka dni po tym, jak ich rodziny wyjechały na wakacje, zostawiając je same. Nie doszukano się fizycznych powodów wystąpienia biegunki.

\* \* \*

Ally (ur. 1969) także dostał zagrażającej życiu biegunki po tym, jak odesłano go do placówki badawczej. Wyrwał sobie włosy i stracił władzę w jednej ręce, ale żadne z tych schorzeń go nie zabiło. Istnieją niepotwierdzone pogłoski, że zmarł w roku 1980 w laboratorium medycznym, padłszy ofiarą podanej mu eksperymentalnej dawki środka owadobójczego, która okazała się śmiertelna.

\* \* \*

Lucy Temerlin (ur. 1964) w wieku lat dwunastu została odesłana z domu do Gambii, gdzie miała zamieszkać wśród szympanсів. Wychowała się w Oklahomie w rodzinie Temerlinów. Lubiła magazyn *Playgirl*, herbatę, którą sama parzyła, oraz gin bez dodatków. Była szympansem potrafiącym posługiwać się narzędziami;



używała domowego odkurzacza jako wibratora.

Była z niej wyzwolona dziewczyna, ale nie wiedziała nic o życiu na wolności. Urodziła się na szympansej farmie „Arka Noella”; zabrano ją od matki w dwa dni po urodzeniu i umieszczono w ludzkim domu. W Gambii opiekowała się nią doktorantka psychologii Janis Carter, która przez wiele lat próbowała delikatnie przystosować ją do życia w naturalnym środowisku szympanków. Przez cały ten czas Lucy była w głębokiej depresji, straciła na wadze i wyrywała sobie włosy. Po raz ostatni widziano ją żywą – w towarzystwie innych szympanków, z którymi zdawała się pogodzona – w roku 1987.

Kilka tygodni później ktoś znalazł i zebrał jej kości. Szeroko rozpowszechniło się, jakoby Lucy zginęła z rąk kłusowników, do których ochoczo pobiegła. Ta wersja wydarzeń jest jednak poważnie kwestionowana.

\* \* \*

Nim Chimpsy (1973-2000), gwiazda ekranu i literatury, zmarł przedwcześnie w wieku lat dwudziestu sześciu. W momencie zgonu mieszkał w stadninie koni Black Beauty Ranch w Teksasie, ale wcześniej był w wielu domach i u wielu przybranych rodzin. Opanował dwadzieścia pięć – lub sto dwadzieścia pięć (różne źródła podają inaczej) znaków migowych, ale doktor Herb Terrace, który wybrał go do eksperymentu, był rozczarowany jego lingwistycznymi osiągnięciami. Gdy Nim miał cztery lata, doktor Terrace ogłosił zakończenie badań. Nima odesłano wtedy do Instytutu Badań nad Naczelnymi (Institute for Primate Studies, IPS) w Oklahomie.

To, że eksperyment z udziałem Nima ostatecznie uznano za niepowodzenie, miało konsekwencje dla wielu szympanków władających językiem migowym. Bezpośrednim skutkiem było zaprzestanie dotacji na tego rodzaju badania.

Nima sprzedano w końcu do laboratorium medycznego, gdzie trzymano go w ciasnej klatce, aż któryś z pracujących z nim wcześniej doktorantów zagroził wniesieniem sprawy do sądu i zainicjował publiczną zbiórkę pieniędzy, która ostatecznie pozwoliła uwolnić Chimpsy'ego.

\* \* \*

Washoe (1965-2007), najslyniejsza z grona szympanków wychowywanych wśród ludzi, także spędziła trochę czasu w IPS w Oklahomie. Była pierwszą istotą spoza gatunku ludzkiego, która nauczyła się Amerykańskiego Języka Migowego; jej słownictwo w ASL liczyło 350 słów. Zmarła z przyczyn naturalnych w 2007 w wieku lat czterdziestu dwóch. Roger Fouts, który początkowo pracował z nią jako doktorant, poświęcił życie opiece nad nią i zapewnianiu jej godziwego życia. Washoe zmarła w minirezerwacie, stworzonym specjalnie dla niej przez Foutsa na terenie kampusu Central Washington University w Ellensburgu, otoczona szympankami i ludźmi, którzy znali ją i kochali.

Roger Fouts powiedział o Washoe, że nauczyła go, iż w wyrażeniu „istota

ludzka” słowo „istota” jest dużo ważniejsze niż „ludzka”.

\* \* \*

Najwyraźniej wszystkim, którym zdarzyło się żyć pod jednym dachem z małpami, udzielała się gorączkowa potrzeba napisania książki. Każdy ma swoje powody. *The Ape and the Child* jest o Kelloggach. *Next of Kin* o Washoe. *The Ape in Our House* o Viki. *The Chimp Who Would Be Human* o Nimie.

*Lucy: Growing Up Human* pióra Maurice’a Temerlina kończy się w roku 1975, gdy Lucy ma jedenaście lat. Temerlinowie, podobnie jak wiele innych rodzin adoptujących szympansy, przyjęli ją do swego domu w przekonaniu, że podejmują się czegoś na całe życie. Pod koniec książki widać już jednak, że Temerlin tęskni za normalnym życiem. On i jego żona od lat nie spali w jednym łóżku, bo Lucy im nie dawała. Nie mogli wyjechać na wakacje ani zaprosić przyjaciół na kolację. Lucy wywierała wpływ na każdy aspekt ich życia.

Miała starszego brata – człowieka – o imieniu Steve. Po roku 1975 nie ma żadnej wzmianki o nim. Dotarłam do strony, na której wyczytałam, że Donald Kellogg, chłopiec, który przez rok wychowywał się z małą Gua (niemożliwe, by pamiętał cokolwiek z tego okresu, mimo że istnieje wiele dokumentów w postaci notatek, książek i amatorskich filmów), popełnił samobójstwo w wieku lat czterdziestu trzech. Na innej stronie ktoś twierdzi, że Donald chodził zupełnie jak szympan, ale to strona prowadzona przez białych suprematystów, więc nie ma najmniejszego powodu, by w to wierzyć.

Kilka godzin po wykładzie doktora Sosy spotkałam się z Harlow w Absolwencie, knajpie w centrum Davis, gdzie podawano piwo i hamburgery.

Ulice były ciemne, zimne i mokre, pomimo że deszcz przestał padać. W innych okolicznościach pewnie bardziej doceniałabym mroczną magię dookoła – latarnie otoczone każda własnym bąblem mgły, światełko mego roweru na czarnych ulicach rozświetlające jasnym blaskiem mijane po drodze kałuże. Ale wciąż drżałam na krawędzi skalistego klifu, na której pozostawił mnie wykład Sosy. Mój plan na wieczór zakładał pić dużo. W Davis za jeżdżenie po pijaku na rowerze wlepiają człowiekowi mandat tak samo jak za prowadzenie samochodu po pijanemu, ale w moich oczach było to tak kompletnie idiotyczne, że nie przyjmowałam tego do wiadomości.

Gdy zakładałam blokadę do roweru, już nieźle mną telepało. Przypomniała mi się scena z *Tego wspaniałego życia*, w której Clarence Odbody zamawia płonący poncz na rumie. Płonący poncz na rumie to zdecydowanie byłoby to. Mogłabym się w nim nawet wykąpać.

Otworzyłam ciężkie drzwi Absolwenta i weszłam w gwar. Rozważałam podzielenie się z Harlow świeżo nabytymi rewelacjami o seksualnym życiu szympanów. Wiele zależało od tego, jak bardzo się upiję. Ale to miał być wieczór dziewczynskiej solidarności i myślałam, że ulży mi trochę, jeśli podzielę się z inną kobietą wiedzą o tym, jak okropne potrafią być samce szympansa. Nie byłam więc szczęśliwa, gdy zauważyłam, że Reg będzie nam towarzyszył. Nie wyglądał mi na osobę, z którą można konstruktywnie rozważać życie seksualne szympanów.

Jeszcze mniej się ucieszyłam, widząc Madame Defarge. Siedziała na kolanach Harlow, kołyszając głową na boki i rozdziawiając szczękę jak kobra. Harlow miała na sobie dzinsy tak przetarte, że ledwie trzymały się razem za sprawą haftowanych naszywek w kształcie gór, tęcz i liści konopi, toteż jej kolana były interesującą lokalizacją. – Bardzo ostrożnie się z nią obchodzę – powiedziała Harlow, najwyraźniej poirytowana czymś, czego nawet jeszcze nie zdążyłam powiedzieć. Zakładała, że jestem kompletną sztywniarą. To było słuszne założenie. Co prawda nasza znajomość zaczęła się tak obiecująco: obie tłukłyśmy co popadło w najlepszym małpim stylu, razem pobujałyśmy się do aresztu. Ale widziałam, że powoli zmienia opinię na mój temat. Nie byłam taka zabawowa, jak jej się wydawało. Powoli zaczynała być mną rozczarowana.

Jednak na razie łaskawie odsunęła tę kwestę na bok. Właśnie dowiedziała się, że wydział teatralny będzie na wiosnę wystawiał *Makbeta* w genderowej inscenizacji. Oczywiście nie powiedziała „Makbeta”, tylko „szkocką sztukę”, jak to mają w zwyczaju irytujący studenci aktorstwa. Wszystkie damskie role zagrają

mężczyźni, a męskie – kobiety. Harlow wybrano do przygotowania kostiumów i scenografii; rzadko widywałam ją aż tak podekscytowaną. Jak mi powiedziała, wszyscy spodziewali się, że aktorzy będą występować w kostiumach typowych dla płci przeciwnej, ale miała nadzieję wyperswadować to reżyserowi.

Reg pochylił się do nas i powiedział, że publiczność absolutnie przepada za facetami w sukienkach. Harlow zignorowała go jak natrętną muchę; dokładnie na takie traktowanie zasługiwał.

– A nie byłoby ciekawiej, bardziej prowokująco, gdyby nie zamieniać się kostiumami? – zapytała. To sugerowałoby rzeczywistość, w której dominującym paradygmatem jest wzorzec żeński; cokolwiek w naszym świecie jest postrzegane jako kobiece, reprezentowałoby władzę i politykę. Kobiecość byłaby normą.

Harlow powiedziała, że już robi szkice scenerii zamku Inverness, próbując go przedstawić jako fantastyczną, kobiecą przestrzeń. Tu miałam szansę skierować rozmowę na temat gwałtów wśród szympanów, ale nie obeszło się bez zburzenia pogodnego nastroju. Harlow promieniała od nadziei i planów.

Faceci kupowali drinki dla Madame Defarge.

Reg dał mi jeden z nich: ciemne piwo o mocno chmielowym zapachu. Zmrożona szklanka była cieplejsza niż moje ręce; straciłam czucie w kciukach. Reg uniósł swoją szklankę do toastu. – Za supermoce – powiedział; miałam wrażenie, że intencją było zasugerować, że odpuszczamy sobie dawne urazy. Niech się zaczną dzikie harce.

W chwilę później już się pociłam. W Absolvencie było tłoczno, na sali DJ, jakieś niezbyt udane tańce w rządku na parkiecie. Pachniało piwem i ciałami. Madame Defarge podrygiwała na stołach i oparciach krzesel. Z głośnika dudnił kawałek Green Day *Basket Case*.

Harlow i Reg byli w trakcie wymiany zdań, przekrzykując muzykę. Słyszałam większość z ich rozmowy. Chodziło o to, że Reg uważał, iż Harlow flirtuje z każdym facetem w barze; ona twierdziła, że to Madame Defarge jest flirciarą. Ona, Harlow, jedynie uprawia sztukę performance, i wszyscy faceci w barze o tym wiedzą.

– Oo, jasne – powiedział Reg. – Sami wyrafinowani koneserzy. Miłośnicy sztuki. I dodał, że mężczyznom sztuka performance kojarzy się z kobietami malującymi sobie twarze menstruacyjną krwią, i że wcale im się to nie podoba. Lubią za to puszczałskie.

Harlow uważała, że jest zasadnicza różnica między puszczałską a kobietą animującą lalkę o puszczałskich tendencjach. Reg uważał, że nie ma żadnej różnicy, że może kobiety ją dostrzegają, ale facetów nic to nie obchodzi.

– Mówisz o mnie „puszczałska”? – warknęła Madame Defarge.

– A kto cię, kurwa, pyta o zdanie?

Muzyka zwolniła, ale nie ucichła. Harlow i Reg zajęli się swoimi drinkami.

Jakiś koleś, biały, w czapce bejsbolowej daszkiem do tyłu – „pierdolony pozer”, powiedział do mnie Reg na tyle głośno, by koleś usłyszał, co znaczy: bardzo głośno – podszedł i poprosił Harlow do tańca. Harlow podała mu Madame Defarge.

– Widzisz? – powiedziała do Rega. – Ona z nim zatańczy, a ja tańczę z tobą – wyciągnęła do niego rękę, Reg ujął ją i pociągnął do siebie. Odsunęli się od baru, owinęli mocno jedno wokół drugiego: jej ręce na jego ramionach, jego dłonie w tylnych kieszeniach jej dziurawych dżinsów.

Koleś w bejsbolówce tyłem do przodu gapił się na Madame Defarge osłupiałym wzrokiem, aż mu ją zabrałam.

– Z nią się nie tańczy. To bardzo cenna lalka.

DJ włączył stroboskop. Absolwent zamienił się w salę balową dla potępieńców. Reg wrócił i długo mówił coś do mnie; błysk stroboskopu zamieniał jego twarz w pokaz slajdów. Przytakiwałam, aż zrobiło mi się słabo od kiwania głową; potem skupiłam wzrok na garbie jego ostrego nosa, próbując odzyskać orientację. Reg nie darł się na cały głos, więc nie słyszałam ani słowa.

Przytakiwałam nadal i przez cały czas. Kiedy wykonywałam ten afirmujący gest, mówiłam, że jego poglądy na temat supermocy to bezsens, bez żadnego oparcia w rzeczywistości. – Brednie – powiedziałam. – Sraty-taty. Bzdety. Androny. Dyrzymały. Stek bzdur.

Przeniosłam wzrok na jego pierś. Na koszulce miał nadruk przedstawiający żółty znak drogowy, z przebiegającymi przezeń sylwetkami rodziny. Ojciec był z przodu, ciągnął za rękę żonę, a ta z kolei – dziecko, które trzymało lalkę, także za rękę. Jestem z Indiany, a Davis to nie San Diego. Nie miałam pojęcia, że faktycznie jest taki znak drogowy, ostrzegający, by nie potrącić przypadkiem na szosie rodziny nielegalnych imigrantów. Dziecko i lalka lewitowały w powietrzu, bo rodzina biegła aż tak szybko. Widziałam, że ich nogi pracują z wysiłkiem, że warkoczyki dziewczynki powiewają za jej głową w pośpiesznym biegu. Może powinnam tu wspomnieć, że łyknęłam parę tabletek, które dała mi Harlow. Mam szczęście, że wcześniej nigdy nie byłam obiektem presji rówieśników; okazało się, że jestem na nią podatna.

– Pieprzenie kotka – powiedziałam. – Gadka szmatka. Głodne kawałki. Bujda na resorach.

Reg powiedział, że nic nie słyszy, więc wyszliśmy na zewnątrz, gdzie opowiedziałam mu o teście lustrzanym. Nie pamiętam, dlaczego akurat to przyszło mi do głowy, ale zrobiłam mu niezły wykład. Powiedziałam mu, że gdy postawi się przed lustrem zwierzęta, niektóre z nich – szympansy, słonie, delfiny – rozpoznają siebie w odbiciu; inne, jak psy, gołębie, goryle i ludzkie niemowlęta – nie. Sam Darwin zaczął zastanawiać się nad tym zagadnieniem, kiedy pewnego dnia wystawił lustro na terenie ogrodu zoologicznego i przyglądał się dwóm młodym orangutanom, kontemplującym własne odbicia. Sto lat później psycholog

nazwiskiem Gordon Gallup dopracował ten test i zaobserwował, że niektóre szympansy używały odbicia, by zajrzeć do wnętrza własnych ust lub przyjrzeć się częściom ciała, których nie mogły zobaczyć bez lustra. Powiedziałam Regowi, że test lustrzany jest używany do stwierdzenia samoświadomości od czasu, kurwa, Darwina i że nie mogę uwierzyć, że facet taki jak on, z uniwersyteckim wykształceniem i przekonany o własnej wszechwiedzy, nigdy nie słyszał o czymś tak podstawowym.

A potem dodałam, że psychomanteum to wyposażone w lustro pomieszczenie, w którym spirytyści próbowali nawiązać kontakt z duchami; jedynym powodem, dla którego o tym wspomniałam było, że akurat wiedziałam o tym.

Przez moment zastanawiałam się, jak relacja identycznych bliźniaków może wpływać na wyniki tekstu lustrzanego, ale nic nie powiedziałam, bo sama nie znałam odpowiedzi na to pytanie, a Reg mógł udawać, że wie.

Prawdopodobnie próbowałam odzyskać poczucie bycia ekspertem w temacie po tym, jak zostało ono nadszarpnięte rewelacjami z wykładu Sosy. Zdecydowanie zachowywałam się jak dupek. Pamiętam, że Reg stwierdził, że strasznie dużo gadam, na co poklepałam się po ustach, jakby mnie na tym przyłapano. Reg powiedział, że powinniśmy wrócić do środka. Bo znowu trzęsły mną dreszcze. Oraz pewnie dlatego, że teraz wiedział już o teście lustrzanym absolutnie wszystko, co wiedzieć powinien.

Reszta tej nocy pozostała mi w pamięci jako pozbawiony fabuły montaż przypadkowych scen, do których przyzwyczało nas kino. Powrót Małpatej – epizodyczny, obłąkany wyścig psich zaprzęgów po całym mieście.

\* \* \*

Oto próbuję zamówić miskę ryżu z dodatkami w Jack in the Box. Rozeźlony Reg opuścił nas jakiś czas wcześniej. Harlow na moim rowerze, ja balansująca na kierownicy. Przez interkom składamy długie i zawile zamówienie, wiele razy zmieniając zdanie i starając się upewnić, że kobieta na drugim końcu wszystko dobrze zapisała; nagle ona odmawia przyjęcia zamówienia, bo nie jesteśmy samochodem; mówi, że musimy wejść do środka. Zaczyna się awantura, zakończona wezwaniem przez nią na pomoc kolejnej kobiety, wyższej rangą, która każe nam się wynosić do diabła. Słowa „do diabła” wydobywają się przez skrzeczący interkom w głowie Jacka, podobnej do wielkiej śnieżnej kuli. Harlow unieszkodliwia interkom uzbrojona jedynie w swoje klucze od domu.

\* \* \*

Potem jestem w G Street Pub, zagaduje do mnie jakiś czarny koleś w kurtce reprezentacji szkolnej – co prawdopodobnie oznacza, że jest licealistą, ale ponieważ całowaliśmy się intensywnie i dosyć długo, mam nadzieję, że jednak nie.

\* \* \*

Potem siedzę skulona na mokrej ławce na stacji kolejowej, z twarzą na kolanach. Szlocham i szlocham, bo pozwoliłam sobie wyobrazić coś, czego nigdy wcześniej nie dopuściłam do siebie. Pozwoliłam sobie wyobrazić ten dzień, kiedy Fern zabrano z domu. Nigdy się nie dowiem, co naprawdę zaszło. Nie było mnie przy tym; Lowella także nie. Założę się, że nie było też przy tym mamy, a może i taty.

Musieli ją naszpikować narkotykami. Pewnie obudziła się w obcym miejscu, dokładnie w ten sam sposób jak ja tego pierwszego dnia w moim nowym pokoju. Tyle że kiedy ja zapłakałam, przyszedł do mnie ojciec. Kto przyszedł do Fern? Może Matt. Pozwalam sobie pocieszyć się tym jednym wyobrażeniem – że Matt był przy niej, kiedy się obudziła.

Wyobrażam ją sobie tak, jak ją ostatni raz widziałam, jako radosną pięciolatkę. Ale Fern nie jest teraz w domku Szwajcarskich Robinsonów: jest w klatce ze starszymi, większymi szympanami, z których żadnego nie zna. Pełzające gównem, mówi sobie – a potem musi poznać swoje miejsce, zrozumieć, że nie tylko jest szympansem, ale przy tym samicą o statusie dużo niższym niż jakikolwiek samiec. Wiem, że Fern nigdy nie pogodziłaby się z tym bez walki.

Co jej zrobili w tej klatce? Cokolwiek to było, wydarzyło się, ponieważ

żadna kobieta nie próbowała temu zapobiec. Żadna z kobiet, które powinny były stanąć w obronie Fern – moja matka, doktorantki, ja – nie pomogła. Wysłałyśmy ją za to w miejsce, gdzie kobieca solidarność w ogóle nie istnieje.

\* \* \*

Ciągle płaczę, ale najwyraźniej przeniosłam się do łoża klubowej w jakimś miejscu, którego nie potrafię zidentyfikować. To nie jest bar, bo słyszę wszystko, co ludzie mówią. Jestem z Harlow i dwoma chłopakami w naszym wieku. Ten przystojniejszy siedzi po jej stronie, wyciągając ramię w poprzek oparcia fotela za jej ramionami. Ma dość długie włosy i często potrząsa głową, żeby nie wpadały mu do oczu. Ten drugi koleś ma oczywiście być dla mnie. Jest dość niski. Nie przeszkadza mi to, sama jestem dość niska. Wolę samców beta od alfa. Tylko że koleś bez przerwy mi mówi, żebym się uśmiechnęła. – Nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było – mówi. Jeśli miałabym pięć lat, już bym go pogryzła.

Jestem też dotknięta, bo jasno widzę, że jestem nagrodą pocieszenia. Nikt nawet nie próbuje udawać, że jest inaczej. To jakbyśmy byli w musicalu, Harlow i ten jej facet są parą romantycznych bohaterów – im dostaną się wszystkie najlepsze piosenki i główne elementy fabuły. Wszystko, co ich dotyczy, będzie ważne. Ja i mój koleś stanowimy dodatek komiczny.

– Nawet nie wiem, jak masz na imię – mówię mu w ramach wytłumaczenia, dlaczego nie czuję się zobowiązana do niego uśmiechać. Chociaż muszę uczciwie przyznać, że pewnie przedstawiono nas sobie w pewnym momencie, wtedy, gdy nie słuchałam.

Może nie powiedziałam tego głośno, bo nikt nie odpowiedział. On mruga szybko, jakby mu coś wpadło do oka. Ja mam szkła kontaktowe – to, że drażnią mi oczy i to, że tyle płakałam, składa się na uczucie, jakbym przetarła gałki oczne pustynią Mojave. Nagle te moje bolące, piekące, palące oczy to jedyne, o czym mogę myśleć.

Harlow pochyła się ku mnie w poprzek stołu, bierze mnie za nadgarstek i potrząsa nim. – Posłuchaj mnie – mówi zdecydowanym głosem. – Słuchasz? Uważasz, co mówię? Cokolwiek to jest, co cię tak zdołowało, tylko to sobie wyobrażasz. To nie dzieje się naprawdę.

Doskonale widzę, jak bardzo ma mnie dość ten facet obok Harlow. – Do kurwy nędzy, weźże się w garść – mówi.

Za skarby świata nie zgodzę się być traktowana niżej niż ten nieznośny debil. Nie uśmiechnę się, nie ma mowy. Raczej zdechnę.

\* \* \*

Ciągle siedzimy w tej samej łoży, ale teraz przyszedł jeszcze Reg. Siedzi przy Harlow, ten z długimi włosami koło mnie, a mały wziął sobie krzesło i siedzi na krótszym końcu stołu. Nie pamiętam, jak się to wszystko wydarzyło, i jestem bardziej wściekła, niż byłam, z powodu powiększenia imprezy. Bardziej podoba mi



się ten niski koleś niż ten z długimi włosami, ale czy ktoś mnie pytał?

Faceci wszyscy są podminowani; w każdej chwili mogą odpalić swoje miecze świetlne. Reg cały czas bawi się solniczką; kręci nią jak butelką i nazywa dupkiem każdego, przed kim się ona zatrzyma. Ten długowłosa mówi, że niepotrzebna mu solniczka, żeby wiedzieć, kto jest dupkiem: jemu wystarczy dobrze się komuś przyjrzeć. – Wyluzuj, koleś – mówi ten mały do Rega. – Nie możesz zatrzymać ich obu. – Na co Reg jeszcze podgrzewa atmosferę, pokazując znak luzera na czole. Nie jest to zwykły, dwupalcowy luzer – Reg dodaje jeszcze środkowy palec, wskazujący prosto na tego koleś, co nie tylko utrzymuje klasyczne znaczenie znaku, ale także przemienia normalnego luzera w luzera, z której strony nie spojrzeć. Długowłosa głośno łapie oddech. Jeszcze chwila, a w ruch pójdą pięści.

Zastanawiam się, czy uspokoiliby się, gdybym bzyknęła się z wszystkimi trzema? Wygląda, że niekoniecznie.

Najwyraźniej nad tym zastanawiałam się głośno. Próbuję wyjaśniać, że tylko teoretyzuję. Próbuję opowiedzieć o wykładzie Sosy, ale nie udaje mi się zająć z tym daleko, bo bonobo jest tak śmiesznym słowem i oni mają takie śmieszne miny, że zaczynam się śmiać. Z początku wszyscy śmieją się razem ze mną, ale potem oni przestają, a ja nie. Nikomu się nie podobało, kiedy płakałam, ale teraz, gdy się śmieję, widzę, że nadal wkurzam wszystkich do bólu zębów.

\* \* \*

A potem jestem w kabinie w łazience, wymiotuję pizzą sprzedawaną w kawałkach. Gdy kończę i idę do umywalk, żeby umyć ręce, okazuje się, że przy urynałach stoi trzech gości. Nie ta łazienka.

Jednym z nich jest Reg. Wskazuję na odbicie jego twarzy w lustrze. – Kto to? – pytam, i przyjaźnie dodaję jako wskazówkę: – To test na inteligencję. Po czym wyjmuję soczewki kontaktowe z oczu i wrzucam je do zlewu, bo tak się robi z jednorazówkami; należy je wyrzucić. Zresztą, co tu jest do zobaczenia? Moja własna twarz w lustrze jest jak zrobione w kiepskim świetle foto z policyjnej kartoteki, blada jak białko jaja, na dodatek z wytrzeszczem. Kompletnie nie przyjmuję tego do wiadomości. Niemożliwe, żebym tak wyglądała. To musi być ktoś inny.

Reg daje mi miętusa, co jest chyba najbardziej troskliwym gestem, jaki kiedykolwiek wykonał względem mnie mężczyzna. Nagle wydaje mi się niezwykle atrakcyjny. – Trochę za blisko stoisz – mówi. – Powiedział ci ktoś kiedyś, że trochę tłoczysz się przy innych osobach? Że naruszasz ich osobistą przestrzeń? – Zainteresowanie nim przechodzi mi natychmiast.

Coś mi się przypomina – O, ty potrzebujesz od chuja przestrzeni – mówię. I od razu, zanim przyjdzie mu do głowy, że obchodzi mnie, czego on potrzebuje, zmieniam temat: – To żadna sztuka przekonać ludzi, żeby nienawidzili – mówię

mu, trochę dla odwrócenia uwagi, a trochę dlatego, że to prawda i nigdy dość mówienia o tym. – Jeśli jakieś zachowanie jest naturalne dla danego zwierzęcia, żadna sztuka nauczyć je robić to na rozkaz. Rasizm, seksizm, supremacja własnego gatunku – to wszystko są naturalne ludzkie zachowania. Byłe pozbawiony skrupułów ciołek na mównicy może je w ludziach rozbudzić. Nawet dziecko mogłoby to zrobić.

– Mobbing to naturalne ludzkie zachowanie – dodaję ze smutkiem. Znowu zaczynam płakać. – I znęcanie się nad innymi.

Empatia to także naturalna ludzka skłonność, która charakteryzuje również szympansy. Kiedy widzimy, jak ktoś cierpi, nasz mózg w pewnym stopniu reaguje tak, jakby to nas dotykało cierpienie. Ta reakcja nie jest zlokalizowana jedynie w ciele migdałowatym, gdzie przechowywane są wspomnienia emocjonalne, ale także w regionach kory mózgowej odpowiedzialnych za analizę zachowań innych. Sięgamy do własnych doświadczeń z bólem i rozszerzamy je na osobę, która w danej chwili go doświadcza. Tacy to mili jesteśmy.

Wtedy jednak tego nie wiedziałam. I najwyraźniej doktor Sosa też nie.

– Czas, żebyś wróciła do domu – mówi Reg, ale ja nie podzielam tej opinii. Nie, to zupełnie nie jest jeszcze ten moment.

\* \* \*

Harlow i ja idziemy przez tunel do myjni na stacji benzynowej Shella. Tunel ma bardzo szczególny zapach, pachnie mydłem i oponami, i potykamy się trochę, bo nadeptujemy na szczotki myjące, pasy transmisyjne i inne przedmioty, których nie widzimy. Zgadza się, że jako dzieci uwielbiałyśmy siedzieć w samochodzie, kiedy przejeżdżał przez myjnię. To było super. Jak podróż w statku kosmicznym albo łodzi podwodnej – to przez te wielkie maty z materiału, które uderzały o okna. Dotykam tych wielkich mat, kiedy to mówię: są tak gumiate i wilgotne, jak moglibyście się spodziewać.

Woda tak spływa i spływa, zalewając okna, a ty sobie siedzisz w ciepłku i suchości. Cóż może być lepszego? Fern też to uwielbiała, ale zmuszam tę myśl do zniknięcia z mojej głowy. Powraca natychmiast: cwane ręce Fern odpinające różne klamerki przypinające ją do siedzenia, żeby móc odbijać się od ściany do ściany wewnątrz samochodu i niczego nie stracić.

Harlow mówi, że czasami ma się wrażenie, że samochód jedzie, ale to złudzenie optyczne spowodowane ruchem szczotek przesuwających się obok; ja mówię, że miałam identyczne doświadczenie. Identyczne. Znowu wypycham Fern z mojej głowy i narkotyzuję się tym, że się ze mną zgadza, upajam się nierozcieńczoną esencją jej aprobaty. Jesteśmy takie podobne do siebie! – Kiedy będę brać ślub – mówię – chcę go urządzić w samochodzie w myjni. Harlow uważa, że to świetny pomysł, i że ona też tak chce.

\* \* \*

Znów jestem w G Street Pub. Harlow i ja gramy w bilard; mam spory problem z tym, żeby bile zostały na stole, a co dopiero wpadały do dołków. – Wstyd z tobą grać w bilard – mówi Harlow i znika, nie mogę jej nigdzie znaleźć.

Spoglądam w dół na chudego kolesia o włosach tak rozjaśnionych, że są niemal białe. Padam mu w ramiona i nie myśląc nawet o tym, zwracam się do niego tym prawdziwym imieniem. Przyciskam się do jego piersi tak mocno, jak tylko mogę, chcąc powąchać, jak pachnie mój brat – proszkiem do prania, liśćmi laurowymi i czekoladowymi płatkami śniadaniowymi. Utlenił włosy i bardzo schudł, nie wyglądał już na sportowca, ale poznałabym go wszędzie i zawsze.

Wybucham płaczem. – Całkiem dorosłaś – mówi mi do ucha. – W ogóle cię nie poznałem, dopóki nie weszłaś na stół.

Trzymam go za koszulę z całej siły; nie zamierzam puścić, nigdy. Ale nagle obok mnie wyrasta oficer Arnie Haddick. – Idziemy – mówi, potrząsając swoją wielką, krągłą, policyjną głową. – Możesz przespać się w areszcie hrabstwa i może przy okazji przemyśleć decyzje, jakie podejmujesz, i towarzystwo, z jakim się zadajesz. – Oficer Haddick oświadcza, że musi mnie bezpiecznie odholować z ulicy, że jest to winien Vince’owi (Vince to mój ojciec, jeżeli zapomnieliście, jak ma na imię). Mówi też, że pijana kobieta prosi się o kłopoty.

Wyprowadza mnie na zewnątrz, z galanterią pakuje na tylne siedzenie policyjnego radiowozu – tym razem obeszło się bez kajdanek. Harlow była tam pierwsza. Wkrótce znajdziemy się w jednej celi, mimo że, jak podkreśli oficer Haddick nazajutrz rano, powinnam trzymać się z daleka od tej dziewczyny. – Musimy przestać się spotykać w takich okolicznościach – mówi Harlow.

Kusi mnie, żeby zapytać Haddicka, czy widział mężczyznę o białych włosach, ale oczywiście nie mogę tego zrobić. Mój brat zniknął tak kompletnie bez śladu – obawiam się, że tylko sobie go wyobraziłam.

Niewątpliwie uciekłabym od powtórnego lądowania wreszcie przez natychmiastowe zapadnięcie w sen, jeśli tylko byłabym w stanie. Ale małe białe tabletki od Harlow ciągle wierzgały jak dzikie konie po moich synapsach. Co gorsza, Fern zaganiała je nieustannie do mojej świadomości. Po wszystkich tych latach, przez które trzymałam ją z dala od mojej głowy, nagle było jej pełno wszędzie. Nie mogłam nie zauważyć, że właśnie ładują mnie, odurzoną narkotykami, do klatki, dokładnie tak, jak kiedyś ona została odurzona i zamknięta w klatce. Byłam pewna, że wypuszczą mnie z samego rana; zastanawiałam się, czy i ona żywiła takie przekonanie. To było jeszcze gorsze niż wyobrażanie sobie, jak bardzo była przestraszona: myśleć, że czuła pewność, że to wszystko pomyłka i że przyjedziemy ją uratować, że wkrótce znów będzie we własnym domu, własnym pokoju i we własnym łóżku.

Ja także, jak Fern, nie byłam sama w mojej klatce. Prócz Harlow była jeszcze mocno starsza kobieta, która objawiała matczyną troskę, próbując nam pomóc urządzić się w celi. Miała na sobie wyłysiały frotowy szlafrok w kolorze blad różowym, a na czole smugę kurzu, jak w środę popielcową. Jej siwe włosy sterczały wokół głowy jak zdmuchnięty dmuchawiec, wygryziony z jednej strony. Powiedziała mi, że ja i Charlotte jesteśmy podobne jak dwie krople wody. – Jaka Charlotte? – zapytałam.

Nie odpowiedziała, więc pograżyłam się w domysłach. Charlotte Brontë? Charlotte z *Pajęczyny Szarlotty*? Charlotte w Północnej Karolinie? Nagle przypomniałam sobie, jak mama płakała, czytając ostatnie fragmenty *Pajęczyny Szarlotty*. Nagle przestała czytać, szloch chwycił ją za gardło – spojrzałam w górę, byłam zaskoczona widokiem jej zaczerwienionych oczu i mokrych policzków. Ogarnęło mnie koszarne przecucie, że wiem, co to może oznaczać, gdy Szarlota poczuła się tak źle, jednak nie do końca – bo nigdy wcześniej nie czytałam książki, w której ktoś umierał, nie leżało to więc w zakresie tego, co uznawałam za możliwe. Pod tym względem byłam równie niewinna jak Fern. Po drugiej stronie matczynych kolan Fern leniwie powtarzała znak migowy oznaczający pająka. Pełzająca kupa. Pełzające gówno.

Fern szczególnie uwielbiała *Pajęczynę Szarlotty*, może dlatego, że tak często słyszała swoje imię, gdy mama to czytała. Czy to z tej książki mama zaczerpnęła to imię? Nigdy nie przyszło mi do głowy się nad tym zastanawiać. Co mama mogła mieć na myśli, nazywając naszą Fern imieniem jedynej ludzkiej postaci w tej książce, która potrafi rozmawiać z nie-ludźmi?

Zdałam sobie sprawę, że w tej chwili moje własne ręce układają się w ten sam znak migowy pełzającego gówna. To było niemal tak, jakbym nie mogła ich

powstrzymać. Podniosłam je w górę i śledziłam wzrokiem ruch poruszających się palców.

– Porozmawiajmy rano. Ze świeżą głową – powiedziała kobieta, nieświadoma, że ja cały czas mówię. Powiedziała nam, żebyśmy wybrały sobie prycze; było ich cztery i żadna nie wyglądała zapraszająco. Położyłam się, zmuszając powieki, by się zamknęły, ale oczy natychmiast otworzyły się z powrotem. Moje palce drżały niespokojnie. Nogi przebiegał skurcz. Myśli przeskakiwały od *Pajęczyny Szarlotty* do tych słynnych eksperymentów, w których niewinnym i niczego nieświadomym pająkom siłą podawano różne narkotyczne substancje. Sławni fotografowie robili potem zdjęcia pajęczyn, uplecionych przez nie na haju.

Sama plotłam własną szaloną pajęczynę, w tym niekończącym się stanie zasypiania, w którym ze wszelkich sił starałam się znaleźć jakiś sens w obrazach i skojarzeniach napływających jak dryfujące szczątki na fali powodzi. Szympan tu. Szympan tam. Wszędzie szympansy.

Pomyślałam, że jeśli faktycznie, jak twierdzi Reg, supermoce nie są względne, tylko obiektywne, Spider-Man nie jest bardziej niezwykły od Szarlotty. Właściwie Peter Parker w porównaniu z Szarlotą to cykor. Powtórzyłam to sobie kilkakrotnie w głowie. Peter Parker to cykor. Peter Parker to cykor.

– Dość już o tym – powiedziała starszka. Nie byłam pewna, czy czytała w moich myślach, czy jednak powiedziałam to wszystko na głos. Jedno i drugie wydawało się jednakowo prawdopodobne.

– Harlow. Harlow – szepnęłam. Bez odpowiedzi. Pomyślałam, że może Harlow zasnęła, co świadczyłoby o tym, że nie połknęła tych samych tabletek, które mi dała. Może nie miała ich dość dla nas obu i chciała być miła, więc dała mi wszystkie i sama dzielnie obeszła się bez nich. A może wiedziała, że lepiej ich nie łykać, a łatwiej było dać je mnie, niż spuścić z wodą w klozecie. Może po prostu byłam bliżej niż toaleta.

A może nie spała. Na wszelki wypadek powiedziałam jej:

– Ciągle uważam, że supermoce są względne. Szarlota nie jest superbohaterką tylko dlatego, że jest pajakiem i może przeskakiwać od ściany do ściany na nitce pajęczyny. Jej supermocą jest to, że umie czytać i pisać. Kontekst ma znaczenie. Kontekst to podstawa. *Umwelt*.

– Czy zamkniesz się wreszcie? – zapytała Harlow zmęczonym głosem. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że gadałaś calusienką pierdoloną noc? I nic z tego, co mówiłaś, nie miało sensu?

Zareagowałam na to dziwną kombinacją małpiatego niepokoju i nostalgii. Oraz sprzeciwu. Nie gadałam wcale aż tak dużo.

Jeśli Harlow by mnie sprowokowała, mogłabym jej pokazać, co to naprawdę znaczy gadać calusienką pierdoloną noc. Wyobraziłam sobie, że gdyby Fern była

ze mną, bez wysiłku przeskoczyłaby przez ścianę i spadła w dół na Harlow jak apokaliptyczny deszcz. Tak bardzo zapragnęłam, żeby była ze mną Fern, że aż odebrało mi dech.

– Dość gadania – warknęła staruszka. – Zamknij oczy i cisza. Nie żartuję, przybłędo!

Matka mówiła, że to bardzo niegrzecznie, gdy ktoś, kto nie może spać, budzi kogoś, kto śpi. Ojciec miał inne spojrzenie na tę kwestię. Przy którymś zapyziałym śniadaniu, kiedy to wlał swój sok pomarańczowy do kawy, którą następnie posolił, powiedział mi: – Nie wyobrażasz sobie nawet, jak wściekłą furię czuje ktoś cierpiący na bezsenność u boku śpiącej piękności leżącej tuż obok.

Próbowałam więc być cicho. Zaczęłam widzieć kalejdoskop pajęczyn. Pająki w pięknej choreografii tańczyły kankana w poprzek mych otwartych gałek ocznych, wymachując w takt walca noga za nogą, za nogą, za nogą. Mogłam spojrzeć w zbliżeniu na ich złożone oczy, przypominające plastry miodu, na ich upiorne żuchwy. A potem szeroki plan, widok z góry, roztańczone nogi zmieniają się we fraktalne wzory.

Nikt nie wyłączył światła. Muzyka z pajęczego musicalu zmieniła się z tradycyjnej w hardkorowe techno. Ktoś zaczął chrapać. Miałam wrażenie, że to właśnie chrapanie nie daje mi zasnąć. Moje myśli stały się rytmiczną chińską torturą wodną: *Umwelt. Umwelt. Umwelt.*

Reszta nocy była niekończącą się oniryczną sekwencją w reżyserii Davida Lyncha. Od czasu do czasu przylatywała Fern. Czasami miała pięć lat, robiła salta w tył, kołysała się z nogi na nogę, goniła za chustkami albo delikatnie przygryzała moje palce, tak na ostrzeżenie. Czasami miała przysadziste, ciężkie ciało starszej małpy i gapiała się na mnie wzrokiem tak nieruchomym, że wydawała się niemal bez życia, trzeba było poruszać nią na scenie jak lalką.

Do rana zdołałam zgrabnie, choć z niezwykłym wysiłkiem, uporządkować myśli wedle osi współrzędnych. Oś X: co zginęło. Oś Y: gdzie było ostatnio widziane.

Numer jeden: gdzie jest mój rower? Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie go ostatnio miałam. Może w Jack in the Box. Od razu pomyślałam o zdemolowanym interkomie. Lepiej będzie pewnie unikać Jack in the Box przez jakiś czas.

Numer dwa: Gdzie się podziała Madame Defarge? Nie widziałam jej, odkąd wyszliśmy z Absolwenta. Chciałam zapytać Harlow, lecz byłam zbyt zmęczona, by wykombinować jak. Pytanie to z całą pewnością zirytowałoby ją nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, a obecne z pewnością do nich nie należały.

Trzy: gdzie są dzienniki mamy? Czy rzeczywiście nigdy więcej o nie nie zapyta, czy też w pewnym momencie będę musiała się przyznać, że je zgubiłam?

To byłoby takie nie fair, rzadko mi się zdarzało gubić rzeczy – a poza tym, cytując nieśmiertelne słowa Hana Solo, *to nie moja wina*.

Cztery: gdzie jest mój brat? Moja ulga wobec faktu, że ucieszył się na mój widok, była teraz podminowana zmartwieniem. Co sobie pomyślał, widząc moją komitywę z lokalną policją? A co, jeśli w ogóle go tam nie było?

Przyjechał syn staruszki i zabrał ją z powrotem do domu starców, przeprasząc za wszystko, co mówiła i co, jak się okazuje, zdążyła zdemolować. Chrapanie zniknęło wraz z nią.

Gdy drzwi celi wreszcie otworzyły się dla mnie, byłam tak zmęczona, że musiałam unieść się na łokciach. Oficer Haddick i ja odbyliśmy rozmowę, w której ja, kompletnie wykończona, nie byłam w stanie partycypować – co jednak bynajmniej nie skróciło czasu jej trwania.

Reg przyjechał zabrać Harlow i przy okazji podrzucił mnie do domu, gdzie wzięłam prysznic; kręciło mi się w głowie i kołysałam się niestabilnie pod strumieniem gorącej wody. Położyłam się do łóżka, ale wciąż nie mogłam zamknąć oczu. To było najokropniejsze z wyobraźalnych uczuć, to kompletne wyczerpanie połączone z przymusem funkcjonowania mentalnie.

Wstałam, poszłam do kuchni, zdjęłam palniki z kuchenki i wytarłam powierzchnię pod nimi. Otworzyłam lodówkę i gapiłam się w jej wnętrze, mimo że nie miałam ochoty na jedzenie w żadnej postaci. Pomyślałam, że przynajmniej to, co Harlow mi dała, to nie był narkotyk przejściowy – raczej wyjściowy-z-trzaśnięciem-drzwiami. Nigdy, przenigdy więcej tego nie wezmę.

Todd wstał i przypalił tosty, co spowodowało uruchomienie alarmu przeciwpożarowego, który trzeba było uciszyć za pomocą kija od szczotki.

\* \* \*

W rezydencji Harlow i Rega nikt nie odbierał telefonów, dzwoniłam trzy razy i zostawiłam dwie wiadomości. Wiedziałam, że powinnam czym prędzej podejść do Absolwenta i zobaczyć, czy ktoś nie znalazł i nie zwrócił lalki. Panikowałam, myśląc, że ją zgubiłam, a jest taka cenna, i tak dalej. Mój rower to jedno, ale lalka nawet nie była moja. Jak mogłam być taka nieostrożna? Poza tym narkotyk chyba wreszcie przestał działać, bo kiedy przyszłam do siebie, obudziłam się we własnym łóżku i znowu była noc.

W mieszkaniu panowała cisza typu „nikogo nie ma w domu”. Mimo że spałam tyle godzin, nadal czułam się wyczerpana. Znowu przysnęłam, przyśnił mi się sen, który tuż przed przebudzeniem wyparował mi z pamięci jak woda, gdy tylko wynurzyłam się z niego i spróbowałam go sobie przypomnieć. Dawno, dawno temu Lowell przyszedł i potrząsnął mną, aż się obudziłam. Miałam chyba z sześć lat, co znaczy, że on musiał mieć dwanaście.

Zawsze podejrzewałam, że Lowell chodzi gdzieś po zmroku. Jego sypialnia była, jako jedyna, na parterze; mógł wyjść drzwiami lub oknem niesłyszany przez

nikogo. Nie wiedziałam, dokąd szedł. Nie jestem nawet pewna, czy faktycznie wychodził. Wiem tylko, że brakowało mu całej tej przestrzeni wokół domu na farmie. Wiem, że tęsknił za dniami spędzonymi na wędrówkach po lesie. Raz znalazł grot strzały i kamienie z odciskami ości drobnych rybek. Na naszym obecnym, ciasnym podwórzu nigdy nie zdarzyłoby się nic podobnego.

Tamtym razem kazał mi się ubrać po cichu; miałam mnóstwo pytań, ale udało mi się trzymać buzię na kłódkę, dopóki nie wyszliśmy na zewnątrz. Kilka dni wcześniej postawiłam stopę na trawie i nagle poczułam ostry ból przebiegający po nodze. Gdy z wrzaskiem podniosłam stopę, w śródstopiu tkwiło żądło pszczoły, ciągle przyczepionej cienkim włóknem, drżącej i brzęczącej w przedśmiertnych podrygach. Mama wyjęła żądło przy akompaniamencie moich wrzasków i zaniosiła mnie do domu, gdzie namoczyła moją stopę i zawinęła ją w kompres z sody oczyszczonej. Od tego momentu byłam królową pszczół naszego domu, noszoną na rękach z jednego krzesła na drugie, obsługiwana w zakresie dostarczania książek i nalewania soku. Lowell najwyraźniej miał dosyć mojego inwalidztwa. Wyszliśmy na ulicę i pomaszerowaliśmy w górę Ballantine Hill. Moja stopa miała się wyśmienicie.

To była letnia noc, gorąca i cicha. Odbite od chmur błyskawice trzaskały na horyzoncie, świecił księżyc, czarne niebo było poznaczone gwiazdami. Dwa razy zobaczyliśmy światła nadjeżdżającego samochodu i chowaliśmy się za drzewa albo krzaki, żeby nas nikt nie widział.

– Zejdźmy z drogi – powiedział Lowell. Przeszliśmy na skróty przez trawnik i wkroczyliśmy na dziwne tylne podwórze. W domu zaczął szczekać mały pies. W oknie na piętrze zapaliło się światło.

Oczywiście przez całą drogę gadałam bez przerwy. Dokąd idziemy? Dlaczego nie śpimy? To niespodzianka? A może tajemnica? Od jak dawna powinnam już spać? Nigdy nie zdarzyło mi się nie spać do aż tak późna, prawda? To naprawdę późno jak na sześciolatkę, prawda? Lowell przykrył mi usta dłonią; poczułam zapach pasty do zębów na jego palcach.

– Udawaj, że jesteśmy Indianami – powiedział. – Indianie nigdy nie gadają, chodząc po lesie. Stąpają tak cicho, że nikt nie słyszy ich kroków.

Odsunął rękę. – Jak oni to robią? – zapytałam. – Czy to czary? Czy tylko Indianie to potrafią? Na ile trzeba być Indianinem, żeby to potrafić? Może trzeba nosić mokasyny?

– Ćśśś – powiedział Lowell.

Przeszliśmy jeszcze przez kilka podwórek. Widzenie w ciemności nie było aż takie trudne, jak się spodziewałam. Noc nie była tak całkiem cicha. Słyszałam pohukiwanie sowy, ciche i krągłe jak dźwięk wydobywany z butelki, kiedy się w nią dmuchnie. Głębokie, basowe kumkanie żab. Świerszczenie owadzich nóg. Lowell, jak zauważyłam, nie stąpał wcale ciszej niż ja.



Doszlismy do żywopłotu z dziurą w środku; przepelzliśmy przez nią na łokciach i kolanach. Skoro dziura była dość duża dla Lowella, powinna być wystarczająca i dla mnie; mimo to podrapałam się o kolczaste liście. Nic nie powiedziałam, bo wiedziałam, że jeśli zacznę narzekać, Lowell odeśle mnie do domu. Zamiast tego podkreśliłam, jaka to jestem dzielna, że nie narzekam, chociaż mam swędzące zadrapanie na nodze. – Nie chcę jeszcze wracać do domu – dodałam na wszelki wypadek.

– No to na moment przestań gadać – powiedział Lowell. – Patrz i słuchaj.

Żaba kumkała teraz głośno, jak jakieś duże stworzenie – choć pamiętałam znad strumyka przy starym domu na farmie, że czasami duży dźwięk wydobywa się z niedużej żabki. Stałam na końcu żywopłotu. Znajdowaliśmy się w kotlinie podwórza, tajemniczego ogrodu, całkiem jak z tej książki. Opadające zbocza porośnięte były drzewami i trawą miększą niż ta, jaką mieliśmy w domu. W zagłębieniu pomiędzy zboczami znajdował się staw, zbyt idealny, by mógł być dziełem natury. Na jego brzegach rosły pałki. W blasku księżycy woda lśniła jak srebrna moneta, poznaczona czarnymi cętkami liści nenufarów.

W tym stawie są żółwie – powiedział mi Lowell. – I ryby. Miał w kieszeni parę pokruszonych krakersów. Pozwolił mi wrzucić je do wody; na powierzchni pojawiły się kółka, jak gdyby padało, tyle że w górę, jakby deszcz padał z dołu do góry. Patrzyłam, jak małe kółka, ślady rybich pyszczków, rozrastały się i nikły.

Na pagórku za stawem była ścieżka. Tam, gdzie się zaczynała, trzymały straż dwa rzeźbione stworzenia – psy o sylwetkach dalmatyńczyków, ale większe. Chciałam je pogłaskać: ich kamienne grzbiety były takie gładkie, chłodne i rozkoszne w dotyku. Za psami droga wiła się jak wąż i kończyła na osłoniętym siatką tylnym ganku dużego domu. Na każdym zakręcie rósł krzak o innym kształcie – jeden wyglądał jak słoń, inny jak żyrafa albo królik. Ogarnęło mnie pragnienie, żeby to był mój dom. Chciałam otworzyć siatkowe drzwi, wejść do środka i znaleźć tam moją rodzinę, całą moją rodzinę, czekającą wewnątrz.

Później dowiedziałam się trochę o mieszkańcach tego domu. Byli właścicielami fabryki telewizorów, bardzo bogatymi. Posągi psów były wzorowane na zdjęciach psów, które faktycznie kiedyś mieli i wzniesione zostały na ich grobach. Co roku na Czwartego Lipca urządzali przyjęcie, na które homary przywożono samolotem prosto z Maine; przybywali na nie burmistrz, szef policji i dziekan. Nie mieli własnych dzieci, ale byli zawsze przyjaźni wobec dzieciaków, które przypadkiem zawędrowały na ich posesję. Czasem częstowali je lemoniadą. Mówili z ciężkim akcentem typowych Hoosiersów<sup>[16]</sup>.

Lowell wyciągnął się na trawie na pagórku, składając ręce za głowę. Chciałam położyć się koło niego; trawa nie była tak gęsta i miękka, jaka się wydawała, ale ciągle pachniała gęsto i miękko. Pachniała latem. Położyłam głowę na brzuchu mojego brata i nasłuchiwałam odgłosów z jego wnętrza.

Wtedy byłam szczęśliwa, i czułam się szczęśliwa również teraz, leżąc w łóżku i wspominając to zdarzenie. Pewnej nocy poszłam z bratem do świata elfów, a najlepsze z wszystkiego było to, że nie miał żadnego konkretnego powodu, żeby mnie zabierać; nie byłam mu do niczego potrzebna. Zabrał mnie z sobą ot tak sobie.

Wyciągnęłam się na trawie obok niego, z głową na jego brzuchu, i starałam się nie zamykać oczu z obawy, że mogę zasnąć i wtedy on wróci do domu beze mnie. Kraina elfów była super i w ogóle, ale nie chciałam zostać w niej sama. Nawet wspomnienie tego mnie uszczęśliwiało. Mój brat mógł tej nocy iść beze mnie, ale tego nie zrobił.

Skończyłam, rozpoczęte w celi aresztu, porządkowanie w głowie osi współrzędnych rzeczy i osób zaginionych i czasu, kiedy zniknęły. Pierwsza rzecz, mój rower. Druga, Madame Defarge; trzecia, dzienniki mamy; czwarta, mój brat.

I piąta: Fern. Gdzie jest Fern? Mój brat prawdopodobnie wiedział. Ja pewnie też powinnam chcieć wiedzieć, ale zbyt się bałam odpowiedzi. Gdybym schwytała złotą rybkę spełniającą życzenia, niedługo mogłabym zobaczyć mojego brata i nie poczułabym się zraniona niczym, co powiedziałby mi o losie Fern.

Wiedziałam jednak, że i w ogrodzie elfów, i w prawdziwym życiu życzenia są rzeczą bardzo śliską.

Jeszcze raz zadzwoniłam do Harlow i znowu włączyła się sekretarka. Jeszcze raz zapytałam – bez wyrzutu, bez dramatów, z niczym niezmaconą godnością i spokojem aż po horyzont – gdzie jest Madame Defarge. Małpiata znowu wkroczyła na scenę, przez nikogo nie zapraszana, i znowu lądowała w areszcie. Kiedyż się nauczy zachowywać powściągliwie i stosownie?

Wciąż padało – dużymi, lodowatymi drażetkami – i nie miałam swojego roweru, więc teraz zadzwoniłam do Absolwenta, żeby sprawdzić, czy duża lalka brzuchomówcy, Madame Defarge, nie została w barze dwie noce wcześniej. Nie sądzę, by facet, który odebrał telefon rozumiał, o co pytam. Nie wydaje mi się, by podjął w tym celu choćby podstawowy, studencki wysiłek. Wyglądało, że bez względu na pogodę będą musiała sama wyruszyć na poszukiwanie.

Spędziłam następne dwie godziny, wędrując po mieście, szukając rzeczy, których nie mogłam znaleźć. Przemokłam do suchej nitki, przemarzłam do szpiku kości i oczy znów zaczęły mnie piec, bo włożyłam w nie nowe soczewki kontaktowe. Chodząca kałuża rozżalenia nad sobą. Oczywiście ktoś wziął sobie Madame Defarge. Nigdy nie będę nawet mogła zaoferować okupu. Nigdy jej już nie odzyskam.

Davis miało złą sławę miejsca, gdzie rowery są notorycznie kradzione. Zabierano je na fali chwilowego kaprysu: ludzie kradli, żeby dojechać na następny wykład. Policja zgarniała porzucone rowery i raz do roku sprzedawała na aukcji; dochód z niej wspierał lokalne schronisko dla kobiet. Zobaczę swój rower ponownie, ale ktoś przebiję moją ofertę i nawet nie wolno mi będzie narzekać, bo aukcja jest na cel dobroczynny. Co, nie chciałam, żeby kobiety miały schronisko? Uwielbiałam ten rower.

Musiałam też zmierzyć się z groźbą, że scena mojej przyjaznej pogawędki z oficerem Haddickiem mogła spłoszyć mojego brata. Musi wiedzieć, że za skarby świata nie wydałabym go z własnej woli. Ale ileż to razy Lowell powtarzał mi: „Nie umiesz nawet utrzymać języka za zębami”. Gdy miałam pięć lat, sześć, osiem, dziesięć – sto tysięcy razy? Nauczyłam się siedzieć cicho, ale Lowell nigdy tego nie zauważył.

Wróciłam do mieszkania z pustymi rękami, ze łzami w oczach i przemarznięta na kość. – Moje stopy już nigdy się nie rozgrzeją – powiedziałam Toddowi i Kimmy. – Palce odpadną jak nic. – Siedzieli przy kuchennym stole, energicznie grając w jakąś grę karcianą. Większość kart leżała na podłodze.

Przerwali grę na dość długo, by cmoknąć współczująco i zaraz zaczęli własną litanię narzekań – pełną wyrzutów listę osób, które wpadły, kiedy mnie nie było.

Najpierw przyszedł Ezra, pod jakimś durnym pretekstem, ale tak naprawdę w poszukiwaniu Harlow. Podczas wizyty zauważył uszkodzony czujnik przeciwpożarowy. Zrobił na ten temat cały wykład. Todd i ja nie tylko narażaliśmy na szwank własne życie, ale i bezpieczeństwo wszystkich innych osób w budynku. A kto był za nie odpowiedzialny, no kto? Na kim spoczywał obowiązek czuwania nad nim? Na pewno nie na mnie i nie na Toddzie, co do tego można mieć cholerną pewność. Nie, to sam Ezra był osobą, na której wszyscy polegali w tym względzie. Może nas to nie obchodziło, czy Ezra miałby zawieść pokładane w nim zaufanie, ale to się z całą pewnością nie wydarzy. Możemy się założyć o każde pieniądze.

Potem przylazł jakiś luzer, jakiś biały pozer w bejsbolówce daszkiem do tyłu; szukał Harlow i dał Toddowi tę niby pacynkę, którą Harlow kazała mu zwrócić. – Szpetota na kiju – powiedział Todd, prawdopodobnie myśląc o lalce. Po czym dodał, mając na myśli Harlow: – Czy to jest teraz jej biuro? Oficjalne miejsce urzędowania? Bo zaraz potem zjawiła się we własnej osobie. Wlazła, wzięła sobie piwo bez pytania, zaniósła lalkę do twojego pokoju i kazała ci powiedzieć, że jest z powrotem w walizce, tak jak ci obiecała.

– I że „żadnych szkód”. – dodała Kimmy. – Tak jak ci obiecała.

A potem kolejne pukanie do drzwi! Jakiś chudy, tleniony na blond koleś, może ze trzydzieści lat? Przedstawił się jako Travis. Szukał mnie, ale skoro mnie nie było, wyszedł razem z Harlow. – Owinęła go sobie wokół palca – podsumował Todd – Biedny, żalorny typ.

Fakt, że Harlow ledwo co upiła z piwa, które sobie przywłaszczyła, najwyraźniej rozjątrzył Todda najbardziej z wszystkiego. Nawet nie zapytała, a teraz trzeba je wylać do zlewu, jakby to był byle Bud Light czy coś takiego, a to przecież ostatnie Toddowe specjalne piwo zbożowe, Hefeweizen z mikrobrowaru Sudwerk. Nie dopił go sam, bo kto to wie, co Harlow robiła tymi swoimi ustami? – Tu był dworzec Grand Central dla wszelkiego *kisama* przez całutki wieczór – powiedział Todd. Wrócił do gry, ciskając na stół waleta trefl.

– Ty cholero! – rzekła Kimmy, zwracając się albo do Todda, albo do bezlitosnego waleta, choć przez krótki moment wydawało mi się, że mówi to do mnie.

Kimmy należała do tych osób, które czuły się skrępowane moim towarzystwem z powodów, które dla niej samej były niejasne. Nigdy nie patrzyła mi w twarz, ale może przy innych zachowywała się tak samo; może wychowano ją w przekonaniu, że to niegrzeczne. Todd opowiadał, że jego babcia – matka jego matki – nigdy nie patrzyła nikomu w oczy i nie pokazywała nikomu swoich stóp; chociaż wspomniał też, że była nieprawdopodobnie niegrzeczna wobec obsługi w sklepach i kelnerek, bardziej niż ktokolwiek, z kim miał do czynienia. Gdy Todd wydawał się tym zażenowany, przypominała mu: – Jesteśmy w Ameryce! Każdy klient to pan i władca.

Kimmy odchrząknęła i powiedziała: – Kazali ci powiedzieć, że jeśli wrócisz w ciągu następnej godziny – co ci się psim śwędem udało – powinnaś dołączyć do nich w naleśnikarni. Poszli tam na obiad.

Tak więc jedyne, co musiałam zrobić, to wyjść z domu, po raz kolejny powlec się do śródmieścia w gęstym, lodowatym deszczu i wtedy znajdę Lowella. Czułam się dziwnie rozgorączkowana: trochę w tym było ekscytacji, a trochę mdłości – jakby mnie ktoś upił na wesoło syropem z wymiotnicy. Znajdę Lowella.

Z Harlow.

Jak mogliśmy porozmawiać o czymkolwiek, jeśli Harlow tam będzie?

A szczerze mówiąc, czy rzeczywiście chciałam rozmawiać o czymkolwiek?

Miałam potrzebę działania. A z drugiej strony nie czułam się gotowa. Poszłam więc do swojego pokoju, wytarłam włosy, przebrałam się w suche ubrania, a następnie otworzyłam bladoniebieską walizkę, gdzie na stercie poskładanych ubrań, zadkiem do góry, leżała Madame Defarge. Wyjęłam ją. Pachniała papierosami i miała mokrą plamę na sukience. Jasne było, że balowała. Mimo tego nic się jej nie stało, włos jej nie spadł z głowy. Mogła wrócić do domu, jak tylko linie lotnicze ją odbiorą, nienaruszona, tak jak było obiecano.

Co dziwaczne, nagle poczułam żal, że ją utracę. Całe życie to przyloty i odloty. – Ledwie się znamy – powiedziałam jej – a już mnie opuszczasz. Jej oczy z doliny niesamowitości gapiły się w górę. Kłapnęła swą gadzią szczęką. Udrapowałam jej ramiona wokół mojej szyi, jakby jej też było smutno. Druty do robótek ręcznych tkwiące w jej dłoni kłuły mnie mocno w ucho, dopóki jej nie przesunęłam. – Proszę, nie odchodź – powiedziała do mnie. A może to ja powiedziałam. Na pewno któraś z nas.

\* \* \*

Przeciwieństwem solipsyzmu jest teoria umysłu. Głosi ona, że nawet jeśli nie da się tego bezpośrednio zaobserwować, spontanicznie przypisujemy stany emocjonalne innym (oraz samym sobie, bowiem podstawą tej teorii jest założenie, że rozumiemy własne stany emocjonalne w wystarczającym stopniu, by uczynić je podstawą generalizacji). Nieustannie więc dedukujemy na temat cudzych intencji, myśli, wiedzy, niewiedzy, wątpliwości, pragnień, przekonań, domysłów, obietnic, preferencji, celów i masy innych rzeczy, aby móc funkcjonować w świecie jako istoty społeczne.

Dzieci poniżej czwartego roku życia mają trudności z uporządkowaniem w logiczną sekwencję pomieszanej kolekcji obrazków. Są w stanie opisać, co każdy z nich przedstawia, ale nie radzą sobie z dostrzeganiem intencji czy celów postaci, która na nich występuje. Czyli kompletnie umyka im to, co łączy obrazki i nadaje im kolejność. Nie zauważają historii.

Małe dzieci mają wrodzony potencjał zachowań zgodnych z teorią umysłu, podobnie jak zdaniem Noama Chomsky'ego mają potencjał językowy, ale jeszcze

go nie rozwinęły. Starsze dzieci i dorośli bez trudności układają obrazki w sekwencję o spójnej narracji. Jako dziecko wielokrotnie przechodziłam ten test i nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek nie dała sobie z nim rady – choć skoro Piaget twierdzi, że w pewnym wieku nie mogłam, to w pewnym wieku nie mogłam.

W roku 1978, gdy Fern wciąż była bezpiecznie wpisana w naszą rodzinę, psycholodzy David Premack i Guy Woodruff opublikowali artykuł zatytułowany „Czy szympansy wykształciły teorię umysłu?”. Swoje badania oparli w większości na serii eksperymentów przeprowadzonych z udziałem czternastoletniej szympanscy Sarah; ich celem było zbadanie, czy była ona w stanie wywnioskować ludzkie intencje na podstawie obserwowanych sytuacji. Ich konkluzją było, że w pewnym zakresie była w stanie.

Późniejsze badania (czyli prace mojego ojca) poddały tę konkluzję w wątpliwość. Niewykluczone, że szympansy jedynie przewidywały zachowania na podstawie wcześniejszych doświadczeń, a nie wnioskowały na temat czyichś pragnień i intencji. Kolejne badania prowadzone na przestrzeni lat koncentrowały się głównie na udoskonaleniu metodologii zagładania w szympansie umysły.

W roku 2008 Joseph Call i Michael Tomasello postanowili ponownie przyjrzeć się różnorodnym badawczym spojrzeniom na tę kwestię i otrzymanym w ich wyniku rezultatom. Doszli do tej samej konkluzji co Premack i Woodruff trzydzieści lat wcześniej. Czy szympansy dzielają teorię umysłu? Odpowiedź badaczy brzmiała: zdecydowanie „tak”. Szympansy dostrzegają, że stany umysłu, takie jak poczucie celu czy wiedza, nakładają się na siebie i skutkują intencjonalnym działaniem. Rozumieją nawet oszustwo.

Szympansy nie są natomiast zdolne pojąć stanu błędnego przekonania. Ich teoria umysłu nie przewiduje możliwości podjęcia akcji na podstawie wierzeń niezgodnych z rzeczywistością. A szczerze mówiąc, któż niezdolny do zrozumienia tego, mógłby kiedykolwiek odnaleźć się w świecie ludzi?

\* \* \*

W wieku lat sześciu lub siedmiu mały człowiek rozwija teorię umysłu, zawierającą atrybucje stanów umysłowych drugiego rzędu. Od dawna już doskonale sobie radzą z podstawowymi, takimi jak: „Mama myśli, że poszłam spać”. Następnym krokiem jest nauczenie się, jak rozumieć (i wykorzystywać) dodatkową warstwę: „Tata nie wie, że mama myśli, że poszłam spać”.

Interakcje społeczne między dorosłymi wymagają ogromnego uwrażliwienia na atrybucje drugiego stopnia. Większość dorosłych posługuje się nimi be żadnego wysiłku i udziału świadomości. Według Premacka i Woodruffa typowy dorosły człowiek jest w stanie operować czterema różnymi poziomami atrybucji („ktoś wierzy, że ktoś inny wie, że kolejny ktoś myśli, że ktoś inny czuje się nieszczęśliwy”) zanim zaczynają czuć się niekomfortowo. Premack i Woodruff

klasyfikują zdolność do czteropoziomowych atrybucji jako „przeciętną”. Uzdolnieni dorośli są w stanie zanurzyć się na siedem poziomów, ale to wydaje się granicą ludzkich możliwości.

\* \* \*

Wyjście do Crepe Bistro na obiad z Harlow i moim bratem stanowiło niełatwe ćwiczenie z teorii umysłu. Czy Lowell powiedział Harlow, jak dawno się nie widzieliśmy? Do jakiego stopnia mogę wyglądać na podekscytowaną? Jakkolwiek miałam zaufanie do dyskrecji Lowella, nie podejrzewałam, by pokładał podobną wiarę w moją zdolność do niej. Oboje mieliśmy tajemnice, których drugie mogło nie postrzegać jako tajemnice. Musiałam więc wykombinować, co Lowell już opowiedział Harlow o naszej rodzinie, a on musiał wykombinować, jak wiele ja jej powiedziałam; oboje musieliśmy zgadnąć, o czym drugie woli nie wspominać, a komunikacja na ten temat musiała się odbyć szybko i na oczach Harlow, przy czym ona nie mogła się zorientować, co jest grane.

Pytanie testowe: ile poziomów atrybucji wyczytujecie w następującym zdaniu? Rosemary obawia się, że Lowell może nie odgadnąć, iż Rosemary naprawdę nie chce, by mówił Harlow o Fern, ponieważ Rosemary wierzy, że jeśli Harlow raz usłyszy o Fern, powie o niej wszystkim innym, którzy z kolei będą postrzegać Rosemary jako małpiatą, którą w gruncie rzeczy naprawdę jest.

Wszystko, czego pragnęłam, to być sam na sam z moim bratem. Miałam nadzieję, że teoria umysłu Harlow jest na tyle wyrafinowana, żeby to wyczuła. Byłam gotowa pomóc jej to wyczuć, jeśli okaże się to konieczne. Spodziewałam się też, że Lowell mi w tym pomoże.

Nałaziłam się tego wieczora tyle, że kiedy wreszcie dotarłam do restauracji, nogi bolały mnie od stóp aż do kolan. Od zimna pulsowały mi uszy. Wielką ulgą było wejść do małego wnętrza oświetlonego świecami, gdzie okna zamglone były od oddechów i pary. Lowell i Harlow siedzieli wygodnie przy narożnym stoliku, dzieląc fondue.

Lowell siedział plecami do wejścia, więc najpierw zobaczyłam Harlow. Jej twarz oblewał rumieniec, rozpuszczone, długie, ciemne włosy spływały w dół i zawijały się w loki wokół szyi. Miała na sobie sweter z dekoltem w łódkę, który zsuwał się z jednego ramienia, odsłaniając ramięczko stanika (beżowego). Patrzyłam, jak podnosi kawałek bagietki i ciska nim w stronę Lowella, z uśmiechem odsłaniającym jej śliczne zęby. W sekundę zmieniłam się w czterolatkę, pozostawioną samotnie na ziemi, podczas gdy Lowell i Fern ze śmiechem wspinali się na jabłoń. – Nigdy nie wybierasz mnie! – krzyczałam do Lowella. – Moja kolej nigdy nie nadchodzi!

Nie zauważyłam, żeby Harlow mnie dostrzegła. Pochyliła się w stronę Lowella, powiedziała coś do niego, a on się odwrócił. W barze w piątek wieczorem rozpoznałam go w jednej chwili, ale dziś wyglądał na starszego, bardziej zmęczonego i mniej podobnego do siebie. Nieodwracalnie stał się dorosłym i nastąpiło to z daleka ode mnie, więc nie mogłam patrzeć, jak się to dzieje. Mimo utlenionych włosów wyglądał jak nasz ojciec: podobnie jak ojciec miał późnowieczorny zarost na brodzie. – Oto i ona. Chodźże tu, młoda!

Wstał, objął mnie na moment, zrzucił z krzesła na podłogę kurtkę i plecak, żebym mogła usiąść. Wszystko odbyło się zwyczajnie, jakbyśmy się często widywali. Pojęłam przekaz.

Próbowałam pozbyć się wrażenia, że w czymś przeszkodziłam, jakbym to ja była intruzem.

– Zamykali już kuchnię, więc Travers zamówił ci obiad – powiedziała Harlow. Wyglądali, jakby mieli już na koncie co najmniej po parę szklaneczek wysmienitego firmowego cydru. Harlow była w znakomitym nastroju. – Już-już mieliśmy poddać się i zjeść to. Przyszłaś w samą porę!

Lowell zamówił dla mnie sałatkę i naleśniki cytrynowe. Prawie dokładnie to, co sama bym dla siebie zamówiła. Poczułam, że łzy napływają mi do oczu z tego powodu – że po tylu latach mój brat ciągle wie, co zamówić dla mnie na obiad. Jedyne, co zrobił nie tak, to papryka w sałatce. Zawsze wydłubywałam paprykę z maminego sosu do spaghetti. To Fern lubiła paprykę.

– Hej! – Lowell kiwał się na krześle, odchylając w tył na jego tylnych nogach. Obawiałam się, że jeśli spojrzę mu w twarz, nie będę już w stanie



odwrócić wzroku, więc nie zrobiłam tego. Spojrzałam na jego talerz, umazany roztopionym serem. Spojrzałam na jego pierś. Miał na sobie czarną koszulkę z długim rękawem, z barwnym krajobrazem i słowami Waimea Canyon poniżej. Spojrzałam na jego ręce. To były ręce mężczyzny, wyglądały na szorstkie; po wierzchu prawej dłoni biegła duża, wypukła blizna, od kostek palców aż do nadgarstka, gdzie znikwała pod mankietem. Mrugałam bez przerwy, wszystko, na co patrzyłam co jakiś czas stawało się nieostre. – Harlow mi powiedziała, że nie wiedziała nawet, że mam brata. Co jest grane?

Wzięłam oddech, starając się odzyskać równowagę. – Zostawiam cię na specjalne okazje. Jesteś moim najlepszym, *jedynym* rodzeństwem, zbyt dobrym do codziennego użytku.

Chciałam być równie beztroska jak Lowell, ale chyba nie szło mi z tym za dobrze, bo zaraz potem Harlow zauważyła, że trzęsę się tak bardzo, że aż szczękam zębami.

– Na dworze jest lodowato – powiedziałam, o wiele marudniej niż zamierzałam. – I musiałam latać po mieście w deszczu, szukając Madame Defarge – czułam, że Lowell patrzy na mnie. – Długa historia – powiedziałam.

Ale Harlow zaczęła mówić, zanim skończyłam. – Powinnaś była mnie zapytać! Wiedziałam, gdzie ona jest. – I do Lowella: – Rosemary i ja wyszłyśmy na miasto w piątek wieczorem na dziką imprezę marionetkową.

Obie zwracałyśmy się teraz wyłącznie do Lowella. – Harlow też nic mi nie powiedziała o swojej rodzinie – rzekłam. – Nie znamy się zbyt długo.

– Może to nie jest długa przyjaźń – zgodziła się Harlow – ale supergłęboka. Jak to mówią, nie wiesz nic o osobie, dopóki nie wylądujecie razem w więzieniu.

Lowell uśmiechnął się do mnie czule. – W więzieniu? Z tą Panną Idealną?

Harlow ujęła go za nadgarstek, więc natychmiast zwrócił się z powrotem w jej stronę. – Ma zapis o aresztowaniu w aktach policyjnych – tu rozsunęła jego dłonie na szerokość jakichś trzydziestu centymetrów. – Taaaki długi. Patrzyli sobie w oczy. Poczułam trzy uderzenia własnego serca – pik, pik, pik. Zaraz potem puściła go i posłała mi przelotny uśmiech.

Pomyślałam, że ten uśmiech to nieme pytanie – czy to jest okej? – ale nie miałam w tej kwestii pewności. Okej, żeby powiedzieć mu, jak nas aresztowano, czy okej trzymać go za ręce i gapić się w jego oczy? Próbowałam odpowiedzieć spojrzeniem mówiącym: nie, absolutnie nie, w obydwu sprawach – ale albo mnie nie zrozumiała, albo nawet w ogóle nie zamierzała pytać. Albo nie patrzyła już w moją stronę.

Zaczęła opowiadać mu o naszej pierwszej wycieczce za kratki. Do paki. Do pierdła.

Ale udało jej się nie wspomnieć ani słowem o Regu, więc czym prędzej dodałam ten detal. Wprowadzając postać dobrego Rega, nie Rega dupka.

Powiedziałam: – Jej chłopak zaraz przyszedł i wypuścili ją za kaucją.

Cwanie się z tego wykaraskała. W kilka chwil Reg okazał się osobnikiem nie tylko podłym, ale i niebezpiecznym, a ja awansowałam na postać tak niezwykle hojną, że pozwoliłam osobie, którą ledwo znałam, ukryć się w moim mieszkaniu. – Twoja siostra jest super – powiedziała do Lowella. – Pomyślałam sobie: oto osoba, którą warto poznać lepiej. Ktoś, na kogo pomoc chciałabym móc liczyć.

Potem przyszła kolej opowieści o zagubionej walizce i o odkryciu Madame Defarge, no i o wyprawie na miasto. Harlow opowiedziała większość, ale często zapraszała mnie, żebym coś dorzuciła.

– Opowiedz mu o myjni – powiedziała, więc odegrałam swoją rolę, podczas gdy Harlow odgrywała pantomimę prezentującą, jak łapiemy mydlane macki w ciemności, planując nasze śluby.

Nawet wspomniała o Tarzanie i moich teoriach względności – tyle tylko, że teraz wyglądało, jakby zgadzała się ze mną we wszystkim. Gdy wspomniała imię Tarzana, Lowell położył swoją rękę z blizną na moim rękawie i pozostawił ją tam. Miałam właśnie zdjąć płaszcz, ale nie zrobiłam tego. Ciężar jego dłoni spoczywającej na moim ramieniu wydawał się jedynym rodzajem uwagi, którą mi poświęcał; nie miałam zamiaru jej stracić.

Trzeba uczciwie przyznać, że wszystko, co Harlow opowiadała, każdy szczegół w każdej opowieści przedstawiał mnie w doskonałym świetle. To ja wpadałam na najlepsze – choć zwariowane – pomysły. To na mnie można było liczyć. To ja broniłam moich przyjaciół i własnych przekonań. Byłam zabawowa. Byłam fantastyczna.

Byłam kompletnym przeciwieństwem tego, co naprawdę miało tutaj miejsce.

Jestem przekonana, że Harlow chciała być miła. Jestem też przekonana, że wierzyła, iż życzyłabym sobie, aby przekonała mojego brata, że posiadam zalety, których tak naprawdę nie mam. Nie mogła nic z tym zrobić ani nawet wiedzieć, jak wyglądała, z twarzą i włosami ubarwionymi przez światło świecy na wszystkie możliwe kolory, z blaskiem płomienia odbitym w jej oczach. Lowell śmiał się, słuchając jej.

Najpierwotniejszym idiomem na ziemi jest język feromonów. Może nie wyczuwamy go tak bezpośrednio jak mrówki, ale i tak robi swoje. Przyszłam z przekonaniem, że pozbędziemy się Harlow tak szybko, jak tylko się da. A potem polał się cydr, historie zaplatały się jedna o drugą i wreszcie połykały własny ogon, jak na rysunku Eschera. I musiałam przemyśleć wszystko od nowa.

Wieczór skończył się na tym, że wszyscy troje wylądowaliśmy w moim mieszkaniu, Madame Defarge znowu została uwolniona i seksownie wymachiwała nogami odzianymi w buty na obcasach. Dotknęła Lowellowego policzka. Powiedziała mu, że jest bardzo fajny oraz bardzo przystojny. Lowell już praktycznie szybował do Ooh-lala-landu.

Lowell wyciągnął rękę ponad spódnicę Madame Defarge i prosto ku Harlow. Przez moment przytrzymał jej rękę, gładząc kciukiem dłoń. Przyciągnął ją bliżej. – Nie igraj ze mną, madame – powiedział głosem tak cichym, że ledwo mogłam go słyszeć. Madame Defarge natychmiast porzuciła paryski akcent dla południowego jak z Memphis. – Nie teraz, skarbie – odpowiedziała równie cicho. – Ale definitywnie planuję igraszki...

– Ech, te kukielki – powiedział do mnie Todd, niechętnym gestem wskazując Lowella. Do tej pory nie wykombinował, że Lowell jest moim bratem. Kiedy mu to zakomunikowałam, był tak zawstydzony, że pozwolił mi spać w swoim łóżku i poszedł nocować do Kimmy. Powiedział nawet, że mogę sobie pograć na jego nowiutkim Nintendo 64 – bo zaoferowanie czegoś takiego gwarantowało mu o wiele, wiele lepsze samopoczucie.

Przeprosiłam i poszłam do łazienki wydlubać soczewki kontaktowe z moich umęczonych oczu. Szczęka mnie bolała od wymuszonych uśmiechów. Gdzieś pomiędzy sałatką a naleśnikiem przestałam chcieć, by Harlow była moją przyjaciółką i zaczęłam myśleć, jak cudownie by było, gdybym nigdy jej nie spotkała. Było mi przykro, że takie mam odczucia – zazdrość, gniew – po tym jak powiedziała tyle miłych rzeczy na mój temat. Z drugiej strony byłam pewna, że nie lubiła mnie aż tak, jak wydawałoby się na podstawie jej opowieści.

Tak czy inaczej, nie miała pojęcia, jak długo nie widziałam się z Lowellem.

Ale on wiedział. Na niego byłam nawet bardziej wściekła. Porzucił mnie i zostawił z rodzicami i ich smutnym, milczącym domem, gdy miałam ledwie jedenaście lat. A teraz, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy od ponad dekady, ledwo na mnie spojrział. Miał tyle siły woli co przeciętny bonobo.

Pokój Todda pachniał pizzą – może dlatego, że w pudełku na jego biurku wciąż były dwa kawałki, wywinięte w górę jak języki w starych butach. Na biurku stała też lampa typu lava – w stylu retro, z kolorową cieczą w środku, nabrzmiwała i rozdzielała się na kulki, rozświetlając wnętrze lekko czerwonawym światłem. Na wypadek, gdybym nie mogła zasnąć, półki wypełniały niekończące się szeregi komiksów – ale nie przypuszczałam, by były mi w tym celu potrzebne. Reg dzwonił dwa razy, budząc mnie, i dwa razy musiałam mu mówić, że nie mam pojęcia, gdzie jest Harlow. Harlow musiała słyszeć dzwonek, wiedziała, że to Reg, wiedziała, że zmusza mnie do okłamywania go – co ostatecznie dało mi przyzwolenie, którego dotąd nie odczuwałam, by wściec się na nią tak bardzo, jak tylko chciałam.

Wiedziałam, że Reg wie, że kłamie, i że wie, że ja wiem, że on wie. Może zdaniem nauki najlepsi mogą radzić sobie z siedmioma poziomami aplikacji w teorii umysłu, ale ja twierdzę, że mogłabym je piętrzyć w nieskończoność.

\* \* \*

A potem, zupełnie jak za dawnych czasów, Lowell przyszedł w nocy i zabrał

mnie z sobą. Miał na sobie swój płaszcz i niósł plecak. Bez słowa potrząsnął mną, aż się wybudziłam, gestem ręki kazał iść za sobą i czekał w salonie, kiedy się zbierałam, wkładając te same wilgotne ubrania, bo wszystkie suche ciuchy były w moim pokoju, z Harlow. Przeszłam przez próg na zewnątrz w ślad za nim. W ciemnym korytarzu otoczył mnie ramieniem; czułam zapach mokrej wełny klap jego płaszcza. – Co powiesz na kawałek ciasta?

\* \* \*

Przez moment rozważałam, czy go nie odepchnąć i nie odpowiedzieć czymś okropnym, ale zbyt się bałam, że już odchodzi. Ostatecznie zdecydowałam dać krótką odpowiedź. Nadąsaną, ale mogłam temu zaprzeczyć. – Pewnie.

Rzecz jasna znał topografię Davis i wiedział, gdzie można dostać ciasto o tej porze, niemal nad ranem. Ulice były puste, deszcz przestał padać. Szliśmy od latarni do latarni, ścigając widmowy tuman mgły, w który nie dawało się wejść. Puste chodniki niosły echo naszych kroków. – Jak tam mama i tata? – zapytał Lowell.

– Przeprowadzili się. Do tego małego domu przy North Walnut. Dziwaczne, jak go odnowili – wygląda jak dom wzorcowy czy coś takiego. Nie ma w nim żadnych z naszych rzeczy.

Wbrew własnej woli i tylko tymczasowo, ale już zaczynałam mięknąć. Miło było podzielić się zmartwieniami i frustracjami związanymi z rodzicami z kimś, kto był w równym stopniu odpowiedzialny za doprowadzenie ich do żałosnego stanu. Uczciwie mówiąc, nawet bardziej odpowiedzialny niż ja. Miałam nadzieję, że to właśnie nastąpi, kiedy znów zobaczę Lowella, dokładnie ten moment, od którego nie będę już dłużej jedynym ich dzieckiem.

– Jak u ojca z piciem?

– Nie najgorzej. Chociaż teraz nie mieszkam tam, więc cóż mogę wiedzieć? Mama pracuje teraz dla Planned Parenthood. Myślę, że lubi tę pracę. Grywa w tenisa. I w brydża.

– No tak – powiedział Lowell.

– W nowym domu nie ma pianina. – Dałam mu moment, żeby oswoił się z tą niepokojącą wiadomością. Nie powiedziałam „mama przestała grać na pianinie, kiedy odszedłeś”. Samochód przejechał tuż obok, rozpryskując wodę z kałuży. Kruk, przysiadujący na ciepłej latarni jak na jajku, dogadywał nam z góry. Może po japońsku. „Ba! Ka! Ba! Ka!” Z całą pewnością obrzucano nas wyzwiskami – kwestia tylko, w jakim języku.

Zamiast o pianinie, powiedziałam Lowellowi o kuku.

– Kruki są bardzo inteligentne. Jeśli mówi, że jesteśmy idiotami, to jesteśmy idiotami – odpowiedział.

– Może chodzi mu tylko o ciebie – powiedziałam najbardziej neutralnym tonem, jakim można się posłużyć, jeśli potem ma się zamiar powiedzieć, że to był

tylko żart. Może i zmięklam, ale nie wybaczyłam.

„Ba! Ka! Ba! Ka!” Nigdy w życiu nie byłabym w stanie odróżnić tego konkretnego kruka od jakiegoś innego, ale Lowell powiedział, że kruki potrafią świetnie rozpoznawać i zapamiętywać ludzi. Jak na swój rozmiar, mają bardzo duże mózgi, proporcjonalnie podobnie jak szympansy.

Poczułam, jak puls urywa mi się na dźwięk słowa „szympansy,” ale Lowell nie powiedział nic więcej. Przeszliśmy obok domu na B Street, gdzie wszystkie drzewa były gęsto obwieszane balonikami. Nad drzwiami wejściowymi wisiał transparent, wciąż oświetlony lampami na ganku. *Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Margaret!* Fern i ja zawsze dostawaliśmy baloniki na urodziny, tyle że Fern zawsze trzeba było non stop pilnować, żeby żadnego nie pogryzła, nie połknęła gumy i nie udusiła się na śmierć.

Przeszliśmy obok Parku Centralnego. Nawet w ciemności widziałam, że zimowe błoto pozalewało trawniki; ziemia była śliska i czarna. Kiedyś zrobiłam dla Fern i dla mnie klapki-błotniki z papierowych talerzy i sznurówek. Fern nie chciała założyć swoich, ale ja przywiązałam moje do stóp, przekonana, że przejdę w nich po błocie jak w rakietach śnieżnych po śniegu. Jak to zawsze mawiał tata, człowiek uczy się tyle samo z porażki, co z sukcesu.

Choć nikt człowieka za to nie szanuje.

– Próbowałam przeczytać ostatni artykuł taty – powiedział w końcu Lowell. *Przyswajanie wiedzy w stochastycznej teorii uczenia się.* Przczytałem dwa akapity i ledwie mogłem nadążyć. Jakbym nigdy w życiu nie widział wcześniej tych słów. Może byłoby łatwiej, gdybym skończył studia.

– To by niewiele pomogło. – Opowiedziałam mu o Święcie Dziękczynienia i jak ojciec wkurzył babcię Donnę swoimi łańcuchami Markowa. Wspomniałam o Peterowych testach SAT i teoriach spiskowych wujka Boba, i już-już miałam wspomnieć, że mama dała mi swoje dzienniki, ale co by było, gdyby zechciał je zobaczyć? Nawet jemu nie chciałam mówić, że je zgubiłam.

Weszliśmy do Bakers Square, lokalu z cienkimi firankami w kratkę, plastikowymi podkładkami pod talerze i szafą grającą. Całkiem niezłe wewnątrz dla nas, oldskulowe – może trochę za jasno oświetlone, ale gdyby nie to, czulibyśmy się, jakbyśmy wchodzili w poprzednią dekadę i dalej, do czasów dzieciństwa. Szafa grająca była z jeszcze bardziej zamierzchłej epoki: Beach Boys and The Supremes. *Be True to Your School, Ain't No Mountain High Enough.* Muzyka naszych rodziców.

Byliśmy jedynymi klientami. Kelner o aparycji młodego Alberta Einsteina zjawił się natychmiast i przyjął zamówienie, dwie porcje ciasta z kremem bananowym. Przyniósł je, wygłaszając jakieś pogodne uwagi na temat aury, wskazując na okno, za którym znów lało: – Koniec suszy, koniec suszy! – po czym sobie poszedł.

Twarz brata siedzącego po drugiej stronie stołu coraz bardziej przypominała twarz ojca. Obaj byli chudzi i mieli w sobie jakiś głód, który Szekspirowi wydawał się tak niebezpieczny. Zapadnięte policzki, podbródki pokryte ciemnym zarostem. Już w Crepe Bistro, kiedy ujrzałam go po raz pierwszy, przyszło mi do głowy, że powinien się ogolić. Teraz wyglądał jak wilkołak, a ciemna broda ostro kontrastowała z utlenionymi włosami. Pomyślałam też, że wygląda na wykończonego – ale nie tak, jak wykończeni bywają ludzie, którzy nie spali całą noc, bo uprawiali seks. Wyglądał, jak wyglądają ludzie naprawdę wykończeni.

Nie wydawał się też, jak to zawsze było do tej pory, tak wiele starszy ode mnie. Zauważył, że mu się przyglądam. – Proszę, proszę. Panna studentka, daleko od domu. Jesteś tym zachwycona? Życie jest piękne?

– Nie mogę narzekać – odparłam.

– No co ty? – Lowell podniósł do ust nabity na widelec kawałek ciasta. – Nie bądź taka skromna! Założę się, że możesz narzekać całymi dniami!

Lowell i ja siedzieliśmy w Bakers Square przez całą resztę nocy. Padało, przestawało, znowu padało. Ja zjadłam jajka, Lowell racuszki, oboje wypiliśmy kawę. Pojawili się poranni klienci. Nasz kelner poszedł do domu, przyszło trzech innych. Lowell powiedział, że przeszedł na wegetarianizm, a nawet starał się trzymać wegańskiej diety, kiedy nie podróżował – a podróżował praktycznie cały czas.

Na wydziale weterynarii w Davis była sławna krowa fistulizowana, czyli krowa, której specjalnie zrobiono dziurę w boku, pozwalającą zajrzeć do jej żołądka i obserwować procesy trawienne. Była popularnym obiektem do odwiedzania na wycieczkach szkolnych, pewniakiem ma wszystkie majówki. Można było włożyć rękę do środka tej krowy, dotknąć jej wnętrza. Setki ludzi to robiły. Ale Lowell mówił, że w porównaniu z typową dojną krową i tak miała królewskie życie.

Lowell był przekonany, że w Davis było co najmniej kilka fistulizowanych krów. Wszystkie, każda jedna, miały na imię Maggie, żeby doprowadzić ludzi do błędnego przekonania, że jest tylko jedna taka krowa; w ten sposób unikano niewygodnych pytań o zbyt częste fistulizacje krów, powiedział mi.

Powiedział też, że zawsze zakładał, że pójdzie na studia i naprawdę żałuje, że go to ominęło. Przynajmniej masę czytał. Polecił mi *Animal Minds* Donalda Griffina. Może namówiłabym też tatę, żeby to przeczytał.

Mimo że nie zrozumiał ostatniego artykułu taty, Lowell miał sporo krytycznych uwag na temat jego pracy. Wydawało mu się, że studia nad psychologią gatunków innych niż ludzie były w przeważającej części niezręcznie prowadzone, zawile i wręcz dziwaczne. Niewiele się z nich dowiadaliśmy o zwierzętach, za to sporo o naukowcach, którzy je wymyślali i prowadzili. Taki na przykład Harry Harlow, którego znaliśmy jako dzieci – Lowell mówił, że zawsze dawał nam wszystkim landrynki cytrynowe.

Pamiętałam doktora Harlowa. Przyszedł na kolację do domu na farmie i usiadł między Fern a mną. Później tego wieczora czytał nam rozdział z *Kubusia Puchatka* i wygłaszał kwestie Maleństwa tak wysokim i lekkim głosem, że śmiałyśmy się za każdym razem, kiedy Maleństwo coś mówiło. Nie pamiętam dropsów cytrynowych, choć założę się, że Fern pamiętałaby ten detal. Przez moment przemknęło mi przez głowę, że gdyby ojciec naprawdę podziwiał Harry'ego Harlowa, nazwałby mnie na jego cześć. Mogłam mieć na imię Harlow, tak jak Harlow. To dopiero byłoby dziwaczne.

Ale nikt nie nadałby dziecku imienia na cześć Harry Harlowa. Ten facet zabierał nowo narodzone rezusy od matek i zamiast prawdziwych mam dawał im

nieruchome obiekty, zrobione albo z materiału frotté, albo z drutu, żeby zobaczyć, które małe małpki wybiorą wobec braku alternatywy. Prowokacyjnie twierdził, że jego badania dotyczą miłości.

Małpie niemowlęta przytulały się żałośnie do tych fałszywych, pozbawionych czułości matek, aż wszystkie powariowały albo umarły. – Nie wiem, czego jego zdaniem można się z tego o nich nauczyć – powiedział Lowell – ale w swym krótkim, smutnym żywocie te małpy z pewnością dowiedziały się cholernie dużo o nim. Powinniśmy wymyślić przeciwieństwo testu lustrzanego. Jakiś sposób, by identyfikować, które gatunki zwierząt są dość inteligentne, by zobaczyć siebie, patrząc na kogoś innego. Dodatkowe punkty za taką pozagatunkową empatię sięgającą jak najdalej. Podwójna ilość dodatkowych punktów za dojście aż do owadów.

Nasza nowa kelnerka, młoda Latynoska z krótką, gęstą grzywką kręciła się wokół nas przez chwilę; przybiegała, żeby poprzestawiać syropy, zabrać filiżanki do kawy, przesunąć rachunek w bardziej widoczne miejsce na stoliku. W końcu poddała się i odmaszerowała w poszukiwaniu klientów bardziej podatnych na sugestie.

Lowell przerwał na chwilę, gdy kelnerka do nas podeszła. Gdy poszła sobie, kontynuował bez mrugnięcia okiem. – No proszę, ile ja gadam – powiedział do mnie w pewnym momencie tego wieczora. – Dzisiaj zachowuję się bardziej jak ty niż jak ja. Zwykle wiodę cichy żywot. – Uśmiechnął się do mnie. Twarz mu się zmieniła, ale uśmiech pozostał taki sam.

– No więc jest jeden problem z tym, jak tata podchodzi do sprawy. – Mówiąc to, Lowell popukał w firmową podkładkę pod talerz Bakers Square, jakby ów problem leżał gdzieś w okolicy Jajecznicy Szefa Kuchni. – Leży w jego najbardziej fundamentalnych założeniach. Tata zawsze powtarzał, że jesteśmy zwierzętami, ale kiedy chodziło o Fern, nie wychodził z tej pozycji równości. Jego metody zmuszały Fern do wzięcia na siebie ciężaru udowadniania. Ojciec uważał za porażkę to, że Fern nie była w stanie do nas mówić – ale nie oceniał tak naszej nieumiejętności rozumienia jej. Gdyby wychodził od założenia podobieństwa, jego badania byłyby bardziej zdyscyplinowane pod względem naukowym. Byłoby to o wiele bardziej darwinowskie. I o wiele mniej nieuprzejme – mówił Lowell.

Po czym zapytał mnie: – Pamiętasz tę grę z czerwonymi i niebieskimi żetonami pokerowymi, w którą grywała Fern? Takie Samo/Inne?

Oczywiście, że pamiętałam.

– Tobie zawsze dawała czerwony żeton. Tylko tobie, nikomu innemu. Pamiętasz to?

W momencie, kiedy to powiedział, już pamiętałam. Wpadło mi to do głowy jak całkiem nowiutkie wspomnienie, ostrzejsze niż te starsze, wytarte już jak rzymskie monety. Leżałam na porysowanym parkiecie koło ojcowego fotela, Fern



przyszła i położyła się koło mnie. To było wtedy, gdy miałam złamany łokieć. Tata i doktoranci ciągle dyskutowani na temat jej zaskakującego śmiechu. Fern ciągle trzymała w ręku pokerowe żetony: czerwony na takie samo, niebieski na inne. Przekręciła się na plecy; widziałam każdy najmniejszy włos na jej podbródku. Pachniała potem. Podrapała palcami moją głowę. Wypadł mi włos. Zjadła go.

A potem, z wyrazem twarzy zdradzającym głębokie zastanowienie, dała mi czerwony żeton. Oglądałam teraz tę scenę na nowo wewnątrz własnej głowy: Fern patrzy na mnie tymi swoimi lśniącościami, zacienionymi oczami i kładzie mi na piersi czerwony żeton.

Wiem, co ojciec myślał o znaczeniu tego gestu. Jego zdaniem nie był do niczego przydatny. Innym razem dawała mi rodzynka za każdym razem, kiedy sama zjadła jednego, a teraz miała dwa żetony pokerowe i dała jeden mnie. Wszystko, co tata był tu w stanie dostrzec, to „dwa interesujące zachowania”.

Ja interpretowałam ten gest następująco: myślałam, że Fern mnie przeprosza. Ten czerwony żeton znaczył: jest mi przykro, kiedy tobie jest przykro. Jesteśmy takie same, ty i ja.

Fern, moja siostra. Mój jedyny na świecie czerwony żeton.

Pozostawione same sobie pod stołem, moje ręce spotkały się i ścisnęły jedna drugą, podczas gdy ja zmuszałam się do zadania wreszcie pytania, które powinnam była zadać natychmiast, kiedy tylko zostaliśmy sam na sam. – Co u Fern?

Z ust wyszedł mi tylko szept, i ledwo przestałam poruszać wargami, zaczęłam żałować, że w ogóle wprawiłam je w ruch. Tak bardzo bałam się, co mogę usłyszeć w odpowiedzi, że mówiłam dalej: – Zaczynaj od początku. Od nocy, kiedy odszedłeś – powiedziałam Lowellowi, mając nadzieję, że to odwlecze moment, kiedy usłyszę jakieś złe wieści.

\* \* \*

Ale wy pewnie chcielibyście raczej usłyszeć od razu o Fern? Streszczę się.

Miałam rację, myśląc, że gdy nas opuścił, Lowell pojechał do laboratorium doktora Uljevika. Wiedział, że ma tylko parę dni, zanim zaczniemy go szukać – i dotarcie na miejsce zajęło mu mniej więcej tyle. W Południowej Dakocie panowało przejmujące zimno, na krajobraz składały się ubity bezśnieżny kurz i bezlistne czarne drzewa, wiał suchy, gorzki wiatr.

Przyjechał po zmroku, wynajął pokój w motelu, bo nie wiedział, gdzie dokładnie znajduje się laboratorium i było za późno na poszukiwania. Poza tym po dwóch nocach w autobusie praktycznie zasypiał na stojąco. Kobieta w kantorku miała włosy jak z lat pięćdziesiątych i nieruchome spojrzenie. Obawiał się, że zapyta o jego wiek, ale ledwie miała dość energii, żeby przyjąć od niego pieniądze.

Następnego dnia odnalazł biuro Uljevika na uniwersytecie i przedstawił się sekretarce jako potencjalny student. Sekretarka była typową dziewczyną ze Środkowego Zachodu: przyjazna, z twarzą jak łopata, szeroką i otwartą, wielkiego

i uczynnego serca. Dokładnie ten gatunek kobiet, którym Lowell miał przynosić rozczarowanie. – Zupełnie jak pani Byard – powiedział mój brat. – Kumaszu, o czym mówię?

Pani Byard zmarła jakieś pięć lat temu, więc przynajmniej nie mógł powtórnie jej rozczarować. Nie powiedziałam tego na głos.

Powiedział sekretarce wydziału, że szczególnie interesuje się badaniami na szympanzach. Czy byłaby możliwość przyjrzenia się, jak te eksperymenty wyglądają? Powiedziała mu, w jakich godzinach urzęduje Uljevik; to już wiedział. Informacja o tym wisiała na drzwiach biura.

Ale potem sekretarka odeszła od biurka, żeby coś tam załatwić, dając mu pełny, nienadzorowany dostęp do skrzynki z pocztą służbową dla Uljevika. Pośród innych kopert znalazł w niej rachunek za prąd, dość wysoki, zaadresowany do jakiegoś miejsca przy wiejskiej drodze. To miejsce było sześć mil za miastem. Poszedł tam piechotą.

Na drodze prawie nie było ruchu. Dzień był słoneczny, choć okropnie zimny. Przyjemnie było się ruszać. Machał ramionami, żeby się rozgrzać i zastanawiał się, jak też poszedł mecz z Marion. Nawet gdyby był na boisku, to nie mogło się dobrze skończyć. W najlepszym wypadku mogli uniknąć kompletnej katastrofy. A bez niego? Co jest bardziej katastrofalne od katastrofy? Pomyślał, że może lepiej nie wracać do liceum, zamiast tego zdać test na GED<sup>[17]</sup> i od razu pójść na studia, gdzie nikt nigdy się nie dowie, że kiedyś grał w koszykówkę. I tak był za niski jak na wymagania drużyn akademickich.

W końcu dotarł do kompleksu budynków ogrodzonych siatką. Normalnie dla nastoletniego Lowella płot z siatki nie stanowił najmniejszego problemu; wyśmiewał takie płoty. Ten jednak przepleciony był kablem elektrycznym. To mówiło mu, że trafił we właściwe miejsce – ale także, że nie ma jak wejść do środka.

Podwórce było gęsto porośnięte bezlistnymi drzewami, ziemia naga, z wystającymi kamieniami i obrąbkami z pożółkłych chwastów. Z konara jednego z drzew zwisała huśtawka ze starej opony; była też siatka do wspinania się, podobna do tych z torów przeszkód na wojskowych poligonach. Najwyraźniej nie było nikogo. Po drugiej stronie drogi Lowell znalazł połówkę pnia, za którym mógł się schować przed zimnem i cudzym wzrokiem. Zwinął się w kłębek w środku i natychmiast zasnął.

Obudził się na dźwięk trzaśnięcia drzwi samochodu. Brama wjazdowa na teren kompleksu była otwarta. Za nią jakiś człowiek wyładowywał z tyłu zielonego kombi wielkie torby Puriny dla psów. Zapakował je na wózek, którym przejechał po gołej ziemi do budynku, wyglądającego jak garaż. Gdy tylko mężczyzna zniknął w środku, Lowell przebiegł przez drogę i wślizgnął się przez drzwi do głównego budynku. – Po prostu wszedłem do środka i po robocie – powiedział Lowell.

Znalazł się w ciemnym korytarzu ze schodami prowadzącymi w górę i także w dół. Słyszał szympansy. Musiały być w piwnicy.

Na klatce schodowej czuło się mocny odór, zapach amoniaku wymieszany z gównem. Był przełącznik do światła, ale Lowell go nie użył. Światło słońca wpadało przez rząd małych okienek tuż powyżej podłogi. To wystarczyło, by mógł dostrzec cztery ustawione rzędem klatki i co najmniej dwanaście ciemnych, przygarbionych sylwetek w środku.

– To, co zaszło dalej, było naprawdę okropne. Wiem, że nie lubisz rozmawiać o Fern. Czy jesteś pewna, że chcesz, żebym opowiadał dalej?

Chciał mnie w ten sposób ostrzec. Nie proponował mi, że przestanie mówić.

– Od razu rozpoznałem Fern – mówił dalej. – Nie dlatego, że mogłem ją rozpoznać w tym nikłym świetle, ale dlatego, że była najmłodsza i najmniejsza.

Była w jednej klatce z czterema dużymi dorosłymi szympansami. Nie uświadamiałem sobie do tej pory, jak bardzo szympansy różnią się od siebie wyglądem. Jej futro było bardziej rudawe niż u większości innych, a uszy miała osadzone wyżej, trochę jak u pluszowego misia. Wszystko bardzo jasne i logiczne, mimo że się zmieniała. Była bardziej zbita i przygarbiona, dawniej była taka pełna gracji. Ale niesamowite było, jak mnie rozpoznała. Jakby czuła, że nadchodzę. Tata powinien zrobić badania o prekognicji wśród szympansów.

Przechodziłem przez piwnicę w stronę klatek i nawet nie odwróciła się w moją stronę, a już widziałem, jak sztywnieje. Futro zaczęło jej się podnosić i zaczęła cichutko wydawać ten odgłos, *uu uu*, który zawsze sygnalizował, że jest zdenerwowana. A potem zakręciła się w miejscu i wskoczyła na kratę klatki. Szarpała prętami i kołysała się na nich w przód i w tył; teraz już patrzyła prosto na mnie. I wrzeszczała na mnie.

Podbiegłem w jej stronę; kiedy byłem dość blisko, wyciągnęła ręce przez kraty, złapała mnie za ramię i pociągnęła tak mocno, że walnąłem o pręty klatki. Uderzyłem się w głowę i trochę zaczęło mnie bujać. Moja ręka była wewnątrz klatki, Fern trzymała ją w ustach, ale jeszcze mnie nie ugryzła. Myślę, że nie mogła zdecydować, czy jest bardziej ucieszona, że mnie widzi, czy wściekła na mnie. Po raz pierwszy w życiu się jej bałem.

Próbowałem zabrać rękę, ale nie dała mi. Czułem zapach jej ekscytacji, trochę jak woń spalonych włosów. Dawno nie miała okazji wziąć kąpieli z pianą ani porządnie umyć zębów. Szczerze mówiąc, śmierdziało od niej.

Zacząłem do niej mówić; powiedziałem, że ją przepraszam, i że ją kocham. Ale nadal wrzeszczała, więc nie wiem, czy usłyszała. Ścisnęła moje palce tak mocno, że aż czerwone mroczki latały mi przed oczami; jedyne, co mogłem zrobić, to starać się nadal mówić spokojnie i cicho.

W tym momencie jej krzyki już zdrowo podenerwowały resztę małp. Podszedł inny szympans – wielki samiec, całkiem wyprostowany – i próbował

zabrać jej moją rękę, ale nie chciała jej puścić. Złapał więc moje drugie ramię i obydwójce zaczęli mnie ciągnąć każde w swoją stronę, odbijając mnie raz za razem o kraty. Uderzyłem się w nos, w czoło, w bok twarzy. Fern ciągle trzymała moją rękę, ale już nie w zębach. Odwróciła się i ugryzła samca w ramię, ze wszystkich sił. Ze wszystkich klatek rozległy się krzyki, odbijające się echem od betonowych ścian. To było jak kocioł pod sceną na koncercie. Bardzo niebezpieczny kocioł.

Ten wielki puścił moje ramię i wycofał się, z szeroko otwartymi ustami, odsłaniającymi kły – przysięgam, wyglądały jak zęby rekina. Stał prosto, ze zjeżonym futrem, tak jak ona. Próbował ją wystraszyć, ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Wolną ręką zaczęła mówić do mnie na migi. Moje imię, potem palce złożone w L, klepięcie się w pierś, a potem *dobra, dobra Fern. Fern jest grzeczna, proszę zabierz mnie do domu. Będę grzeczna, obiecuję, będę grzeczna.*

Wielki samiec rzucił się na nią z tyłu; Fern nie mogła jednocześnie bronić się i nie puszczać mojej ręki. Więc się nie broniła. Stopami zrobił długie, krwawe rany na jej plecach. Cały czas krzyczała, wszystkie szympansy krzyczały; czułem zapach krwi, furii i przerażenia, gryzącą, piżmowo-miedzianą woń potu i odchodów; w głowie mi się kręciło od zadanych mi ciosów. A ona wciąż nie puszczała.

W tym momencie zjawili się ludzie, dwaj mężczyźni; zbiegali po schodach, krzycząc do mnie, ale nie rozumiałem, co mówią. Nie wyglądali wystarczająco dojrzałe jak na profesorów; może byli doktorantami. Może tu sprząтали. Byli wielcy, jeden z nich niósł elektryczny oścień do bydła – pamiętam, że pomyślałem: jak to zrobić? Jak mogą porazić prądem, nie porażając przy tym mnie? I jak mogę zapobiec porażeniu Fern prądem?

Okazało się, że nie musieli nikogo razić prądem. Samiec zobaczył oścień i skamlając wycofał się na tyły klatki. Wszyscy ucichli. Mężczyźni pokazali oścień Fern, i wtedy wreszcie puściła.

Dostałem w twarz gównem. Przyleciało z innej klatki, wylądowało ze smrodem i zsunęło mi się po szyi za kołnierz koszuli. Powiedziano mi, żebym wypierdalał, zanim zawołają policję. Fern próbowała przecisnąć się przez kraty, cały czas na migi pokazując moje imię i swoje. *Dobra Fern. Dobra Fern.* Mężczyźni zaczęli się sprzeczać, czy uśpić ją zastrzykiem, czy nie. Dyskusja ustała, kiedy zobaczyli krew.

Jeden z nich wyszedł zadzwonić po weterynarza. Pociągnął mnie z sobą za zdrowe ramię. Był dużo większy ode mnie. – Zaraz dzwonię na policję – powiedział, potrząsając mną. – Myślisz, że to dobry dowcip, że taki jesteś zabawny, kiedy tak dręczysz zwierzęta zamknięte w klatce? Wypierdalaj stąd i nie waż się wracać!

Drugi mężczyzna został z Fern. Stał nad nią z elektrycznym ościeniem.

Wiedziałem, że ochrania ją przed innymi szympanсами, ale wiedziałem też, że ona postrzega to jako zagrożenie. Dalej mówiła na migi, ale coraz gorzej. Desperacko.

– Do tej pory ledwie jestem w stanie myśleć o tym – rzekł Lowell. – O tym, że po wszystkim, co się stało, nadal obroniła mnie przed tym samcem alfa. I jaką cenę za to zapłaciła. O tym, jaką minę miała, gdy zostawiłem ją tam i odszedłem.

Nie widziałem jej nigdy więcej.

## CZEŚĆ V

Nie umiem oczywiście dzisiaj odtworzyć ludzkimi słowami tego, co czułem wtedy jako mała, i dlatego to zniekształcam.

Franz Kafka, *Sprawozdanie dla Akademii*

Było jednak coś bardzo nie-tego-samego-innego między mną i Fern, coś tak okropnego, że Lowell nawet tego nie podejrzewał, dopóki nie pojechał do Południowej Dakoty. Coś, o czym ja nadal nie miałam pojęcia, dopóki mi tego nie powiedział, dziesięć lat później, przy śniadaniu w Bakers Square. Oto, co było Inne: Fern mogła zostać sprzedana jak krzesło, samochód albo telewizor. Przez cały czas gdy mieszkała z nami w domu na farmie, była, jak się okazało, własnością Indiana University.

Kiedy ojciec zdecydował zakończyć nasz rodzinny projekt, miał nadzieję kontynuować pracę z Fern w swoim laboratorium na jakichś innych, niesprecyzowanych jeszcze warunkach. Jednak jej utrzymanie zawsze było kosztowne i ludzie z uniwersytetu powiedzieli, że nie mają miejsca, gdzie mogliby bezpiecznie ją umieścić. Postanowili znaleźć sposób, by się wycofać. Fern została sprzedana do Południowej Dakoty pod warunkiem, że zabiorą ją tam od razu.

Ojciec nie miał żadnego wpływu na tę decyzję. Nie miał też prawa wysłać z nią Matta, ale zrobił to; Matt nie pełnił w Dakocie Południowej żadnej oficjalnej funkcji, ale został tak długo, jak mógł i odwiedzał Fern tak często, jak mu pozwalano. – Zrobili wszystko, co mogli – powiedział Lowell, który jest ostatnią osobą, która odpuściłaby komukolwiek w tej sprawie. Niemniej było mi trudno zrozumieć – szczerze mówiąc, do dziś mam z tym problem – jak to możliwe, że rodzice mają tak niewiele do powiedzenia w sprawie własnych córek.

– Ta wizyta nie dała mi nic oprócz bólu. Okazało się, że tata miał rację, mówiąc, żeby tam nie jechać. – Oczy Lowella były zaczerwienione ze zmęczenia, a teraz jeszcze tań je mocno, od czego zrobiły się bardziej czerwone. – Nie miał za to racji, mówiąc, że czuję się od tego lepiej.

– Wiesz, gdzie ona teraz jest? – zapytałam, na co Lowell odparł, że tak, że wciąż jest w Dakocie Południowej, w laboratorium Uljevika. Poza emocjonalnymi motywami dla Lowella dodatkowym powodem, żeby tam nie wracać było to, że FBI z pewnością już tam na niego czekało. Powrót był wykluczony. Ale był tam ktoś, kto miał oko na Fern. Lowell dostawał od tej osoby raporty. Na szczęście dla wszystkich mieszkańców jego klatek, pięć lat temu Uljevik przeszedł na emeryturę. – Nie był prawdziwym naukowcem; raczej czarnym charakterem – powiedział Lowell. – Takich naukowców powinno się trzymać w więzieniach dla niepoczytalnych.

– Niestety – ciągnął dalej Lowell – ciągle jest całe mnóstwo takich naukowców, i robią co im się żywnie podoba. Uljevik wytresował szympansy, żeby całowały go w rękę, kiedy przechodził przez klatki. Zmuszał Fern, żeby robiła to raz po raz. Facet, który tam pracował, powiedział mi, że zdaniem Uljevika to było

zabawne.

– Uljevik nienawidził Fern; nikt nie był w stanie zrozumieć, dlaczego. Kiedyś namówiłem pewnego bogatego faceta, żeby zainwestował w wykupienie jej i zaoferował dość dużą sumę schronisku dla szympanсів na Florydzie (już przepełnionemu, jak wszystkie inne podobne placówki), by zgodzili się przyjąć ją bez kolejki. Uljevik nie chciał jej sprzedać. Zaproponował temu człowiekowi innego szympansa, a facet pomyślał, że lepiej uratować jednego niż żadnego; zanim się zorientowałem, dobili targu. Okazało się, że to było szczęście w nieszczęściu – wprowadzanie nowego szympansa w już uformowane stado zawsze jest ryzykowne.

Natychmiast przemknęło mi przez głowę wspomnienie pierwszego dnia w przedszkolu, gdzie zjawiłam się z półrocznym opóźnieniem, dziwaczna i społecznie niedostosowana.

– Ten szympan, którego wysłali tam zamiast niej, został zaatakowany i pobity prawie na śmierć – powiedział Lowell.

\* \* \*

Mówił dalej:

– W 1989 roku miałem moment paniki, gdy Uljevik ogłosił, że sprzedaje niektóre szympansy do laboratorium medycznego, bo musi załatać dziurę we własnym budżecie. Sprzedał Umę, Petera, Joeya, Tata i Dao; z tej grupy tylko Uma została przy życiu.

Byłem przekonany, że Fern znajdzie się na tej liście, ale tak się nie stało, może dlatego, że była dobra do rozplodu. Mimo że dorastanie wśród nas popieprzyło ją seksualnie: nie jest w ogóle zainteresowana. Zaczęli ją zapładniać; nazywam to gwałtem bez siniaków.

Do tej pory urodziła trójkę dzieci. Jej pierworodny, chłopiec o imieniu Basil, został jej odebrany niemal natychmiast po urodzeniu przez starszą szympanaicę. Słyszałem, że to się zdarza nawet w najlepszych rodzinach. Fern było jednak dość smutno z tego powodu.

Potem znowu go zabrano: Uljevik sprzedał Basila i Sage, drugie dziecko Fern, do zoo miejskiego w St. Louis; tego większości najlepszych rodzin udaje się uniknąć. Jak widać, naszej nie. Powinnaś ich tam odwiedzić – powiedział Lowell. – Nie jest to raj, ale przynajmniej nie trafiły do laboratorium medycznego.

Mężczyzna przy sąsiednim stoliku instruował swoją towarzyszkę, żeby „w dupę sobie wsadziła te swoją idyllę”. Nie jestem pewna, czy podsłuchałam to dokładnie w tym momencie, ale zapamiętałam. To był taki bolesny obraz, kompletne przeciwieństwo tego, co robił Lowell. Dokładnie tego, co Lowell zawsze robił. Kiedy więc powiedział mi, że Fern zaczęło się lepiej układać, odkąd Uljevik przeszedł na emeryturę, wiedziałam, że to prawda. – Doktoranci uwielbiają Fern. Zawsze ją uwielbiali, prawda? – powiedział.



Lowell mówił, że Fern miała jeszcze jedno dziecko, dziewczynkę o imieniu Hazel. Hazel właśnie skończyła dwa lata i Fern uczy ją języka migowego. Prawdopodobnie tym razem pozwolą jej zatrzymać dziecko, bo opracowano eksperyment z ich udziałem. Pracownikom laboratorium zabroniono używać przy Hazel znaków migowych, co do których nie było pewności, że były już przez nią wcześniej użyte przy co najmniej czternastu okazjach potwierdzonych przez co najmniej czterech niezależnych świadków.

Fern знаła co najmniej dwieście znaków migowych, których użycie przez nią zostało udokumentowane; badacze notowali, ile z nich przekazała córce. Czy uczyła ją tylko znaków funkcjonalnych, czy również tych używanych w nieformalnej rozmowie?

– Hazel owinęła sobie cały personel laboratorium wokół palca – powiedział mi Lowell. – Już zaczęła wymyślać własne znaki. Liście nazywa „drzewnymi sukienkami”. Wanna to „duża zupa”. Szczwana bestia, szachistka jezuicka. Zupełnie jak jej mama.

\* \* \*

– Czy to robota Fern? – spytałam, wskazując bliznę na ręce Lowella; powiedział, że nie, że dostał ją na pamiątkę od wystraszonego myszołowa rdzawosternego. Ale nie doczekałam się historii o tym, bo Lowell nie skończył opowiadać o Fern.

Po włamaniu do budynku w Południowej Dakocie Lowell potrzebował pomocy medycznej. Prócz urazów poobijanej o pręty klatki twarzy miał dwa złamane palce i zwichnięty nadgarstek. Miejscowy lekarz przyszedł do prywatnego mieszkania, żeby się nim zająć – poza oficjalną praktyką, na czarno. Przenocował na miejscu i budził Lowella co jakiś czas, żeby sprawdzić, czy nie ma objawów wstrząsu mózgu. Wszystko to wydarzyło się dlatego, że najwyraźniej ktoś przyuważył Lowella wcześniej – w laboratorium, a może tego dnia na uniwersytecie, a może jeszcze w Bloomington – i był pod wrażeniem planu Wielkiej Szczurzej Ucieczki. Lowell nie zagłębiał się w szczegóły w tej kwestii. Ktokolwiek to był/a, nie akceptował/a sposobu, w jaki traktuje się laboratoryjne zwierzęta i podejrzewał/a, iż Lowell może podzielać opinię, że coś z tym trzeba zrobić.

– W tym momencie wiedziałem już, że nie będę w stanie uratować Fern w pojedynkę – mówił Lowell. – Byłem dumny i dziecinny, myśląc, że Fern i ja możemy po prostu wyjść ot, tak, jak Han i Chewbacca. Zrobić skok w hiperprzestrzeń.

– Kompletnie nie myślałem, to jasne. Chciałem tylko zobaczyć ją, sprawdzić, jak się miewa, pokazać, że nie zapomniałem, powiedzieć, że ją kocham.

– Teraz dostrzegłem, że potrzebny mi plan. Musiałem znaleźć miejsce, gdzie mógłbym ją zabrać, i ludzi, którzy pomogliby mi to zrobić. Zrozumiałem, że

w obliczu prawa będę sprawcą kradzieży – oraz że gównu mnie obchodzi, co mówi prawo. Dowiedziałem się o akcji planowanej wkrótce w Riverside w Kalifornii, i że jest wolne miejsce w samochodzie, który miał tam jechać. Powiedziałem, że chcę się przyłączyć. Zakładałem, że cokolwiek zrobię, będzie inwestycją w późniejsze uratowanie Fern.

Lowell odwrócił twarz ode mnie i spojrzał przez wielkie okna na ulicę, gdzie zaczynał się poranny ruch. Mgła oczeretowa znowu się podniosła. Przestało padać, wyszło słońce, ale świeciło blado i z wysiłkiem, więc samochody jeździły na włączonych światłach. Jakby całe miasto zapakowano w skarpetkę. W Bakers Square też zaczął się ruch, sztucce uderzały o porcelanowe talerze, szum rozmów unosił się w powietrzu. Pomrukiwała kasa, dzwonił dzwonek przy drzwiach. Z oczu leciały mi łzy, nie wiem nawet, jak długo.

Lowell sięgnął po moje ręce i ujął je we własne, szorstkie dłonie. Jego palce były cieplejsze niż moje. – Policja przyszła do laboratorium nazajutrz, pytając o mnie – słyszałem o tym. Wiem, że powiedziano im wszystko o mojej wizycie, więc mama i tata dowiedzą się, że tam byłem i że nic mi się nie stało. Ale nadal byłem zbyt wściekły, by wrócić do domu. Wypad do Riverside wyglądał na najlepszą metodę wydostania się z miasta bez wpadnięcia w ręce policji.

– Myślałem, że plan był przemyślany. Że to najlepsze, co można zrobić dla Fern. Ale byłem taki wściekły. Na was wszystkich. Bez przerwy widziałem jej twarz. Nie miałem zamiaru nigdy nie wrócić do domu. Zamierzałem tylko najpierw zaopiekować się Fern, znaleźć jej jakieś bezpieczne lokum, gdzie byłaby szczęśliwa. – Lekko potrząsnął moimi dłońmi. – Na jakiejś farmie.

Tu nastąpił jeden z tych dziwacznych momentów, gdy wszystkie hałasy w restauracji nagle cichną. Nikt nie mówił. Nikt nie stukał łyżeczką o brzeg filiżanki. Na zewnątrz nikt nie czekał, nie trąbił ani nie kaszlał. Fermata. Stopklatka.

Ciąg dalszy nastąpi.

Głos Lowella złamał się. – Byłem taki głupi – powiedział bezbarwnie. – Mogłem tam studiować. Może dostałbym pracę w laboratorium. Codziennie widywałbym Fern. Zamiast tego ładuję się w łapy FBI i nagle nie mogę nawet wrócić, ani tam, ani do domu. Ani studiować.

Nagle jakby uszło z niego powietrze. – Próbowałem ją uratować – powiedział mi. – Tyle lat próbuję, i co Fern z tego ma? Okazałem się żałośnie kiepskim bratem.

\* \* \*

Długie godziny po tym, jak zdesperowana kelnerka nam go podetknęła, zapłaciliśmy rachunek. Lowell wrzucił plecak na ramię i pomaszerowaliśmy razem przez zamgloną Second Street. Na ciemnej wełnie Lowellowego płaszczu zbierały się krople wody.

Pamiętam, jak któregoś dnia leżałam w łóżku z katarem. Lowell powiedział, że skoro nie mogę wyjść z domu, przyniesie mi śnieg do środka, i wyszedł przynieść mi płatki śniegu na grzbietach swoich skórzanych rękawic. Obiecywał doskonale, sześcioboczne kryształki, miniaturowe zamki królowej śniegu. Ale w momencie, kiedy włożyłam je pod mikroskop, były tylko pustymi koralikami wody.

To było przed zniknięciem Fern, ale w tym wspomnieniu jej nie było; zastanawiałam się dlaczego. Trudno było utrzymać Fern – to kręcące się, wirujące, koziółkujące *carpe diem* – z daleka od czegokolwiek. Może pracowała z doktorantami. Może była przy tym, ale wymazałam ją z pamięci. Może zbyt bolesne było pamiętać całą tę jej włochatą euforię.

– Odprowadź mnie na dworzec – poprosił Lowell.

Czyli wyjeżdżał. Nie został nawet dość długo, żebym mogła kompletnie przejść do porządku dziennego nad tym skandalicznym przespaniem się z Harlow. – Pomyślałam, że pójdziemy sobie położyć – powiedziałam, starając się nie biadolić. – Myślałam, że wyskoczymy na dzień do San Francisco. Nie przypuszczałam, że tak szybko wyjedziesz.

Tyle rzeczy uskładałam, żeby mu powiedzieć. Starannie przygotowałam serię wskazówek, mając nadzieję, że dostrzeże, iż nie wolno mu mnie znowu opuścić. Pełna jazda na poczuciu winy. Czekałam tylko, aż skończy monopolizować rozmowę.

Może wpadł na to. Lowellowi niewiele umykało, przynajmniej nie w sprawach, które dotyczą mnie. – Wybacz, Rosie, ale nie mogę zostać nigdzie dłużej, a już na pewno nie tutaj.

Kilkanaścioro studentów tłoczyło się pod drzwiami kawiarni Mishka's, czekając, aż ją otworzą. Przecieliśmy ich grupkę w poprzek – Lowell z plecakiem, ja tuż obok ze spuszczoną głową. Mishka's było bardzo popularnym miejscem w porze egzaminów końcowych, ale trzeba było się tam zjawić wcześniej, żeby załapać się na miejsce w głębi sali; stoliki z przodu były strefą wolną od nauki; nazywano to Zasadą.

Mgła przed kafejką pachniała kawą i muffinami. Spojrzałam w górę – i natrafiłam wzrokiem na Doris Levy z mojego akademika na pierwszym roku. Na szczęście nic nie wskazywało, że mnie rozpoznała. Nie zniósłabym, gdybym musiała z nią gadać.

Lowell zamilkł, dopóki nie mineliśmy studentów i nie odeszliśmy od nich o całą przecznicę. – Muszę zakładać, że FBI wie, że tu jesteś – powiedział, gdy byliśmy sami. – Zwłaszcza skoro masz taką wspaniałą kartotekę na policji. Dozorca w twoim domu mnie widział. Twój współlokator. Harlow. To za duże ryzyko. Poza tym muszę pojechać gdzie indziej.

Jak mi powiedział, planował kolejną akcję, coś długofalowego i tak tajnego,

że musi zniknąć na dobre. Co oznaczało, że nie będzie mógł monitorować raportów o Fern; teraz to ja je będę dostawać. Nieważne jak; dowiem się, gdy dostanę pierwszy. Wszystko zostało już zaaranżowane poza jedną rzeczą: musiał mi powiedzieć, że od teraz to ja mam się opiekować Fern.

To po to przyjechał.

Dotarliśmy na dworzec. Lowell kupował sobie bilet, podczas gdy ja siedziałam na tej samej ławce, na której kilka wieczorów wcześniej wypłakiwałam oczy, wyobrażając sobie ten dzień, kiedy zabrali Fern. Między jednym a drugim, od czasu wykładu doktora Sosy, płakałam tak często, że byłam pewna, iż wypłakałam wszystkie łzy – ale nadal płynęły. Przynajmniej byliśmy na dworcu. Lotniska i dworce to miejsca, gdzie wolno płakać. Raz poszłam na lotnisko wyłącznie w tym celu.

Weszliśmy na peron i przeszliśmy wzdłuż torów aż do miejsca, gdzie mogliśmy znowu być sami. Pomyślałam, że to ja wolałabym odjeżdżać. Z biletem dokądkolwiek. Czym mogło teraz być Davis, bez nieustającej nadziei, że przyjedzie Lowell? Po co tu w ogóle zostawać?

Obserwując, jak Ezra robi za gwiazdora w swoim własnym życiu, rozbawiona myślałam, że to przejaw próżności; teraz dostrzegłam użyteczność takiego podejścia. Jeśli tylko odgrywałabym rolę, mogłabym spojrzeć z dystansu, udawać, że tylko udaję, że czuję to, co czuję. Scena była jak z filmu, mimo mojego pochlipywania. Po mojej prawej i lewej stronie tory biegły i znikwały we mgle. Słysząc było gwizd nadjeżdżającego pociągu. Mogłabym odprowadzać brata jadącego na wojnę. W podróż do wielkiego miasta w poszukiwaniu szczęścia. Szukać naszego zaginionego ojca na złotonośnych polach.

Lowell otacza mnie ramieniem. Moja twarz zostawia wilgotny, zasmarkany ślad na welnie jego płaszczu. Z zatkanym nosem wzięłam wdech, próbując powąchać i zapamiętać ten zapach. Pachniał mokrym psem, ale to tylko zapach płaszczu. Kawą. Waniliowymi perfumami Harlow. Próbowałam dokopać się do zapachu pod tymi wszystkimi woniami, do zapachu Lowella – ale bezskutecznie. Dotknęłam jego szorstkiego policzka i przeczesalam palcami jego włosy, tak jak robiłam, gdy byłam mała, i jak Fern przeczesywała moje. Kiedyś na zajęciach wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć koka z warkoczyków na głowie kobiety, która siedziała przede mną. W ogóle o tym nie myślałam, poddając się przemożnej potrzebie dotknięcia jej misternie ułożonych włosów. Odwróciła się do mnie i powiedziała lodowatym głosem: – Moja głowa nie jest twoją własnością – na co wyjąkałam przeprosiny, przerażona tym, jak moja szympansia natura wciąż ze mnie wyłazi, kiedy nie uważam.

Usłyszeliśmy ostrzegawczy dzwonek na przejeździe kolejowym niedaleko nas; lokomotywa nadjeżdżała od północy. W szaleńczym pędzie segregowałam w głowie wszystkie rzeczy, które zamierzałam powiedzieć, szukając tej jednej,

najważniejszej. Dokonałam pospiesznego i niemądrego wyboru. – Wiem, że zawsze obwiniałeś mnie o Fern.

– Nie powinienem był. Miałaś pięć lat.

– Ale naprawdę nie pamiętam, co takiego zrobiłam. Nie pamiętam zupełnie nic związanego ze zniknięciem Fern.

– Poważnie? – zapytał Lowell. Przez moment milczał; widziałam, jak decyduje, ile powinien mi powiedzieć. To był zły znak – możliwe, że pewnych rzeczy nie powinien mówić. W sercu wyrosły mi kolce, kłujące z każdym jego uderzeniem.

Pociąg nadjechał. Konduktor wyciągnął drabinkę dla wysiadających pasażerów. Kilku wysiadło. Kilku wsiadło. Czas uciekał. Już szliśmy w stronę najbliższych drzwi. W końcu Lowell powiedział: – Zmusiłaś mamę i tatę, żeby wybrali. Albo ty, albo Fern. Zawsze byłaś takim zazdrosnym dzieciakiem.

Wrzucił plecak do wagonu, sam wdrapał się do środka, po czym odwrócił się, żeby spojrzeć na mnie. – Miałaś dopiero pięć lat – powtórzył. – Nie obwiniaj się o to.

Patrzył na mnie tak, jak patrzy się na osobę, której długo się nie zobaczy. *Z taką samą miną, jaką ona miała, gdy ją opuściłam.*

– Powiedz mamie i tacie, że ich kocham... Tak, żeby uwierzyli – to będzie najtrudniejsze.

Ciągle stał w drzwiach wagonu, z twarzą po części własną, a po części ojcową – ta zmęczona część była jak twarz naszego ojca. – I ciebie też, mała. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak za wami wszystkimi tęskniłem. Dobrze stare Bloomington... *When I dream about the moonlight on the Wabash...*

Teraz ja zatęskniłam za domem w Indianie.

Nadbiegła kobieta w średnim wieku, Azjatka, w dżinsach i butach na wysokim obcasie. Pokonała stopnie wagonu jednym skokiem, uderzając po drodze Lowella torebką. – Boże, strasznie przepraszam. Myślałam, że mi pociąg ucieknie. – Zniknęła we wnętrzu wagonu. Rozległ się gwizdek.

– Strasznie się cieszę, że masz przyjaciółkę – powiedział Lowell. – Harlow najwyraźniej bardzo na tobie zależy. – Tu nadszedł konduktor i odesłał go na jego miejsce w wagonie. To ostatnie jego słowa, jakie pamiętam: mojego starszego brata, mojej osobistej komety Hale'a-Boppa, pojawiającej się, by zaraz znowu zniknąć – że Harlow zależy na mnie.

Jak na tak krótką wizytę, wystarczająco od niego oberwałam. Miałam zamiar wpędzić go w poczucie winy moją samotną egzystencją, ale Harlow i jej durna przyjaźń unieważniły to – i ostatecznie to ja byłam tą, która się wstydziła. Zawsze wiedziałam, że winił mnie za Fern, ale nie słyszałam tego głośno od dziesięciu lat.

To, co powiedział, wymieszało się we mnie z jego odjazdem, brakiem snu i skutkami tego świerzbącego, wstrętnego narkotyku, który zażyłam. Każda z tych

rzeczy z osobna by mnie załatwiła; ich kombinacja była kompletnie przytłaczająca. Czułam smutek i przerażenie, wstyd i żal; byłam samotna i wyczerpana, napompowana kofeiną i poczuciem winy, w żałobie – i pełna jeszcze wielu innych uczuć. Pełna awaria systemu. Patrzyłam, jak mgła połyka pociąg i jedyne, co czułam, to zmęczenie.

– Kochasz Fern – powiedział ktoś do mnie. Okazało się, że to moja stara wymyślona przyjaciółka, Mary. Nie widziałam Mary równie długo, jak nie widziałam Fern; nic a nic się nie postarzała. Nie została długo. Przyniosła mi przesłanie – „kochasz Fern” – i zaraz zniknęła. Chciałam jej wierzyć. Ale Mary miała być wyłącznie po to, żeby upewniać mnie w sprawach, które dotyczyły Fern. Może tylko robiła, co do niej należy.

Nazywamy to „uczuciami”, bo je czujemy. Uczucia nie rodzą się w głowie, lecz powstają w naszych ciałach, jak zawsze przypominała matka, przywołując jako autorytet wielkiego materialistę Williama Jamesa. To był standardowy repertuar jej stylu rodzicielstwa: że nie możemy nic poradzić na to, co czujemy, ale możemy wybrać, co zrobimy. (Opowiedzenie o własnych uczuciach już było zrobieniem czegoś, zwłaszcza jeśli te uczucia były negatywne. Jako dziecko postrzegałam to jednak jako szarą strefę).

Przedzierałam się teraz przez własne wyczerpanie, wnikając w każdy oddech, każdy mięsień – i znalazłam niezłomną pewność, twardą jak kość. Kochałam Fern. Zawsze kochałam Fern. I zawsze będę ją kochać.

Stałam przy torach, zupełnie sama, i nagle załazy mnie obrazy. Z mojego własnego życia, tyle że z Fern, a nie bez niej. Fern w przedszkolu, robiącą indyka na podstawie obrysu własnej dłoni. Fern w szkolnej sali gimnastycznej, patrząca, jak Lowell gra w kosza i pohukująca za każdym razem, gdy zdobył punkt. Fern w akademiku pierwszego roku, narzekająca na naszych kompletnie, kompletnie szalonych rodziców w rozmowie z inną dziewczyną. Fern pokazująca znaki migowe, które wydawały nam się wtedy takie zabawne. Luzer. Cokolwiek.

W każdym z tych miejsc i w każdej z tych chwil tęskniłam za nią rozpaczliwie, i nawet nie wiedziałam o tym.

Jednak odkąd pamiętam, zawsze byłam o nią zazdrosna. Na nowo poczułam zazdrość piętnaście minut wcześniej, gdy dowiedziałam się, że wizyta Lowella miała więcej do czynienia z nią niż ze mną. Ale może siostry zwykle mają takie właśnie uczucia względem siebie nawzajem.

Chociaż oczywiście nie prowadzi to zazwyczaj do tego, że jedna siostra wymusza wygnanie drugiej. Czy faktycznie to zrobiłam? Historia z baśni urywa się w tym miejscu.

Postanowiłam nie myśleć o tym więcej, dopóki porządnie nie odpocznę. Za to pograżyłam się w rozmyślaniach na inny temat: jaka rodzina pozwala pięciolatce podejmować takie decyzje?



Lowell opowiadał, że w autobusie do Vermillon siedział przez kilka godzin obok „narzeczonej z katalogu”, dziewczyny ledwie rok starszej od niego, która dopiero co przyleciała z Filipin. Miała na imię Luva. Pokazała mu zdjęcie człowieka, którego miała poślubić. Lowellowi nie przychodziło do głowy nic dobrego na temat mężczyzny, który nawet nie pofatygował się na lotnisko, żeby ją tam spotkać, więc nic nie powiedział.

Inny człowiek w autobusie zapytał ją, czy była w biznesie – ani ona, ani Lowell nie wiedzieli, co miał na myśli. A wtedy człowiek pochylił się bliżej z fotela za nimi – miał rozbiegane oczy i źrenice jak spodki – i powiedział, że poziom ołowiu w mleku matki jest częścią większego spisku. Kobiety nie chcą już być uwiązane w domu, przy rodzinie. Jeśli ich mleko jest toksyczne, daje im to wymówkę, na którą tylko czekały. – Wszystkie chcą nosić spodnie – powiedział mężczyzna.

– Tyle się dzisiaj uczę o Ameryce! – powtarzała Luva; jej angielszczyzna była naznaczona nerwowym akcentem. (To zdanie stało się jego prywatnym hasłem: za każdym razem, gdy coś szło nie po jego myśli, mówił: Tyle się dzisiaj uczę o Ameryce!)

Powędrowałam z powrotem do mieszkania; zimny był to spacer. Duchy Fern i Lowella krążyły wokół mnie, wyłaniając się z mgły i znikając w niej ponownie: były w różnym wieku, w różnym nastroju. Poruszałam się wolno, by dać sobie czas na pozbieranie się po wizycie Lowella i jego odejście. No i, szczerze powiedziawszy, starałam się odwlec moment spotkania z Harlow.

Nie chciałam zawracać sobie głowy martwieniem się o Harlow. Nie powinna być ostatnią osobą, o której wspomniał Lowell przed odejściem. Powinna być ostatnią osobą, o której myślę. Ale kiedy dotrę do domu, będzie tam, będzie leżeć w moim łóżku i trzeba będzie coś z nią zrobić.

Nie chciałam myśleć, że Lowell jest jednym z tych facetów, którzy prześpią się z dziewczyną, a potem natychmiast ją porzuca. Lowell już tak miał, że odchodził bez pożegnania, nie było w tym nic osobistego. Harlow mogła dołączyć do klubu.

Na obronę Lowella mogę powiedzieć, że wydał mi się kompletnie szalony. Naprawdę szalony jak psychotyk, któremu skończyły się leki. Wiem, że nie dawałam tego wcześniej do zrozumienia. W mojej opowieści Lowell wygląda na bardziej przytomnego na umyśle, niż go w istocie postrzegałam. Zrobiłam to z miłości. Próbuję jednak być tutaj kompletnie uczciwa. Unikanie faktów nie pomoże nikomu, a już najmniej Lowellowi.

Niech mi więc wolno będzie spróbować od nowa. Przez cały czas, gdy



byliśmy z Harlow, Lowell wydawał się kompletnie normalny, bardzo przekonujący jako przedstawiciel handlowy w firmie farmaceutycznej – powiedział Harlow, że tym się zajmuje, i kto wie, może tak było naprawdę. Wszystko, co mnie zaniepokoiło, wydarzyło się potem, gdy byliśmy sami w Bakers Square.

To nie przebłyśki złości tak mnie przerażyły – odkąd pamiętam, zawsze był pełen gniewu: tupiąca nogami, wytykająca środkowy palec, ciemna burzowa chmura w kształcie chłopaka. Byłam przyzwyczajona do tego. Jego furia budziła we mnie nostalgię.

Tym razem to było coś, co wyglądało mniej zwariowanie, a jednak było szaleństwem. To coś było subtelne i łatwo było je zignorować; mogłam udawać, że nie widzę – co też bardzo, bardzo chciałam zrobić. Niemniej nawet po dziesięciu latach bez dopływu nowych danych, znałam Lowella. Czytałam mowę jego ciała tak samo, jak kiedyś rozumiałam język ciała Fern. Coś było nie tak w sposobie, w jaki poruszał oczami. Coś nie grało w sposobie, w jaki układał ramiona, zaciskał usta. Może nawet nie o szaleństwie powinno się tu mówić; to zbyt wewnętrzne. Może zasługuje raczej na miano traumy. Albo niestabilności emocjonalnej. Lowell wyglądał na niestabilnego w najbardziej dosłownym rozumieniu tego słowa, jak ktoś, kogo wytrącono z równowagi.

Musiałam więc po prostu wytłumaczyć to Harlow. Powiem jej, że Lowell nie jest chamem; jest tylko niestabilny. Kto jak kto, ale ona powinna to zrozumieć.

A potem wypchnę Harlow z głowy, żeby zrobić więcej miejsca dla Fern. Dość już łez i żalów. Lowell powiedział, że zajęcie się Fern to teraz moja robota. Czy nie było tak zawsze? Najwyższy czas robić, co do mnie należy.

Okresowe raporty były znakomite; ale nasza Fern nie mogła zostać w laboratoryjnej klatce. Lowell przez dziesięć lat próbował ją uwolnić. Zmagał się z przeróżnymi problemami: jak zabrać ją po cichu (teraz nie tylko ją, ale i Hazel), kogo poprosić o pomoc, wreszcie jak utrzymać ich miejsce pobytu w sekrecie, żeby nie zostały natychmiast rozpoznane i oddane z powrotem. W Stanach działa niewiele schronisk dla szympanсів i są przepelnione. Żadne z nich nie przyjęłoby pary zwierząt skradzionych z laboratorium, jeśli tylko personel zorientowałby się, że tak się sprawy mają.

Nawet gdyby nie musiała pozostawać w ukryciu, byłoby wielkim problemem znaleźć dla niej miejsce. Trudności finansowe były gigantyczne; niebezpieczeństwo wprowadzania dwóch nowych szympanсів – zwłaszcza gdy jeden to dziecko – do istniejącego stada stanowiło ogromne niebezpieczeństwo. Jakże ja miałam podołać zadaniu, które przerosło Lowella, o tyle mądrzejszego, bezwzględniejszego i z lepszymi znajomościami? I czy Fern rzeczywiście życzyła sobie, by na nowo wyrwać ją z miejsca, w które już wrosła, zabrać od ludzi i szympanсів, których już zna? Lowell mówił, że ma teraz oddanych przyjaciół wśród personelu laboratorium.

Podejrzewam, że pieniądze rozwiązałyby problem. Ogromna suma pieniędzy. Suma jak na produkcję filmową albo założenie fundacji. Suma, jakiej nawet dziesiątej części na oczy nie widziałam i pewnie nie zobaczę.

Tak wiele trudności, które początkowo wydawały się nieskończenie różnej natury, sprowadzało się do pieniędzy. Nie macie pojęcia, jak bardzo jestem tym dotknięta. Wartość pieniądza to oszustwo, popełniane przez tych, którzy mają pieniądze, na tych, którzy ich nie mają; to globalna zaraza Nowych Szat Cesarza. Gdyby szympansy używały pieniędzy, nie uznawalibyśmy tego za godne podziwu. Postrzegalibyśmy to jako irracjonalne i prymitywne. Kompletnie urojone. I dlaczego złoto? Walutą wymiany wśród szympanów jest mięso. Wartość mięsa jest zrozumiała sama przez się.

Dotarłam na moją ulicę. Przez budynkiem zaparkowane były trzy samochody, w jednym z nich paliło się wewnętrzne światełko. Widziałam kierowcę, wielki cień w oświetlonej kabinie. Mój pajęczy zmysł zadygotał. FBI. Byli tak blisko schwytania Lowella. Czułabym się tak okropnie, gdybym zdołała namówić go, żeby został.

Potem przyjrzałam się bliżej samochodowi. Starożytne volvo, białe kiedyś, dawno, dawno temu. Ze strzępem nalepki na zderzaku: ktoś postanowił ją przykleić, a potem się rozmyślił, zostawiając tylko V albo kawałek W. Zastukałam w okno po stronie pasażera, a kiedy drzwi się otworzyły, wślizgnęłam się do środka. Wewnątrz było cieplej, pachniało ohydnie, choć z miętową nutą; jak poranny chuch doprawiony miętusem. Światło było włączone, ponieważ kierowca czytał – wielką książkę, *Wstęp do biologii*. Jednocześnie nachodził swoją dziewczynę i uczył się do egzaminów końcowych. Pełny multitasking.

– Dzień dobry, Reg – powiedziałam.

– Czemu jesteś na nogach tak wcześnie?

– Poszłam z bratem na ciasto. – Cóż mogło zabrznieć równie niewinnie i cukierkowo-amerykańsko? – Co ty tutaj robisz?

– Tracę szacunek do samego siebie.

Poklepałam go po ramieniu i powiedziałam: – Znakomicie się spisałeś z utrzymaniem go aż do tej pory.

\* \* \*

Sytuacja była, rzecz jasna, niezręczna. Poprzedniej nocy powiedziałam Regowi przez telefon, że Harlow u mnie nie ma. To, że był tutaj, zaczajony pod domem, w oczywisty sposób wskazywało, że uważa mnie za kłamczuchę. Miło byłoby przez moment nacieszyć się tą obrazą, zatrzymać nad szaleństwem jego zazdrości, lecz wszystko to niweczył fakt, że Harlow mogła w każdej chwili wyjść przez frontowe drzwi.

– Jedź do domu – powiedziałam mu. – Ona może już tam jest i zastanawia się, gdzie się podziałeś. Spojrzał na mnie intensywnym wzrokiem, a potem

odwrócił oczy. – Rozstajemy się. A przynajmniej ja zamierzam z nią zerwać.

Wydałam z siebie nieznaczący dźwięk, krótki pomruk. Zrywał z nią, gdy po raz pierwszy zobaczyłam go na oczy, i przy większości okazji od tamtej pory. – Hathos – powiedziałam mu i zaraz podsunęłam definicję. – Przyjemność czerpana z nienawiści do kogoś lub czegoś.

– Dokładnie to. Chcę mieć normalną dziewczynę. Kogoś, przy kim można odpocząć. Znasz kogoś takiego?

– Zgłosiłabym się na ochotnika, gdybyś był bogaty – powiedziałam. – Na poważnie, obrzydliwie bogaty. Za ogromną sumę pieniędzy mogę być tą, przy której się odpoczywa.

– Jestem mile połączony, ale nie.

– To przestań marnować mój czas i jedź do domu – wysiadłam z samochodu i weszłam do budynku. Nie obejrzałam się, żeby zobaczyć, co robi, bo pomyślałam, że to wyglądałoby podejrzanie. Weszłam na górę po schodach.

Nie było śladu Ezry: było o wiele za wcześnie, by brał na swoje barki ciężar zarządzania budynkiem. Todd jeszcze nie wrócił. Drzwi mojej sypialni wciąż były zamknięte. Madame Defarge leżała na kanapie, z rozbrykanymi nogami zarzuconymi nad głowę. Zabrałam ją z sobą do sypialni Todda i zasnęłam z nią w ramionach. Miałam sen, w którym Reg i ja spieraliśmy się, co jest bardziej humanitarne, gilotyna czy krzesło elektryczne. Nie pamiętam, kto zajął jaką stronę. Pamiętam tylko, że jakkolwiek pozycję przyjął Reg, nie dawało się jej obronić.

W raporcie z mego śniadania z Lowellem pominęłam nie tylko jego niestabilność. Pominęłam też sporo z tego, co powiedział. Były to rzeczy zbyt okropne, by je powtarzać, i tak naprawdę już o nich wiecie. Pominęłam je, bo nie o nich chciałam słuchać – i wy także nie będziecie chcieli ich usłyszeć.

Ale Lowell powiedziałby, że musimy.

Opowiedział mi o eksperymentach prowadzonych tu, w Davis, które ciągnęły się przez dwadzieścia lat. O całych pokoleniach psów Beagle, które wystawiano na działanie izotopów strontu-90 i radu-226, usunawszy im wpierw struny głosowe, by nikt nie słyszał, jak cierpią. Opowiadał, że naukowcy zaangażowani w ten projekt żartobliwie nazywali się Klubem Beagle.

I o producentach samochodów, którzy w ramach testów kolizyjnych poddawali w pełni świadome i wystraszone pawiany niekończącym się seriom bolesnych i przerażających ciosów w głowę. O firmach farmaceutycznych, dokonujących wiwisekcji na psach i technikach laboratoryjnych, którzy wrzeszczeli na nie i kazali im się zamknąć, jeśli skamlały lub stawiały opór. O kompaniach kosmetycznych, które wcierały chemikalia w oczy wrzeszczących królików; jeśli doznawały permanentnych urazów, usypiano je, ale jeśli nie, zaczynało procedurę od początku. O rzeźniach, gdzie krowy były tak przerażone, że ich mięso zmieniało kolor. O bateriach klitek wypchanych kurczakami w industrialnych drobiarniach, gdzie – jak to od wielu lat powtarzał wujek Bob – hodowano ptaki, które ledwo mogły stać, a co dopiero chodzić. O tym, jak w przemyśle rozrywkowym wszystkie szympansy zaczynają jako dzieci, bo w wieku dojrzewania już za trudno jest je kontrolować. Te dzieci, które powinny ciągle przemieszczać się na plecach matek, zamykano w klatkach-izolatkach i bito kijem bejsbolowym, by potem, na planie filmowym, sam widok kija skłonił je do posłuszeństwa. W napisach można było wspomnieć, że *żadne zwierzęta nie ucierpiały w trakcie zdjęć do filmu* – bo całe to okrucieństwo miało miejsce, jeszcze zanim rozpoczęto zdjęcia.

– To niekończące się, niepojęte cierpienie jest paliwem, napędzającym cały świat – mówił Lowell. – Ludzie wiedzą o tym, ale tolerują to, na co nie muszą patrzeć. Wystarczy sprawić, żeby popatrzyli, zaczyna im to przeszkadzać – ale nienawidzą ciebie, osoby, która zmusiła ich, by zobaczyli.

Kiedy mówił o ludziach, mój brat zawsze mówił „oni”. Nigdy „my”, nigdy „nas”.

Kilka dni później przywołałam wszystkie te rzeczy w eseju na egzamin końcowy z zajęć „Religia i przemoc”. Spisywanie ich było swego rodzaju egzorcyzmem, próbą wywalenia ich z własnej głowy i wepchnięcia w inną. Skończyło się na wizycie w biurze doktora Sosy, gdzie na ścianie wisiał wielki,

kolorowy plakat przedstawiający fotografię Filarów Stworzenia wykonaną z Hubble'a. Na przeciwległej ścianie wisiał cytat: „Wszyscy chcą zmieniać świat, ale nikt nie chce zmienić siebie”. Biuro doktora Sosy z pewnością starało się inspirować.

Przypominam sobie, że było odświętne. Z półek biblioteczki zwisały girlandy lampek choinkowych; gdy przyszliśmy, poczęstował mnie cukierkiem w kształcie cukrowej laski i sam ssał takiego, gdy rozmawialiśmy. – Nie chcę cię oblać na tym egzaminie – powiedział, i natychmiast jasne było, że chodzi nam o to samo; ja też nie chciałam go oblać.

Rozparł się w fotelu za biurkiem, opierając stopy na stosie magazynów. Ręka spoczywająca na wydatnym brzuchu unosiła się i opadała, gdy oddychał. Druga ręka trzymała cukierek-laskę i wymachiwała nim od czasu do czasu. – Twoje poprzednie prace były bardzo dobre, a finalny esej... ma w sobie wiele pasji. Podniosłaś kilka bardzo istotnych kwestii. – Doktor Sosa nagle usiadł prosto i postawił stopy na podłodze. – Ale pewnie zdajesz sobie sprawę, że nie odpowiedziałaś poprawnie na pytania testowe, nawet w przybliżeniu? – Pochylił się lekko, zmuszając mnie do nawiązania przyjacielskiego kontaktu wzrokowego. Dokładnie wiedział, co robi.

I ja także. Czyż nie trenowałam na kolanach ojca? Dokładnie naśladowałam jego postawę, wytrzymałam jego spojrzenie. – Pisałam o przemocy – powiedziałam. – O współczuciu. O Innym. Wszystko to wydawało mi się istotne. Tomasz Morus mówi, że ludzie uczą się okrucieństwa wobec innych ludzi, zaczynając od okrucieństwa wobec zwierząt. – Wspomniałam o tym w eseju, więc doktor Sosa wziął Morusa na klatę. Ale kiedy się pochyliłam, choinkowe światełka wystrzeliły z obu stron jego głowy jak błyszczące, promienne rogi. Skutkiem tego moja strona argumentacji ucierpiała.

Trzymając się faktów – Tomasz Morus nie postulował rezygnacji z okrucieństwa wobec zwierząt; raczej wynajęcie kogoś, kto by się tym zajął za nas. Najważniejsze było dla niego, by mieszkańcy Utopii sami mieli czyste ręce; to mniej więcej to, co i myśmy zrobili – choć nie sądzę, by przysłużyło się to naszej delikatnej wrażliwości tak bardzo, jak Morus miał nadzieję. Nie sądzę, żeby to uczyniło nas lepszymi ludźmi. Lowell też tak uważa. I Fern.

Nie żebym ją kiedykolwiek zapytała. Nawet nie jestem już dłużej pewna, czy Fern w ogóle jeszcze myśli, i o czym.

Doktor Sosa przeczytał głośno pierwsze pytanie testowe. „Omów narodziny sekularyzmu jako metody ograniczenia przemocy.” „Kwestia dodatkowa: Czy zwierzęta mają duszę? Klasyczny problem religijny. Gigantyczne konsekwencje”.

Doktor Sosa nie zamierzał dać się zbić z tropu. „Wszelka przemoc rzekomo wynikająca z religii jest wypaczeniem prawdziwej religijności”. Omów na konkretnym przykładzie z judaizmu, chrześcijaństwa lub islamu”.

– Co jeśli w ujęciu pewnych ludzi nauka jest religią?

– Nie zgadzam się – doktor Sosa radośnie zasiadł głębiej w fotelu. – Gdy nauka staje się religią, przestaje być nauką. – Lampki choinkowe dodawały jego oczom świątecznego poblasku; jak wszyscy dobrzy profesorowie, ten człowiek uwielbiał dyskusję.

Zaoferował mi warunkowe zaliczenie, ponieważ byłam taka pilna przez cały semestr i przyszłam walczyć o swoje zdanie. Przyjęłam propozycję.

Moje wyniki przyszły zaraz po świętach. – Czy ty masz pojęcie, ile my płacimy za te twoje studia? – zapytał ojciec. – I jak ciężko pracujemy na te pieniądze? A ty sobie po prostu bimbasz.

Na co odparłam wyniośle, że nauczyłam się masy rzeczy. Historii, ekonomii, astronomii, filozofii. Czytałam wspaniałe książki i przychodziły mi do głowy nowe myśli. Z pewnością to był cel edukacji uniwersyteckiej. Powiedziałam, że problem z ludźmi (jakby chodziło o jedną osobę) tkwi w tym, iż wierzą, że wszystko da się zmierzyć w dolarach i centach.

Jeśli złożyć do kupy moje oceny i zachowanie, jak nic wylądowałam prosto na czarnej liście Świętego Mikołaja.

– Słów mi brak – powiedziała matka, co nie miało najmniejszego odzwierciedlenia w rzeczywistości.

Ale wybiegam za bardzo do przodu.

Wróćmy do Davis, gdzie pan Benson wyprowadził się spod 309, mieszkania dokładnie pod nami. Znałam go trochę: mężczyzna w nieokreślonym wieku, co zwykle oznacza po czterdziestce, który kiedyś opisał sam siebie jako jedyne grubasa w mieście Davis. Pracował w księgarni Avid Reader i często śpiewał *Dancing Queen* pod prysznicem na tyle głośno, że wszyscy na górze słyszeliśmy. Lubiłam pana Bensaona.

Przez ostatnie miesiące siedział w Grass Valley, opiekując się matką. Umarła dzień po Święcie Dziękczynienia – i musiał zostać po niej jakiś spadek, bo pan Benson złożył wymówienie, spłacił czynsz i wynajął firmę przeprowadzkową, żeby spakowała jego rzeczy. Sam nigdy nie wrócił. Wszystko to usłyszałam od Ezry, który powiedział także, że pan Benson okazał się większym brudasem, niż ktokolwiek mógł podejrzewać.

Podczas gdy pod 309 odbywało się malowanie, naprawianie i kładzenie nowej wykładziny dla nowego lokatora, Ezra pozwolił Harlow się tam wprowadzić. Przypuszczam, że właściciel budynku nic o tym nie wiedział. Ezra nie był szczęśliwy, że musiała przebywać wśród niegodziwców z trzeciego piętra, ale promieniał z radości, że mogła zamieszkać w budynku. Bez przerwy chodził pod 309, tam i z powrotem: tyle miał do zrobienia.

Harlow uciekała od zamieszania, braku mebli i prawdopodobnie od Ezry, spędzając znaczną część czasu w naszym mieszkaniu. Todd kręcił na to nosem, ale potem mu przeszło. Wkrótce się rozjedziemy na święta, a kiedy wrócimy, ktoś wprowadzi się tam naprawdę. Powiedziałam Toddowi, że ten ktoś prawdopodobnie będzie wolał mieszkanie bez Harlow w środku, ale Todd nie był tego taki pewien.

Podejrzewałam, że ostatecznie Harlow wróci do Rega. Nie widziałam Rega od czasu porannego spotkania w samochodzie, a Harlow prawie o nim nie wspominała. Nawet nie wiem, kto z kim zerwał.

Harlow siedziała na naszej kanapie, piła nasze piwo i gorączkowo mówiła o Lowellu. Ostrzegął ją, że nie wróci, ale mu nie wierzyła. Podobnie jak wszystko inne co powiedział, wkładała tę wypowiedź pod mikroskop obsesyjnego zadurzenia. Byłam jego siostrą. Oczywiście, że wróci, choćby żeby mnie zobaczyć.

Co miał na myśli, mówiąc, że czuł się przy niej nerwowo? A co, kiedy powiedział, że ma wrażenie, jakby znał ją od zawsze? Czy te dwie rzeczy nie są aby sprzeczne? Co ja o tym myślę?

Chciała wiedzieć o nim wszystko – jaki był jako dziecko, ile miał dziewczyn, ile z nich było na poważnie. Jaki był jego ulubiony zespół? Czy wierzył w Boga? Co najbardziej lubił?

Powiedziałam jej, że przepadał za Star Wars. I że grywał w pokera na pieniądze. Że trzymał w pokoju szczury, których większość nosiła imiona serów. Była oczarowana.

Powiedziałam jej, że przez całe liceum miał tylko jedną dziewczynę, mormonkę o szalonych oczach o imieniu Kitch. Że był rozgrywającym w szkolnej drużynie koszykówki, ale zawałił najważniejszy mecz. Że ze swoim najlepszym kumplem Marco podkradał Twizzlersy ze sklepu. Czułam się jak handlarz narkotykami: cokolwiek bym nie powiedziała, nie było dość. Traciłam cierpliwość. Miałam kilka esejów do napisania.

Ale co mi o niej mówił?

– Mówił, że ciesz się go, że się przyjaźnimy – powiedziałam jej. – I że jego zdaniem tobie naprawdę na mnie zależy.

– Bo tak jest! – twarz Harlow była promieniejącym balonikiem. – I co jeszcze?

Nic więcej nie było do opowiadania, ale taka odpowiedź była zbyt okrutna, żeby była właściwa. Równie okrutne byłoby pozwolić, by wciąż miała nadzieję. – Travers wyjechał – powiedziałam wprost w jej rozpromienioną twarz. Możliwe, że mówiłam w tym momencie w równym stopniu do siebie i do niej. Spędziłam połowę życia czekając na Lowella; teraz wszyscy musieliśmy nauczyć się żyć bez czekania na niego. – No więc jest tak: jest poszukiwany. Jak ci ludzie, których zdjęcia widzisz na poczcie pod nagłówkiem „poszukiwani”. Szuka go FBI jako terrorysty związanego z ALF, Frontem Wyzwolenia Zwierząt. Nawet nie możesz wspomnieć nikomu, że tu był, bo mogą go zaaresztować. Znowu. Serio.

– Nie widziałam go przez dziesięć lat, zanim zjawił się w ten weekend. Nie mam najmniejszego, kurwa, pojęcia, jaki jest jego ulubiony zespół. Nie ma nawet na imię Travers. Musisz naprawdę, naprawdę zapomnieć o nim. – Oto i ja, znowu nie jestem w stanie utrzymać języka za zębami.

A co może być bardziej jak z *Casablanki*? Nagle Harlow dostrzegła, że od zawsze chciała poznać faceta z zasadami. Człowieka czynu. Terrorystę. Każda dziewczyna o tym marzy, jeśli nie może mieć wampira.

\* \* \*

ALF nie ma zarządu ani kwatery głównej ani listy członków. Jest luźną federacją autonomicznych komórek. To doprowadza FBI do obłądu: jedno nazwisko prowadzi do góra dwóch innych, a potem trop się urywa. Zauważyli Lowella, bo za dużo gadał – typowy błąd nowicjusza, którego już nigdy więcej nie popełnił (ironią losu jest, że zawsze powtarzał, że to ja za dużo gadam).

Każdy może wstąpić w szeregi ALF. Każdy, kto angażuje się w działanie na rzecz wyzwolenia zwierząt, kto fizycznie interweniuje przeciwko ich wykorzystywaniu i maltretowaniu, automatycznie staje się członkiem organizacji, jeśli tylko działania tej osoby są w zgodzie z zasadami ALF. ALF nie dopuszcza do



sytuacji, gdzie jakimkolwiek zwierzęciu – ludzkiemu czy nie – dzieje się fizyczna krzywda.

Natomiast co do niszczenia własności – organizacja popiera i zachęca do niszczenia własności. Jasno wyartykułowanym celem jest zadawanie ekonomicznych ciosów tym, którzy czerpią zyski z cierpienia zwierząt. Podobnie jak konieczność informowania opinii publicznej o aktach znęcania się nad zwierzętami, wyciągania na światło dzienne horrorów rozgrywających się w sekretnych laboratoriach. To dlatego właśnie w wielu stanach rozważana jest możliwość wprowadzenia prawa uznającego fotografowanie tego, co dzieje się na przemysłowych fermach i w rzeźniach za przestępstwo. Zmuszanie ludzi, by patrzyli na to, co naprawdę się dzieje, za chwilę będzie poważnym złamaniem prawa.

Tak jak przeprowadzenie faktycznej akcji jest gwarancją członkostwa, nie można go otrzymać bez takiego zaangażowania. ALF nie ma członków-sympatyków. Nie wystarczy napisać, jakie to straszne, że zwierzęta cierpią i jak nam przykro z tego powodu. Trzeba coś zrobić.

W 2004 roku Jacques Derrida powiedział, że nadchodzi zmiana. Tortury ranią kata tak samo jak ofiarę. Nie jest zbiegiem okoliczności, że jeden ze sprawców torturowania w Abu Ghraib przyszedł do wojska prosto z pozycji pracownika „procesującego” kurczaki w rzeźni. Może to będzie się działo powoli, mówi Derrida, ale ostatecznie spektakl naszego okrucieństwa wobec zwierząt będzie nie do zaakceptowania dla naszego poczucia tożsamości jako ludzi.

ALF nie było zainteresowane żadnym „powoli”. Jak mogło być zainteresowane? Całe to cierpienie rozgrywa się teraz.

\* \* \*

Harlow się posypała. Twarz jej napuchła, oczy nabiegły czerwienią, usta się zacisnęły, skóra pobladła. Przestała przychodzić do naszego mieszkania, nie tknęła jedzenia w naszej lodówce przez dwa dni, co oznaczało, że przestała jeść. Ezra – z pasem narzędziowym kołyszającym się poniżej talii, zwołał naradę na czwartym piętrze – tylko on i ja – i zaraportował mi, że znalazł ją ostatnio leżącą twarzą w dół na świeżo położonej wykładzinie dywanowej w 309. – Może płakała – powiedział. Ezra był jednym z tych facetów, którzy są tak przerażeni widokiem kobiecych łez, że nawet nie muszą ich widzieć.

Winił za wszystko Rega. Mimo całego swego zaufania do palców, które jakoby trzymał na pulsie życia wewnątrz budynku, Ezra coś przegapił. – Musisz z nią porozmawiać – powiedział mi. – Wytłumaczyć jej, że każdy koniec to nowy początek. Powinna to usłyszeć od przyjaciółki. Ezra myślał, że Reg może być albo utajonym homoseksualistą, albo ofiarą molestowania jako dziecko. Czy Reg jest katolikiem? Jeśli nie, nic nie usprawiedliwia takiego okrucieństwa, a Harlow miała szczęście, że udało jej się uciec, zanim było za późno.

Ezra mówił, że powiedział Harlow, iż w chińskim ten sam znak oznacza drzwi otwarte i drzwi zamknięte. On sam znajdował w tym wielkie pocieszenie za każdym razem, gdy w jego własnym życiu było mu pod górkę. Nie mam pojęcia, gdzie na to natrafił, choć większość jego powiedzonek pochodziła z *Pulp Fiction*. Jestem prawie pewna, że to nieprawda.

Powiedziałam mu, że chiński znak oznaczający kobietę przedstawia mężczyznę na kolanach, i że nie jest dla mnie jasne, czy aby starożytne nauki Wschodu dostarczą Harlow lekarstwa na jej złamane serce. Nie poszłam z nią porozmawiać. Często się zastanawiałam, co by się stało, gdybym to zrobiła.

Ale wciąż byłam wściekła na nią. W moim odczuciu Harlow nie była uprawniona do takiego żalu i nie miała żadnego prawa do Lowella. Znała go może – jak długo, z piętnaście minut? Ja kochałam go od dwudziestu dwóch lat i przez większość tego czasu tęskniłam za nim. W moim wyobrażeniu to Harlow powinna opiekować się mną.

Zastanawiam się czasami, czy jestem jedyną osobą przez całe życie powtarzającą w kółko takie same błędy, czy też może to część ludzkiej natury. Czy wszyscy grawitujemy w stronę jednego, dręczącego grzechu?

Jeśli tak, moim grzechem jest zazdrość i bardzo mnie kusi, by uznać tę smutną konsekwencję za część mego charakteru. Ale ojciec, gdyby żył jeszcze, z pewnością by zaprotestował. Za kogo ja się uważałam? Za Hamleta? Współczesne badania z zakresu psychologii sugerują, że charakter odgrywa zaskakująco małą rolę w ludzkich zachowaniach. Jesteśmy za to ogromnie podatni na reagowanie na drobne zmiany okoliczności. Pod tym względem jesteśmy jak konie, tyle, że mniej utalentowani.

Osobiście nie jestem co do tego przekonana. Z biegiem lat doszłam do wniosku, że to, jak ludzie na nas reagują, ma mniej związku z naszym postępowaniem, a więcej z tym, kim są ci ludzie. Oczywiście jest mi na rękę tak myśleć. Wszyscy ci, którzy mi tak dokuczali w gimnazjum? Jacyż z nich musieli być nieszczęśliwi ludzie!

No więc wyniki badań nie potwierdzają mojej opinii. Ale zawsze będą nowe. Zmienimy zdanie i okaże się, że cały czas miałam rację, aż do czasu, gdy znowu zmienimy zdanie i ponownie będę w błędzie.

Dopóki to nie nastąpi, niech będzie, że tu ojciec miał rację i na tym poprzestańmy. Może moja zazdrość była tu mniej istotna niż fakt, że miałam egzaminy końcowe. Czułam się zobowiązana zaliczyć przynajmniej niektóre przedmioty. No i miałam napisać pracę semestralną. Nie powiedziałabym, że zostawiłam to na ostatnią chwilę, ale i tak niewiele czasu zostało do terminu złożenia prac. Temat naprawdę mnie wciągnął, co było dość zaskakujące, zważywszy, że profesor kazał nam go uzgodnić z asystentami kilka tygodni wcześniej, kiedy doprawdy nie mogłam przewidzieć, co mnie będzie interesować,

gdy przyjdzie do pisania. Mój temat brzmiał: „Teoretyczne nagromadzenie zła w *Utopii* Tomasza Morusa i jego przejawy w życiu i sytuacji politycznej jego czasów”. To było jedno z takich zagadnień, gdzie każda niemal myśl, jaka przychodziła mi do głowy, wydawała się adekwatna. Z mojego doświadczenia wynika, że tak jest z większością tematów.

No i te wszystkie telefony, które musiałam wykonać w sprawie walizki. Kobieta zajmująca się bagażami na lotnisku w Sacramento zaczęła do mnie mówić „kotusiu”, bo tyle czasu ze sobą spędzałyśmy.

Zepchnęłam więc Harlow na boczny tor, mimo że była ostatnią osobą, która powinna tam trafić. A potem nagle, dwadzieścia cztery godziny przed planowanym wylotem do Indianapolis, kiedy w najlepsze pakowałam rzeczy do torby pożyczonej od Todda podśpiewując *Joy to the World* i rozmyślałam nad tym, co powiedzieć, a czego nie mówić rodzicom odnośnie Lowella i czy aby nowy dom może być na podsłuchu tak samo jak – jak podejrzewaliśmy – był ten stary, co doprowadzało ojca do obłądzenia: to jakbyśmy byli szczurami laboratoryjnymi albo coś w tym stylu; to prawdopodobnie był powód, dlaczego się przeprowadzili. Myślałam też o tym, jak namówić ich na kupienie mi na Gwiazdkę nowego roweru, skoro poprzedni zgubiłam w narkotycznym amoku. Nagle, w środku tego wszystkiego, do drzwi podszedł policjant.

Tym razem to nie był oficer Arnie. Ten się nie przedstawił. Miał trójkątną twarz modliszki, szerokie usta, ostry podbródek, a jego głos wibrował od czystej i zajadłej złości. Dość uprzejmie poprosił, żebym poszła z nim, ale miałam przecucie, że się nie polubimy. Nie podał mi swego nazwiska: nie robiłam z tego problemu. Nie chciałam go znać.

Tym razem obyło się bez kajdanek. Nie zamknięto mnie w celi. Nie posłano mnie do biura na sporządzenie protokołu. Zostałam zupełnie sama w pokoju przesłuchań, praktycznie pustym; tylko dwa krzesła, obydwie niewygodne, z pomarańczowego plastiku, stolik pokryty linoleum. Drzwi zamknięte, żebym nie mogła wyjść. W pokoju było bardzo zimno; marzłam.

Nikt nie przychodził. Na stole stał dzbanek z wodą, ale nie było szklanki. Nic do czytania, nawet ulotki o bezpieczeństwie w ruchu drogowym, posługiwaniu się bronią czy tragicznych konsekwencjach używania narkotyków. Siedziałam i czekałam. Wstałam i spacerowałam. Kiedy jestem w jakimś wnętrzu, mam nieprzewyciężony nigdy nawyk patrzenia w górę, aby ocenić, jak wysoko mogłabym się wspiąć, jak wysoko mogły dostać się Fern albo Mary. W pokoju nie było okien, ściany były nagie. Żadna z nas nie wskórałaby tu wiele.

Nie przychodził nikt z elektrycznym ościeniem, a przynajmniej nie spodziewałam się tego – mimo to czułam, że próbują mi pokazać, gdzie moje miejsce. Co ciekawe, zauważyłam, że jestem kompletnie odporna na takie nauki. Nigdy nie wiedziałam, gdzie moje miejsce – co nie znaczy, że ktoś inny miał mi to mówić.

Po podłodze łąziła kulanka<sup>[18]</sup>, więc w końcu zaczęłam ją obserwować, bo gapienie się na nią zajmowało moją uwagę. Fern zwykła zjadać kulanki; mama próbowała ją tego oduczyć, ale tata mówił, że to nie zwyczajne owady, tylko rodzaj lądowych skorupiaków: oddychają skrzelami, ich krew zawiera miedź, a nie żelazo, i nikt, kto zwykł jadać krewetki, nie powinien kręcić nosem na kulanki. Nie jestem pewna, czy sama je jadłam, ale musiałam, bo pamiętam, że chrupały w ustach jak Cheerios.

Kulanka doszła do ściany, a potem wzdłuż niej, aż dotarła do kąta. To ani jej nie zdziwiło, ani nie zniechęciło. Minął poranek. Przekonałam się, jak ubogie są moje wewnętrzne zasoby.

Oficer, który przywiózł mnie tutaj, nareszcie znowu się pojawił. Przyniósł magnetofon i położył go na stole pomiędzy nami, wraz ze stertą papierów, teczek i notesów. Na szczycie tej sterty zobaczyłam stary wycinek z gazety; nagłówek głosił „Niezwykłe siostry z Bloomington”. Wygląda na to, że „New York Times” opublikował kiedyś artykuł o mnie i Fern. Nie miałam pojęcia.

Oficer usiadł i zaczął przerzucać papiery. Minęło kilka kolejnych, niekończących się minut. Dawno, dawno temu wypełniłabym całą tę ciszę słowami; widziałam, że dokładnie na to czekał. Grałismy w grę, w której postanowiłam wygrać; to nie ja odezwę się pierwsza. Dziadkowie Cooke'owie i moja dawna babysitterka Melissa byliby zadziwieni, gdyby mogli to widzieć.

Próbowałam wyobrazić sobie, że są w pokoju wraz ze mną i zachęcają mnie jak mogą. – Cicho bądź – mówili. – Przestań gadać, do diabła! Daj mi sekundę, bym mogła usłyszeć własne myśli!

Tu punkt dla mnie. Oficer się poddał i włączył magnetofon. Powiedział głośno datę i godzinę. Nakazał mi podać nazwisko. Zrobiłam to. Potem zapytał, czy wiem, dlaczego tu jestem.

Nie wiedziałam. – Jesteś siostrą Lowella Cooke’a – powiedział. To nie brzmiało jak pytanie, ale najwyraźniej nim było. – Proszę potwierdzić – powiedział głosem bez wyrazu.

– Tak.

– Kiedy widziałaś go po raz ostatni?

Pochyliłam się, by nawiązać kontakt wzrokowy, który tak skutecznie zastosował na mnie niedawno doktor Sosa. – Muszę iść do toalety – powiedziałam. – I chcę się zobaczyć z adwokatem. – Może byłam tylko młodą studentką, ale widziałam już ze dwa czy trzy seriale telewizyjne. Jeszcze się nie bałam, a przynajmniej nie o siebie. Pomyślałam, że musieli złapać Lowella i to było okropne, okropne – ale nie mogłam pozwolić na to, by ta okropność przeszkodziła mi w dopilnowaniu jednej rzeczy – a mianowicie, żebym nie powiedziała nic, co mogliby użyć przeciwko niemu.

– Po co ci adwokat? – oficer gniewnie zerwał się od stołu. – Niejesteś aresztowana. Chcemy tylko po przyjacielsku porozmawiać.

Wyłączył magnetofon. Przyszła jakaś kobieta o cienkich, zgryźliwych ustach i wylakierowanych, republikańskich włosach i zabrała mnie do łazienki. Stała pod kabiną, słuchając, jak sikam i spuszczam wodę. Kiedy odprowadziła mnie na miejsce, pokój znów był pusty. Ani śladu papierów czy czegokolwiek innego. Nawet dzbanek zniknął.

Mijały kolejne minuty. Wróciłam do mojej kulanki. Nie ruszała się i przestraszyłam się, że może być bardziej martwa niż zniechęcona. Zaczęłam czuć zapach środka owadobójczego. Opierałam się plecami o ścianę. Zsuwając się w dół, usiadłam i dotknęłam owada palcem – ku mojej uldze, zwinął się pod moim dotknięciem. Wyobraziłam sobie czarnego kota z białym pyszczkiem i brzuszkiem, zwinętego w kłębek z ogonem na nosie.

Słyszałam głos Lowella mówiący, że nie potrafię utrzymać języka za zębami. I że zmusiłam mamę i tatę do dokonania wyboru.

Ten kot był bardzo podobny do tego, którego ojciec przejechał samochodem, tyle że ten był senny. Usłyszałam, jak głos z głębi mojej głowy mówi: – Nie ten kot – odgryzając twardo każdą spółgłoskę. Nie ten kot.

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek słyszała ten głos w głowie tak wyraźnie. Nie brzmiała jak ja. Kim w takim razie była zarządzająca tym domem wariatów pomiędzy moimi uszami? Co robiła, gdy nie była zajęta mówieniem do mnie? Co

knęła, dokąd zwozдила? – Słucham – powiedziałam jej – ale nie na głos, na wypadek, gdyby mnie obserwowano. Nie odpowiedziała.

Bardzo niewiele z zewnętrznych hałasów docierało do pokoju przesłuchań. Oświetlenie było równie nieprzyjemne jak za pierwszą wizytą – rozbryzgane wszędzie światło fluorescencyjnej świetlówki. Wykorzystywałam dany mi czas, by zaplanować, co powiem następnej osobie, która wejdzie do środka. Poproszę o kurtkę i o coś do jedzenia. Nie zjadłam rano śniadania. Poproszę, żeby dali mi zadzwonić do rodziców. Biedni mama i tata. Cała trójka ich dzieci jednocześnie pod kluczem; to naprawdę straszny pech.

Ponownie poproszę o adwokata – może na to wszyscy czekaliśmy, na przybycie mego prawnika, choć nikt nie sugerował, że go dostanę. Zobaczyłam, jak kulanka powoli się rozwija.

Kobieta, która była ze mną w łazience wróciła. Przyniosła papierowy talerz z kanapką z tuńczykiem i trochę chipsów ziemniaczanych. Kanapka była tak spłaszczona, jakby ją ktoś sprasował między stronami książki jak listek na pamiątkę. Chipsy były zielone na brzegach, ale to mogło być tylko światło.

Zapytała, czy potrzebuję znów iść do łazienki; nie potrzebowałam, ale skorzystanie z niej, kiedy mam okazję, wydawało się rozsądne. Zawsze coś, czym można się zająć. Wróciłam i zjadłam trochę kanapki. Moje ręce pachniały tuńczykiem – nie lubiłam czuć na nich tego zapachu. Pachniały jak żarcie dla kotów.

Zadałam głosowi w mojej głowie inne pytanie: czy to był TEN kot? Zobaczyłam w pamięci bezdomną kotkę z oczami koloru księżycy, która często pojawiała się na farmie, kiedy byłam mała. W zimie mama wystawiała dla niej jedzenie i kilkakrotnie próbowała ją złapać i wysterylizować, ale kotka była zbyt cwana, a mama miała za dużo do roboty. Od czasu, kiedy mama przeczytała nam *Million of Cats*<sup>[19]</sup>, książeczkę opatrzoną jakże uwodzicielskimi ilustracjami, chciałam mieć kota bardziej niż cokolwiek na świecie. Nigdy nie wzięliśmy kota, bo obawialiśmy się o wszystkie szczury, których bez przerwy było pełno w domu. – Koty to mordercy – powiedział ojciec. – To jedne z niewielu zwierząt, które zabijają dla czystej zabawy. Bawią się swoim jedzeniem.

Zaczęłam się irytować. Koty stroszą się, kiedy są przestraszone, żeby wyglądać na większe. To samo robią szympany, i z tego samego powodu. Ludzką wersją reakcji pilomotorycznej jest gęsia skórka; teraz jej dostałam.

Zobaczyłam ilustrację z *Million of Cats*, przedstawiającą ostatniego kotka, którego para starszuchów postanawia zatrzymać. Zobaczyłam Fern, siedzącą w wielkim fotelu razem z mamą; dotykała strony książeczki, rozkładała i zawijała palce, jakby chciała podnieść to, co przedstawiał obrazek. – Fern chce mieć kotka – powiedziałam mamie.

Księżycooka przybłąda urodziła kocięta, trójkę. Znalazłam je pewnego

popołudnia, gdy ssały matkę, leżąc na porośniętym mchem kamiennym stopniu nad strumieniem. Przyciskały malutkie łapki do matczynego brzucha, wyciskając mleko, które spływało im do pyszczków. Dwa kocięta były czarne i dokładnie takie same. Kotka podniosła głowę, by spojrzeć na nas, ale nie ruszyła się z miejsca. Rzadko pozwalała mi do siebie podejść tak blisko. Macierzyństwo ją uspokoiło.

Kociaki nie były noworodkami. Były dość duże, by samodzielnie biegać dookoła, u szczytu swej słodkiej, kociakowej piękności. Pragnienie posiadania kotka całkowicie mną zawładnęło. Wiedziałam, że powinnam zostawić je w spokoju, ale złapałam Tego Innego, małego i szarego, i odciągnęłam go od sutka, przewracając na grzbiet, by sprawdzić, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Głośno protestował. Mogłam zajrzeć w jego różowe gardło, głęboko za zębami i językiem. Pachniał mlekiem. Wszystko miał maleńkie i perfekcyjne. Jego matka chciała go z powrotem, ale ja chciałam go zatrzymać. Pomyślałam, że gdybym znalazła go samego, bez mamy, sierotkę bez żadnej opieki, musielibyśmy go zatrzymać.

Tymczasem w pokoju przesłuchań trzęsły mną silne dreszcze.

– Naprawdę bardzo tu zimno – powiedziałam głośno na wypadek, gdyby ktoś mnie obserwował. Nie chciałam, żeby myśleli, że mięknę od ich taktyki. Nie miałam zamiaru dawać im tej satysfakcji. – Czy mogę prosić o moją kurtkę?

Trzęsłam się nie dlatego, że spędziłam całe godziny w zimnym, pustym pokoju. I nie dlatego, że policjant, który przywiózł mnie tutaj, miał energię w rodzaju tej, którą emanował Keyser Söze<sup>[20]</sup>; ani dlatego, że wiedział o mnie i Fern; ani dlatego, że Lowell został aresztowany. Nie trzęsłam się na skutek niczego, co działo się teraz lub miało nastąpić potem. Byłam kompletnie pogrążona w niemającym nic wspólnego ze wspomnieniami, ogromnie wątpliwym fantastycznym świecie przeszłości.

Zygmunt Freud sugerował, że nie mamy żadnych wspomnień z wczesnego dzieciństwa. Zamiast nich przechowujemy fałszywe wspomnienia, ukształtowane później i bardziej zgodne z późniejszą perspektywą niż z faktami. Czasami w momentach wielkiej emocjonalnej intensywności jedna reprezentacja, równie mocna jak oryginalne uczucie, zastępuje inną, która zostaje odrzucona i zapomniana. Ta nowa reprezentacja nazywana jest wspomnieniem przesłonowym. Wspomnienie przesłonowe to kompromis pomiędzy przywołaniem bolesnego wydarzenia a obroną przeciwko pamiętaniu, co naprawdę zaszło.

Ojciec zawsze mówił, że z Freuda był genialny facet, ale żaden naukowiec, i że pomieszanie tych dwóch pojęć spowodowało nieobliczalne szkody. Kiedy więc mówię, że wspomnienie, które noszę w sobie, dotyczy czegoś, co nigdy się nie wydarzyło, jest ekranowaniem, przyznaję to z wielkim smutkiem. Wydaje się niepotrzebnie okrutne wobec ojca. Jakby przekonanie, że mogłby zabić kota bez żadnego powodu, nie było dość ciężkim oskarżeniem, dodaje do tego jeszcze garb freudowskiej psychoanalizy.

Zapewne pamiętacie, że w tych dniach, kiedy Fern zniknęła, a ja miałam pięć lat, odesłano mnie do Indianapolis, do dziadków. Opowiedziałam wam, co tam się zdarzyło. I o tym, co się stało potem.

Oto co, jak sądzę, wydarzyło się przedtem. Jedna przestroga: to wspomnienie jest nie mniej intensywne niż to, które zostało przezeń wyparte.



Fern i ja nad strumieniem. Ona stała na gałęzi drzewa nade mną, bujając się na niej. Była ubrana w kraciastą szkocką spódniczkę, jedną z tych, które trzeba spinać z przodu wielką agrafką. Fern nie miała agrafki, więc spódnica falowała jak skrzydła wokół jej nóg. Nie miała na sobie nic więcej. Zrobiła postępy w korzystaniu z toalety i od miesiący nie musiała już nosić pieluch.

Gdy bujała się w dół, mogłam niekiedy podskoczyć i dotknąć jej stóp. To była taka gra – ona przyginała gałąź, ja podskakiwałam. Jeśli udało mi się dosięgnąć jej stóp, wygrywałam. Jeśli nie, wygrywała Fern. Nie liczyliśmy punktów, ale obie byłyśmy dość zadowolone, więc musiał być remis.

Ona jednak znudziła się grą i wspięła gdzieś, gdzie nie mogłam jej dosięgnąć. Nie chciała zejść, śmiała się tylko i zrzucała na mnie listki i patyczki, więc powiedziałam jej, że nic mnie to nie obchodzi. Poszłam nad strumień zdecydowanym krokiem, jakbym miała tam interes do załatwienia – mimo że nie był to już sezon na kijanki, a za wcześnie było na ważki. Na kamiennym stopniu znalazłam kocicę z małymi.

Wzięłam szarego kotka i nie oddałam go nawet, kiedy matka zaczęła za nim płakać. Zabrałam go do Fern. To była forma przechwalania się. Wiedziałam, jak bardzo Fern chciała mieć kotka, ale to ja byłam w jego posiadaniu.

Zbiegła na dół tak szybko, jak mogła. Dała mi znać na migi, żebym dała jej kotka; odpowiedziałam, że jest mój, ale dam jej go potrzymać. Księżycooka kotka łatwo się płoszyła przy mnie, ale do Fern nawet by się nie zbliżyła. Za żadne skarby, nawet zanurzona w hormonalnej zupie macierzyństwa, nie pozwoliłaby jej wziąć kociaka. Jedyne sposoby, w jaki Fern mogła kiedykolwiek dotknąć tego małego szarego zwierzątko, to dostać go ode mnie.

Kociak ciągle miauczał. Przyszła jego matka; z daleka słyszałam, jak dwa czarne wrzeszczą znad strumyka, gdzie je zostawiła. Jej futro się zjeżyło; tak samo futro Fern. To, co stało się dalej, rozegrało się bardzo szybko. Kotka syczała i pluła. Szary kotek w rękach Fern głośno płakał. Kotka skoczyła na Fern z pazurami. A Fern uderzyła tym małym, ślicznym stworzeniem o pień drzewa. Zwiś niemo, z otwartym pyszczkiem. Rozdarła go palcami jakby otwierała portmonetkę.

Przyglądałam się, jak to robi w moim wspomnieniu i wyraźnie słyszałam głos Lowella, znów mówiącego o tym, jak to świat napędza się paliwem niekończącego się, nieprawdopodobnego cierpienia zwierząt. Czarne kociaki ciągle płakały nad strumieniem.

Ja, w kompletnej hysterii, pobiegłam do domu, żeby przyprowadzić mamę i prosić ją, żeby to wszystko naprawiła, żeby naprawiła kociaka – ale wpadłam

prosto na Lowella, dosłownie – przewróciłam się i obtarłam sobie kolana. Próbowałam powiedzieć mu, co się stało, ale to, co mówiłam, nie miało sensu; położył ręce na moich ramionach, żeby mnie uspokoić. Powiedział, żebym zaprowadziła go do Fern.

Nie było jej tam, gdzie ją zostawiłam; siedziała w kucki nad brzegiem strumyka. Miała mokre ręce. Po kotach, żywych lub martwych, nie było ani śladu.

Fern podskoczyła w górę, złapała Lowella za kostki, przeokoziółkowała kilka razy jak clown dokoła jego nóg, obnażając swój piegowaty zadek i ozdobnie zasłaniając go znowu, gdy spódniczka opadała z powrotem na miejsce. W jej futro zaplątane były kolce. Wskazałam je Lowellowi. – Ukryła kotka w jeżynach albo wrzuciła do strumyka – powiedziałam. – Musimy go znaleźć. Musimy go zabrać do doktora.

– Gdzie jest kociak? – zapytał ją Lowell, na głos i na migi, ale Fern zignorowała pytanie; siedziała na jego stopach, z ramionami owiniętymi wokół jego nóg. Lubiła się tak dać wozić na butach. Ja mogłam to robić z ojcem, ale na stopy Lowella byłam już za duża.

Fern przemieściła się tak kilka kroków, a potem podskoczyła ze swoją typową nieposkromioną radością. Chwyciła gałąź, pohnęła się na niej, wylądowała na ziemi. – Goń mnie – pokazała na migi. – Goń mnie! Niezła pokazówka, ale nie do końca przekonująca. Wiedziała, że coś jest nie tak i tylko udaje, że jest inaczej. Jak Lowell mógł tego nie dostrzec?

Usiadł na ziemi; Fern podeszła i oparła podbródek o jego ramię, dmuchnęła mu w ucho. – Może przez przypadek zraniła jakiegoś kociaka. Nie zdaje sobie sprawy, jaka jest silna.

To miało mnie uspokoić; on sam w to nie wierzył. Lowell wierzył – zawsze, do dzisiaj – że zmyśliłam całą historię wyłącznie po to, by wplątać Fern w kłopoty. Nie było zwłok, nie było krwi. Nic się złego nie działo.

Szukałam w gąszczu ambrozji, portulaki, mlecza i psianki. Szukałam wśród kamieni w strumyku, a Lowell nawet mi nie pomagał. Fern przyglądała się zza jego ramienia, a jej ogromne, bursztynowe oczy migotały i napawały się moją klęską – a przynajmniej tak mi się wydawało.

Myślałam, że Fern wyglądała na winną. Lowell uważał, że to ja miałam coś na sumieniu. I miał rację. To ja zabrałam kotka od matki. To ja go dałam Fern. To, co się stało, było moją winą. Ale nie tylko moją.

Nie mogę winić Lowella. Już jako pięciolatka zdołałam uzyskać reputację notorycznej kłamczuchy. Moim celem było zachwycać i bawić. Nie tyle kłamałam, co dodawałam trochę dramatu do dość nudnych historii, kiedy to było konieczne. Rzecz jasna, różnica się zatarła. Mój ojciec nazywał mnie Dziewczynką, Która Krzyczy „Pali się!”.

Im więcej szukałam, tym bardziej Lowell się wściekał. – Nikomu więcej nie

mów. Słyszysz mnie, Rosie? Poważnie – powiedział. – Fern będzie miała przez ciebie kłopoty, a wtedy cię znienawidzę. Na zawsze. Powiem wszystkim, że z ciebie obrzydliwy kłamczuch. Obiecuj mi, że nic nie powiesz.

Miałam szczerzy zamiar dotrzymać tej obietnicy. Widmo Lowella nienawidzącego mnie na zawsze było bardzo potężną przestrożą.

Ale trzymanie buzi na kłódkę było ponad moje siły. To była jedna z tych rzeczy, które Fern umiała, ale ja nie.

Kilka dni później chciałam wejść do domu, ale Fern nie chciała mnie wypuścić. Dla niej to była kolejna gra i łatwa do wygrania. Mimo że znacznie drobniejsza ode mnie, była szybsza i silniejsza. Raz, gdy przechodziłam obok, złapała mnie za ręce i popchnęła w tył tak mocno, że aż poczułam, jak przeskakuje mi ramię. Fern się śmiała.

Rozpłakałam się, wołając mamę. To, jak bez wysiłku przychodziła Fern taka wygrana, rozsierdziło mnie, sfrustrowało i doprowadziło do łez. Powiedziałam mamie, że zrobiła mi krzywdę, co – jako że to zdarzało się dość często – nie było poważnym oskarżeniem. Dzieciaki zawsze szalały, aż komuś stała się krzywda; tak to działało w każdej rodzinie. Matki, uprzedziwszy wszystkich wcześniej, że to się może zdarzyć, zwykle były takim finałem bardziej zirytowane niż zmartwione.

Ale potem dodałam, że boję się Fern.

– Czemuż miałabyś się bać naszej małej Fern? – zapytała mama.

I wtedy jej powiedziałam.

I wtedy wysłano mnie do dziadków.

I wtedy Fern odeszła z domu.

W pokoju przesłuchań to wspomnienie przepłynęło przeze mnie jak gwałtowny front burzowy. Nie pamiętałam wszystkiego, co wydarzyło się tego popołudnia, a przynajmniej nie tak, jak wam opowiedziałam. Pamiętałam jednak dosyć i, co dziwaczne, z upływem czasu przestałam się trząść i płakać. Nie czułam głodu ani zimna, nie potrzebowałam adwokata, łazienki ani kanapki. Miałam za to przedziwne poczucie jasności. Nie żyłam już w przeszłości; żyłam przejmująco w tym, co tu i teraz. Byłam opanowana i skupiona. Lowell mnie potrzebował. Wszystko inne musiało poczekać.

Miałam potrzebę mówienia.

Podniosłam kulankę, która zwinęła się w ciasny pierścień, niezwykle sferyczny, jak jedna z prac artysty Andy Goldsworthy'ego. Położyłam ją na stole obok talerza z niedojedzoną kanapką z tuńczykiem, bo pomyślałam, że jeśli mieliby mnie teraz wypuścić, Lowell nie chciałby, żebym opuściła zwierzaka. Podwójna ilość punktów dodatkowych za owada. Ten pokój nie mógł być niczym domem.

Planowałam trzymać się mojej dyżurnej historii – o dziadkach i ich operach mydlanych, trampolinie, o mężczyźnie w małym niebieskim domku i kobiecie powiązanej jak indyk na pieczyście – tyle, że opowiedziałabym ją większymi słowami. *Mimesis, diegesis, hypodiegesis* – nie tylko opowiem historię, ale i komentarz do niej. Rozłożę ją na części pierwsze. I zrobię to wszystko w taki sposób, że będzie im się wydawało, że w każdym momencie jestem o krok od udzielenia odpowiedzi na ich pytania – że zaraz dojdę do prawdy, do tego, co ma znaczenie. Miałam w planie być złośliwie pomocna.

Wystarczająco się napatrzyłam, jak to się robi. Lowell był pod tym względem mistrzem Jedi.

Ale oficer przesłuchujący nigdy nie pojawił się ponownie. Puff – i zniknął jak nocna mara.

Przyszła za to szerokobiodra, apatyczna kobieta i powiedziała mi, że jestem wolna – najwyraźniej nie leżało to w zakresie obowiązków nikogo nieubłaganie złego. Zeszłam za nią na dół i wyszłam w mrok. Nad głową widziałam światła samolotu, lecącego w stronę lotniska w Sacramento. Przyklękłam i położyłam zwinętą w kulkę kulankę w trawie. Spędziłam dobre osiem godzin w pokoju przesłuchań.

Kimmy, Todd i mama Todda wszyscy czekali na mnie.

To oni mi powiedzieli, że to nie Lowella złapano.

Złapano kogoś innego.

\* \* \*

Poprzedniego wieczora, gdy ja celebrowałam koniec półrocza, wcześniej idąc spać, Ezra Metzger próbował się włamać do ośrodka studiów nad naczelnymi UC Davis. Aresztowano go na miejscu zajścia, z całą kolekcją narzędzi do rozbrajania zamków, przecinania kabli i przekierowywania sygnałów elektrycznych wiszącą u pasa – jeśli nie znajdowały się literalnie w jego rękach. Zanim go zatrzymano, zdołał otworzyć osiem klatek. W późniejszych notkach prasowych anonimowi urzędnicy UC mówili, że małpy były straumatyzowane tym wtargnięciem. Inny anonimowy świadek dodał, że „darły się jak opętane” i trzeba je było uspić. Najsmutniejsze w notatce prasowej było to, że większość małp nie chciała wyjść z klatek.

Wspólniczka tego włamania pozostawała na wolności. Gdyby nie zabrała samochodu, Ezra także mógłby uciec.

Och, na pewno nie. Jak można było w ogóle coś takiego napisać.

\* \* \*

W 1996 roku UC Davis stworzyło Centrum Medycyny Porównawczej jako platformę łączącą wydział medycyny i weterynarii, a zarazem sposób połączenia pod jednym dachem wszystkich badań nad chorobami zakaźnymi, które opierały się na modelu zwierzęcym. Centrum badań nad naczelnymi było kluczowym komponentem tego planu. Od początku istnienia centrum prowadzono tam badania nad kontrolą nad chorobami zakaźnymi – dzumą, SIV, kuru i innymi odzwierzęcymi wirusami, jak wirus Marburg, przenoszonymi się z małp na ludzi. Całkiem niedawno miały miejsce dwa niezależne incydenty, w których pracownicy już nie sowieckich laboratoriów zostali zakażeni wirusem Marburg. Bestsellerowa książka Richarda Prestona *The Hot Zone* była świeżo w pamięci nas wszystkich.

Nic z tego nie wylądowało w raportach prasowych, nie zostało nawet zasugerowane. W przesłuchaniach wstępnych była o tym mowa, co wskazywało, że to nie był tylko wygłup, a Ezra mógł uwolnić nie tylko małpy, ale i coś więcej.

Siedem lat później, w roku 2003, uniwersytet starał się o uzyskanie licencji na ściśle strzeżone laboratorium, w którym małpy można byłoby zarażać wąglikiem, ospą i wirusem Ebola w ramach doświadczeń nad przygotowaniem obrony przed bronią biologiczną. Wysiłki te spełzły na niczym, gdy jeden z rebusów zniknął bez śladu w czasie, gdy czyszczono klatkę. Nigdy go nie odnaleziono. Przepadł bez śladu.

Centrum badań nad naczelnymi w Davis uznawane jest dzisiaj za ważny ośrodek prowadzący badania, które zbliżają nas do zrozumienia i leczenia SIV, choroby Alzheimera, autyzmu czy Parkinsona. Nikt nie kwestionuje, że to poważne sprawy.

\* \* \*

Uniknęłam więzienia dzięki czterem rzeczom.

Numer Jeden: Todd i Kimmy mogli poświadczyć moje alibi na poprzednią

noc. Powiedzieli policji, że położyłam się wcześniej, ale oni świętowali koniec semestru i wprawiali się w bożonarodzeniowy nastrój, oglądając serię klasyków. Wypożyczyli *Psychozę*, *Noc żywych trupów*, *Kult* i *Cud na 34 Ulicy*. Obejrżeli je w tej właśnie kolejności, przez większość czasu siedząc na kanapie w salonie i od czasu do czasu wychodząc do kuchni, żeby zrobić popcorn. Nie było mowy, bym mogła wyslizgnąć się z mieszkania niezauważona. No, chyba że byłabym Spider-Manem – powiedzieli policjantom.

– Powiedziałem: Tarzanem, ale Spider-Man jest okej – dodał Todd.

No, chyba że byłabym Fern – pomyślałam wtedy, ale nie powiedziałam tego głośno, mimo, że przypuszczałam, iż w tym momencie wszyscy już wiedzieli o Fern. To było wnioskowanie oparte na mylnym przekonaniu. Nie doceniałam policyjnej umiejętności trzymania języka za zębami.

Nie sądzę nawet, że ktokolwiek był pod wrażeniem mojego Numeru Jeden. Odkąd znaleźli związek między mną a Lowellem, byli przekonani, że schwytali też zamieszaną w incydent dziewczynę. Z punktu widzenia policji pewnie wszyscy byliśmy członkami tej samej komórki terrorystycznej i, rzecz jasna, kryliśmy się nawzajem. Policja już od jakiegoś czasu miała oko na nasz budynek; na trzecim piętrze mieszkała masa nieciekawych typów.

Numer Dwa: mama Todda. Jakaś niezguła zadzwoniła do jego domu, zanim wezwano go na przesłuchanie. Mama Todda jest sławną prawniczką, specjalistką od praw obywatelskich z praktyką w San Francisco; powinnam była wspomnieć o tym wcześniej. Wyobraźcie sobie Williama Kunstlera<sup>[21]</sup>, ale nie takiego do zakochania. Wyobraźcie sobie Williama Kunstlera jako maleńką Nisei<sup>[22]</sup>. Przyleciała helikopterem i hojnym gestem włączyła także mnie do listy osób, w których obronie wygłaszała swoje groźby. Gdy mnie wreszcie wypuszczono, czekała w eleganckim wynajętym samochodzie, żeby zabrać nas wszystkich na obiad.

Numerem Trzy była Harlow. Nie sama Harlow – nikt nie wiedział, gdzie jest – ale Todd i Kimmy powiedzieli policji, że nie ulega wątpliwości, iż poszukiwaną przez nich kobietą była Harlow Fielding. Policja poszła porozmawiać z Regiem; Reg powiedział, że nic nie wie, nic nie widział, niczego nie słyszał – ale że owinięcie sobie faceta wokół palca tak, że w końcu trafi do więzienia, było kompletnie w stylu Harlow.

– Choć nie sądzę, żebym ja sam dał się tak zrobić – dodał, co było miłe z jego strony i przypuszczałam, że naprawdę wierzył w to, co mówił. Nie miał pojęcia, że Fern od lat siedzi za mnie w więzieniu.

Ezra także powiedział glinom, że to była Harlow. Zastanawiałam się, gwiazdą jakiego filmu jest teraz? *Niepokonany Luke*? *Skazani na Shawshank*? *Ernest idzie do więzienia*? Zastanawiało mnie, że tak łatwo i szybko zrezygnował z Harlow, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że zrobił to, by uratować mnie –

dopiero Todd zasugerował mi to później. Nie o to chodziło, żeby Ezra lubił mnie bardziej niż Harlow; wprost przeciwnie. Ale był z niego honorny facet. Nie zamierzał pozwolić, żeby mnie aresztowano za coś, czego – jak wiedział – nie zrobiłam, zwłaszcza jeśli mógł temu zapobiec.

\* \* \*

Numer Cztery: nikt z policji nigdy nie czytał mojego semestralnego eseju na zajęcia „Religia i przemoc”.

\* \* \*

Mama Todda zabrała nas na kolację, ale nie w Davis – tam nie było nic wystraszająco wykwintnego – tylko na starówkę w Sacramento, gdzie ulice są brukowane, a chodniki wyłożone drewnianymi deskami. Jedliśmy w The Firehouse; matka Todda namawiała mnie, żebym zamówiła homara jako specjalny przysmak na cześć mojej triumfalnej ucieczki, ale że wymagałoby to ode mnie wybrania żywego homara z akwarium, nie zdecydowałam się na to. Zanadto przypominałby na talerzu bardzo dużą kulankę.

Powiedziała mi, że pomimo, iż obiecałam policji nie opuszczać miasta, ciągle mogę nazajutrz pojechać na Gwiazdkę do domu. Tak zrobiłam.

Dziękowałam jej wiele razy. – Nie ma za co – odparła. – Przyjaciele Todda są moimi przyjaciółmi.

– Załapałaś, że to gówno prawda, co? – zapytał mnie potem Todd; przez sekundę myślałam, że ta gówno prawda odnosi się do naszej przyjaźni. Ale nie, Toddowi chodziło o to, że jego matka lubiła stawiać na swoim, nieważne, w czyjej obronie. Dostrzegłam, że to nie zawsze musiało być jej zaletą jako matki, ale tym razem to nie była taka sytuacja. Myślałam, że są chwile, kiedy należy narzekać na własnych rodziców i takie, gdy należy być im wdzięcznym – i doprawdy wstyd nie odróżniać jednych sytuacji od drugich. Zrobiłam sobie mentalną notatkę, żeby pamiętać o tym we własnym życiu, ale jak to bywa z moimi mentalnymi notatkami, zgubiłam ją.

Wiele tygodni później zapytałam Todda, czy jesteśmy przyjaciółmi. – Ależ Rosie! Od lat byliśmy przyjaciółmi – powiedział. Brzmiał, jakbym uraziła go tym pytaniem.

Wielki czarny samochód zabrał nas z powrotem do mieszkania, po czym pomknął w dal pod gwiazdami, unosząc mamę Todda. Na trzecim piętrze już zaczęli balować. Muzyka waliła z głośników z rozwalającą siłą. W końcu trzeba było wezwać policję. Notatki z wykładów, pocięte w kawałeczki, rozrzucono z okien na podwórze jak confetti; za nimi poszybowało krzesło biurowe, które wylądowało po drugiej stronie chodnika, z ciągle obracającymi się kółkami. Przeszliśmy przez drzwi wejściowe w gradzie kondomów wypełnionych wodą. Tak wyglądało życie w kiepsko zarządzanym budynku. Będziemy musieli się do tego przyzwyczaić.

Usiedliśmy przy naszym własnym stole, wysepce smutnej refleksji w oceanie radosnego harmideru. Piliśmy Toddowe piwa Sodawerk i potrząsaliśmy głowami nad losem Ezry, który kiedyś chciał wstąpić do CIA, ale podczas pierwszej (o ile nam wiadomo) misji komandoskiej nie zdołał uwolnić nawet jednej małpy. Nikt nie wspomniał o Fern, więc w końcu wykombinowałam, że oni wciąż o niczym nie wiedzieli. Wiedzieli jednak o Lowellu i byli dość zszokowani, że gościli we własnym mieszkaniu takiego niebezpiecznego faceta. Byli także pod wrażeniem, że miałam ukryte drugie życie. Przeczuwali jakieś drugie dno, ale nigdy by się nie domyślili.

Todd przeproszał, że przyszło mu do głowy, iż Lowell jest tylko marionetką w rękach Harlow – jak się okazuje, było całkiem odwrotnie. – Twój brat musiał ją zwerbować – powiedział. – Harlow jest teraz częścią jego komórki – co do tej pory nie przychodziło mi do głowy i z miejsca znieubiłam tę sugestię. Tak czy inaczej, wydawało mi się to mało prawdopodobne. Harlow była zbyt przekonująca ze swoim złamanym sercem. Widziałam ją, jak udawała – i widziałam, kiedy nie. Widziałam różnicę.

A potem wszyscy zaczęliśmy znów oglądać *Cud na 34 Ulicy*; Todd i Kimmy wyznali, że tak naprawdę przespali większość tego i jeszcze kilku innych filmów, więc mogłam sobie iść i wrócić parę razy, a oni i tak by nie zauważyli.

*Cud na 34 Ulicy* jest filmem promującym prawników. Nie stawia za to w najlepszym świetle psychologów.

\* \* \*

Nawet jeśli Lowell nie wkręcił Harlow w to wszystko, on był przyczyną tego, co zrobiła. Owszem, jesteśmy niebezpieczną rodziną, ale nie z powodów, o jakich myśli Todd. Rzecz jasna Harlow próbowała odnaleźć Lowella, używając jedyne go szlaku, który jej pozostawił – po śladach okruszków. Zastanawiałam się, czy jej się udało. Nie daję jej dużych szans.

Nie była dziewczyną w jego typie; lubiła tylko udawać, że nią jest. Jeśli chciała z nim być, musiałaby zacząć żyć naprawdę. Żadnego tam kitu spod znaku „szkoła aktorska, patrzcie jaka jestem ekstra”. Ale sądziłam, że byłaby w stanie to zrobić. Może byliby nawet szczęśliwi razem.

Późnym wieczorem, gdy otworzyłam drzwi mojej sypialni, poczułam lekki powiew waniliowych perfum Harlow. Podeszłam prosto do bladoniebieskiej walizki. Oczywiście, Madame Defarge zniknęła.



## CZEŚĆ VI

[...] wkrótce zdałem sobie sprawę z dwu możliwości, które się przede mną otwierają: ogród zoologiczny albo kabaret. Nie zawahałem się. Powiedziałem sobie: spróbuj ze wszystkich sił dostać się do kabaretu, to jest wyjście, ogród zoologiczny to tylko nowa klatka z prętami: jeżeli tam trafisz, jesteś zgubiony.

Franz Kafka, *Sprawozdanie dla Akademii*

W latach po odejściu Fern na Gwiazdkę zwykle podróżowaliśmy. Dwa razy pojechaliśmy do Yosemite, raz do Puerto Vallarta. Raz do Vancouver. Raz nawet aż do Londynu, gdzie po raz pierwszy jadłam wędzone solone śledzie, i raz do Rzymu, gdzie rodzice kupili mi kameę z wizerunkiem młodej dziewczyny od ulicznego sprzedawcy pod Koloseum, bo powiedział, że dziewczyna wygląda jak ja i obie jesteście *bellissima*. A gdy wróciliśmy do domu, doktor Remak, który wykładał literaturę niemiecką na Indiana University, ale miał inne ukryte talenty, oprawił dla mnie kameę w pierścionek; za każdym razem, gdy go zakładałam, czułam się *bellissima*.

Nigdy nie byliśmy religijni, więc Boże Narodzenie nie miało dla nas żadnego znaczenia. Po Lowellu w ogóle przestaliśmy je obchodzić. Gdy w końcu wylądowałam w Bloomington pod gorzki koniec 1996 roku, jedyną oznaką świąt był mały krzaczek rozmarynu w doniczce, przycięty w kształt choinki. Stał na stoliku przy wejściu, roztaczając wokół swój zapach. Na drzwiach nie było wianka. Na rozmarynie nie było żadnych ozdób. Postanowiłam nie wspominać rodzicom, że widziałam się z Lowellem, dopóki nie przebrniemy przez święta. Brak widocznych oznak świątecznego rozradowania zasugerował mi, że zwykła codzienność była jeszcze zbyt krucha, a mama nie była w dość stabilnej formie.

Tego roku nie było śniegu. Po południu w pierwszy dzień świąt pojechaliśmy do Indianapolis na świąteczną kolację z dziadkami Cooke. Jak zawsze, był to wodnisty posiłek. Purée ziemniaczane było rozmoczone, fasolka szparagowa rozgotowana. Na talerzach piętrzyły się duże ilości nierozpoznawalnej masy zalanej jeziorem brązowego sosu. Mój ojciec pił jak gąbka.

Jak sobie przypominam, powodem, dla którego wychylał szklankę za szklanką, było ogłoszenie przez Associated Press kopaczy drużyny Indianapolis Colts najlepszym zespołem profesjonalnym roku. Zwykle zespoły z Indiany były pomijane przy rozdawaniu takich zaszczytów. Tata miał nadzieję zachęcić swego ojca do uczestnictwa w tych obchodach, ale dziadek Joe zasnął przy stole w połowie zdania, całkiem jak zaczarowany. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, było to ponure zakłęcie Alzheimera, ale wtedy nie wiedzieliśmy o tym, więc wszyscy byli rozczuleni i ubawieni.

Zaraz miałam dostać okres i czułam już jego tępy ciężar w dole brzucha. Dało mi to wymówkę, by położyć się na łóżku w pokoju, w którym mieszkałam tego lata, gdy straciliśmy Fern. Oczywiście nie powiedziałam, że krwawię, tylko coś tak pokrętnego i środkowozachodniego, że dziadek Joe nie zrozumiał i babcia Frederika musiała mu wyjaśnić na ucho.

Grafika z arlekinem ciągle wisiała na ścianie, ale rama łóżka była nowa,

żeliwna, z poręczami i zagłówkiem poskręcany i liściastym jak bluszcz. Babcia Frederika przeszła z epoki pseudochińskiej w dojrzały styl Pottery Barn.

To był pokój, w którym niegdyś spędziłam trzy tygodnie, przekonana, że jestem siostrą, której z ust wylatują ropuchy i węże, tą, która została wygnana, by umrzeć samotnie i w niedoli. To był pokój, w którym doszłam do wniosku, że Lowell powiedział wszystkim, jaka to ze mnie okropna kłamczucha, i jako że Lowell nigdy nie kłamał, wszyscy mu uwierzyli. To był pokój, w którym przeżywałam *mal de vivre*, odwrotność *joie*, która była udziałem Fern.

Historia o Fern i kociaku naprawdę była okropna. Jeśli ją zmyśliłam, było to niewybaczalne.

Ale czy aby ją zmyśliłam?

Wyłączyłam lampkę nocną i położyłam się twarzą do okna. Po drugiej stronie ulicy światełka choinkowe zwisały z okapów domu sąsiadów jak sople, ich błądy poblask sęczył się do wnętrza pokoju. Pomyślałam o Abbie, tej z akademika na pierwszym roku, która opowiedziała nam, jak jej siostra oskarżyła ojca o molestowanie seksualne, a potem zmieniła zdanie i oświadczyła, że tylko jej się to śniło. – I taka jedna rąbnięta siostra rozwala wszystko – powiedziała Abbie. – Nienawidzę jej.

I Lowell: „Jeśli powiesz komuś, znienawidzę cię na zawsze”.

Tamtego wieczora w akademiku na pierwszym roku wydawało mi się to fair. To dość sprawiedliwe, nienawidzić kogoś za takie ohydne kłamstwo. I równie sprawiedliwe wydawało mi się jako pięciolatce, że Lowell mnie znienawidził. Obiecałam mu, że nie powiem i nie dotrzymałam słowa. Lojalnie mnie ostrzegął.

Nasze kurtki zimowe piętrzyły się na narzucie łóżka. Naciągnęłam maminią parkę na stopy. Gdy byłam mała, zwykła spryskiwać się wodą toaletową Florida Water. Perfumy, których teraz używała, były tak samo obce jak zapach tego domu jak z żurnala, w którym teraz mieszkali rodzice. Ale zapach pokoju był ten sam – czerstwych herbatników, które nie były ani trochę bardziej czerstwe niż wtedy, gdy miałam pięć lat.

Kiedyś wierzyliśmy, że wspomnienia najlepiej ożywiać w tym samym miejscu, w którym się zrodziły. Podobnie jak wszystko inne, co wydaje się nam wiedzą, nie jest to dziś takie oczywiste.

Ale jest ciągle rok 1996. Wejdźcie do mojej głowy, podczas gdy próbuję znowu mieć pięć lat i powtórnie poczuć to, co czułam, kładąc się do łóżka w tym pokoju pod koniec kolejnego dnia na wygnaniu. Pierwsze, co powróciło, to poczucie winy płynące z faktu, że nie dotrzymałam słowa. Drugie, rozpacz spowodowana tym, że na zawsze utraciłam miłość Lowella. Trzecie: rozpacz, że mnie odesłano.

Więcej poczucia winy. Zabrałam kotka od płaczącej matki i dałam go Fern. I jeszcze więcej, bo skarżąc na Fern, pominęłam ten fakt milczeniem, udając, że

ona sama to wszystko zrobiła. Gdy ja i Fern robiłyśmy coś, zwykle robiłyśmy to razem, i jeśli była z tego afery, brałyśmy odpowiedzialność za nią także razem, jako zespół. To był punkt honoru.

Ale potem dokopałam się do wściekłości: może byłam współodpowiedzialna, ale nie zabiłam kota. To zrobiła Fern. Było niesprawiedliwością nie wierzyć mi i ukarać mnie najbardziej. Dzieci mają równie dużą wrażliwość na niesprawiedliwe traktowanie jak szympansy, zwłaszcza jeśli to one same padają jej ofiarą.

Może więc nie powiedziałam całej prawdy. Ale jeśli bym skłamała, nie czułabym tego wszechogarniającego uczucia pokrzywdzenia.

Leżąc na łóżku ze stopami owiniętymi maminą kurtką, przysłuchując się pomrukowi zmywanych naczyń, dyskusjom o sporcie, całemu tradycyjnemu wspólnemu narzekaniu mamy i babci na to, że ojciec tyle pije, i powtórkom w telewizji, w których młody Frank Sinatra śpiewa kolędy, zmusiłam się po raz kolejny do zanurzenia w to ponure wspomnienie. Szukałam pęknięć w glazurze; przyglądałam się sobie przyglądającej się sobie. I wtedy stało się coś bardzo niespodziewanego. Uświadomiłam sobie, że wiem, kim jestem.

W konfrontacji z tym wspomnieniem osłonowym<sup>[23]</sup>, wciąż na tyle żywym w mej pamięci, by podważyć cały koncept pamięci z ukierunkowaną, efektywną precyzją matematycznego dowodu; w konfrontacji z wszystkimi tymi badaniami, dowodzącymi, że charakter nie ma znaczenia w determinowaniu działań i że z waszej perspektywy jestem zaledwie bezmyślnym automatem, zawiadywanym przez tych, co pociągają za sznurki – wciąż wiedziałam, że nie zmyśliłam tego kociaka. Wiedziałam, bo osoba, którą byłam wtedy, którą byłam od zawsze, ta osoba nigdy nie zrobiłaby *czegoś takiego*.

Potem zasnąłam; w dawnych czasach rodzice cichutko zabraliby mnie z łóżka, zawieźli prosto do Bloomington, zanieśli do mojego pokoju – a wszystko to bez przerywania mi snu. Gwiazdkowym cudem było to, że kiedy otwierałam oczy następnego dnia, byłam w domu, a Fern i Lowell wraz ze mną.

\* \* \*

Myślałam, że tego właśnie wieczora powiem rodzicom o Lowellu. Po całym tym bolesnym zaglądanu w siebie byłam we właściwym nastroju, by to zrobić; długa podróż samochodem nadaje się do przeprowadzania długiej i nieprzyjemnej rozmowy prawie tak dobrze jak konfesjonał – przynajmniej tak sędzę, nigdy nie byłam u spowiedzi. Ale mój ojciec był pijany. Przechylił oparcie fotela do tyłu i zasnął.

Następny dzień wydawał się mało sprzyjający z powodów, których w tej chwili nie pamiętam, ale prawdopodobnie miało to związek z nastrojem matki, a potem przyszły oceny na koniec semestru i – jakkolwiek odwrócenie od nich uwagi byłoby korzystne – moment nie wydawał się odpowiedni. Kiedy więc

wreszcie powiedziałam, zostało zaledwie kilka dni. Siedzieliśmy przy stole, jedząc śniadanie, światło słońca wlewało się przez weneckie okna prowadzące na taras z tyłu domu. Drzewa za domem były tak gęste, że światło słoneczne praktycznie nie docierało do pokoju. Ale kiedy tak się działo, korzystaliśmy z tego. Jedynymi dzikimi zwierzętami w okolicy było stadko dobrze wychowanych jaskółek przy karmniku.

Wiecie już o wizycie Lowella, więc zamiast to wszystko powtarzać, powiem wam tylko, co pominęłam: Harlow, Ezrę, centrum badań nad naczelnymi UC, dwie wycieczki do aresztu, używanie narkotyków, pijaństwo i wandalizm. To wszystko, jak sobie tłumaczyłam, kompletnie by nie interesowało moich rodziców. Zaczęłam od środka i w środku skończyłam. Skupiłam się głównie na Bakers Square i długiej nocy spędzonej na rozmowie i konsumpcji ciasta.

Co do tej części, mój raport był szczegółowy. Nie próbowałam ukryć ani faktu, że martwię się o psychiczny stan Lowella, ani jego krytyki ojcowych badań, ani okropieństw, jakich dopuszczamy się wobec naszych braci mniejszych. Rozmowa była bardzo ciężka dla ojca. Gdy doszłam do Fern, nie dało się uniknąć dostrzeżenia faktu, że nie była na farmie ani teraz, ani nigdy – że opuściła nasz dom i wylądowała na resztę życia w niedoli i w więzieniu. Nie pamiętam dokładnie, jak to sformułowałam, ale ojciec oskarżył mnie, że nadmiernie się nad tym rozwodzę. – Miałś pięć lat, co do cholery miałem ci powiedzieć? – Unosił się, jakby największą jego zbrodnią było to, co mi opowiedział.

Rodziców kompletnie rozwaliła informacja, że Lowell chciał iść na studia. Fakt, że mógłby chcieć wrócić do domu, był zbyt przytłaczający, by w ogóle brali go pod uwagę i musiał poczekać na przedyskutowanie w oddzielnej rozmowie później tego samego dnia. Wszyscy przy stole płakali. Matka podarła w drobne strzępy papierowy ręcznik, którego używała jako serwetek; wycierała nos i oczy w co większe kawałki.

Zdarzyły się też niespodzianki, co było dla mnie zaskoczeniem; wydawało mi się, że to ja jestem w posiadaniu wszystkich nowych informacji. Najbardziej porażające było, że rodzice upierali się, iż to z mojego powodu nigdy nie rozmawialiśmy o Fern; że to ja nie mogłam dać sobie z tym rady. Dostawałam ataku hiperwentylacji za każdym razem, gdy słyszałam jej imię; drapałam się aż do krwi, wyrywałam sobie włosy z korzeniami. W tej sprawie byli absolutnie zgodni: że przez lata wielokrotnie próbowali ze mną porozmawiać o Fern i za każdym razem sabotowałam ich wysiłki.

Ten obiad, kiedy Lowell powiedział, że Fern kochała kukurydzę w kolbach i nas, ten obiad, kiedy wyszedł z domu, bo moja matka nie była jeszcze gotowa rozmawiać o Fern. Rodzice pamiętali to zupełnie inaczej niż ja. Powiedzieli, że to ja się rozplakałam i kazałam im się zamknąć. Mówiłam, że rozdzierają mi serce, a potem zaczęłam histerycznie wrzeszczeć coś bez sensu na tyle skutecznie, że

wszyscy ucichli, a Lowell wyszedł z domu.

To stwierdzenie stoi w sprzeczności z innymi rzeczami, które pamiętam. Prezentuję je jednak, bo zostało wypowiedziane, *res ipsa loquitur* – a nie dlatego, że jestem przekonana co do jego prawdziwości.

Mimo mojej rzekomej hysterii rodzice wyglądali na zaskoczonych ogromem poczucia winy, jakie odczuwałam z powodu wygnania Fern. Jakkolwiek wstrząsające może być uśmiercenie nie-ludzkiego zwierzęcia, nikt nie porzuca dzieci z takiego powodu. To nie kotek był przyczyną, dla której odesłano Fern z domu. Jeśliby o to chodziło, owszem, wpadłaby w tarapaty, tak jak przewidział Lowell, ale dołożono by wszelkich starań, by małe, delikatne stworzenia nie lądowały w jej rękach, i na tym by się skończyło.

Były jednak inne incydenty i rodzice przysięgali, że wiedziałam o nich i byłam ich świadkiem, chociaż ja zupełnie nic nie pamiętam. Ciotka Vivi twierdziła, że raz Fern pochyliła się nad wózkiem mojego brata ciotecznego Petera i wzięła do ust całe jego ucho. Ciotka Vivi oświadczyła, że nie odwiedzi nas tak długo, jak bestia z nami mieszka; matka była zrozpaczona, ale ojciec uważał, że wszyscy na tym skorzystają.

Jeden z doktorantów został boleśnie ugryziony w rękę. Trzymał w niej pomarańczę, kiedy to się stało, co może oznaczać, że Fern chciała ugryźć owoc, nie jego. Pogryzienie było jednak poważne, skończyło się na dwóch operacjach i wniesieniu sprawy przeciwko uniwersytetowi do sądu. Fern nigdy nie lubiła tego gościa.

Pewnego dnia Fern popchnęła uwielbianą przez siebie doktorantkę Amy na ścianę, z odległości dobrego metra albo dwóch. Zdarzyło się to bez żadnego powodu, Amy uważała, że to był przypadek, ale inni doktoranci mówili, że Fern nie wyglądała, jakby zrobiła to z nieuwagi czy dla zabawy – nie mogli jednak odnotować w jej zachowaniu niczego świadczącego o agresji. Po tym zdarzeniu Sherie, która była świadkiem zajścia, odeszła z programu, mimo że Amy została.

Fern ciągle była dziewczynką i do tego miłą. Rosła jednak. Nie sposób było ją kontrolować. – Byłoby nieodpowiedzialnością czekać na poważniejszy wypadek – powiedział ojciec. – To nie byłoby dobre ani dla Fern, ani dla nikogo innego. Jeśli naprawdę zrobiłaby komuś krzywdę, uniwersytet kazałby ją uśpić. Staraliśmy się zadbać o wszystkich, tu, na miejscu. Kochanie, nie mieliśmy wyboru.

– To nie ty byłaś powodem. Nawet nie chodziło o ciebie – powiedziała matka.

I znów mnie to do końca nie przekonało. W miarę, jak rozmawialiśmy przez kilka ostatnich dni mego pobytu, przekonałam się, że gdy tylko uniewinniłam samą siebie w kwestii jednego kłamstwa, zaraz oskarżyłam się o kolejne. Powiedziałam mamie, że Fern zabiła kotka; to nie było kłamstwo i to nie przez to wygnano ją z domu; nie ma powodu, by czuć się winną.

Ale nie poprzestałam na tym. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Fern mogłaby rozmyślnie chcieć zrobić mi krzywdę. Nigdy nie myślałam, że mogłaby – a na pewno nie bardziej niż Lowell czy rodzice. Ale jej kompletny brak poczucia winy, sposób, w jaki gapiała się beznamiętnie na martwego kotka, a potem rozerwała jego brzuszek palcami, wstrząsnęły mną do głębi. To powinnam była powiedzieć mamie; to miałam na myśli:

Że w Fern jest coś, czego nie znam.

Że nie znam jej aż tak dobrze, jak mi się zawsze wydawało.

Że Fern ma tajemnice, i to bynajmniej nie słodkie.

Zamiast tego powiedziałam, że się jej boję. To było kłamstwo, które wypchnęło ją z domu. To był moment, w którym zmusiłam naszych rodziców do dokonania wyboru: ona albo ja.

Każdy ma w swoim życiu ludzi, którzy zostają, i tych, co odchodzą, i takich, których porywamy wbrew ich woli.

Mama Todda wywalczyła dla Ezry ugodę. System prawny nie dostrzega, że nie ma różnicy pomiędzy otwarciem drzwi i zamknięciem ich. Ezra przyznał się do zarzutów, odsiedział osiem miesięcy w lekkim więzieniu w Vallejo. Mama Todda mówiła, że dostałby pięć, gdyby się tak nie stawiał. Stracił pracę, na której bardzo mu zależało. Stracił szanse pracowania kiedykolwiek dla CIA (a może nie? Cóż ja mogę wiedzieć? Może to właśnie dodało mu linijkę w résumé, na którą oni czekali). Żaden dozorca budynku, jakiego kiedykolwiek spotkałam, nie wkładał w swoją pracę tyle serca co Ezra. – Sekretem udanego życia – powiedział mi raz – jest przykładać się do wszystkiego, co się robi. Nawet jeśli twoja praca polega na wynoszeniu śmieci, rób to najlepiej, jak można zrobić.

Poszłam go odwiedzić w dniu wizyt – to było po świętach, więc był tam już jakiś miesiąc; przyprowadzili go, w pomarańczowym więziennym ubraniu, do miejsca, gdzie mogliśmy usiąść po dwóch stronach czegoś, co w innym kontekście nazwałabym stołem piknikowym. Ostrzegli nas, żebyśmy siebie nie dotykali, i zostawili samych. Wąs Ezry zniknął, jego górna warga wyglądała tak nago, jakby ktoś zerwał z niej włosy plastrem. Jego twarz była jak naga, z ogromnymi, zajęczymi zębami. Jasne było, że jest w kiepskim stanie ducha. Zapytałam, jak daje radę.

– To już nie to, co kiedyś – odpowiedział, co dodało mi otuchy.

Ciągle ten sam Ezra i ciągle *Pulp Fiction*. Zapytał, czy mam jakieś wieści od Harlow.

– Jej rodzice przyjechali z Fresno jej szukać, ale bez powodzenia – odparłam. – Nikt jej nie widział.

Jakiś czas po tym, gdy powiedziałam Lowellowi, że Harlow nigdy nie mówi o swojej rodzinie, podała mi następujące informacje: trójka młodszych braci, dwie starsze siostry. Przyrodni bracia i siostry oczywiście.

Mówiła, że jej matka była jedną z tych kobiet, które uwielbiały być w ciąży, ale nie nadawały się do długotrwałych związków. Hipiska, królowa Gaja, te rzeczy. Każde z rodzeństwa Harlow miało innego ojca, ale wszystkie dzieci mieszkały z matką w rozwalającym się domu na obrzeżach miasta. Dwoje dzieci wcześniej skończyły im się sypialnie, więc paru ojców przebudowało piwnicę w rodzaj króliczej nory, w której pokoikach dzieci wiodły w większości pozbawiony nadzoru żywot jak z Piotrusia Pana. Harlow od lat nie widziała ojca, ale on prowadził małą grupę teatralną w Grass Valley, więc bez problemu dałby jej pracę po studiach. Był, jak mówiła, jej asem w rękawie.



Uderzyło mnie podobieństwo pomiędzy piwnicą u Harlow a moim niegdyś wymarzonym domkiem na drzewie – z tym, że aby wejść do jej Nibylandii, trzeba było zejść pod ziemię. (Ostatnie badania wskazują, że ludzie zachowują się lepiej wobec bliźnich, jeśli muszą wejść po schodach w górę, niż wtedy, kiedy schodzą w dół – co robiłoby zasadniczą różnicę, gdyby nie to, że takie badania to wielki stek bzdur. Chcę przez to powiedzieć, że jest nauka i nauka; gdy obiektem badań są ludzie, wyniki są zwykle nienaukowe).

Piwnica i domek na drzewie miały jedną wspólną cechę: obydwa te miejsca nie istniały. Okazało się, że Harlow jest jedynaczką. Jej ojciec zajmował się odczytywaniem liczników dla Pacific Gas & Electric. Może to nie jest prestiżowa praca, ale dość niebezpieczna, z powodu psów. Jej mama pracowała w bibliotece. Jeśli to ja rządziłabym światem, bibliotekarze byłiby zwolnieni od wszelkich tragedii. Nawet ich drobne troski trwałyby tylko tyle, ile trwa wypożyczenie książki.

Oboje jej rodzice byli wysocy, ale przygarbieni, zwinięci w tułowiu dokładnie w ten sam sposób, jakby im ktoś właśnie przyłożył w brzuch. Mama Harlow miała takie same włosy jak ona, tyle że krótkie i praktyczne. Na szyi miała jedwabną chustkę, a pod nią egipski kartusz na długim łańcuszku. Mogłam odczytać tylko hieroglif przedstawiający ptaka. Pomyślałam, że musiała bardzo starannie wybierać ubranie, żeby przyjść na rozmowę z lokalną policją, ze mną, z Regiem. Wyobraziłam sobie ją przed szafą z ubraniami, decydującą, co włożyć na okazję rozmowy na temat jej własnego dziecka, z której mogła potencjalnie dowiedzieć się czegoś, co złamie jej serce.

Rodzice Harlow obawiali się, że została porwana i kto wie co jeszcze, bo to nie było do niej podobne nie zadzwonić, skoro wiedziała, że będą się martwić. Byli oboje delikatni jak dmuchane szkło, obawiali się, że Harlow nie żyje. Starali się skłonić mnie do pomyślenia o tym, lecz nie wypowiedzieli tego głośno. Zasugerowali, że może Ezra ją oskarża, że może to on ustawił całą tę małą operację, by odwrócić uwagę od czegoś dużo bardziej złowrogiego. Jak mówili, ona nigdy, przenigdy nie przegapiłaby Bożego Narodzenia. Jej skarpetka na prezenty nadal wisiała nad kominkiem, gdzie, jak powiedzieli, poczeka na nią aż – w ten czy inny sposób – wróci wreszcie do domu.

Uparli się, że zabiorą mnie gdzieś na tę rozmowę, więc siedzieliśmy w Mishka's, pijąc kawę w ciszy pierwszych dni zimowego semestru; w kafejce praktycznie nie było nikogo więcej, jedynym zauważalnym hałasem był odgłos mielonej kawy.

Właściwie tylko ja piłam kawę. Ich filiżanki stały na stole nietknięte, zawartość stygła w nich z każdą minutą.

Powiedziałam im, że nie mam najmniejszych wątpliwości, iż Harlow żyje i że wróciła do naszego mieszkania tego samego dnia, kiedy miał miejsce ten mały

interes, by zabrać stamtąd coś, co zostawiła. Choć sama jej nie widziałam, powiedziałam, że mam dowód – Harlow zostawiła mi ewidentny dowód. I tyle zdążyłam powiedzieć. Mama Harlow wydała z siebie dźwięk – coś pomiędzy jękiem a krzykiem: przypadkowy, ale głośny i wysoki. Potem rozplakała się, chwytając mnie za ręce i potrącając filiżanki.

Ona sama najgorzej na tym wyszła. Jej śliczna bluzka, jak podejrzewam, była załatwiona na dobre. – Ale to takie niepodobne do niej! – powtarzał jej ojciec, gdy próbowaliśmy z użyciem szmaty zapanować nad rozlaną kawą. – Żeby się gdzieś włamywać! Albo brać nie swoje rzeczy! – Jak sądzę, miał tu na myśli małpy; nic im nie powiedziałam o Madame Defarge.

Zastanawiałam się, czy mówimy o tej samej osobie. Nic z tego, co słyszałam, nie pasowało mi do Harlow.

Nikt jednak nie pada ofiarą iluzji tak łatwo jak rodzic; rodzice widzą tylko to, co chcą zobaczyć. Powiedziałam część z tego Ezrze. Był zbyt przygnębiony, by go to interesowało. Ku memu wielkiemu zdziwieniu, rosła we mnie przemożna potrzeba, żeby go dotknąć – coś, o czym z pewnością nie myślałam wcześniej, a teraz odczuwałam głównie dlatego, że było zabronione. Chciałam pogłodzić go po ramieniu, dotknąć włosów, pobudzić w nim ducha. Usiadłam na swoich dłoniach, żeby się powstrzymać.

– Jak myślisz, dokąd by poszły te małpy?

– Tam, gdzie by sobie chciały – odparł.

Jak tylko pożegnałam się z Lowellem na stacji kolejowej w Davis, nie było dłużej sensu zostawać tu i kontynuować edukacji w college'u. Miałam siostrę, którą musiałam się zająć. Czas było poważnie zabrać się do rzeczy.

Czekałam, aż przyjdzie pierwszy raport o Fern, ale się nie doczekałam. Cokolwiek Lowell poustawiał, rozsypało się. W międzyczasie, wypożyczyłam z biblioteki wszystkie dostępne książki o słynnych badaczkach małp – o Jane Goodall (szympanasy), Dian Fossey (goryle) i Biruté Galdikas (orangutany).

Myślałam, że po ukończeniu studiów pójdę do pracy w parku narodowym Gombe Stream i będę spędzać długie dni na obserwowaniu szympanсів Kasakela. Myślałam, że mogłabym się tam jakoś szczególnie przydać; że po tym wszystkim, co przeszłam przez lata, mogłabym znaleźć sposób, by dobrze wykorzystać eksperymenty ojca. Myślałam, że to jest życie, do którego jestem stworzona, tak podobne do tych dzieciennych marzeń o domku na drzewie, które kołysały mnie do snu. Myślałam, że może to wreszcie będzie miejsce, w którym się odnajdę. Tarzan w dżungli. Skryłam się w uniesieniu, jakim napełniał mnie ten pomysł.

Powrót do pionu. W końcu przypomniałam sobie 170 gwałtów w ciągu trzech dni z wykładu doktora Sosy. Jacyś naukowcy wszystko to zaobserwowali, faktycznie patrzyli, jak szympanśica jest gwałcona 170 razy i skrupulatnie liczyli. Dobrzy naukowcy. Nie ja.

Poza tym, ponieważ na wszystkich zajęciach unikałam tak starannie wszystkiego, co miało związek z naczelnymi, wybór takiej drogi kariery oznaczałby konieczność zaczęcia studiów od nowa.

A jak to pomogłoby Fern?

Przypomniałam sobie, że dawna dziewczyna Lowella, Kitch, powiedziała mi, że byłabym świetną nauczycielką. Pomyślałam, że tylko próbowała być miła – i prawdopodobnie również szalona, doprowadzona do obłędu przez życie w akademiku, jak tyle innych osób – ale kilka godzin spędzonych nad przewodnikiem akademickim w jednej ręce, a moim świadectwem w drugiej uświadomiło mi, że najszybszą drogą do dyplomu i specjalizacją, pozwalającą na zaliczenie większości przedmiotów, na które już chodziłam, była edukacja. Oczywiście, trzeba będzie jeszcze wykombinować jakąś rekomendację. Ale nie widziałam żadnego innego stopnia naukowego, który mogłabym uzyskać przed końcem świata według kalendarza Majów.

\* \* \*

Pewnego dnia tej wiosny wpadłam w bibliotece na Rega; zaproponował, żebyśmy poszli razem na przygotowane przez wydział teatralny genderowe

przedstawienie *Makbeta*. Mówił, że ma dwie wejściówki, dostał od jakiegoś znajomego Harlow.

Spotkaliśmy się o zmierzchu pod Gmachem Wydziału Teatralnego (ciekawy zbieg okoliczności: miesiąc później przemianowano go na Celeste Turner Wright Hall, co uczyniło go jednym z trzech budynków na terenie kampusu nazwanych na cześć kobiety. Dzięki ci składamy, Celesto, my, kobiety z Davis!). Noc była piękna, w arboretum za budynkiem kwitły judaszowce i porzeczki. Poniżej wzgórza leniwie pokwakiwały kaczki krzyżówki.

Sztuka była krwawa, jak to Makbet, i nie wykorzystano w niej żadnego z pomysłów Harlow. Uważałam, że to wielka strata. Spektakl nie był zły, ale gdyby zrobili go tak, jak ona sobie to wyobrażała, byłby o wiele ciekawszy. Reg jednak upierał się przy swym oryginalnym podejściu, mianowicie, że nie ma nic śmieszniejszego niż facet w sukience.

Mnie wydawało się to obrzydliwe, poniżające wobec kobiet i transwestytów na całym świecie. Powiedziałam mu, że najprawdopodobniej jest jedynym aż takim idiotą, który uważa, że *Makbeta* powinno się grać na wesoło.

Radośnie zamachał ręką. – Kiedy facet zabiera dziewczynę na feministyczne przedstawienie, wie, w co się pakuje. – powiedział mi. – Wiadomo, że wieczór zakończy się kłótnią. – Zapytał, czy to czasem nie czas na mój okres, co również wydawało mu się niesłychanie zabawne.

Szliśmy w stronę jego samochodu. Odwróciłam się nagle i powiedziałam mu, że wolę się przejść. Sama. Co za dupek. Dopiero w połowie drogi do domu dotarło do mnie, co powiedział. „Kiedy facet zabiera dziewczynę...” Nie wiedziałam, że to była randka.

Zadzwoił do mnie nazajutrz, żebym się znowu z nim umówiła. Wytrzymał jako para pięć miesięcy. Nawet teraz, dobiegając czterdziestki, zaliczam ten związek do moich ulubionych. Bardzo lubiłam Rega, ale nigdy nie zamieszkaliśmy razem. Kłóciliśmy się bez przerwy. Nie byłam aż tak bardzo dziewczyną, przy której się odpoczywa, jak sobie to wyobrażał.

– Coś mi się wydaje, że nic z nas nie będzie – powiedział mi któregoś wieczora. Siedzieliśmy w samochodzie przed moim budynkiem, czekając, aż odjedzie radiowóz. Policja przyjechała wlepić tym z trzeciego mandat za zakłócanie ciszy nocnej.

– Dlaczego? – zapytałam, w duchu naukowej ciekawości.

– Uważam, że jesteś super, i bardzo ładna z ciebie dziewczyna. – powiedział.

– Nie każ mi się wdawać w szczegóły.

Toteż dokładnie nie wiem, dlaczego się rozstaliśmy.

Może to z nim był problem. A może ze mną. Może to sprawił duch Harlow, potrzęsający nad nami swymi krwawymi lokami. *Precz, straszny cieniu! Precz, wietrzne złudzenie!*<sup>[24]</sup>

Ta rozmowa nie była aż tak przykra, jak się może wydawać z tej opowieści. Gdy myślę o Regu, wspominam go miło. W tamtym czasie, jak sądzę, to ja rozpoczęłam proces, który doprowadził do zerwania, chociaż on pierwszy to powiedział. Słyszałam jednak, że potem spotykał się z mężczyzną, więc może pospieszyłam się z przyjmowaniem odpowiedzialności za całą sprawę.

Pozostaje faktem, że na dłuższą metę nie daję rady z seksem. Nie żebym nie próbowała. Nie każcie mi się wdawać w szczegóły.

Zastanawiam się, czy Lowell powiedziałby, że to moje wychowanie popieprzyło mnie pod względem seksualnym. I czy reszta z was może też na dłuższą metę nie daje rady z seksem.

Może wam się wydaje, że sobie radzicie, ale tak naprawdę to jednak nie. Może anosognozja, nieświadomość własnej ułomności, jest powszechną ludzką cechą i tylko ja jedna na nią nie cierpię.

Mama mówi, że po prostu nie trafiłam jeszcze na właściwego faceta, faceta, który zobaczy gwiazdy w moich oczach. Sporo w tym prawdy. Nie spotkałam jeszcze takiego faceta.

\* \* \*

Mężczyzna, który zobaczył gwiazdy w oczach mojej matki umarł w 1998 roku. Tata wybrał się na samotny wypad kempingowo-wędkarsko-kajakowo-introspekcyjny wzdłuż rzeki Wabash. Dwa dni od wyjazdu, gdy przeciągał kajak przez jakieś skałki, miał atak serca, który błędnie uznał za gripę. Wrócił do domu i położył się do łóżka, w którym nazajutrz doznał kolejnego ataku; trzeci dopadł go w szpitalu tej samej nocy.

Kiedy przyjechałam do szpitala, on znowu był w górach, wspinał się na jakieś wymarzone szczyty na pograniczu. Skoncentrowany i długotrwały wysiłek z naszej strony, mamy i mojej, był niezbędny, by powiedzieć mu, że jestem – i nadal nie byłam pewna, czy mnie poznał. – Jestem bardzo zmęczony – powiedział. – Czy możesz ponieść mój plecak? Tylko troszkę. – Brzmiał, jakby był zawstydzony.

– Jasne, tato – odpowiedziałam. – Oczywiście. Widzisz? Już go trzymam. Poniosę tak długo, jak zechcesz. To były ostatnie słowa, jakie do niego powiedziałam i byłam pewna, że usłyszał.

Wyobrażam sobie, że to brzmi jak filmowa scena śmierci – czysta, klasyczna, pełna głębi i powagi. Ale on żył jeszcze dzień i nie było w tym dniu nic czystego. Była krew, gówno, śluz, jęki i całe godziny bolesnej walki o złapanie tchu. Lekarze i pielęgniarki biegali dookoła, a mama i ja byłyśmy wpuszczane do pokoju tylko po to, by zaraz zostać z niego wyproszone.

Pamiętam akwarium w poczekalni. Pamiętam ryby, których bijące serca widać było wyraźnie wewnątrz ich ciał; ich łuski były koloru szkła. Pamiętam ślimaka, wlokącego swe ciało po bocznych ścianach i usta na jego stopie,

bezustannie rozszerzające się i kurczące z każdym ruchem. Lekarz wyszedł do nas, mama wstała, żeby go powitać. – Przykro mi, ale tym razem nam się nie udało – powiedział, tak jakby był jakiś następny raz.

\* \* \*

Następnym razem poukładałam wszystko między nami.

Tym razem jej załamanie powstrzymało mnie od tego, ale następnym razem przypiszę mamie sprawiedliwie przysługującą jej część winy za Fern. Następnym razem nie będę winić o wszystko ojca.

Następnym razem wezmę też na siebie tyle winy, ile mi się należy, ani mniej, ani więcej. Następnym razem zamknę buzię w sprawie Fern, a otworzę w sprawie Lowella. Powiem im, że Lowell nie poszedł na trening, żeby z nim porozmawiali, i żeby nie odszedł.

Zawsze planowałam, że kiedyś wybaczę ojcu. Tyle utracił, ale nie utracił mnie – i żałuję, że mu tego nie powiedziałam. To takie bolesne i bezsensowne, że tego nie zrobiłam.

Będę więc zawsze wdzięczna za jego ostatnią prośbę. To był wielki dar, móc zdjąć z niego ciężar, nawet jeśli istniał tylko w wyobraźni.

\* \* \*

W chwili śmierci tata miał pięćdziesiąt osiem lat. Lekarz powiedział, że z powodu cukrzycy i alkoholu miał ciało dużo starszego mężczyzny. – Czy żył w dużym stresie? – zapytał lekarz matkę, a ta odpowiedziała pytaniem na pytanie: – A kto nie żyje?

Zostawiłyśmy jego ciało do dalszej analizy naukowej i poszłyśmy do samochodu. – Chcę do Lowella – powiedziała matka i rozplakała się nad kierownicą, łapiąc oddech z takim wysiłkiem, że wydawało się, iż umrze razem z ojcem.

Zamieniłyśmy się miejscami, ja prowadziłam. Wykonałam kilka skrętów, zanim uświadomiłam sobie, że nie jedziemy do domu z kamienia i powietrza, tylko do uniwersyteckiej chaty z wysokim dachem, tam, gdzie dorastałam. Prawie byłam w domu, zanim to do mnie dotarło.

W „New York Timesie” ukazało się wspomnienie pośmiertne o ojcu, długie i pełne szacunku; byłby zachwycony. Fern, oczywiście, była wymieniona jako obiekt doświadczalny, a nie jako członek osieroconej rodziny. Poczułam, że jej imię uderza we mnie, kiedy nie byłam na to przygotowana, czułam się jak samolot wpadający w dziurę powietrzną. Małpiata wciąż obawiała się, że ją zdemaskują, a to wyglądało jak próba umyślnego wystawienia jej na publiczny widok.

W tym czasie byłam w Stanford, gdzie w zasadzie nikogo nie znałam. Nikt słowem mi o tym nie wspomniał.

Kilka dni po tym, jak ukazał się nekrolog, dostałyśmy pocztówkę przedstawiającą Regions Building w Tampa na Florydzie, z jego spadzistym

dachem i czterdziestoma dwoma piętrami okien o szybach koloru szarostalowego. Notatka na odwrocie głosiła: „Sporo się dzisiaj uczę o Ameryce”. Podpisu nie było.

4

W 1996 roku linie lotnicze oddały mi w końcu walizkę kilka dni po tym, jak wyjechałam na wakacje świąteczne. Todd był ciągle w mieszkaniu, jako że rzadko mu się zdarzało gnać do domu na święta – mógł więc ją zidentyfikować i poświadczyć odbiór.

– Najprawdziwsza – powiedział mi. – Naprawdę twoja walizka. Poznałbym ją wszędzie. – Oddał tamtą drugą; nie spodziewałam się, że wydarzy się to pod moją nieobecność, więc bardzo się tym stresowałam.

Oczywiście, zawsze istniała możliwość, że podczas gdy ja lądowałam na pasie lotniska w Indianie, Harlow wślizgnęła się do mojego pokoju, jak to miała w zwyczaju, i bezpiecznie złożyła Madame Defarge w jej bladobłękitnym sarkofagu. „Zawsze istniała możliwość”, czyli „Nie ma bata”.

Czuję się okropnie z tego powodu. Jestem pewna, że lalka była kosztownym i jedynym w swoim rodzaju antykiem. Miałam zamiar włożyć do walizki liścik z przeprosinami, zanim ją odeślę. Pozwólcie, że napiszę go tutaj:

Szanowny Biegaczu-Lalkarzu,

Nie ukradłam Madame Defarge osobiście, ale zniknęła w czasie, kiedy pozostawała pod moją pieczęcią. Strasznie mi przykro, Jestem pewna, że bardzo wysoko ją ceniłaś/leś.

Jedyne pocieszenie, jakie mogę zaoferować, to że teraz wiecie ona rewolucyjne życie, z którego tak słusznie słynęła.

Krótko mówiąc, Madame Defarge powróciła do roli aktywistki i orędowniczki bezwzględnej sprawiedliwości. Nie tracę nadziei, że kiedyś w stanie nienaruszonym wróci do domu. Szukam jej na eBay co najmniej raz w miesiącu. Ogromnie przepraszam.

Rosemary Cooke

W mojej własnej wypchanej po brzegi walizce niczego nie brakowało. Był mój błękitny sweter i moje kapcie domowe, piżama, bielizna; były dzienniki mojej matki – nie tak eleganckie, jak gdy je ostatnio widziałam: podróż wygniotła im rogi, zwichrowała okładki, wykrzywiła gwiazdkową wstążeczkę pod dziwnym kątem. Wszystko cokolwiek sprasowane, ale zasadniczo nietknięte.

Nie stworzyłam notatników od razu. Byłam zmęczona po podróży do domu i poharatana do bólu po ostatnich tygodniach pełnych mówienia i myślenia o Fern. Zdecydowałam odłożyć je na trochę na najwyższą półkę w szafie, wciśnięte głęboko, żebym nie musiała patrzeć na nie za każdym razem, kiedy otwierałam

panele lustrzanych drzwi.

A potem, podjąwszy decyzję, otworzyłam pierwszy z nich na tytułowej stronie.

Na pierwszej stronie było moje zdjęcie, polaroid, zrobione w szpitalu w pierwszych godzinach życia. Jestem na nim czerwona jak poziomka, błyszczę od wydzielin macicy i spoglądam na świat podejrzliwymi, przymrużonymi oczkami. Wyglądam, jakbym była gotowa do akcji. Pod zdjęciem wiersz:

och, och,

jakże pulchną, szczęśliwą buzię ma piwonია ta!

Następnie otworzyłam kolejny notatnik. Fern też miała zdjęcie i wiersz, a przynajmniej fragment wiersza. Zdjęcie zrobiono pierwszego dnia po jej przybyciu na farmę. Ma prawie trzy miesiące i owija się wokół czyjegoś ramienia jak wodorost. Ramię musi należeć do mamy: rozpoznaję grubo tkaną, zieloną koszulę, którą widziałam na innych zdjęciach.

Włosy na głowie Fern, nawet jej wąsy, są zjeżone. Sterczą z jej nagiej twarzy jak nastrazona, podniecona aureola. Jej ramiona są jak patyczki, czoło pomarszczone, oczy olbrzymie i zdumione.

Królową poruszy jej mina –

Pół Dziecię, pół Heroina –

Dzienniki mamy nie są naukowymi notatnikami. Czasem znajdzie się w nich wykres albo dwa, jakieś liczby i pomiary, ale nie są to kompletnie beznamienne, ważne obserwacje z terenu badań, jakie spodziewałam się znaleźć.

To bardziej albumy dziecinne.



Opowiedziałam wam środek mojej historii. Opowiedziałam koniec jej początku i początek końca. Szczęśliwie się składa, że jedyne dwie pozostałe brakujące części w sporym stopniu nakładają się na siebie.

Zeszłej jesieni mama i ja spędziłyśmy całe tygodnie, przeglądając wspólnie jej dzienniki i przygotowując je do publikacji. Mama, teraz koło sześćdziesiątki, zaczęła nosić ogrodniczki. Mówi, że nie oglądała własnej talii od 2001 roku, ale tak naprawdę zeszczupiała z wiekiem, jej ramiona stały się bardziej żylaste, nogi bardziej kościste. Ciągłe jest atrakcyjną kobietą, ale teraz pod jej twarzą widać zarys czaszki. Te stare fotografie przypomniały mi, na jak szczęśliwą zawsze wyglądała, zanim ją złamaliśmy.

– Byłaś najładniejszym noworodkiem, jakiego kiedykolwiek widziałam – powiedziała mi. Z polaroidu bynajmniej nic takiego nie wynika. – Idealna dziesiątka w skali Apgar. – Poród, wedle jej dziennika, trwał sześć godzin. 2,25 kg i 47,5 cm. Całkiem niezła sztuka. Miałam pięć miesięcy, kiedy nauczyłam się siadać. W dzienniku jest fotografia mnie siedzącej, z kręgosłupem prostym jak drut do robótek. Fern opiera się o mnie, jej ramiona obejmują mnie w pasie. Wygląda, jakby albo zaczynała, albo kończyła ziewać.

W wieku pięciu miesięcy Fern już czołgała się na piąstkach i zaciśniętych stópkach. – Zdarzało jej się stracić rachubę w ocenianiu długości podłogi – mówiła mama. – Z rękami nie było problemu. Widziała je, wiedziała, gdzie powinny lądować. Ale musiała wierzgać tylnymi nogami, próbując wymacać podłogę w powietrzu albo gdzieś z boku – wszędzie, ale nie w dole. To było takie słodkie!

Ja zaczęłam chodzić w wieku dziesięciu miesięcy. W tym samym wieku Fern potrafiła już sama zejść po schodach, huśtając się na poręczach. – Bardzo wcześnie osiągałaś wszystkie etapy przewidziane dla rozwoju dziecka – powiedziała mama pocieszająco. – Myślę, że Fern cię trochę motywowała.

W wieku dziesięciu miesięcy ważyłam 7 kg. Miałam cztery zęby: dwa na dole, dwa na górze. Fern ważyła 4,5 kg. Wykres mamy pokazuje, że obie byłyśmy malutkie jak na nasz wiek.

Moim pierwszym słowem było „pa pa”. Powiedziałam je w języku migowym w wieku jedenastu miesięcy, na głos – w wieku trzynastu miesięcy. Pierwszym znakiem migowym Fern była „miska”. Miała dziesięć miesięcy.

\* \* \*

Ja urodziłam się w szpitalu w Bloomington, po bardzo zwyczajnym porodzie. Fern przyszła na świat w Afryce, gdzie, ledwo miesiąc później, jej matka została zabita i sprzedana na mięso.

Mówi mama:

– Rozmawialiśmy o wychowaniu szympansa przez kilka lat. Wszystko to bardzo teoretycznie. Zawsze mówiłam, że nie chcę, by zabierano małego szympansa od matki. Powtarzałam, że to powinien być szympan, który nie ma dokąd iść. I myślałam, że na tym koniec. Zaszłam w ciążę z tobą, przestaliśmy o tym rozmawiać.

I wtedy usłyszeliśmy o Fern. Znajomi znajomych kupili ją od kłusowników w Kamerunie, mając nadzieję, że my ją weźmiemy. Mówili, że praktycznie była trzy ćwierci od śmierci: przelewała się przez ręce jak szmatka, ze straszną biegunką, pokryta pchłami. Nie spodziewali się, że przeżyje, ale nie mieli serca odejść i jej tak zostawić.

Gdyby jednak przeżyła, okazałaby się naprawdę twardą zawodniczką. Odporną. Łatwo przystosowującą się. Idealną dla nas.

Ciągle przechodziła kwarantannę, kiedy się urodziłaś. Nie mogliśmy ryzykować, że coś przywlecze do domu. Więc przez miesiąc byłaś moim jedynym niemowlęciem. Byłaś takim szczęśliwym maleństwem. I niekłopotliwym – rzadko kiedy płakałaś. Ale zastanawiałam się, czy aby to dobra decyzja. Zapomniałam, jakie to wszystko wyczerpujące – bezsenne noce, nieustanne karmienie. Byłam o krok od wycofania się z eksperymentu, ale co wtedy stałoby się z Fern? Za każdym razem, gdy miałam wątpliwości, obiecywano mi pomoc. Całą armię pomocników. Doktorantów.

Dzień był przenikliwie zimny i wietrzny, kiedy wichur przywiał w końcu Fern do naszego miasta. Była taka maleńka i przerażona. Wiatr zatrzaskał z hukiem drzwi, kiedy przybyła i wyskoczyła z ramion człowieka, który ją przyniósł, prosto w moje. I to by było na tyle.

Łapała się mnie tak kurczowo, że jedyną metodą, by ją ode mnie odsunąć, było siłą rozluźnić jej chwyt, palec za palcem. Przez dwa lata miałam na całym ciele siniaki od jej palców rąk i nóg. Ale tak to działa na wolności – małe szympaniętko chwytła się matki przez całe pierwsze dwa lata życia.

Jej uścisk był tak mocny, że gdy raz, krótko po jej przybyciu, jej wymachujące ramiona spotkały się po tym, jak ją od siebie odsunęłam, jej dłonie zacisnęły się jedna na drugiej jak muszla ostrygi. Nie mogła ich rozdzielić. Zaczęła wrzeszczeć, aż przyszedł twój ojciec i pomógł jej odczepić zakleszczone palce.

Przez pierwszy tydzień głównie spała. Miała kołyskę, ale dawało się ją do niej włożyć tylko, kiedy już spała. Zwijała się wtedy w kłębek na moich kolanach, z głową na moim ramieniu i ziewała tak szeroko, że mogłam spojrzeć w głąb jej gardła; mnie samej też zaczynało się chcieć ziewać. Aż w końcu światło w jej oczach przygasało. Powieki opadały, trzepotały przez chwilę, by wreszcie się zamknąć.

Była apatyczna, nic jej nie interesowało. Kiedy widziałam, że nie śpi, mówiłam do niej, ale ledwo zwracała na to uwagę. Obawiałam się, że może jednak

jest chora. Albo niezbyt bystra. Albo tak strauumatyzowana, że nigdy się z tego nie wygrzebie.

A jednak właśnie przez ten tydzień podbiła moje serce. Była taka maleńka i całkiem sama na świecie. Tak przestraszona i smutna. I całkiem jak ludzkie dziecko. Zupełnie jak ty, tylko naznaczona wielkim cierpieniem. Powiedziałam tacie, że nie sposób porównywać was, skoro twój świat był tak bezpieczny, a świat Fern tak okrutny. Ale na tym etapie było zbyt późno, żeby się wycofać. Byłam kompletnie zakochana w was obu.

Czytałam, co tylko mogłam o innych szympanсах wychowywanych wśród ludzi – szczególnie książkę Catherine Hayes o Viki – i myślałam, że to się uda. Na końcu książki Catherine pisze, że Viki na zawsze zostanie z nimi. Wspomina, że ludzie bez przerwy pytają ją, czy aby któregoś dnia Viki nie zwróci się przeciwko nim; rano czyta gazety i znajduje informacje o jakimś dzieciaku, który zamordował oboje rodziców w ich własnych łóżkach. – Wszyscy podejmujemy jakieś ryzyko – pisze Hayes.

Oczywiście Viki umarła, zanim osiągnęła dorosłe rozmiary; jej rodzina nigdy nie została wystawiona na próbę. Ale także my – ja i twój ojciec – naprawdę wierzyliśmy, że Fern zawsze będzie z nami. Twój udział w eksperymencie kończył się, kiedy miałaś iść do szkoły, ale my nadal byśmy z nią pracowali. Myślałam, że gdy pewnego dnia i ty, i Lowell pójdziecie na studia, Fern zostanie z nami w domu. Kiedy zgadzałam się na ten eksperyment, myślałam, że tak to będzie wyglądało.

Kilka lat temu znalazłam gdzieś wypowiedź ojca Viki. Narzekał, że ludzie nieustannie przywołują Viki jako przykład nieudanego eksperymentu językowego. Ten eksperyment nie mógł się udać, bo próbowali nauczyć ją porozumiewać się przez mowę ustną; oczywiście, szympanś jest psychologicznie niezdolny do tego. Dzisiaj to wiemy.

Ale pan Hayes powiedział też, że najbardziej znaczącym odkryciem wynikającym z tego eksperymentu – odkryciem, które wszyscy notorycznie ignorują – jest, że poza językiem, Viki nie różniła się niczym od normalnego ludzkiego dziecka.

\* \* \*

– Sukcesy są zawsze mniej widoczne niż porażki – powiedziałam.

– Dobry Boże – odpowiedziała mama. – Jakie to wyniszczające. Jeślibym w to wierzyła, zakończyłabym ten posiłek natychmiast, popijając go sporą szklanką cykuty.

Ta rozmowa toczyła się pewnego wieczora, gdy siedziałyśmy długo przy stole, dopijając wino. To była odświętna kolacja z okazji sprzedaży naszej książki. Wysokość zaliczki przekroczyła oczekiwania (choć nie do końca pokryła nasze potrzeby). W smaganej przeciągiem kuchni płomyki świec kiwały się i migotały. Jadłyśmy na resztkach ładnej zastawy stołowej, ocalałej po czasach Fern. Mama

wyglądała na spokojną i nieszczęśliwie smutną.

– Pamiętam, że czytałam, jak jakiś naukowiec planował zminiaturyzować szympansy – tak jak wcześniej pudle i jamniki – by dało się nad nimi zapanować – powiedziała.

Nie powiedziałam jej, że czytałam o Ilii Iwanowyczu Iwanowie, który w latach dwudziestych kilkakrotnie próbował stworzyć ludzko-szympanią hybrydę, nieuchwytnego szymp-człowieka.

Zapładniał szympanse ludzką spermą, choć jego pierwsze próby były z odwrotną kombinacją – ludzkie matki, szympania sperma. To marzenia, które czynią nas ludźmi, mamó. Też poproszę tę cykute, jak już się jej napijesz.

\* \* \*

Mówi mama:

Gdy Fern się obudziła, to naprawdę się obudziła. Kręciła się jak bąk. Jaśniała jak promień słońca. Huśtała się po całym domu jak miniaturowy kolos. Pamiętasz, jak tata nazywał ją MegaWirówką? Wraz z nią mieliśmy w domu nieustający karnawał, z wszystkimi jego barwami i odgłosami.

Gdy trochę podrosłaś, byłyście z Fern niezłą załogą. Ona otwierała kredens, a ty wyciągałaś wszystkie garnki, wszystkie patelnie. Ona bez trudności w sekundę otwierała wszystkie blokady przeciwko dzieciom, ale nie miała twojej wytrwałości. Pamiętasz jej obsesję na temat sznurówek? Zawsze się potykaliśmy, bo Fern niepostrzeżenie rozwiązywała nam buty.

Właziła do szaf, ściągała płaszcze z wieszaków i zrzucała je na dół do ciebie. Wyciągała drobne z mojej portmonetki, żebyś mogła je sobie possać. Wyciągała z szuflad i dawała ci szpilki i igły, nożyczki i noże.

\* \* \*

– Nie martwiłaś się, jakie to może mieć skutki? – zapytałam. Nalałam sobie kolejny kieliszek wina, na wzmocnienie; nie oczekiwałam, że istnieje odpowiedź na to pytanie, którą zdolna byłabym przyjąć na trzeźwo. – Oczywiście, że się martwiłam – odpowiedziała. – Cały czas się martwiłam. Ale ty uwielbiałaś Fern. Byłaś tak bardzo, bardzo szczęśliwym dzieckiem.

– Naprawdę? Nie pamiętam tego.

– Oczywiście! Martwiłam się, jaki wpływ może mieć na ciebie bycie siostrą Fern, ale też chciałam, byś tego doświadczyła.

Światło świec rzucało na ścianę kuchni ruchome cienie. Wino było czerwone. Mama upiła kolejny łyk i odwróciła swoją lekko obwisłą twarz ode mnie. – Chciałam, żebyś miała niezwykle życie – powiedziała.

\* \* \*

Mama wygrzebała dla mnie pierwszy film wideo z wielu, jakie nakręcili doktoranci. Było mnóstwo tych filmów – to dlatego ciągle trzymaliśmy w domu odtwarzacz VHS, długo po tym, jak wy wszyscy pozbyliście się swoich. Pierwsze

ujęcie to wspinaczka po schodach domu na farmie. Towarzyszy mu ścieżka dźwiękowa ze *Szczęk*. Otwierają się drzwi mojej sypialni i słychać krzyk.

Kamera zwraca się ku mnie i Fern. Siedzimy obok siebie na moim fotelu-worku wypełnionym fasolą. Przyjęłyśmy identyczną postawę, z ramionami zakrzywionymi poniżej szyi, twarzą podpartą dłońmi. Obie mamy ugięte kolana i trzymamy jedną nogę skrzyżowaną na drugiej, tak że jedna stopa spoczywa na podłodze, a druga wisi w powietrzu. Wcielenie zadowolenia i spełnienia.

W pokoju wokół panuje totalny rozgardiasz. Jesteśmy Rzymianami siedzącymi na ruinach Kartaginy, Merrym i Pippinem w Isengardzie. Gazety porwane w strzępy, ubrania i zabawki porozrzucane, jedzenie rozsypane i podeptane. Kanapka z masłem orzechowym starannie roztarta na narzucie łóżka, firanki pomazane flamastrami. Wokół naszych figurek uwijają się doktoranci, sprzątając ten bałagan. Gdy tak pracują, na ekranie widać spadające kartki kalendarza.

Kiedyś będziemy mogły włączyć to wideo do książki. W tej użyłyśmy zdjęć z albumów z dzieciństwa, próbując ułożyć z nich listę rzeczy pierwszych: pierwsze kroki, pierwsze zęby, pierwsze słowo i tak dalej – w jakąś bardziej spójną historię. Włączyłyśmy do kolekcji fotografię Fern w jednym z kapeluszy babci Donny. I to, na którym przytrzymuje jedzone jabłko stopami. I jeszcze inne, na którym ogląda w lustrze swoje zęby.

Każdy album zawiera zestaw zbliżeń twarzy – studia stanów ducha. Dobieramy je tak, by można było skontrastować wyraz danego uczucia na twarzy dziecka i szympansa. Oto ja, rozbawiona, pokazująca wszystkie zęby; obok Fern, jej górna warga naciągnięta na górne zęby. Kiedy ja płaczę, moja twarz się zaciska. Czoło się marszczy, usta otwierają szeroko; łzy płyną mi po twarzy. Na fotografii płacząca Fern ma także otwarte usta, ale odrzuca głowę w tył i zamyka oczy. Jej twarz jest sucha.

Nie widzę specjalnej różnicy między moją fotografią podpisaną jako „szczęśliwa” i tą z naklejką mówiącą „podekscytowana”. Z Fern to dużo łatwiejsze. Na pierwszym zdjęciu jej usta są otwarte, na drugim ściągnięte w ciup. Jej szczęśliwe czoło jest gładkie; podekscytowane – głęboko zmarszczone.

Fern zawsze wciskała się w kadr, gdy mnie robiono zdjęcia. Oto ja w ramionach babci Frederiki; Fern siedzi w dole, chwytając ją za nogę. Na innym zdjęciu siedzę na huśtawce dla niemowląt; Fern dynda z krzyżaka nade mną. Tu siedzimy przytulone do naszego teriera Tamary Press – wszystkie małe zwierzątka z domu na farmie ściśnięte w jednym rzędku. Obie z Fern zanurzamy palce w futro Tamary, chwytając włosy w pięści. Suka patrzy w obiektyw łagodnie, jakby to, co robimy z miłością w serduszkach nie sprawiało jej żadnego bólu.

Tu na pikniku z tatą, nad jeziorem Lemon Lake. Ja zapięta w nosidełku BabyBjörn, plecy przyklejone do jego piersi, twarz zgnieciona paskami. Fern siedzi

w plecaku. Wygląda zza jego ramienia, z dzikim wzrokiem i zmierzwionym włosom.

Wiersze w albumach wpisane zostały ręką matki, ale poeci byli ulubieńcami ojca – Kobayashi Issa i Emily Dickinson. Kiedy czytałam te dzienniki po raz pierwszy, w studenckim pokoiku w 1997 roku, zauważyłam, że przy całej rygorystycznej ojcowej niechęci do antropomorfizmu trudno byłoby mu znaleźć dwa wiersze, które miałyby większą zawartość cech ludzkich w Lowellowej skali pokrewieństwa. Dodatkowe punkty za insekty.

Issa

Stój, nie zabijaj muchy!

Patrz, jak do ciebie się modli

Pocierając czułki rąk i nóg.

Dickinson

Pszczółko ma! Oczekuję ciebie!

Zaledwie Wczoraj powiedziałam

Komuś, że wielki czas na niebie

Byś znów przybyła –

Tydzień już od powrotu Żab –

Rozsiadły się, ich praca wre –

Ptaki, większość z nich, także tu, i roślinie

Koniczyny ciepły, gęsty łan –

Mój list otrzymasz w kilka dni

Odpowiedz więc; lub lepiej – gdy

przeczytasz go, przybywaj wraz.

Pozdrawiam, Mucha

2012.

Rok Wodnego Smoka.

Rok wyborów w Stanach; jakby trzeba nam było o tym przypomnieć, orkiestra wojskowa Ayn Rand pobekuje z radia. Zaś na globalnym poziomie – *Dämmerung* dinozaurów. Ostatni akt: zemsta zwycięskich ssaków. Gdyby głupota była paliwem, wystarczyłoby go na zawsze. Tymczasem religijni fanatycy w kraju i za granicą wykorzystują każdą chwilę przed bliskim końcem świata, zajęci są unicestwianiem jakiegokolwiek nadziei na choćby najbardziej efemeryczne szczęście.

Ale moje życie ma się dość dobrze. Nie mogę narzekać.

\* \* \*

Mama i ja mieszkamy teraz w Vermillion w Dakocie Południowej. Wynajmujemy niepozorną kamieniczkę, mniejszą nawet od domu z powietrza i kamienia. Tęsknię do łagodnych zim w Bloomington i jeszcze łagodniejszych, północnokaliifornijskich, ale Vermillion jest miasteczkiem uniwersyteckim i dosyć

przyjemnym.

Przez ostatnie siedem lat byłam nauczycielką w przedszkolu należącym do szkoły podstawowej Addison Elementary, co najbardziej z wszystkich dotychczasowych doświadczeń przypomina życie z gromadą szympansów. Kitch miała rację. Więcej, wygłosiła prorocze słowa. Jestem w tym dobra. Szczególnie w odczytywaniu mowy ciała, a już zwłaszcza u małych dzieci. Patrzę i słucham moich podopiecznych i zaraz wiem, co czują, co myślą, co mówią – a co najważniejsze, co knują.

Moje dawne przedszkolne zachowania, tak okropne, gdy sama byłam przedszkolakiem, są najwyraźniej całkiem do przyjęcia dla nauczycielki. Co tydzień próbujemy nauczyć się nowego słowa, którego rodzice moich podopiecznych nie znają: dzieciaki podchodzą do tego zadania z entuzjazmem. W zeszłym tygodniu tym łowem było „owocożerny”. W tym – „afektowany”. Przygotowuję ich do testów SAT.

Staję na krześle, jeśli chcę zwrócić ich uwagę. Gdy siedzimy na podłodze, wspinają mi się na kolana i przeczesują palcami moje włosy. Kiedy przybywają urodzinowe ciastka, witamy je tradycyjnym szympansim pohukiwaniem obiadowym.

Mamy cały protokół na temat właściwego szympansiego savoir-vivre'u. Mówię im, że gdy odwiedzają szympansią rodzinę, powinni się schylić, by wyglądać na mniejszych, żeby nie wprawiać gospodarzy w niepokój. Pokazuję im, jak na migi powiedzieć „przyjaciel”. Jak się uśmiechać, zakrywając zęby górną wargą. Gdy robimy zdjęcie klasowe, proszę fotografa o dwie wersje – jedna jest dla rodziców, druga klasowa, dla nas. Na tej klasowej wszyscy robimy przyjazną szympansią minę.

Przećwiczywszy nasze dobre maniery, idziemy na wycieczkę do Laboratorium Uljevika, które teraz nosi nazwę Centrum Studiów nad Komunikacją Naczelną. Wchodzimy rzędkiem do pokoju dla gości; między nami a szympansami jest kuloodporna szyba.

Czasem szympansy nie mają ochoty na gości i okazują to, biegnąc w stronę ściany, rzucając się na nią całym ciałem i zderzając z nią z głośnym hukiem, aż szyba dygoce w ramie. Jeśli tak się dzieje, odchodzimy i wracamy innym razem. Centrum jest ich domem. One decydują, kto przychodzi.

Mamy jednak w klasie także dostęp do Skype'a. Zostawiam program otwarty przez cały poranek, tak że moi podopieczni mogą w każdej chwili sprawdzić, co tam u szympansów – i vice versa. W centrum zostało tylko sześć szympansów. Trzy są młodsze od Fern: Hazel, Bennie i Sprout. Dwa są starsze, obydwa samce – Aban i Hanu. Tak więc Fern nie jest ani największa, ani najstarsza, ani najbardziej męska. Pomimo tego z moich obserwacji wynika, że ma w stadzie wysoki status. Widziałam Hanu w goście szympansiej suplikacji – wyciągnięte ramiona

z oklapłymi nadgarstkami – do Fern, a nigdy nie widziałam Fern wykonującej ten gest w drugą stronę. No i tak, doktorze Sosa.

Moje przedszkolaki bardziej lubią moją siostrzenicę Hazel niż moją siostrę. Najbardziej z wszystkich lubią najmłodszego, pięciolatka Sprouta. Sprout nie jest krewnym Fern, ale przypomina mi ją z dawnych czasów bardziej niż ona sama. Widzimy mniej starszych szympansów, więcej łagodnych młodych. Fern zrobiła się ciężka i powolna. Życie ją zmęczyło.

Moje przedszkolaki mówią, że Fern jest trochę niedobra, ale jak na moje oko, po prostu jest dobrą matką. Zawiaduje całym życiem społecznym w centrum i nie toleruje żadnych bzdur. Jeśli wydarza się jakaś awantura, to ona wkracza, by ją przerwać, i zmusza wszystkich, by pogodzili się i uściskali.

Czasami nasza własna mama pojawia się w drugim oknie Skype'a i mówi mi, żebym coś kupiła w drodze do domu albo przypomina, że jestem umówiona do dentysty. Codziennie pracuje w centrum jako ochotniczka. Jej obecnym zadaniem jest dopilnowanie, by Fern dostała jedzenie, które lubi.

Kiedy mama przyszła do centrum po raz pierwszy, Fern nie chciała nawet na nią spojrzeć. Usiadła tyłem do szyby i nie odwróciła się, by zobaczyć, co mama i Hazel do siebie mówią. Mama upiekła ciastka z masłem orzechowym, niegdyś ulubione przez Fern, ale ta odmówiła jedzenia, kiedy je przyniesiono. – Nie poznaje mnie – mówiła mama, ale moim zdaniem dowody wskazywały na coś całkiem przeciwnego. Fern nie odmówiłaby jedzenia ciastek z masłem orzechowym bez powodu.

Gdy mama po raz pierwszy przyniosła szympansom lunch – było specjalne okienko do podawania go, na tyle duże, by zmieścić wsuwaną do środka tacę – Fern już na nią czekała. Złapała mamę za rękę. Jej uchwyt był na tyle mocny, by sprawić ból; mama kilkakrotnie prosiła, by zwolniła uścisk, ale Fern nie dawała żadnych znaków świadczących, że słyszała, co się do niej mówi. Nadal była niewzruszona i władcza. Mama musiała ją ugryźć, by wreszcie puściła.

Zmiękła po następnych kilku wizytach. Teraz komunikuje się z mamą na migi i zawsze sprawdza, gdzie ona się podziała – uważa na nią bardziej niż na kogokolwiek innego. Trzyma się jej tak blisko jak tylko może, gdy mama jest na zewnątrz, a Fern w środku. Zjada jej ciasteczka. W albumie dziecięcym Fern jest fotografia z kuchni w domu na farmie: Fern i ja siedzimy przy stole, każda oblizuje trzepaczkę. Fern obgryza swoją jak udko kurczaka.

Kiedyś zastanawiałam się, co powiem, jeśli Fern zapyta mnie o Lowella lub tatę. Gdy dziadek Joe wylądował w domu pogodnej starości, bez przerwy musieliśmy mu przypominać, że tata nie żyje; pięć minut później i tak pytał nas znowu, głosem pełnym niepokoju, co takiego zrobił, że jego jedyny syn już go nie odwiedza. Fern jednak nigdy nie wspominała o żadnym z nich.

Czasami moje przedszkolaki i szympansy robią coś wspólnie – albo gdy



przychodzimy z wizytą, albo przez Skype'a. Malujemy palcami. Pokrywamy arkusz papieru pastą i brokatem. Lepimy gliniane talerze, poznaczone naszymi odciskami palców. Centrum urządza imprezy dobroczynne, podczas których sprzedaje się obiekty zrobione przez szympansy. W domu mamy na ścianie kilka malunków zrobionych przez Fern. Mój ulubiony przedstawia ptaka, ciemny łuk na jasnym niebie: ani śladu klatki, która mogłaby go więzić – lub krępować malującą go artystkę.

Centrum posiada całe półki filmów wideo, czekających na analizę – w stosunku do zebranych danych badacze są spóźnieni z analizami o całe dekady. Stąd sześć szympansów, które pozostały w ośrodku, przeszło na emeryturę od udziału w badaniach naukowych. Nasza obecność jest mile widziana, bo dostarczamy im rozrywki i stymulacji – no i nikt się nie martwi, że nasze pojawienie się może zaciemnić rezultaty badań.

Jakkolwiek szóstka szympansów ma najlepszą z możliwych opiekę, trudno zazdrościć im żywota. Potrzebują więcej przestrzeni w budynku i powinny jak najwięcej przebywać na zewnątrz. Potrzeba im ptaków, drzew, strumieni pełnych żab, chóru owadów, całej nieposkromionej przez człowieka natury. Potrzeba im w życiu więcej niespodzianek.

Nocami leżę, nie śpiąc, i fantazjuję, tak jak niegdyś o domku na drzewie, gdzie chciałam mieszkać z Fern – ale tym razem projektuję dom dla ludzi: coś jak budka strażnicza, ale większa – z czterema sypialniami i dwiema łazienkami. Drzwi wejściowe są także jedynym wejściem na rozległy teren wybiegu. Tylne ściana jest cała z kuloodpornego szkła i otwiera widok na osiem hektarów – a może i więcej – porośniętych dereniem, sumakiem, nawłocią i trującym bluszczem. W mojej fantazji to ludzie są zamknięci w domu, a szympansy biegają wolno po całym terenie, wśród nich szóstka z centrum, ale także inne, może nawet moi siostrzeńcy Basil i Sage. Co oczywiście wskazuje, że to tylko marzenie: wprowadzanie do naszej małej społeczności dwóch dorosłych samców byłoby fatalnym i niebezpiecznym pomysłem.

W ostatnich latach w wiadomościach słyszało się raporty o okropnych atakach szympansów na ludzi. Nie boję się Fern. Mimo to rozumiem, że my dwie nigdy więcej się nie dotkniemy, nigdy nie usiądziemy, obejmując jedna drugą, nigdy nie będziemy chodzić razem, jakbyśmy były jedną osobą. To wymarzone schronisko – odgrodzone elektrycznym płotem od zewnętrznego świata i podzielone wewnątrz kuloodporną ścianą – jest najlepszym rozwiązaniem, jakie przychodzi mi do głowy.

\* \* \*

Koszt tego będzie dużo większy, niż wynosi pensja przedszkolanki. To mama wpadła na pomysł opublikowania swoich dzienników jako książki dla dzieci. To ona jest autorką tekstu i to ona wykonała większość pracy przy przygotowaniu

ostatecznej wersji, ale Fern i ja jesteśmy żartobliwie wymienione na okładce jako współautorki. Cały dochód z publikacji popłynie bezpośrednio do centrum w Vermillon, zasilając fundusz przeznaczony na powiększenie wybiegu dla szympansów.

W każdym egzemplarzu książki będzie też ulotka zachęcająca do darowizny.

Nasz wydawca jest entuzjastyczny i pełen optymizmu. Datę wprowadzenia na rynek wyznaczono w okolicach początku moich letnich wakacji. Dział *public relations* oczekuje, że media zainteresują się tym wydarzeniem. Kiedy za dużo o tym wszystkim myślę, wpadam w panikę i mam nadzieję, że te media to będą raczej papierowe publikacje niż radio, i radio raczej niż telewizja; samolubnie mam nadzieję, że nie będzie żadnych próśb o wywiady i wystąpienia.

Część z tego wywodzi się ze znanego mi doskonale lęku przed wystawieniem się na publiczny widok. Przeraza mnie myśl, że z nadejściem lata koniec z ukrywaniem się, koniec z uciekaniem. Każdy – od fryzjerki, która obcina mi włosy, po królową brytyjską – będzie mógł się dowiedzieć, kim jestem.

Oczywiście nie prawdziwa wersja mnie, tylko ta podretuszowana, łatwiejsza dla marketingu, bardziej przystępna i sympatyczna. Ta, która jest przedszkolanką – nie ta, która nigdy nie będzie mieć dzieci. Ta, która kocha swoją siostrę – nie ta, która sprawiła, że wygnano ją z domu. Nie mam jeszcze pojęcia, jak mogę uczciwie pozostać sobą. Ale może tak naprawdę nigdy nie jest się prawdziwym sobą.

Kiedyś myślałam, że małpiata jest zagrożeniem tylko dla mnie. Teraz widzę, że może rozwalić całą imprezę. Tak więc do starego lęku przed wystawieniem się na publiczny widok dochodzi nowy – że przeszarżuję, że pokażę więcej mojej małpiatości niż potrzeba. Nic nie wskazuje na to, byście byli w stanie kochać mnie bez względu na to, co zrobię. Może się zdarzyć, że wyląduję tam, gdzie byłam w gimnazjum, może tym razem bez korytarzy i klas, ale za to z blogami i tabloidami.

Udawajmy, że jestem w telewizji. I że prezentuję swoje najlepsze ludzkie maniery. Nie będę się wspinać na stoły ani skakać po kanapach – mimo że ludziom zdarzało się wcześniej robić takie rzeczy w telewizji i nie zostali za to skreśleni z listy ludzkiego gatunku. Będziecie myśleć sobie: to bez sensu, ona wygląda tak kompletnie normalnie, w pewnym świetle może nawet jest ładna – a jednak... Coś z nią jest nie tak. Trudno powiedzieć dokładnie co...

Wystraszę was trochę powiewem „doliny niesamowitości”, jaki ode mnie emanuje. Albo rozzłoszczę was – często mi się to zdarza. Cokolwiek się stanie, nie wińcie za to Fern. Na pewno lubilibyście Fern.

Wolałabym, żeby to mama mogła występować w mediach, a nie ja, ale ona nie może być zaprezentowana jako niewinna ofiara. Na nią publiczność w studiu by krzyczała.

Oto więc ludzka połowa Duetu Sióstr z Bloomington, fantasmagoryczna Rosemary Cooke, wyrusza w świat ze swym cyrkiem. Cokolwiek powiem publicznie, ma służyć mojej siostrze. Będę ogólnie szanowana. Fern zyska ogromne poparcie i wpływy. Taki jest plan.

Taki był plan.

Jeśli zaś nie będziecie mnie słuchać...

Oto życie mojej siostry w interpretacji Madame Defarge:

Dawno, dawno temu była sobie rodzina: mama, tata, syn i dwie córeczki. Starsza siostra była mądra i wesoła, porośnięta futrem i bardzo piękna. Młodsza była zupełnie zwyczajna. Mimo to brat, tata i mama kochali je obydwie.

*Mon Dieu!* Pewnego dnia starsza córka wpadła w sidła wstrętnego króla. Ten zamknął ją w więzieniu, gdzie nikt nie mógł jej odwiedzać. Uwięził ją tam zaklęciem. Codziennie powtarzał jej, jaka jest brzydka. Zły król w końcu umarł, zaklęcie pozostało w mocy.

Tylko ludzie mogą je odczytać. Muszą przyjść i zobaczyć, jaka jest piękna. Muszą wdrzeć się do więzienia i zażądać, by ją uwolniono. Zaklęcie przestanie działać tylko, jeśli ludzie się ruszą... Więc ruszcie się nareszcie!

\* \* \*

Piętnastego grudnia 2011 roku „The New York Times” poinformował, że Narodowy Instytut Zdrowia (NIH) wstrzymał dotacje na badania z zakresu studiów biomedycznych i behawioralnych prowadzone na szympanсах. W przyszłości eksperymenty na szympanсах otrzymają dofinansowanie NIH jedynie, jeśli będą kluczowe dla ludzkiego zdrowia i niemożliwe do przeprowadzenia w inny sposób. Jedynymi projektami, dla których zrobiono wyjątek, są toczące się już badania nad odpornością i żółtaczką typu C. Mimo to podstawową konkluzją raportu było, że eksperymenty na szympanсах są kompletnie zbędne.

Małe zwycięstwa. Fern i ja uczułyśmy tę wiadomość szampanem. Ojciec zawsze dawał nam łyżek w sylwestra. Fern zawsze od tego kichała.

Ciekawa jestem, czy ona to pamięta. Wiem, że na pewno nie pomyliłaby tej małej fety z Nowym Rokiem. W centrum obchodzi się wszystkie święta, a Fern zawsze wiedziała, w jakiej kolejności nadchodzą: Dzień Przebierańców, po nim Dzień Indyka. Najpierw Dzień Słodkiego Drzewka, potem Dzień Bez Ciszy Nocnej.

Dużo myślę o tym, co Fern pamięta. Lowell: *Rozpoznała mnie natychmiast.*  
Mama: *Ona mnie nie zna.*

Badania przeprowadzone na uniwersytecie w Kyoto wskazują, że szympansy mają lepszą pamięć krótkotrwałą. I to znacznie, znacznie lepszą. Są w tym zakresie w zupełnie innej lidze niż my.

Dużo trudniej jest badać pamięć długoterminową. W 1972 roku Endel Tulving sformułował termin „pamięć epizodyczna” dla opisanie umiejętności zapamiętywania incydentów z własnego życia z dużą ilością detali temporalnych i przestrzennych (co, kiedy, gdzie) i przywoływania ich później jako epizodów

świadomie przeżywanych na nowo, jak w swego rodzaju podróży w czasie.

W 1983 roku Tulving napisał: „Inni przedstawiciele królestwa zwierząt potrafią się uczyć, czerpać korzyści z doświadczenia, dostosowywać się i adaptować, rozwiązywać problemy i podejmować decyzje – ale nie potrafią podróżować wstecz we własnej pamięci”. Stwierdził, że pamięć epizodyczna jest wyłącznie ludzkim darem.

Skąd ta jego pewność – dokładnie nie wiadomo. Mam wrażenie, że za każdym razem, gdy rodzaj ludzki ogłasza, że coś czyni go wyjątkowym – nasza nieopierzona dwunożność, nasze używanie narzędzi, nasz język – pojawia się jakiś inny gatunek i odbiera nam palmę pierwszeństwa. Jeśli skromność leżałaby w ludzkiej naturze, z upływem lat nauczylibyśmy się być nieco bardziej ostrożni.

Pamięć epizodyczna odznacza się pewnymi elementami subiektywnymi. Wiąże się z czymś zwanym „odczuciem przeszłości” – a także z mocną wiarą w dokładność własnej pamięci, jakkolwiek byłaby ona błędna. Te cechy charakteru nie zostały zaobserwowane u innych gatunków. Co nie dowodzi, że inne gatunki ich nie posiadają. Ani że jest przeciwnie.

U innych gatunków obserwuje się dowody na funkcjonowanie pamięci epizodycznej – zatrzymywanie wiedzy o „co, gdzie, kiedy” dotyczących osobistego doświadczenia. Szczególnie przekonujące są dane na ten temat zebrane w badaniach nad modrowronkami.

Ludzie nie najlepiej radzą sobie z zapamiętywaniem „kiedy” – choć doskonale idzie im z pamiętaniem „kto”. Przypuszczam, że szympany, które są takie uspołecznione, mogą mieć podobnie.

Czy Fern nas pamięta? Czy też pamięta nas, ale nie rozpoznaje w nas ludzi, których pamięta? Z pewnością nie wyglądamy tak, jak kiedyś; nie wiem, czy Fern zdaje sobie sprawę z tego, że dzieci dorastają i ludzie starzeją się tak samo jak szympany. Nie mogłam znaleźć żadnych badań wskazujących na to, że szympanś może pamiętać coś przez dwadzieścia dwa lata.

Mimo to wierzę, że Fern wie, kim jesteśmy. Dowody na to są przekonujące, jeśli nie niezbite. Jedynie perfekcjonistyczny duch mojego ojca powstrzymuje mnie od upierania się przy tym twierdzeniu.

W lutym tego roku pani od promocji zadzwoniła, żeby podzielić się zaskakującą i niezbyt przez mnie pożądaną informacją, że od rana wszystkie najważniejsze media dzwonią do niej, prosząc o wywiady. Wyrecytowała łańcuszek znanych nazw i nazwisk:

– Charlie Rose, Jon Stewart, Barbara Walters, *The View*.

Powiedziała, że wydawca zastanawia się nad wcześniejszą premierą; co ja o tym myślę? Czy dałabym radę ze swojej strony? Jej ton był dziwnie zgaszony mimo tak świetnych wieści. Stąd się dowiedziałam, że w końcu aresztowano Lowella.

Złapano go w Orlando, gdzie miał już teczkę policyjną wielkości co najmniej *Wojny i pokoju*, a teraz oskarżono go dodatkowo także o planowanie ataku na park morski SeaWorld. Policja twierdziła, że zapobiegła mu w ostatniej chwili.

Niezidentyfikowana kobieta, współniczka, nadal pozostawała na wolności.

\* \* \*

To Fern była powodem, dla którego mama i ja postanowiłyśmy opublikować dzienniki. Wzięte jako całość, dwa z dzienników mamy są słodką i uroczą książeczką dla dzieci. „Fern i Rosemary są siostrami. Mieszkają razem w wielkim domu na wsi”. W tej historii nie ma kobiet powiązanych jak indyk na pieczyste i żadnym kotkom nie dzieje się krzywda. Wszystko w nich to prawda, sama prawda i tylko prawda – ale nie cała prawda. Jest tej prawdy akurat tyle, ile naszym zdaniem dzieci mogą chcieć wiedzieć, i tyle, ile potrzebuje jej Fern.

Ale to nie dość prawdy dla Lowella.

To więc jest historia dla niego. I także dla Fern, znowu Fern, zawsze Fern.

Mój brat i siostra wiedli niesamowite życie, ale nie byłam przy tym, więc nie mogę wam opowiedzieć tej części. Wszystko, co mam do opowiedzenia, dotyczy mojej części – i tak już zostanie, choć przecież jednocześnie wszystko, co mówię, dotyczy ich dwojga. Jest jak obrys kredą wokół miejsca, gdzie powinni być. Trójka dzieci, jedna opowieść.

Jedynym powodem, dla którego to ja opowiadam, jest to, że jako jedyna nie siedzę zamknięta w klatce.

Spędziłam większość życia, próbując nie mówić o Fern, o Lowellu i o mnie. Zajmie mi trochę, zanim dojdę w tym do wprawy i płynności. Myślcie o wszystkim, co do tej pory powiedziałam, jako o wprawce.

Ta rodzina naprawdę potrzebuje dobrego mówcy.

\* \* \*

Nie będę się tu upierać, że Lowell jest niewinny. Wiem, że myślał o fabryce orek, jaką jest SeaWorld, jako o bezdusznym potworze. Wiem, że uważał, iż trzeba

powstrzymać SeaWorld, zanim znów zabije. Myślę też, że nie poprzestał na samej myśli o tym.

Podejrzewam więc, że oskarżenia nie są bezpodstawne, chociaż „atak na SeaWorld” może oznaczać bombę, ale także graffiti i brokat albo pacnięcie komuś w twarz ciastem z bitą śmietaną. Rząd nie zawsze potrafi odróżnić jedno od drugiego.

Co nie oznacza, że Lowell nie planował dokonać znacznych szkód. Dawno, dawno temu Lowell powiedział mi, że jedynym językiem, jaki rozumieją ludzie, jest mowa pieniądza. Kto chce komunikować się z ludźmi, musi się go nauczyć. Chcę tu tylko przypomnieć, że ALF nie praktykuje robienia krzywdy zwierzętom, w tym także ludziom.

Czasem żałuję, że Lowella nie schwytano wcześniej. Żałuję, że nie wydałam go sama w 1996 roku, kiedy lista zarzutów przeciw niemu była krótsza, a nasz kraj bardziej przypominał demokrację. Podejrzewam, że i wtedy trafiłby do więzienia, ale dziś już byłby wolny i z powrotem w domu. W 1996 roku nawet ci obywatele, których oskarżano o terroryzm, mieli prawa gwarantowane przez konstytucję. Lowell spędził trzy miesiące w areszcie i do tej pory nie widział się z adwokatem. Jest w kiepskiej kondycji psychicznej.

A przynajmniej tak słyszę. Mamie i mnie także nie pozwolono go odwiedzić. Widziałam parę aktualnych zdjęć w prasie i w Internecie. Lowell wygląda na terrorystę w każdym calu. Rozczochrane włosy, zwichrzona broda, zapadnięte oczy. Spojrzenie Unabombera. Czytałam, że od momentu aresztowania nie wypowiedział ani słowa.

Wszyscy są zaskoczeni jego milczeniem, ale dla mnie jego powody są kompletnie oczywiste. Gdy ostatni raz go widziałam, szesnaście lat temu, był już połowicznie w tym stanie. Lowell zdecydował się stanąć przed sądem jako zwierzę. I to nie ludzkie zwierzę.

Zwierzęta nie będące ludźmi stawały już wcześniej przed sądem. Niewątpliwie pierwszą akcją ALF w Stanach Zjednoczonych było uwolnienie dwóch delfinów z University of Hawaii w 1977 roku. Odpowiedzialni za to ludzie zostali oskarżeni o kradzież z włamaniem. Pierwotna linia obrony – że delfiny to osoby (jak to ujął jeden z oskarżonych, „ludzie w kostiumach delfinów”), została szybko odrzucona przez sędziego. Nie jest dla mnie jasne, jakiej definicji osoby trzymają się sądy. Najwyraźniej definicja ta odsiewa delfiny, ale pozwala się załapać korporacjom.

W 2007 roku w Wiedniu wniesiono do sądu sprawę na rzecz Matthiasa Hiasła Pana, szympansa. Casus trafił aż do austriackiego Sądu Najwyższego, który orzekł, że Matthias jest rzeczą, nie osobą – choć sąd wyraził ubolewanie wobec braku oddzielnej, trzeciej kategorii, ani osoby, ani rzeczy, do której można byłoby go zakwalifikować.

Nie-ludzkie zwierzę potrzebuje dobrego prawnika. W 1508 roku Bartholomé Chassenée zyskał sławę i pieniądze z powodu swej elokwentnej obrony szczurów żyjących w granicach jego prowincji we Francji. Szczury zostały oskarżone o zniszczenie całych plonów jęczmienia oraz o zignorowanie wezwania do stawienia przed sądem. Chassenée jako ich obrońca skutecznie argumentował, że szczury nie stawiały się na rozprawę dlatego, iż sąd nie zapewnił im po drodze niezbędnej ochrony przed wiejskimi szczurami.

Rozmawiałam niedawno z mamą Todda – myślę, że zgodzi się reprezentować Lowella. Interesuje ją sprawa, ale niesie mnóstwo komplikacji i najprawdopodobniej potrwa długo. Potrzeba na to masę pieniędzy.

Zawsze pieniądze.

W *Utopii* Tomasza Morusa nie ma pieniędzy ani też własności prywatnej – to są rzeczy zbyt szpetne dla Utopian, których należy chronić przed brzydszymi aspektami życia. Zapoletowie, sąsiednie plemię, walczy za nich w niektórych wojnach. Niewolnicy zarzynają dla nich zwierzęta. Morus obawia się, że gdyby Utopianom przyszło to robić własnymi rękami, utraciliby swe delikatne uczucia i pełne miłosierdzia współczucie. Zapoletowie, jak nas zapewnia autor, uwielbiają zabijać i gwałcić, ale nie zagłębia się we wpływ zarzynania zwierząt na psyche niewolników. Żadna Utopia nie jest Utopią dla wszystkich.

I tu znów wracamy do Lowella. Przez dziesięciolecia był szpiegiem na przemysłowych farmach, w laboratoriach firm kosmetycznych i farmaceutycznych. Widział rzeczy, których nikt nie chce widzieć i robił rzeczy, do których nikt nie powinien być zmuszony. Poświęcił swoją rodzinę, przyszłość, a teraz także swoją wolność. Nie jest najgorszym z ludzi, chociaż Morus chciałby właśnie tak go widzieć. Życie Lowella jest rezultatem jego najlepszych cech – empatii, współczucia, lojalności i miłości. Trzeba to dostrzec i docenić.

To prawda, że w miarę jak rósł, stawał się bardziej niebezpieczny, tak samo jak moja siostra. Ale oboje wciąż są nasi i chcemy, by do nas wrócili. Są potrzebni tu, w domu.

\* \* \*

Środek tej historii okazuje się czymś dużo bardziej arbitralnym, niż mi się wydawało jako dziecku. W zasadzie można go umieścić, gdzie się chce. Podobnie jak jej początek i koniec. Rzecz jasna, ta historia jeszcze się nie kończy, ciągle się dzieje. W tym miejscu kończę tylko opowiadać o niej.

Zakończę opisem czegoś, co zdarzyło się już jakiś czas temu. Opowiem, jak po raz pierwszy zobaczyłam moją siostrę, z którą rozdzielono mnie dwadzieścia dwa lata wcześniej.

Nie jestem w stanie wypowiedzieć, jak się czułam, słowa są tu całkowicie niewystarczające. Musielibyscie wejść w moje ciało, by zrozumieć to wszystko. Ale oto, co zrobiłyśmy:



W tym momencie mama odwiedzała Fern już od jakichś dwóch tygodni. Postanowiłyśmy, że nie będziemy szły obie naraz, żeby jej nie przytłoczyć nadmiarem emocji, więc czekałam. Gdy mama spotkała się z tak chłodnym przyjęciem, czekałam jeszcze dłużej. Kilka dni po tym, jak Fern i mama zaczęły się komunikować na migi, mama powiedziała jej, że przyjdę.

Posłałam jej kilka rzeczy przed przyjściem: mojego starego pingwina Dextera Poindextera, bo mogła go pamiętać; sweter, który nosiłam tak często, że musiał przesiąknąć moim zapachem, i jeden czerwony pokerowy żeton.

Kiedy w końcu przyszłam, miałam z sobą drugi taki żeton. Weszłam do pokoju gości. Fern siedziała daleko przy ścianie, patrząc na magazyn. Poznałam ją najpierw po uszach, okrągłych i umieszczonych na głowie wyżej niż u większości szympansów.

Skłoniłam się uprzejmie i podeszłam do rozdzielającej nas szyby. Gdy podeszłam i wiedziałam, że patrzy, pokazałam na migi jej imię, a potem nasz znak na Rosemary. Przycisnęłam do kuloodpornej szyby dłoń, z żetonem pośrodku.

Fern wstała ciężko i podeszła do mnie. Położyła swoją wielką dłoń naprzeciw mojej, z lekko przygiętymi palcami, drapiąc, jakby chciała sięgnąć i wziąć żeton. Wolną ręką znów pokazałam moje imię; odpowiedziała swoim, ale nie mogłam stwierdzić, czy mnie pamięta, czy tylko próbuje być uprzejma.

A potem oparła czoło o szybę. Zrobiłam to samo – stałyśmy tak przez bardzo długą chwilę, twarzą w twarz. Z tego punktu mogłam widzieć tylko zmasane przez łzy, rozpływające się fragmenty

jej oczy

jej rozszerzone nozdrza

rzadkie włosy na jej podbródku i okalające uszy

leciutkie wznoszenie się i opadanie jej krągłych ramion

jej oddech malujący obłok na szybie i znikający z niej

Nie wiem, co myślała czy czuła. Jej ciało stało się dla mnie nieznajome. Jednocześnie jednak rozpoznawałam w niej wszystko. Moja siostra, Fern. Mój jedyny czerwony żeton na calutkim świecie. Jakbym spoglądała w lustro.

## PODZIĘKOWANIA

Wielu, wielu osobom należą się tu wielkie dzięki.

Dziękuję Tatu, Dar, Loulis i ludzkim zwierzętom z Chimpanzee and Human Communication Institute w Ellensburgu, stan Washington.

Dziękuję cudownym ludziom z Hedgebrook Retreat, personelowi i tym, co jak ja tam się zatrzymali; wszyscy oni udzielali mi wsparcia lub zostawiali w spokoju dokładnie wtedy, kiedy było mi to potrzebne – szczególnie niesamowitej Ruth Ozeki za jej przyjaźń i wsparcie.

Dziękuję moim ukochanym przyjaciółkom Pat Murphy i Ellen Klages, które pokazały mi wyjście, gdy zapędziłam się w kozi róg.

Dziękuję Megan Fitzgerald za specjalne badania dotyczące Bloomington.

Dziękuję wielu osobom, które czytały fragmenty książki i sprawdzały dla mnie różne rzeczy. Byli to:

Alan Elms, Michael Blumlein, Richard Russo, Debbie Smith, Donald Kochis, Carter Scholz, Michael Berry, Sara Streich, Ben Orlove, Clinton Lawrence, Melissa Sanderself, Xander Cameron, Angus MacDonald.

Dziękuję Micahowi Perksowi, Jill Wolfson i Elizabeth McKenzie, którzy przeczytali cały manuskrypt więcej niż raz i podzielili się swoimi inteligentnymi i pomocnymi krytycznymi komentarzami.

Jestem też niezwykle wdzięczna doktor Carli Freccero za jej odczyty i wykłady o teorii zwierząt.

Jak zawsze gorące podziękowania dla Wendy Weil, całego zespołu Weil Agency i genialnej Marian Wood.

Bardziej jednak niż komukolwiek innemu zawdzięczam tę książkę mojej córce. W pewien Nowy Rok dała mi pomysł na nią w prezencie i dostarczała ogromnie pomocnych opinii w trakcie pisania. Oboje, ona i mój syn opowiadali mi o tym, jak się studiowało w połowie lat dziewięćdziesiątych. Mój mąż jak zawsze otoczył mnie swoim niezbędnym i jakże hojnym wsparciem.

## PRZYPISY

[1] Mgła oczeretowa, ang. *tule fog*, to typowa dla północnej Kalifornii mgła radiacyjna, nazwana tak od lokalnie występującej odmiany oczeretu. Powstaje, gdy podczas bezchmurnej nocy dochodzi do znacznego ochłodzenia wilgotnego podłoża. Mgły oczeretowe występują w kalifornijskiej porze deszczowej (od późnej jesieni do wczesnej wiosny), charakteryzują się bardzo dużą gęstością, ograniczającą widoczność do 200 metrów i zaleganiem bardzo nisko przy ziemi. Ich pojawienie się jest kalifornijskim odpowiednikiem pierwszego śniegu (przyp. tłum.).

[2] Cytat z *Kronik Seinfelda*, odcinek „The Soup Nazi” (przyp. tłum.).

[3] Nieprzetłumaczalna gra słów w języku angielskim: „Rosemary” oznacza także „rozmaryn”, co Harlow kojarzy ze słynną kwestią szalonej Ofelii z Szekspirowskiego *Hamleta*: „Masz tu rozmaryn na pamiątkę” (przyp. tłum.).

[4] Wszystkie miary angielskie w tekście zamieniono na metryczne (przyp. tłum.).

[5] Aluzja do niesławnego pagórka, na którym – wedle niektórych raportów po zamachu na prezydenta Johna F. Kennedy’ego – miał się ukrywać nigdy nie schwytyany drugi snajper (przyp. tłum.).

[6] *Breaking Away*, komedia Petera Yatesa z 1979 roku (przyp. tłum.).

[7] Nieprzetłumaczalna gra słów w języku angielskim: Rosemary (zwana przez rodzinę Rose, czyli Różą) przywołuje tu słynny cytat z Szekspira (*Romeo i Julia*, akt 2, scena 2): *That which we call a rose / By any other name would smell as sweet* (w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego: *To, co zowiem różą / Pod inną nazwą równie by pachniało*) (przyp. tłum.).

[8] Dicey Tillerman – bohaterka popularnej serii książek autorstwa Cynthii Voigt, wydanej w USA w latach 80. XX w (przyp. tłum.).

[9] William Lemmon – z wykształcenia psycholog kliniczny, twórca i dyrektor mieszczącego się w Norman (stan Oklahoma) Ośrodka Studiów nad Ssakami Naczelnymi, gdzie jego badania skupiały się nad komunikacją wśród naczelnych i możliwościami nawiązania z nimi bezpośredniego kontaktu na bazie języka (przyp. tłum.).

[10] Mowa o rodzinie psychologa Winthrop Niles Kellogga, która przez krótki czas wychowywała identycznie swego synka Donalda i szympaniątko o imieniu Gua. Ten eksperyment trwał jedynie dziewięć miesięcy.

[11] W oryginale angielskim: *we throw our nets out into the sea, and all the ama-ama come a-swimming to me*. Cytat z popularnej piosenki *The Hukilau Song* z 1948 roku, autorstwa Jacka Owensa; hukilau oznacza tradycyjną hawajską technikę rybacką albo taniec o tej samej nazwie (przyp. tłum.).

[12] Nie wiedziałem, czy to dzień, czy noc. Zacząłem całować wszystko, co było w zasięgu wzroku (przyp. tłum.)

[13] Cytat z sonetu Percy'ego Shelleya *Ozymandias*; fragment w tłumaczeniu Adama Asnyka (przyp. tłum.).

[14] Stan Indiana słynie z przetworów jabłkowych, produkowanych na bazie owoców z lokalnych sadów (przyp. tłum.).

[15] Postać z Dickensowskiej *Opowieści o dwóch miastach*: namiętnie dzierga na drutach i gorąco popiera rewolucję francuską. (przyp. tłum.).

[16] Mianem „Hoosiers” określa się mieszkańców stanu Indiana (przyp. tłum.).

[17] General Educational Development – egzamin, powszechnie uznawany za odpowiednik dyplomu ukończenia szkoły średniej (przyp. tłum.).

[18] Kulanka pospolita (*Armadillidium vulgare*) – mały lądowy skorupiak pokryty charakterystycznym czarnym pancerzem, zwijający się w kulkę w sytuacji zagrożenia. Niekiedy trzymany jako zwierzątko domowe (przyp. tłum.).

[19] *Millions of Cats* (1928) – ilustrowana książka autorstwa Wandy Gág, jedna z najpopularniejszych do dziś pozycji na amerykańskim rynku księgarskim dla dzieci (przyp. tłum.).

[20] Keyser Söze to tajemniczy król przestępców z filmu *Podjeżrani* (*The Unusual Suspects*) (przyp. tłum.).

[21] William Kunstler – radykalny prawnik znany w latach 60. i 70. XX w. jako obrońca w głośnych i kontrowersyjnych procesach członków tzw. Chicagowskiej Siódemki, Czarnych Panter i Weather Underground.

[22] Nisei – osoba pochodzenia japońskiego urodzona na terenie Ameryki Północnej (głównie w USA) (przyp. tłum.).

[23] Wspomnienie osłonowe (ang. screen memory) – termin wprowadzony przez Zygmunta Freuda na określenie zmyślonego lub nadinterpretowanego wspomnienia (zwłaszcza z dzieciństwa), maskującego głębsze, często traumatyczne przeżycie o głębokim znaczeniu emocjonalnym (przyp. tłum.).

[24] *Makbet*, akt 3, scena 6, tłum. Maciej Słomczyński (przyp. tłum.).

